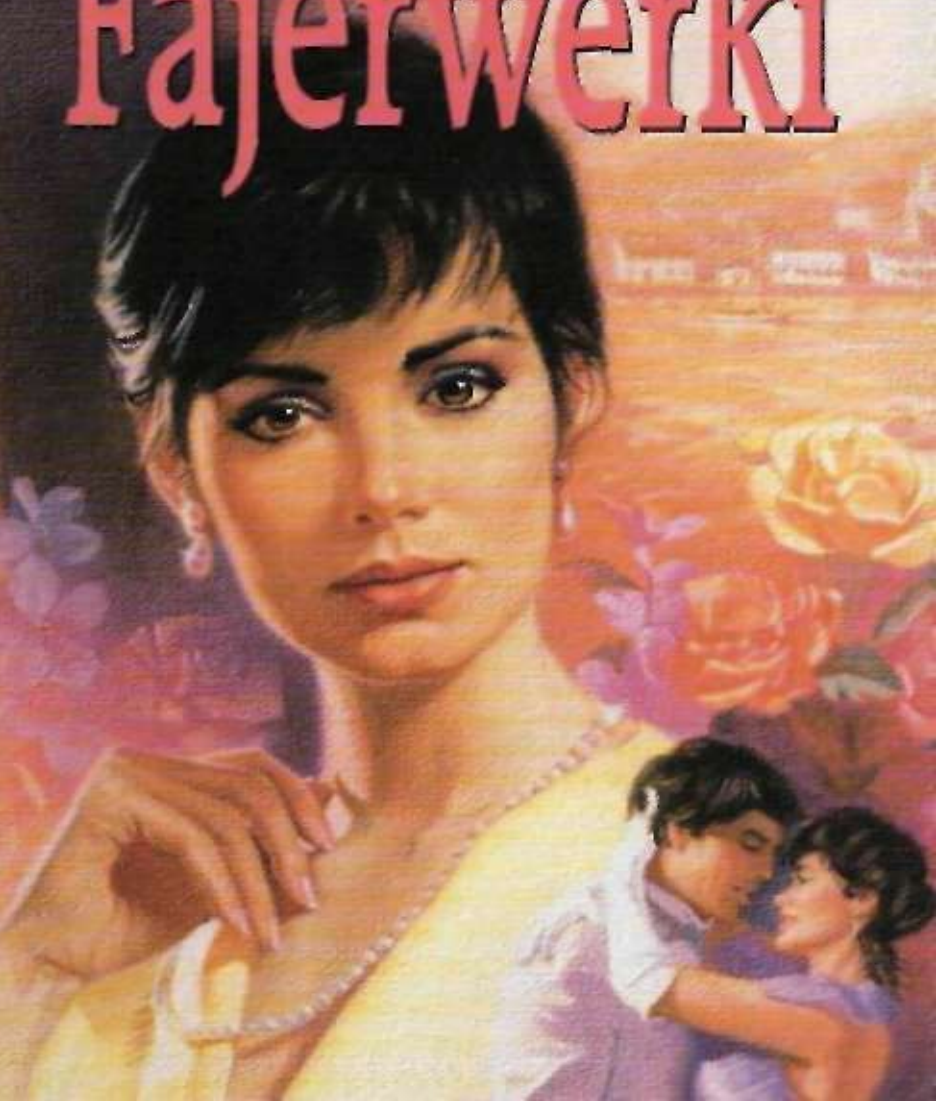


JUDITH
McNAUGHT

Fajerwerki

Pod Różą

Polski i Sisko



Rozdział 1

Houston, 1979

Diano, nie śpisz jeszcze? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Diana właśnie miała zgasić lampkę przy łóżku, ale usiadła, opierając się o poduszkę.

- Dobrze, wejść! - zawołała.

- Jak się czujesz po podróży? - spytał ojciec, wchodząc do pokoju. - Bardzo jesteś zmęczona?

Robert Foster, wysoki i barczysty, siwiejący, mimo zaledwie czterdziestu trzech lat, był zwykle bardzo pewny siebie. Zwykle, ale nie dziś. Dzisiaj wydawał się wyjątkowo zagubiony. Diana, chociaż miała zaledwie czternaście lat, nie była taka naiwna, aby wierzyć, że przyszedł ją spytać o samopoczucie po podróży. Chciał oczywiście dowiedzieć się, co sądzi o macosze i przyrodniej siostrze, które poznała dopiero dziś po południu, po powrocie z wakacji w Europie.

- Nie, wszystko dobrze.

- Diano - zaczął i zawahał się. Usiadł na łóżku i położył dłoń na jej ręce. - Wiem, że mogło to być dla ciebie szokujące, kiedy wróciłaś dziś do domu i okazało się, że powtórnie się ożeniłem. Wierz mi, że nigdy, przenigdy nie zrobiłbym tego, nie dając ci przedtem szansy na poznanie mojej przyszłej żony, gdybym nie był absolutnie przekonany, że się pokochacie. Polubiłaś ją, prawda? - Spojrzał na córkę z niepokojem. - Mówiłaś, że tak.

Diana skinęła głową, ale nie mogła pojąć, dlaczego ożenił się z osobą, którą ledwie poznał, a ona nie widziała jej na oczy aż do dzisiaj. W ciągu wielu lat od śmierci mamy spotykał się z różnymi pięknymi i miłymi kobietami z Houston, ale zawsze przedstawiał je najpierw Dianie i starał się, żeby spędzili trochę czasu we trójkę. A teraz się ożenił i nawet nie pokazał jej przedtem swej wybranki.

- Mary wydaje się bardzo miła - powiedziała po chwili. - Nie rozumiem po prostu, dlaczego tak się śpieszyłeś.

Wyglądał trochę nieszczęśliwie, ale odpowiedział szczerze:

- Bywają takie chwile w życiu, kiedy instynkt i intuicja każą zrobić coś sprzecznego z wszelką logiką, co innym może się wydać szalone. Jeśli coś takiego ci się kiedyś przydarzy, zrób to. Nie zważaj na przeciwności czy komplikacje, po prostu to zrób.

- I ty tak właśnie postąpiłeś?

Skinął głową.

- Kiedy spotkałem Mary, od razu byłem pewien, że właśnie jej chcę dla siebie i dla ciebie, a gdy poznałem Corey, byłem pewien, że we czworo stworzymy bardzo szczęśliwą rodzinę. Wiedziałem jednak instynktownie, że jeśli dam Marj' zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji, zaczniesz rozważać wszelkie przeszkody i w końcu da mi kośza.

Lojalność i rozsądek kazały Dianie odrzucić taką możliwość. Wszystkie poprzednie sympatie ojca stawały na głowie, żeby wyjść za niego.

Wydaje mi się, że każda kobieta, z którą chodziłeś, chciała cię zdobyć.

- Nie, kochanie, chciały tego, co mogłem im dać finansowo i towarzysko, ale niewiele chciało naprawdę mnie.

- A jesteś pewien, że Mary chciała naprawdę ciebie? - spytała Diana, rozważając jego obawy, że mogłaby go odtącić.

Ojciec uśmiechnął się i oczy rozbłyły mu czułością.

- Jestem absolutnie pewien, że chodziło jej wyłącznie o mnie.

- Więc dlaczego miałyby z ciebie zrezygnować?

Uśmiechnął się szerzej.

- Bo nie ma w sobie nic z materialistki czy karierowiczki. Mary jest bardzo inteligentna, ale obie z Corey wiodły skromne życie w małym miasteczku, gdzie nie ma tak bogatych ludzi, jak w Houston. Zakochała się we mnie równie szybko, jak ja w niej i w ciągu tygodnia zgodziła się za mnie wyjść, ale kiedy zorientowała się, jaki tu prowadzimy styl życia, próbowała się wycofać. Martwiła się, że nie będą tu z Corey pasowały, że przyniosą nam wstyd w towarzystwie. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że nas zawiedzie. - Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął z policzka Diany kasztanowy kosmyk. - Wyobraź sobie, że Mary chciała odrzucić to wszystko, o co inne się biły, w obawie, że nie sprostają roli mojej żony i twojej matki. To było dla niej najważniejsze.

Dianie bardzo się spodobała macocha, kiedy ją dziś poznała, a miłość w oczach ojca i czułość w jego głosie, kiedy mówił o Mary, umocniły jej odczucia.

- Bardzo ją lubię - wyznała.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech ulgi.

- Wiedziałem, że tak będzie. Ona też cię lubi. Powiedziała, że jesteś przemiła i bardzo zrównoważona. Stwierdziła, że miałaś święte prawo dostać napadu hysterii, kiedy niespodziewanie, po powrocie z wakacji, zastałaś w domu macochę, której nigdy wcześniej nie widziałaś. A zobaczysz jeszcze, jak poznasz nowych dziadków! - zawołał entuzjastycznie.

- Corey mówiła, że są naprawdę fajni - odpowiedziała Diana, przypominając sobie wszystko, o czym opowiadała jej trzynastoletnia przyrodnia siostra pierwszego spędzonego razem dnia.

- Rzeczywiście. To dobrzy, uczciwi i ciężko pracujący ludzie, którzy bardzo się kochają i często się śmieją. Dziadek Corey jest doskonałym ogrodnikiem, uzdolnionym stolarzem i wynalazcą amatorem. Babcia ma zdolności artystyczne i zmysł do wszelkich robótek. A teraz powiedz mi, co sądzisz o Corey?

Diana milczała przez chwilę, starając się uporządkować swoje wrażenia. W końcu pochyliła się, obejmując rękami kolana i uśmiechnęła się.

- Jest inna niż dziewczyny, które znam... Jest przyjacielska, szczerza i mówi to, co myśli. Nie była nigdzie poza Teksasem i nie stara się udawać dorosłej i przemyślnej. Robiła mnóstwo rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. A ciebie uważa niemal za króla - dodała Diana z uśmiechem.

- Jakaż to mądra i bystra młoda dama!

- Jej ojciec zostawił je, kiedy była jeszcze malutka - powiedziała Diana, oburzona tak niezrozumiałym dla niej zachowaniem.

- Jego głupocie i nieodpowiedzialności zawdzięczam swoje szczęście. I dlatego chciałbym, żeby Mary i Corey też poczuły się szczęśliwe. Pomożesz mi w tym? - spytał wstając, uśmiechnięty.

- Jasne - pokiwała głową Diana.

- I pamiętaj, Corey nie miała takich warunków jak ty, więc bądź cierpliwa i ucz ją, jak ma sobie radzić.

- Dobrze, będę.

- Moja córeczko - nachylił się i cmoknął ją w czubek głowy. - Ty i Mary będziecie wspaniałymi przyjaciółkami.

Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się nagle i odwrócił! usłyszawszy, co Diana powiedziała.

- Corey chciałaby mówić do ciebie „tato”.

- Nie wiedziałem - odparł wzruszonym głosem Robert Foster. - Mieliśmy z Mary nadzieję, że kiedyś tak się stanie, ale myślałem,

że to długo potrwa. - Popatrzył na Dianę z wahaniem. - A ty co o tym sądzisz?

Diana uśmiechnęła się szeroko.

- To był mój pomysł.

* * *

Po drugiej stronie korytarza Mary Britton Foster siedziała na łóżku w pokoju swej córki i zastanawiała się, o czym mogłyby jeszcze porozmawiać.

- Więc miło spędziłaś z Dianą dzisiejszy dzień? - pytała już po raz trzeci.

- Tak.

- I podobał ci się dom, i dzieci Haywardów, i jazda konna?

- Mamo, jesteśmy nastolatkami i nie należy na nas mówić dzieci.

- Przepraszam - powiedziała Mary, klepiąc Corey po nodze.

- A ich dom trudno w ogóle nazwać domem, bo jest prawie tak wielki jak motel!

- Taki ogromny? - zażartowała Mary.

Corey skinęła głową.

- Mniej więcej taki jak nasz.

Fakt, że nazwała dom Diany i Roberta „nasz”, bardzo Mary ucieszył.

- A czy Haywardowie mają oborę blisko domu?

- Nazywają ją stajnią, ale to jest to samo, tylko z zewnątrz wygląda jak śliczny kamienny domek i w środku jest bardzo czysto. Mają nawet faceta, który mieszka w stajni i zajmuje się końmi. Mówi się na niego stajenny i dziewczyny uważają, że jest przystojniakiem. Na imię mu Cole i właśnie skończył college w... nie pamiętam, ale chyba gdzieś tu, w Houston.

- Popatrz tylko - powiedziała Mary, kręcąc głową ze zdumienia. - Teraz trzeba skończyć college, żeby zajmować się końmi w oborze... to znaczy, w stajni.

Corey powstrzymała śmiech.

- Nie, on właśnie zaliczył semestr i niedługo zacznie następny. Konie są cudowne! - dodała, przechodząc do ciekawszego tematu. - Będę mogła znowu pojeździć na urodziny Barb Hayward w przyszłym tygodniu. Zaprosiła mnie, ale myślę, że to Diana ją poprosiła. Poznałam dzisiaj kilka koleżanek Barb i Diany. Chyba nie za bardzo mnie polubiły, ale Diana twierdzi, że sobie wmawiam.

- Rozumiem. A co myślisz o Dianie?

- Diana jest... - Corey zawahała się. - Diana jest super. Zwierzyła mi się, że zawsze chciała mieć siostrę, więc może dlatego jest dla mnie taka miła. Wcale nie jest snobką. Powiedziała, że mogę pożyczać jej ubrania, jeśli coś mi się będzie podobało.

- To bardzo miło z jej strony.

Corey pokiwała głową.

- A kiedy jej powiedziałam, że podoba mi się jej fryzura, odparła, że możemy na sobie próbować różne rzeczy z włosami.

- A...hm... czy mówiła jeszcze o kimś?

- Na przykład o kim? - spytała Corey z udawanym zdumieniem.

- Na przykład o mnie, i wiesz o tym doskonale.

- Zaraz, chwileczkę... A, tak, pamiętam! Powiedziała, że wyglądasz na podłą i okrutną i pewnie każesz jej siedzieć w domu i szorować podłogi, podczas gdy ja będę jeździła na bale i tańczyła z książętami. Przyznałam jej rację, ale obiecałam, że poproszę, żebyś pozwoliła jej nosić szklany pantofelek, o ile nie będzie wychodziła z domu.

- Corey!

Śmiejąc się, dziewczynka objęła matkę i w końcu powiedziała prawdę.

- Uważa, że jesteś bardzo miła i lubi cię. Pytała, czy jesteś surowa, więc powiedziałam, że czasami, ale zaraz czujesz się winna i pieczesz ciasteczka na przeprosiny.

- Naprawdę powiedziała, że mnie lubi?

Corey przytaknęła ochoczo.

- Matka Diany umarła, kiedy ona miała pięć lat. Nie mogę sobie wyobrazić, jakie życie byłoby okropne, gdybym nie miała ciebie, mamusiu...

Mary objęła córkę mocno i przycisnęła policzek do jej blond włosów.

- Diana nie miała wielu rzeczy, które ty miałaś. Spróbuj o tym pamiętać. Mieć dużo ubrań i olbrzymi pokój, to nie to samo, co mieć babcię i dziadka, którzy cię kochają i nauczyli tyłu rzeczy, kiedy z nimi mieszkaliśmy.

Uśmiech znikł z twarzy Corey.

- Będę za nimi strasznie tęskniła.

- Ja też.

- Opowiadałam o nich Dianie i bardzo się zainteresowała. Czy mogłabym niedługo z nią pojechać do Long Valley, żeby ich poznała?

- Oczywiście. Albo może Robert zaprosi ich do nas.

Mary wstała i chciała już wyjść, kiedy zatrzymał ją głos córki.

- Mamo, Diana powiedziała, że mogę na Roberta mówić „tato”.
Myślisz, że nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Myślę, że będzie szczęśliwy! - Popatrzyła smutno i dodała. -
Może kiedyś Diana zechce do mnie mówić „mamo”.

- Jutro - poinformowała Corey ze sprytnym uśmiechem.

- Co jutro?

- Jutro zaczniesz do mnie mówić „mamo”.

- Och, Corey, czy ona nie jest cudowna? - powiedziała Mary ze łzami w oczach.

Corey wzniosła oczy w górę, ale nie zaprzeczyła.

- To był mój pomysł. A ona tylko powiedziała, że chce to zrobić.

- Ty też jesteś cudowna - powiedziała ze śmiechem pani Foster, całując córkę.

Zgasiła światło i zamknęła za sobą drzwi. Corey leżała, rozmyślając o tej rozmowie i zastanawiała się, czy Diana śpi. Po chwili wygramoliła się z łóżka i na nocną koszulę z napisem „Chrońcie Żółwie” narzuciła stary, flanelowy szlafrok. W holu było kompletnie ciemno i z największym trudem udało jej się w końcu wymacać drzwi do pokoju Diany. Uniosła właśnie rękę, żeby zapukać, kiedy drzwi się otworzyły.

- Chciałam zobaczyć, czy śpisz - szepnęła Diana, cofając się i wciągając Corey do swego pokoju.

- Czy twój tata z tobą rozmawiał teraz, wieczorem? - spytała Corey, przysiadając na brzegu łóżka Diany i podziwiając kremową koronkę przy mankietach i przy szyi jej jasnorożowego szlafrocza oraz na pikowanych kapciach. Diana skinęła głową i siadła przy niej.

- A twoja mama z tobą?

-Aha...

- Chyba się bali, że się nie polubimy.

Corey przygryzła wargę i spytała:

- Udało ci się spytać twój tatę, czy też mogę mówić do niego „tato”?

- Spytałam i był bardzo szczęśliwy. - Diana mówiła cicho, żeby to kameralne przyjęcie piżamowe nie zakończyło się interwencją rodziców.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Mało się nie zakrztusił z wrażenia. - Diana popatrzyła na swoje kolana, wzięła głęboki oddech i spojrzała na Corey.

- A ty wspomniałaś swojej mamie, że chciałabym mówić do niej „mamo”?

- Tak.

- No i co?

- Powiedziała, że jesteś cudowna - odparła dziewczynka, wznośząc oczy w niebo z udawanym zgorzaniem.

- Powiedziała jeszcze coś?

- Nie mogła - wyjaśniła Corey. - Płakała.

Obie dziewczynki uśmiechnęły się do siebie po cichu, po czym, jakby się umówiły, jednocześnie opadły na łóżko.

- Myślę - rzekła Diana po chwili namysłu - że może być naprawdę super!

Corey przytaknęła ochoczo.

- Absolutnie super.

Później, już we własnym łóżku, Corey wciąż nie mogła uwierzyć, że tak się jej dobrze ułożyło z Dianą. Jeszcze rano nie przypuszczała, że to w ogóle będzie możliwe. Kiedy ojciec Diany poślubił matkę Corey po dwutygodniowej znajomości i przywiózł nową żonę i córkę do swego domu w Houston, Corey przerażała myśl o spotkaniu z przybraną siostrą. Dysponując tylko szczątkowymi informacjami o Dianie wyobraziła sobie, że są tak różne, iż pewnie będą się nienawidzić. Poza tym, że urodziła się bogata i wychowała w wielkiej rezydencji, Diana była od niej o rok starsza i miała najlepsze stopnie. Kiedy Corey rzuciła okiem na jej kobieco urządzone pokój, zauważyła, że panuje tam idealny porządek. Wyobraziła sobie, że Diana musi być chodzącą doskonałością i straszną snobką. Była pewna, że Diana uzna ją za głupią gęś i bałaganiarę.

Kiedy dziś rano wreszcie ją zobaczyła, potwierdziły się jej najgorsze obawy. Diana była drobna, miała smukłą talię, wąskie biodra i prawdziwe piersi. Corey poczuła się przy niej jak zupełnie płaski olbrzym. Diana ubrana była jak modelka z magazynu dla nastolatki, w krótką brązową spódniczkę, kremowe rajstopy, brązowo-niebieski podkoszulek i brązowy blezer z emblematem na piersi. Corey miała na sobie dzinsy i bluzę.

A jednak, mimo głębokiego przekonania Corey, że Diana jest zarozumiałą snobką, to właśnie ona pierwsza przełamała lody. To ona zachwyciła się pyskiem konia namalowanym na bluzie Corey i powiedziała, że zawsze chciała mieć siostrę. Po południu Diana zabrała ją do Haywardów, żeby Corey mogła sfotografować ich konie nowym aparatem, który dostała od ojca Diany.

Diana nie miała żalu, że jej ojciec kupił Corey taki wspaniały aparat, ani że musi się teraz dzielić z nią ojcem. A jeśli uważała ją za głupią gęś, to absolutnie tego nie okazywała. W przyszłym tygodniu Diana zabierze ją na urodziny Barbary Hayward, gdzie wszyscy będą jeździli na koniach. Powiedziała, że jej koleżanki będą też koleżankami Corey, i dziewczynka bardzo chciała wierzyć, że tak będzie.

Nie było to zresztą takie ważne, jak fakt, że ma teraz siostrę w podobnym wieku, z którą będzie spędzała czas i rozmawiała. Sama zresztą również ma coś do zaoferowania Dianie. Diana, jej zdaniem, prowadziła dotąd życie pod kloszem. Przyznała się naprzykład, że nigdy nie weszła na naprawdę duże drzewo, nie jadła winogron prosto z krzaka i nie puszczała kaczek po stawie.

Zamykając oczy, Corey odetchnęła z ulgą.

Rozdział 2

Cole Harrison spojrział przez ramię na Dianę Foster, która stała w otwartych drzwiach stajni z założonymi z tyłu rękami i obserwowała swą przybraną siostrę, która wraz z innymi dziewczynami, goszczącymi na urodzinach Barbary Hayward, stała na padoku. Wziął szczotkę i zgrzebło i skierował się w stronę jednej z zagród.

- Czy chciałybyś, żeby ci osiodłać konia? - spytał.

- Nie, dziękuję bardzo - odpowiedziała tak uprzejmym i dorosłym tonem, że Cole z trudem powstrzymał uśmiech.

Pracował jako stajenny w posiadłości Haywarda od dwóch lat, odkąd rozpoczął studia, i przez ten czas napatrzył się już i nasłuchał wystarczająco, żeby sobie wyrobić opinię na temat nastoletnich córeczek bogaczy z Houston. Zgodnie z jego spostrzeżeniami, trzynasto- i czternastoletnie panienki z kręgu Barbary Hayward miały fioła na punkcie chłopców i koni, i koniecznie chciały sprawdzić swoje umiejętności na jednych i na drugich. Prócz obsesji na punkcie chłopaków, miały też obsesję na punkcie swojego wyglądu, ubrania i statusu wśród rówieśników. Raz były roztrzepane, raz się daślały, a chociaż potrafiły być urocze, bywały wymagające, zarozumiałe i zjadliwe.

Niektóre z nich zaglądały już do barków w domach, większość za mocno się malowała, a wszystkie próbowały z nim flirtować. W ubiegłym roku ich próby były dość nieporadne i łatwe do zwalczania, ale z wiekiem stały się odważniejsze. W rezultacie czuł się wystawiony na pastwę przedwcześnie rozwiniętych, głupawych panienek. Nie byłoby to takie denerwujące, gdyby ograniczyły się do rumienienia się i chichotania, ale ostatnio rzucały mu znaczące spojrzenia albo patrzyły omdlewającym wzrokiem. Miesiąc temu jedna z przyjaciółek Barbary, która wiodła prym w tych podchodach, zapytała Cole'a o opinię na temat francuskiego pocałunku.

Haley Vincennes, niekwestionowana przywódczyni całej bandy, umocniła swą pozycję, informując Cole'a, że ma „zgrabny tylek”.

Jeszcze tydzień temu, nim Diana Foster pierwszy raz przypro-
wadziła swą nową, przybraną siostrę, Gole rzadko ją widywał, za-
wsze jednak wydawała mu się chlubnym wyjątkiem. Ta drobna,
śniada osóbką sprawiała wrażenie bardzo opanowanej, ale wyczu-
wał w niej wrażliwość, jakiej brakowało innym dziewczętom. Miała
włosy koloru ciemnej miedzi i duże, zielone oczy, otoczone długimi
rzęsami, patrzące na świat bystro i z prawdziwym zainteresowa-
niem. Błyszczały inteligencją i humorem, a jednocześnie widział
w nich słodycz, która zawsze skłaniała go do uśmiechu.

Cole skończył szcztokować klacz, poklepał ją i wyszedł ze stajni,
zamykając za sobą ciężkie, dębowe drzwi. Odkładając zgrzebło, za-
uważył, że Diana wciąż stoi w drzwiach z rękoma założonymi z ty-
łu i uważnie obserwuje, co dzieje się przed stajnią. Patrzyła z ta-
kim napięciem, że wychylił się, żeby też zobaczyć, co ją tak
zainteresowało. Zauważył dwadzieścia dziewcząt, śmiejących się
i krzyczących do siebie, kiedy robiły na swych koniach ósemki i po-
konywały małe przeszkody. Później zwrócił uwagę, że Corey, przy-
rodnia siostra Diany, jest zupełnie sama, w przeciwległym rogu.
Corey powiedziała jakiś komplement przejeżdżającej obok niej Ha-
ley Vincennes, ale Haley spojrzała na Corey, jakby była powie-
trzem, a komplement od niej zupełnie się nie liczył. Później powie-
działa coś do koleżanek, a dziewczyny popatrzyły na Corey
i zaczęły się śmiać. Corey przygarbiła się, zawróciła konia i po-
truchtała w przeciwnym kierunku, jakby ją głośno zniewaiono,
a nie tylko po cichu zlekceważono.

Diana zagryzła wargi, a jej ręce zacisnęły się odruchowo za ple-
cami. Cole pomyślał, że wygląda jak kwoka, zmartwiona, że jej
młode nie radzi sobie poza gniazdem. Zaimponowała mu jej troska
o przybraną siostrę, ale zdawał sobie sprawę, że jej nadzieje na za-
akceptowanie Corey są płonne.

W zeszłym tygodniu Diana przyprowadziła Corey do stajni,
gdzie spotkała Barbarę i kilka innych dziewcząt, które przyjechały
obejrzeć małego źrebaczka. Kiedy Diana przedstawiła siostrę, za-
panowała kłopotliwa cisza. Cole widział wyraz pogardliwej wyższo-
ści na twarzach przyszłych dam, kiedy dowiedziały się, skąd pocho-
dzi Corey. Diana była tak pewna, że jej bogate przyjaciółki powitają
miło nową koleżankę, że czekały ją poważne rozczarowania. Są-
dząc po jej minie, sama już doszła do tego wniosku. Cole, poruszony
jej przeżyciami, próbował ją rozchmurzyć.

- Corey całkiem nieźle jeździ, więc nie musisz jej tak pilnować
i martwić się o nią.

Odwrociła się nieco i uśmiechnęła.

- Nie martwiłam się, tylko myślałam. Czasami marszczę się,
kiedy myślę.

- Aha - Cole udawał, że jej wierzy; chciał pomóc jej zachować
twarz. - Wiele osób to ma. - Myślał, co jeszcze powiedzieć. - A ty
co, nie lubisz koni?

- Bardzo lubię - odpowiedziała w ten swój dziwnie dorosły i mi-
ły sposób. Odwróciła się do niego, najwidoczniej chcąc kontynu-
ować rozmowę. - Przyniosłam im trochę jabłek - dodała, wskazu-
jąc głową dużą, brązową torbę, stojącą w drzwiach.

Ponieważ najwidoczniej wolała je karmić, niż na nich jeździć,
Cole natychmiast wyciągnął wniosek.

- A umiesz jeździć?

Znów go zadziwiła, potakując.

- Tak.

- Muszę to sobie ułożyć - zażartował. - Kiedy tu przychodzisz,
nie jeździsz na koniu, chociaż wszystkie twoje koleżanki jeżdżą, tak?

- Zgadza się.

- Ale umiesz jeździć i bardzo lubisz konie, zgadza się?

- Zgadza się.

- Lubisz je tak bardzo, że przywozisz im jabłka, tak?

- Racja.

Wetknął palce za szlufki spodni i przyglądał jej się z ciekawo-
ścią.

- Nie rozumiem - przyznał w końcu.

- Lubię je znacznie bardziej, kiedy jestem na ziemi.

Jej głos zabrzmiał wesoło i Cole się uśmiechnął.

- Nie mów mi, niech zgadnę. Koń cię kiedyś zrzucił i potłukł się,
tak?

- Zgadłeś - przyznała. - Wpadłam na płot i złamałam sobie rę-
kę w nadgarstku.

- Jedyne rozwiązanie, żeby się przestać bać, to znów wsiąść na konia
- pouczył ją Cole.

- Tak właśnie zrobiłam - odpowiedziała ponuro, ale z błyskiem
w zielonych oczach.

- I co?

- I nabiłam sobie guza.

Cole'owi zaburczało w brzuchu i pomyślał o jabłkach. Miał bar-
dzo ograniczony budżet i apetyt, którego nigdy nie mógł zaspokoić.

- Lepiej odstawię tę torbę, nim ktoś się o nią potknie - powiedział.

Wziął torbę i ruszył na koniec stajni. Miał zamiar podzielić się z końmi łupem. Gdy przechodził obok jednej z zagród, stary koń o imieniu Buckshot wystawił łeb nad furtką i zaczął trącać nosem torbę, którą Cole trzymał pod pachą.

- Nie możesz już chodzić, jesteś prawie ślepy, ale z węchem wszystko u ciebie w porządku - powiedział chłopak, wyciągając z torby jabłko i podając koniowi. - Nie mów wszystkim swoim kumplom w stajni o tych jabłkach. Część jest dla mnie.

Rozdział 3

Cole wrzucał właśnie świeże siano do pustych zagród, kiedy do stajni wkroczyła część dziewcząt, które skończyły już jazdę.

- Diano, musimy z tobą pogadać na temat Corey- oświadczyła Haley Vincennes.

Cole spojrział na nie i wiedział, że grono panienek wydało już wyrok, który zaraz ogłosi, i że nie będzie to werdykt pozytywny. Diana też to zapewne wyczuła i starała się zbić je z tropu słodkim, wyrozumiałym tonem.

- Wiem, że polubicie Corey, kiedy ją lepiej poznacie i wszystkie zostaniemy przyjaciółkami.

- Tak się nie stanie - Haley ogłosiła dekret z wyższością w głosie. - Żadna z nas nie ma nic wspólnego z kimś z zapadłej dziury. o której nawet nie słyszałyśmy. Czy widziałaś tę bluzę, w jakiej tu przyszła w zeszłym tygodniu? Powiedziała, że jej babcia namalowała na niej głowę konia.

- Mnie się podoba - uparcie trzymała się Diana- - Babcia Corey jest plastyczką!

- Malarze malują na płótnie, a nie na bluzach i doskonale o tym wiesz. I założę się o miesięczne kieszonkowe, że jej dzinsy są od Searsa, a nie markowe.

Chórek śmieszków potwierdził, że reszta jest tego samego zdania. Następnie Barb Hayward dodała swój głos do opinii większości, choć wyglądała na nieco zawstydzoną, przesądając o losie biednej Corey.

- Nie widzę możliwości, żeby mogła być naszą przyjaciółką, zresztą twoją też, Diano.

Cole był pełen współczucia dla biednej małej Diany, która na pewno się załamie pod wpływem wrogości swych rówieśniczek, ale biedna mała Diana nawet nie drgnęła, mówiąc dalej zwodniczo delikatnym głosem.

- Przykro mi bardzo, że *tak* to wszystkie odbieracie - zwróciła się do Haley, która była prowodyrką całej akcji. - Chyba nie zdawałam sobie sprawy, że nie chcecie jej dać szansy, bo obawiacie się konkurencji.

- Jakiej konkurencji? - spytała Barb Hayward, nieco poruszona.

- Konkurencji, jeśli idzie o chłopaków, oczywiście. Corey jest bardzo ładna i bardzo wesoła, więc chłopcy będą za nią latać, gdziekolwiek się ruszy.

Cole przystanął w stajni, z widłami w rękę i uśmiechem podziwu na ustach, kiedy zorientował się w strategii Diany. Wiedział już, że chłopcy byli najbardziej pożądanym i cenionym towarem wśród tutejszych nastolatków, więc możliwość przyciągnięcia przez Corey większej ich liczby do towarzystwa była nie do pogardzenia. Zastanawiał się właśnie, czy ta możliwość przeważa obawy, że Corey mogłaby im podkraść aktualnych chłopaków, kiedy Diana dodała:

- Oczywiście, Corey ma już chłopaka w swoim miasteczku i nie ma ochoty na następnego.

- Może damy jej szansę i spędzimy z nią trochę czasu, nim zdecydujemy, czy nie chcemy jej w grupie - powiedziała z wahaniem Barbara, jak dziewczyna, która wie, co dobre, a co złe, ale nie ma odwagi zostać przywódcą.

- Tak się cieszę - odpowiedziała radośnie Diana. - Wiedziałam, że się na was nie zawiodę. Bardzo bym za wami tęskniła i żal by mi było, że nie będę się z wami wymieniać na moje najlepsze ciuchy, ani że nie pojedziecie z nami do Nowego Jorku następnego lata.

- Tęskniła? O czym ty mówisz?

- Corey jest moją najlepszą przyjaciółką. A przyjaciółki muszą się trzymać razem.

Kiedy dziewczęta wyszły ze stajni. Cole pokazał się nagle Dianie, czym ją trochę wystraszył.

- Powiedz mi - powiedział z konspiracyjnym uśmieszkiem - czy Corey naprawdę ma chłopaka tam, u siebie?

Diana powoli skinęła głową.

- Tak.

- Naprawdę? - spytał Cole z powątpiewaniem, zauważwszy dziwny błysk w jej oczach. - A jak mu na imię?

Zagryzła usta.

- To dziwne imię.

- Jakie dziwne?

- Obiecujesz, że nie powiesz nikomu?

Zafascynowany jej twarzą, głosem, lojalnością i inteligencją, Cole przyłożył rękę do serca.

- Obiecuję.

- Na imię ma Sylwester.

- I jest on... - zaczął za nią.

Opuściła wzrok i wywinięte, brązowe rzęsy rzuciły cień na jej policzki.

- Świnką - wyznała.

Powiedziała to bardzo cicho, a ponieważ Cole był prawie pewien, że Sylwester był psem albo kotem, sądził, że się przesłyszał.

- Znaczy prosiakiem czy warchlakiem?

- Właściwie, to knurem - wyznała, unosząc ku niemu wzrok. - Corey mi mówiła, że jest olbrzymi i chodzi za nią po domu, jak cocker-spaniel. To znaczy, w jej starym domu.

W tym momencie Cole uznał, że Corey ma niebываłe szczęście, jeśli taka drobniutka, ale zdeterminowana osobka, jak Diana Foster będzie jej pomagała pokonywać przepaść społeczną. Nieświadoma tych niewypowiedzianych komplementów, Diana spojrzała na niego.

- Czy masz tu coś do picia? Strasznie mi się chce pić.

Cole roześmiał się.

- Ciężka praca takie oszukiwanie, co? Można się nieźle zmęczyć, jak się samej występuje przeciwko sześciu upartym paniąkom. - Przewróciła bezwstydnie oczami i uśmiechnęła się do niego. Cholernie odważna smarkula, pomyślał, ale zrobiła to bardzo elegancko i w dobrym stylu. - Jasne - wskazał głową na zaplecze stajni. - Poczęstuj się.

Na końcu korytarza, po prawej, Diana znalazła mały pokój, z pewnością Cole'a, z wąskim łóżkiem, pościelonym z wojskową perfekcją, i starym biurkiem z antyczną lampą. Na biurku leżały starannie poskładane książki i papiery. Jedna z książek była otwarta. Naprzeciw sypialni znajdowała się łazienka, a obok niej wnęk kuchenna, w której mieścił się tylko zlew, mała kuchenka i miniaturowa lodówka, jak u nich w domu pod barkiem. Diana sądziła, że w lodówce znajdzie mnóstwo napojów do dyspozycji wszystkich, ale była tam tylko paczka parówek, karton z mlekiem i pudełko płatków.

Zdziwiła się bardzo, że trzymał płatki w lodówce i że nie było tam więcej jedzenia, chociaż najwyraźniej miał tylko to miejsce do przechowywania żywności. Zamknęła lodówkę i nalała sobie wody

do papierowego kubka. Gdy wyrzucała go do kubła, zauważyła dwa ogryzki od jabłka. Jabłka, które przyniosła, były trochę przywiedle i niezbyt apetyczne; nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś miałby ochotę zjeść choćby jedno, nie mówiąc o dwóch. Chyba że był głodny. Bardzo, bardzo głodny. Wciąż myślała o pustej lodówce i ogryzkach, kiedy zatrzymała się, żeby pogłaskać gniadego żrebaka, a później wyszła przed stajnię, żeby zobaczyć, jak radzi sobie Corey. Stała z trzema dziewczynami w pobliżu ogrodzenia.

- Nie powinnaś tam pójść, gdyby potrzebowała pomocy?

- Nie, Corey sobie poradzi. Jest wspaniała i one się szybko o tym przekonają. Poza tym, chyba nie byłaby zadowolona, gdyby się zorientowała, że... trochę pomagam.

- Niezły z ciebie pomocnik - uśmiechnął się Cole, ale zauważył, że jest zawstydzona, więc dodał szybko. - A co będzie, jeżeli jej nie polubią?

- To znajdzie sobie własne przyjaciółki. Poza tym, te dziewczyny nie są moimi bliskimi przyjaciółkami, zwłaszcza Haley. Barbara też nie. Lubię tylko Douga.

Cole wpatrywał się w nią zdumiony, mając w oczach postać brata Barbary, niezwykle wysokiego i patykowatego.

- Dougiest twoim chłopakiem?

Spojrzała na niego zdziwiona i siadła na wiązce siana przy wyjściu.

- Nie, jest moim przyjacielem, nie chłopakiem.

- Właśnie pomyślałem, że jesteś dla niego trochę za niska. Ajak na imię twojemu prawdziwemu chłopakowi? - spytał, sięgając po czerwony plastikowy kubek, który postawił na parapecie.

- Właściwie, to nie mam chłopaka. A ty masz dziewczynę?

Skinął głową i wypił łyk wody.

- Jaka ona jest? - spytała Diana.

Oparł nogę o wiązkę siana, spojrzał przez okienko, wychodzące na dom i Diana odniosła wrażenie, jakby odpłynął gdzieś daleko.

- Nazywa się Valerie Cooper.

Zapanowało milczenie.

- I co? - wypytywała dalej Diana. - Jest blondynką czy brunetką, niska czy wysoka, oczy niebieskie czy brązowe?

- Jest wysoką blondynką,

- Ja bym też chciała - westchnęła z żalem.

- Chcesz być blondynką?

- Nie - odpowiedziała i Cole się zaśmiał. - Chcę być wysoka.

- O ile nie planujesz jakiegoś niezwykłego skoku wzrostu, ra-

dziłbym zostać blondynką - poradził jej Cole. - W twoim wypadku to łatwiejsze.

- A jakiego koloru ma oczy?

- Niebieskie.

Diana była zafascynowana tym opisem.

- Dawno ze sobą chodzicie?

Cole za późno zdał sobie sprawę z tego, że nazbyt się spoufalął z gościem swych chlebodawców, co już było naganne, a do tego gość miał czternaście lat, a rozmowa była bardzo osobista.

- Od czasów szkolnych - powiedział szybko i wstał, żeby odejść.

- Czy mieszka w Houston? - przypierała go do muru Diana.

- Studiuje na uniwersytecie w Los Angeles. Widujemy się, kiedy mamy okazję, głównie podczas wakacji.

* * *

Urodziny ciągnęły się jeszcze długo; na koniec podano tort, gdy wszyscy zebrali się na dużym trawniku, gdzie Barbara rozpakowała górę prezentów. Później goście weszli do środka, a służba sprzątała na zewnątrz. Diana wchodziła już do domu za resztą, kiedy zauważyła, że została jeszcze połowa olbrzymiego czekoladowego tortu, i przypomniała sobie samotne parówki w lodówce Cole'a. Po-deszła do stołu i odcięła duży kawał z brzegu, żeby dostało mu się więcej kremu.

Jego reakcja, kiedy weszła z tortem do stajni, była komiczna.

- Dianio, masz przed sobą największego łakomczucha na świecie - oświadczył, biorąc od niej talerzyk z widelczykiem.

Zaczął jeść, idąc w stronę swojego pokoju. Diana patrzyła za nim przez chwilę, uświadamiając sobie po raz pierwszy, że ludzie, których zna, z którymi rozmawia, nie zawsze mają dość jedzenia. Gdy się odwróciła, postanowiła, że odtąd zawsze, przychodząc tu, będzie przynosiła coś do jedzenia. Instykt jednak podpowiedział jej, że musi wymyślić jakiś sposób, żeby Cole nie pomyślał, że to jałmużna. Nic nie wiedziała na temat młodych mężczyzn z college'u, ale wiedziała co nieco na temat dumy, a wszystko wskazywało na to, że Cole ma jej wiele.

Rozdział 4

- Życie jest piękne - oświadczyła Dianie Corey dwa miesiące po urodzinach Barbary Hayward. Ściszyła głos, żeby nie usłyszeli ich rodzice, którzy poszli już spać. Dziewczynki, oparte na poduszkach wykończonych koronkami, otuliły się kołdrą na łóżku Diany i zającując precelki, zaliczały swoją sesję ploteczek. - Nie mogę się doczekać jutra, kiedy poznasz babcię i dziadka. Zobaczysz, że jak będą wyjeżdżali za tydzień, będziesz za nimi szalała. Będziesz uważała, że od zawsze są twoimi prawdziwymi dziadkami.

Corey marzyła, żeby tak się stało. Chciała odpłacić Dianie za wszystko, co dla niej zrobiła, i ofiarować to, co miała najcenniejszego. W zeszłym miesiącu zaczęła się szkoła, a przedtem Diana została najbliższą przyjaciółką Corey i jej niedościgłą mistrzynią. Pomagała Corey wybierać ubrania, układać włosy na różne sposoby, przedzierać się przez towarzyskie labirynty, aż w końcu nawet przyjaciółki Diany, wśród których było kilka snobek, zaakceptowały Corey w swoim gronie. Pierwszy miesiąc Corey spędziła w stanie wdzięczności i rosnącego podziwu dla nowej siostry. Diana nigdy nie bywała zawstydzona, nie martwiła się, że powie coś nieodpowiedniego, nie opowiadała głupich dowcipów i nigdy nie robiła z siebie idiotki. Jej gęste, ciemnorude włosy były zawsze błyszczące, cera nienaganna, a figura doskonała. Kiedy wychodziła z basenu z mokrymi włosami, wyglądała jak z reklamy telewizyjnej. Jej ubrania nigdy nie miały nawet najmniejszego zagniecenia!

Teraz obie traktowały już przybranych rodziców jak naturalnych i Corey chciała jeszcze dać Dianie „prawdziwych” dziadków.

- Kiedy poznasz babcię i dziadka, zrozumiesz, dlaczego wszyscy uważają, że są tacy fajni. Babcia potrafi ze wszystkiego zrobić coś ładnego. Umie szyć, robić na drutach i szydełkować. Potrafi na-

zbierać w lesie zwykłych gałązek i liści i wyczarować z tego nadzwyczajną kompozycję, używając kropli kleju i odrobiny farby. Sama robi prezenty dla znajomych i pięknie je pakuje, ozdabiając suszonymi jagódkami, i wszystko wygląda fantastycznie! Mama jest do niej podobna. Jak tylko jest jakaś aukcja kościelna, wszyscy w miasteczku starają się kupić to, co ofiarowały mama i babcia. Przyjechał kiedyś facet, który ma galerię w Dallas, i zobaczył ich prace na aukcji. Powiedział, że obie są bardzo utalentowane i chętnie zamawiałby u nich coś na sprzedaż w swojej galerii. Babcia stwierdziła, że to by jej nie bawiło, a mama wracała tak zmęczona z pracy, że nie była pewna, czy mogłaby dotrzymywać terminów. No i babcia fantastycznie gotuje. Jest wielbicieleką naturalnych produktów, warzyw hodowanych we własnym ogrodzie, świeżo zerwanych kwiatów i tak dalej. Nigdy nie wiesz, co z nimi robi - czy postawi je na stole, czy na talerzu. Ale cokolwiek robi, jest wspaniałe. - Zrobiła małą przerwę, żeby napić się coca-coli i ciągnęła dalej. - Dziadek kocha ogród i ciągle eksperymentuje, żeby wszystko rosło większe i lepsze. Najbardziej chyba lubi budować różne rzeczy.

- Jakie rzeczy? - spytała Diana, zaciekawiona.

- Potrafi stworzyć właściwie wszystko, co da się zrobić z drewna. Foteliki bujane dla dzieci, szopy ogrodowe, które wyglądają jak domki, albo mebelki do domków dla lalek. Babcia potem to maluje, bo ma do tego największe zdolności. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz mój dom dla lalek, który dziadek mi zbudował! Ma piętnaście pokoi, dach kryty prawdziwym gontem i skrzynki z kwiatami na oknach!

- Naprawdę bardzo chcę ich poznać. Wydają się fantastyczni - odpowiedziała Diana, ale Corey myślała już o tym, co ją dręczyło od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła pokój Diany.

- Diana, czy ktoś ci powiedział - zaczęła grobowym głosem, spoglądając na nienaganny porządek w pięknym pokoju - że niezdrowo mieć tak wszystko wysprzątane i poukładane?

Zamiast odwzajemnić się uwagą na temat bałaganiarskich obyczajów Corey, Diana ugryzła kawałek precla i rozejrzała się po pokoju.

- Pewnie niezdrowo - zgodziła się. - Może dlatego, że mam artystyczne oko, nastawione na symetrię i porządek. A może dlatego, że mam obsesyjno-obligatoryjną osobowość.

Corey zmarszczyła czoło.

- Co to znaczy obsesyjno-obligatoryjna?

- Świr. - Diana przerwała wyjaśnienia, żeby wytrzeć palce z okruszków. - Zwariowana.

- Nie jesteś psychiczna! - stwierdziła Corey z przejęciem i odgryzła kawałek precla, który natychmiast się przełamał i połowa wylądowała na kolanach Diany. Jej precle nigdy się nie łamały. Wzięła go do ręki i podała siostrze.

- Może dlatego mam neurotyczną potrzebę porządkowania, żeby móc kontrolować otoczenie. To jest spowodowane śmiercią mojej mamy, kiedy byłam malutka, i dziadków kilka lat później.

- Ale co ma śmierć twojej mamy do sporządzania alfabetycznej kartoteki butów?

- Jest taka teoria, że uważam, iż jak wszystko będę miała w absolutnym porządku i śliczniutkie, to moje życie też będzie takie i już nic złego mnie nie spotka.

Corey była porażona absurdalnością takich stwierdzeń.

- Gdzieś ty słyszała te bzdury?

- Od psychoterapeuty, do którego tata zaprowadził mnie po śmierci dziadków. Miał mi pomóc „pozbiierać się” po utracie tylu bliskich osób w tak krótkim czasie.

- Co za pomysł! Miał ci pomóc, więc ci opowiadał te wszystkie bzdury, żeby cię nastraszyć i żebyś myślała, że jesteś psychiczna?

- Nie, mnie tego nie powiedział, tylko tacie, ale ja podsłuchiwałam.

- A jak tata na to zareagował?

- Powiedział psychoterapeucie, że sam powinien się leczyć. Wiesz, w River Oaks, kiedy rodzice uznają, że dzieci mają, albo mogą mieć kłopoty, prowadzą je do psychoterapeuty. Wszyscy tak robią, więc kiedy powiedzieli tacie, że powinien mnie zaprowadzić, zrobił to.

Corey przetrwała tę wiadomość i wróciła do tematu.

- Kiedy nabijałam się z ciebie, że jesteś taka porządnicka, chciałam podkreślić, jakie to dziwne, że tak się świetnie zgadzamy, chociaż jesteśmy zupełnie inne. Czasem czuję się, jak biedna sierotka wzięta pod twoje skrzydła, ale i tak nigdy nie będę taka, jak ty. Babcia zawsze mówi, że „i w Paryżu nie zrobisz z owsa ryżu”.

- Biedna sierotka - wybuchnęła Diana. - Przecież to zupełnie nie tak! Nauczyłam się od ciebie mnóstwa nowych rzeczy i masz tyle cech, które ja chciałabym mieć.

- To wymień chociaż jedną - w głosie Corey zabrzmiało powątpiewanie. - Na pewno nie moje stopnie ani nie mój biust.

Diana zachichotała, ale zaraz spoważniała i powiedziała:

- Masz w sobie ducha przygody, którego mi zupełnie brakuje.

- Przez którąś z moich przygód wyląduję pewnie w więzieniu, nim skończę osiemnaście lat.

- Na pewno nie! - zaprotestowała Diana. - Chodzi mi o to, że jak ty postanowisz coś zrobić, na przykład zajęcia z rusztowania tego wysokiego budynku, to nie zwracasz uwagi na niebezpieczeństwo, tylko to robisz!

- Weszłaś tam ze mną.

- Ale się bałam. Nogi mi się trzęsły ze strachu.

- Ale weszłaś.

- O to właśnie mi chodzi. Kiedyś nigdy bym tego nie zrobiła. Chciałabym być bardziej taka jak ty.

Corey rozmyślała przez chwilę, po czym oczy rozbłyły jej łobuzersko.

- Jeżeli chcesz być bardziej podobna do mnie, musimy zacząć od twojego pokoju. - Sięgnęła ręką za głowę, nim Diana zorientowała się, o co chodzi.

- Co chcesz zrobić?

- Walczyłaś kiedyś na poduszki?

- Nie, ale... - resztę pytania zagłuszyła gruba, puchowa poduszka, która wylądowała na jej głowie. Corey przykucnęła za łóżkiem, spodziewając się rewanzu, ale Diana siedziała spokojnie, żując precelka. - Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - powiedziała, przyglądając się siostrze z zachwytem,

Corey zaskoczył jej spokojny ton.

- A dlaczego nie? - spytała.

- Bo będę musiała się zemścić!

Diana była taka szybka i rzuciła z taką precyzją, że Corey nie zdążyła się uchylić. Śmiejąc się, sięgnęła po następną poduszkę i to samo zrobiła Diana. Pięć minut później, kiedy zaniepokojeni rodzice stanęli w drzwiach pokoju, z trudem mogli poprzez tumany pierza zauważyć dwie nastolatki, leżące na podłodze i zanoszące się głośnym śmiechem.

- Co tu się, do licha, wyprawia? - spytał pan Foster, bardziej zaniepokojony, niż zły.

- Walka poduszkowa - oznajmiła Diana bez tchu.

Na ustach miała przyklejone piórko, które usiłowała usunąć palcem.

- Wypluj je - poinstruowała Corey ze śmiechem i zaraz zdemonstrowała, dmuchając z całej siły i wypluwając pióro, które przylepiło jej się do ust.

Diana poszła w jej ślady, po czym zaczęła chichotać na widok miny ojca. Piórka fruwały wokół jego głowy i osiadały mu na ramiach, a on stał nieruchomo, w piżamie i szlafroku, wpatrzony w dziewczynki. Obok niego stała nowa mama Diany, która starała się wyglądać poważnie i powstrzymać śmiech.

- Posprzątam to wszystko, nim pójdziemy spać - obiecała natychmiast Diana.

- Nie, nie posprzątam - zaprzeczyła zdecydowanym tonem Corey, - Musisz się przespać w tym bałaganie. Jeżeli ci się to uda, jest iskra nadziei, że przy odpowiednich ćwiczeniach możesz zostać taką cudowną bałaganiarą jak ja!

Leżąc wciąż na podłodze, Diana odwróciła twarz w stronę Corey i, powstrzymując kolejny napad śmiechu, spytała.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jest szansa, ale musisz bardzo nad tym pracować.

Robert Foster wydawał się przerażony tym planem, ale żona wzięła go pod rękę i wyprowadziła z pokoju, zamykając drzwi. W holu popatrzył na nią, nieco oszołomiony.

- Dziewczynki zrobiły taki bałagan. Nie uważasz, że powinny posprzątać?

- Wystarczy, jak zrobią to jutro - odparła Mary Foster.

- Te poduszki były dość drogie. Diana powinna pomyśleć o tym, zanim je zniszczyła. To było szalenie nieodpowiedzialne, kochanie.

- Bob - powiedziała słodko, prowadząc go pod rękę do sypialni.

- Diana jest najbardziej odpowiedzialną dziewczynką, jaką znam.

- Nauczyłem jej tego. Dorosły człowiek musi zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów i odpowiednio postępować.

- Kochanie - szepnęła - ona nie jest dorosła.

Rozważał to, a na jego ustach pojawił się łobuzerski uśmiech.

- Masz rację, ale czy uważasz również, że koniecznie musi nauczyć się płuć?

- Absolutnie koniecznie - odpowiedziała żona ze śmiechem.

Nachylił się, całując ją.

- Kocham cię - wyszeptał.

Odwzajemniła pocałunek.

- A ja kocham Dianę - odpowiedziała.

- Wiem, dlatego kocham cię jeszcze bardziej. - Położył się i przyciągnął ją do siebie, dotykając jedwabnej koszulki. - Wiesz, że kocham Corey, prawda?

Skineła głową, sięgając ręką po poduszkę z pierza, leżącą na zagłówku łóżka.

- Zmieniłaś nasze życie - ciągnął.

- Dziękuję. - Uniosła się nad jego piersią, siadając. - A teraz zmienię twoje poglądy.

- Na jaki temat?

- Walki na poduszki - powiedziała śmiejąc się, gdy trafiła w niego swoim jaśkiem.

Po drugiej stronie korytarza, w pokoju Diany, dziewczęta usłyszały jakiś łomot. Skoczyły na równe nogi i pobiegły, przestraszone.

- Mamo, tato! - zawołała Diana, pukając do drzwi sypialni. - Czy coś się stało? Słyszałyśmy jakiś hałas!

- Nic takiego, ale przydałaby mi się pomoc - odparła Mary Foster.

Diana i Corey wymieniły zdziwione spojrzenia i otworzyły drzwi. Obie stanęły, jak wryte. Popatrzyły na rodziców, a później na siebie i wtedy zaniosły się śmiechem.

Na podłodze, wśród tumanów pierza, leżała ich matka, a na niej ojciec, przyszpilając ją rękami do podłogi.

- Powiedz „wujek” - rozkazał. Mama śmiała się jeszcze głośniej. - Powiedz „wujek”, bo cię nie puszcze.

W odpowiedzi na aroganckie zachowanie męża, Mary Foster popatrzyła na córki i zdołała wykrztusić z siebie między wybuchami śmiechu:

- Myślę... że kobiety... muszą się trzymać razem... w takich chwilach...

Trzymały się razem. Tego wieczoru padł wynik 12:2. Dwanaście poduszek z pierza, które padły, wobec dwóch z gąbki, które ocalały.

Rozdział 5

Diana z radosną miną porwała swoje szkolne książki z siedzenia nowego *BMW*, które dostała w zeszłym miesiącu od ojca na szesnaste urodziny, i pobiegła po schodach do domu. Ta rezydencja w stylu georgiańskim była jej pierwszym i, jak dotąd, jedynym domem. W ciągu dwóch lat od czasu, kiedy zamieszkała z nimi jej macocha, a później dziadkowie, dom i jego otoczenie bardzo się zmieniły. Ciszę zastąpił śmiech i głośne rozmowy, z kuchni rozchodziły się apetyczne zapachy, a ogród tonął w kwiatkach o olśniewających kolorach, z których robiono piękne bukiety, ozdabiające wnętrze domu.

Wszyscy byli zachwyceni nową atmosferą i wyglądem domu, z wyjątkiem Glenny, gosposi, która pomagała wychowywać Dianę po śmierci matki. Gdy Diana wbiegła do domu, wpadła najpierw na nią.

- Glenno, czy Corey jest w domu?

- Chyba jest ze wszystkimi w ogrodzie i omawiają jutrzejsze przyjęcie. - Glenna skończyła ścierać kurz z orzechowego stolika i wyprostowała się, żeby mu się przyjrzeć. - Kiedyś twoja mama sprowadzała restauratorów i bukieciarki, jak urządziła przyjęcie. Oni wszystko robili - dodała znacząco. - Tak robi większość bogatych ludzi, ale my nie.

- Nie, my nie - odpowiedziała Diana z uśmiechem. - Teraz my dyktujemy modę.

Szła korytarzem na tył domu, a drepcząca przy niej Glenna ścierała po drodze niewidoczne pyłki ze stolików i krzesełek.

- Kiedyś wszystko miało tylko ładnie wyglądać i dobrze smakować. Ale teraz to nie wystarczy. Teraz wszystko musi być świeże, naturalne i domowe. Domowe jest dobre dla ludzi ze wsi. Twoi dziadkowie są ze wsi, to nie rozumieją, że...

Glenna wciąż miała wszystko za złe, odkąd nowa mama i babcia Diany przejęły pieczę nad gospodarstwem. Dziadkowie Corey i Diana pokochali się wzajemnie od czasu pierwszego spotkania. Po kilku miesiącach, kiedy dziewczynki dzieliły czas między Long Valley, gdzie mieszkali Rose i Henry Britton, a River Oaks, gdzie mieszkały one z rodzicami, Robert sprowadził architekta i firmę budowlaną, żeby zmodernizować i powiększyć domek gościnny. Następnie powstała szklarnia dla Rosę i ogród warzywny dla Henry'ego.

W zamian mógł się cieszyć świeżymi warzywami i owocami, uprawianymi na własnym terenie i apetycznymi posiłkami, podawanymi na rozmaite sposoby w najróżniejszych miejscach. Robert nigdy nie lubił jadać w dużej kuchni na tyłach domu. Była zaprojektowana tak, żeby mogła się w niej pomieścić armia pracowników z firmy restauracyjnej, kiedy wydawano przyjęcia. Wyłożona białymi kafelkami, z mnóstwem nierdzewnych urządzeń, była sterylna i nieprzytulna, z brzydkim widokiem z jedyne go okna. Dopóki nie pojawiła się w jego życiu Mary i jej rodzina, Robert zadawała się ostrymi potrawami, które przygotowywała jego kucharka Conchita, i zjadał je możliwie jak najprędzej w surowo urządzonej jadalni. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby jeść pod drzewem w ogrodzie albo nad ogromnym basenem, który zbudowano zupełnie bez polotu na środku podwórza i otoczono betonem.

Teraz Robert był innym człowiekiem, żył w zmienionym otoczeniu, jadał pyszne posiłki i bardzo sobie to wszystko chwalił. Kuchnia, której niegdyś unikał, stała się jego ulubionym miejscem. Nie było już w niej sterylne białych ścian i dużych, ponurych płaszczyszyn. Z jednej strony kuchni Henry zainstalował w suficie świetliki i wysokie okna wzdłuż zewnętrznej ściany. W tym przytulnym, jasnym zakątku ustawiono wygodne sofy i fotele, gdzie rodzina się zbierała podczas przygotowań do obiadu. Mary i Rose wyrysowały na meblach winogrona i kwiaty, i uszyły poduszki z materiału w taki sam wzór. Wszędzie poustawiały rośliny w białych doniczkach.

Po drugiej stronie zreformowanej kuchni zwykłe, białe kafelki zostały ozdobione wzorkami, a nad kuchenką wymurowano ze starych cegieł łuk, nad którym wisały miedziane garnki i patelnie w najrozmaitszych rozmiarach.

Zona i jej rodzina zmieniły Jego otoczenie, nadając wszystkiemu urok i wdzięk. Rok po ślubie z Robertem Mary miała swój oficjalny debiut jako pani domu, organizując olbrzymie przyjęcie w ogrodzie

dla elity Houston, towarzystwa wyrafinowanego, ale i nieco zblazowanego. Zamiast korzystać z profesjonalnych usług, Mary i Rose same nadzorowały przygotowanie potraw według własnych przepisów. Przyprawiano je ziołami z ogrodu Henry'ego i podawano przy migających lampionach, na stolikach nakrytych ręcznie haftowanymi obrusami i przybranych kwiatkami, wyhodowanymi przez Henry'ego.

Żeby nadać przyjęciu styl hawajski, Mary z matką ścięły setki orchidei ze szklarni i poprosiły Dianę, Corey i ich cztery przyjaciółki, żeby uplotły z nich hawajskie wieńce na szyje. Mary i Rose postanowiły, że każda pani dostanie małe lakierowane pudełeczko, ozdobione ręcznie malowanymi orchideami, takimi jak w wieńcach. Wierząc, że nawet najbardziej zblazowani milionerzy z Houston na pewno docenią własnoręczne dekoracje, wyhodowane przez gospodarzy warzywa i owoce, domowe potrawy oraz zmiany w sztywnym, choć eleganckim wystroju domu, Mary z matką spędziły wiele szczęśliwych godzin na planowaniu przyjęcia i pracy nad nim,

Dwie godziny przed przyjęciem Mary obeszła cały teren i dom i wybuchnęła łzami na ramieniu męża.

- Och, kochanie, dlaczego pozwoliłeś mi to zrobić? - jęknęła. - Wszyscy będą uważali, że zrujnowałam twój piękny dom śmieciami własnej roboty. Twój znajomi są światowcami, przyzwyczajonymi do pięciogwiazdkowych restauracji, wytwornych balów i bezcennych antyków, a ja im urządzam jakiegoś grilla w ogródku z przebierankami. - Przytuliła do jego piersi mokrą od łez twarz. - Pomyślałam, że ożeniłeś się z jakimś kompletnym prymitywem.

Robert pogładził ją po plecach i uśmiechnął się. On też zrobił dzisiaj obchód domu i ogrodu. Starał się patrzeć z pozycji obcego. To, co zobaczył, napełniło go dumą i radosnym oczekiwaniem. Był przekonany, że Mary i jej rodzice nadali zupełnie nowe znaczenie wyrażeniu „własnej roboty”. Znaczenie aktu twórczego, nadającego osobiste piętno temu, co bezosobowe, przekształcającego rzeczy zwykłe w piękne i nadzwyczajne. Był pewien, że goście docenią dokonania Mary.

- Olśniesz ich, malutka - szepnął. - Zobaczysz.
Robert się nie mylił.

Goście pochłaniali przepyszne jedzenie, podziwiali dekoracje, kwiaty, ogród, dom, a najbardziej niewymuszony wdzięk gospodyni. Ci sami znajomi, którzy kilka miesięcy temu zdumiewali się, że Robert kazał zaorać część trawników pod ogród warzywny, próbowali teraz plonów i koniecznie chcieli obejrzeć warzywnik. W re-

zultacie Henry spędził kilka godzin, oprowadzając gości po ogrodzie przy blasku księżyca. Jego entuzjazm, kiedy pokazywał rzędy ekologicznie hodowanych warzyw, był tak zaraźliwy, że nim upłynął wieczór, kilku panów wyraziło chęć założenia takich ogrodów u siebie.

Marge Ccumbaker, autorka rubryki towarzyskiej w „Houston Post”, tak opisała reakcje gości:

Małżonka pana Roberta Fostera III, (z domu Mary Britton z Long Valley), organizatorka tego cudownego przyjęcia, wykazała ryle uroku, elegancji i gościnności, że z pewnością, zostanie uznana za jedną z najsłynniejszych pań domu w Houston. Na uroczystości byli również, obecni państwo Brittonowie, roóżice pani Foster, którzy bardzo uprzejmie oprowadzali zafascynowanych gości, przyszłych ogrodników i majsterkowiczów (gdybyśmy tylko mieli na to czas'), po nowym ogrodzie, szklarni i warsztacie, jakie Bob Foster wznosił na terenach swojej rezydencji w River Oaks...

* * *

Teraz, rok później, przypomniało się Dianie to wszystko, kiedy Glenna przedstawiała litanie swoich zarzutów na temat planowego przyjęcia. Żeby się nie złościć, powtarzała sobie, że Glenna tak naprawdę to lubi jej macochę i dziadków, ale jest rozżalona, że przestała być najważniejszą osobą od spraw domowych. Diana była zachwycona swym obecnym życiem, pełnym ludzi i różnorodnej działalności, pełnym miłości i radości...

- Jestem ostatnia, która wypominałaby ludziom ich pochodzenie - wyznała Glenna - ale gdyby pani Foster była z dobrej rodziny, a nie z jakiejś zapadłej dziury, wiedziałyby, jak powinni się zachowywać bogaci ludzie z towarzystwa. W zeszłym roku, kiedy twój tata powiedział, że sprowadza tu na stałe Jej rodziców, uważałam, że gorzej już być nie może. A tu nagle twój nowy dziadek kopie sobie grządkę warzywną, robi kompost na tyłach ogrodu, a później zamienia garaż w szopę na narzędzia i stawia szklarnię! Zanim zdołałam złapać oddech, twoja nowa babcia wykopywała trawę, żeby założyć ogród z ziołami, a potem lepiła własnymi rękami doniczki z gliny. To cud, że ta dziennikarka od plotek towarzyskich, Marge jakaś tam, nie nazwała nas dziwakami po tym pierwszym przyjęciu.

- Glenna, to jest absolutnie niesprawiedliwe i ty o tym wiesz - powiedziała Diana, zatrzymując się, żeby odłożyć książki. - Każdy,

którego poznała mamę, babcię, albo dziadka, uważa, że są cudowni i niezwykli, i to prawda! Stajemy się sławni w Houston z powodu tego, co mama nazywa „powrotem do podstaw”. Właśnie dlatego jutro wieczorem przychodzi ekipa z magazynu „Życie Południa”, żeby sfotografować nasze przyjęcie.

- To będzie cud, jak nie wyjdziemy na głupców!

- Oni nas nie uważają za głupców - powiedziała Diana, otwierając drzwi na podwórko. - Ludzie z „Życia Południa” widzieli zdjęcia z naszego ostatniego przyjęcia w „Houston Chronicle” i chcą napisać artykuł o tym, co się u nas robi. - Diana przypomniała sobie, że ojciec kazał jej być cierpliwą i wyrozumiałą dla Glenny i uśmiechnęła się ciepło do niej. - My z tatą wiemy, że jest ci znacznie trudniej, skoro teraz musisz dbać o cztery osoby więcej, zwłaszcza że wszyscy mają jakieś hobby. Martwimy się, że jesteś przepracowana, dlatego tata proponuje, żebyś sobie najęła kogoś do pomocy.

Napięcie zniknęło z twarzy Glenny, kiedy dowiedziała się, jak bardzo jest ceniona.

- Nie potrzebuję pomocy. Chyba nieźle mi się dotąd udawało dbać o tę rodzinę, co?

Wychodząc z kuchni, Diana poklepała ją czule po rękę.

- Byłaś dla mnie jak matka, Glenno. Nie poradziłibyśmy sobie bez ciebie wtedy i nie poradzimy sobie teraz.

Ostatnia część zdania nie była do końca prawdziwa, ale Diana uznała, że warto było popełnić to małe kłamstewko, skoro wywołało ono wyraz ulgi i uśmiech na twarzy Glenny. Diana rozglądała się po terenie, by wśród chaosu spowodowanego działaniami tymczasowych pomocników wypatrzeć gdzieś Coreya.

Pierwotnie trzyakrowy teren za domem był wprawdzie rozległy, ale nieciekawym, z dużym basenem w środku, domkiem gościnnym na tyłach, kortem tenisowym po lewej i garażem na sześć samochodów po prawej. Diana, jak tylko sięga pamięcią, bawiła się na trawnikach, ale zawsze cały ten teren wydawał jej się jakiś goły i samotny. Teraz wszystko się zmieniło.

Mimo zadowolenia ze zmian w domu, Diana martwiła się trochę obecnym stanem przygotowań. Mieli niewiele więcej niż dobę do rozpoczęcia imprezy, a nic nie było gotowe. Stoły, krzesła i parasole walały się po ziemi. Dziadek, stojąc na drabinie, usiłował skończyć budowę tarasu widokowego na jutrzejszy wieczór, babcia spierała się z dwoma ogrodnikami, jak najlepiej odciąć gałązki magnolii, które miały być główną ozdobą stołu biesiadnego, a mama

odczytywała coś z długiej listy dwóm służącym, przyjętym na ten tydzień.

Diana wciąż poszukiwała Coreya, kiedy z garażu wyłonił się ojciec z teczką w rękę i płaszczem przewieszonym przez ramię.

- Cześć tatusiu - powiedziała, całując go. - Wcześniej wróciłeś.

Objął ją ramieniem, zerkając na rozgardiasz panujący wokół.

- Pomyślałem sobie, że przyjadę zobaczyć, jak się sprawują ekipy. Jak tam w szkole?

- W porządku. Wybrali mnie dziś na przewodniczącą klasy.

Przytulił ją mocniej.

- Wspaniale. Przypomnij sobie wszystkie swoje pomysły, o których chciałaś zmienić w klasie i szkole. - Uśmiechnął się i przeniósł wzrok na żonę i teściową, które, uśmiechnięte, zmierzały zdecydowanie w jego stronę. - No, pani przewodnicząca, coś mi mówi, że zostaną zagoniony do roboty - zażartował. - Dziwię się, że ty i Corey nie zostańcie zamustrowane.

- Naszym zadaniem jest „nie plątać się pod nogami” - wyrecytowała. - Przyjechałam do domu po Coreya, bo Barbara Hayward zaprosiła nas na konie.

- Corey jest chyba w łazience - przypomniała sobie mama - i wywołuje jakiś film.

- Na pewno będzie chciała jechać do Haywardów - zawołała Diana, zmierzając w stronę domu.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Corey będzie chciał pojechać, nie po to wprawdzie, by jeździć na koniach, ale żeby zobaczyć się ze Spencerem Addisonem, który miał być po południu w stajniach Haywardów. Pokój Coreya znajdował się naprzeciwko pokoju Diany, oba pokoje miały identyczne wymiary i identyczny rozkład, każdy z łazienką, osobną garderobą i dużymi szafami w ścianach. Poza tym oba pokoje różniły się od siebie tak, jak różne były osobowości i zainteresowania ich mieszkanki.

Szesnastoletnia Diana była filigranowa, opanowana i uroczo kobieta. Wciąż była piątkową uczennicą i zagorzałą, czytelniczką, z zamiłowaniem do porządku, talentami organizacyjnymi i pewną rezerwą wobec obcych. Jej pokój urządzone był francuskimi antykami, łącznie z pięknie malowaną szafą i łóżem z baldachimem z żółtego perkalu. Przy przeciwległej szafie stało francuskie biurko, przy którym odrabiała lekcje. Każda kartka i każdy ołówek miały swoje miejsce.

Diana weszła do pokoju, odłożyła książki na biurko i weszła do garderoby. Zdjęła czerwoną, bawełnianą bluzę, złożyła ją starannie

i umieściła na półce, obok dziesiątków identycznie złożonych bluz i swetrów, które były poukładane według kolorów i odcieni, a nie według stylu czy długości rękawów.

Zdjęła granatowe spodnie z zakładkami i powiesiła na wieszaku, obok innych spodni i szortów w gamie granatowo-niebieskiej, a potem podeszła do części białej i wzięła białe szorty, również z zakładkami z przodu. Z półki ze swetrami wyjęła granatową koszulkę polo z ozdobnym białym stębnowaniem i wciągnęła ją przez głowę. Następnie wsunęła stopy w białe sandały, które stały w długim szeregu ustawionym wzdłuż wieszaków, a potem przystanąła przy toalecie i przyczesła szczotką włosy. Odruchowo wzięła do ręki różową szminkę i przeciągnęła nią po wargach. Cofnęła się, żeby przyrzeć się swemu odbiciu.

Twarz, jaką zobaczyła w lustrze, wydała jej się pospolita i niewarta zauważenia i wcale nie zmieniała się z wiekiem. Te same zielone oczy i ciemne rzęsy tkwiły wciąż na tym samym miejscu, a nawet odrobina tuszu na rzęsach sprawiała że, jak sądziła, wyglądała wyzywająco, zamiast bardziej wyraziście. Miała wydatne kości policzkowe, ale z różem na policzkach czuła się jak na maskaradzie, a puder w płynie nie zmieniał wcale jej cery, więc i z tego zrezygnowała. Na środku brody miała malutki dołek, który nie chciał zniknąć. Jediną jej ozdobą były włosy, gęste i błyszczące od starannego mycia i szczotkowania, ale wolała się czesać jak najprościej, bez nadmiernych ceregieli, zresztą uważała, że tak jej najlepiej. Kiedy przypomniała sobie upał i wilgoć na dworze, kilkoma szybkimi ruchami związała je w koński ogon i poszła szukać Corey, żeby przekazać jej najnowsze wieści.

Drzwi do pokoju Corey były otwarte, ale jej samej nie było widać. Drzwi do łazienki natomiast były zamknięte, więc Diana ruszyła do nich przez dżunglę ubrań, butów, apaszek, albumów, sprzętu fotograficznego i przeróżnych rupieci, zapełniających cały pokój.

- Corey! - zawołała. - Jesteś tam?

- Za sekundę wychodzę - odpowiedziała Corey z łazienki. - Muszę tylko powiesić ten film, żeby wysechł. Chyba udało mi się wspaniałe ujęcie Spence'a, jak grał wieczorem w tenisa w klubie w zeszłym tygodniu. Zaczynam chwytac, o co chodzi z nocnym światłem.

- Pospiesz się, mam wspaniałe wiadomości! - krzyknęła Diana, uśmiechając się, gdy odchodziła od zamkniętych drzwi.

Zainteresowanie Corey fotografią zaczęło się dwa lata temu, gdy dostała od Roberta Fostera swój pierwszy aparat fotograficzny, i przerodziło się w poważne hobby. Spencerem Addisonem zaczęła się interesować rok temu, gdy zauważyła go na jakiejś imprezie, i od tego czasu przerodziło się to w poważną obsesję. Jego zdjęcia w domu, na przyjęciach, na imprezach sportowych, a nawet w samochodowym McDonalddie, przyklejone były do lustra, do tablicy z wycinkami, ozdabiały ściany. Mimo że Spence był gwiazdą piłkarską na uniwersytecie Southern Methodist, gdzie spotykał się z pięknymi koleżankami z uczelni, piszczącymi z zachwytu nad jego urodą i talentami sportowymi, Corey nie przestawała wierzyć, że szczęście, modlitwa i wytrwałość sprawią pewnego dnia, że będzie należał tylko do niej.

- Miałam rację - powiedziała Corey, wynurzając się z łazienki z mokrymi negatywami w ręku. - Popatrz tylko na to zdjęcie Spence'a, jak serwuje!

Diana uśmiechnęła się do niej.

- A może pojechałybyśmy do Haywardów, żebyś mogła zobaczyć oryginał?

Twarz Corey rozpromieniła się radośnie.

- Przyjechał? Jesteś pewna? - Nim Diana zdołała jej odpowiedzieć, pobiegła z powrotem do łazienki powiesić film, a później do pokoju, przed toaletkę. - W co mam się ubrać? Czy zdążę umyć włosy? Na pewno on tam będzie?

- Jestem pewna. Doug Hayward mówił, że Spence wpadnie do niego po obiedzie, żeby wypróbować nowego pony do gry w polo. Jak tylko mi to powiedział, odszukałam Barb i bardzo ogłędnie namówiłam ją, żeby nas zaprosiła na dziś wieczór. Zatankowałam już samochód i możemy jechać zaraz po obiedzie.

Corey wiedziała, że Diana nie lubiła jeździć konno i na pewno nudziła się, patrząc tylko, jak inni jeżdżą, kiedy bywały razem u Haywardów. Diana jednak zawsze chętnie się tam wybierała, bo Corey przepadała za jazdą konną. A teraz wydebila dla nich zaproszenie, bo miał tam być Spence.

- Jesteś nadzwyczajną siostrą! - powiedziała Corey, ściskając ją. Diana odwzajemniła uścisk i odsunęła się.

- Pospiesz się i przygotuj, żebyśmy mogły wyruszyć zaraz po obiedzie i dojechać tam, nim przyjedzie Spence. Musimy być przed nim. Wtedy nikt nie pomyśli, że za nim latasz.

- Masz rację! - Corey po raz kolejny zdumiała jej przenikliwość.

Zawsze myślała o tym, żeby uchronić ją przed nieprzyjemnościami. Corey była jednak tak impulsywna i ulegała wpływom, że i tak od czasu do czasu fatalnie łądowała, a Diana solidarnie razem z nią.

Matka Corey zwykle tłumaczyła ich ojcu, kiedy wieści o jakichś nieudanych eskapadach dochodziły do rodziców, że nic się złego nie stało, jednak on podchodził do tego mniej filozoficznie. Nie był zachwycony, kiedy córki zagubiły się w parku Yellowstone, bo Corey chciała sfotografować łośia na tle wschodu słońca, ani kiedy przeczytał w gazecie, że dźwig budowlany ściągnął je z trzydziestego piętra nowo powstałego wieżowca, otoczonego wysokim płotem z napisem „Zakaz wstępu”.

- Kiedy będziesz się ubierać - powiedziała Diana, kierując się na schody prowadzące do kuchni - poszukam czegoś do jedzenia dla Cole'a.

- Dla kogo? - spytała Corey, która myślała wyłącznie o spotkaniu ze Spence'em.

- Cole'a Harrisona. Wiesz, tego ze stajni Haywardów. Doug mówił, że Cole wrócił z wakacji - wyjaśniła z uśmiechem i fascynacją w głosie. - Jeśli nic się nie zmieniło, ma, jak zwykle, mało jedzenia.

Corey odeszła, poruszona swym niewątpliwym odkryciem. Diana nigdy nie napomknęła nawet słówkiem na temat swych uczuć do tajemnego Haywardów, ale nie miała w zwyczaju wyrzucać z siebie wszystkiego, co jej przyszło na myśl, jak Corey.

Kiedy już wizja Diany i Cole'a jako pary wpadła jej do głowy, nie mogła się jej pozbyć nawet podczas spłukiwania szamponu z włosów, ale wydawało jej się to zbyt absurdalne. Diana była taka miła, ładna i lubiana, że miała wokół siebie krąg wielbicieli, złożony z bogatych chłopaków z jej środowiska. Takich jak Spencer Addison. Oni nigdy nie popełniali towarzyskich gaf, byli obcy i znali świat jako siedemnasto- czy osiemnastolatki. Wyrosli w ekskluzywnych klubach, grali w tenisa i golfa, a gdy mieli po szesnaście lat, sztyto im na miarę smokingi na oficjalne przyjęcia.

Corey, owinięta ręcznikiem, przeciągnęła szczotką po długich blond włosach, starając się zrozumieć, dlaczego Diana woli kogoś takiego jak Cole. Przecież on nie miał ani ogłady, ani uroku osobistego Spencera. Spence wyglądał bosko w sportowej granatowej marynarce i spodniach khaki, albo w białym stroju tenisowym, albo w białym smokingu. Cokolwiek robił, w cokolwiek był ubrany, Spencer Addison wyglądał zawsze jak „z obrazka”, jak mawiała babcia o bogatej młodzieży z Houston. Miał brązowe włosy z rozjaśnionymi słońcem pasemkami, śmiejące się oczy w kolorze bursz-

tynu, delikatne rysy i był przystojny, ciepły, z nienagannymi manierami.

Cole był absolutnym przeciwieństwem Spence'a. Miał czarne włosy, opaloną twarz, ostre rysy i oczy w kolorze ciemnego, burzowego nieba. Corey nigdy nie widziała go w innym ubraniu, poza wyblakłymi džinsami i podkoszulkiem lub bluzą. Nie potrafiła go sobie wyobrazić grającego z Dianą w klubie w tenisa, ubranego na biało, lub tańczącego z nią w smokingu. Słyszała powiedzenie, że przeciwieństwa się przyciągają, ale w tym wypadku różnice były zbyt istotne. Trudno było sobie wyobrazić, żeby przemiła, wybredna Diana mogła się zainteresować takim macho z prymitywnym seksapilem. Nawet nie potrafił się do nikogo po przyjacielsku odezwać. Był doskonale zbudowany, ałe Diana była taka filigranowa, że zasłaniałby ją całą, gdyby gdzieś razem poszli.

O ile Corey się orientowała, Diana nigdy się w nikim naprawdę nie kochała, nawet w Matcie Dillonie ani Richardzie Gere. Aż niemożliwe, żeby mogła się zakochać w takim facecie jak Cole, którego chyba nawet nie obchodziło, w co jest ubrany, ani gdzie śpi. Nie było zresztą nic nieodpowiedniego w tym, jak się ubierał i gdzie mieszkał, wydawało się to tylko nieodpowiednie dla kogoś takiego, jak Diana.

Corey przystanęła, trzymając spodnie do konnej jazdy i coś jej się przypomniało. Barb Hayward i inne dziewczyny nie podzielały jej opinii na temat Cole'a. Wręcz przeciwnie, był obiektem ich marzeń i licznych domysłów. Barb uważała, że inni chłopcy, w porównaniu z nim, wyglądają jak pętaki. Haley Vincennes twierdziła, że jest „sexy”. Corey byta tak zdumiona, że przez chwilę zapomniała, że ma dziś wieczorem zobaczyć Spence'a. Kiedy sobie o tym przypomniała, odczuła to samo ukłucie tęsknoty i zachwytu, jak za pierwszym razem, kiedy go ujrzała, i za każdym następnym.

Rozdział 6

Corey była zbyt przejęta, żeby przełknąć więcej niż kilka kęsów, a kiedy babcia zwróciła na to uwagę, rozmowa przy dużym kuchennym stole utknęła w martwym punkcie i wszyscy, poza Dianą, zwracali się do niej z troską.

- Prawie nie tknęłaś obiadu, kochanie. Czy coś się stało?

- Nie, nic się nie stało. Po prostu nie jestem specjalnie głodna.

- Czy się spieszysz? - zainteresowała się mama.

- A dlaczego tak uważasz? - zapytała niewinnie.

- Bo wciąż patrzysz na zegarek - zauważył dziadek.

- To dlatego, że jedziemy z Dianą do Haywardów dziś wieczorem, pojeździć na koniach - odpowiedziała Corey, zmieszana tym przesłuchaniem. - Doug ma nowego pony i chcemy zobaczyć, jak będzie go ujeżdżał na padoku. Pan Hayward założył oświetlenie, więc można jeździć wieczorem, kiedy nie jest tak gorąco.

- Nowy pony! - wykrzyknął tato, uśmiechając się znacząco na widok jej świeżo umytych włosów i starannego makijażu. - Pewnie chcesz zrobić na nim dobre wrażenie, kiedy go zobaczysz po raz pierwszy.

Żeby wszystkich usatysfakcjonować, Corey przełknęła duży kawałek kurczaka i spojrzała na ojca, uśmiechając się z zaciekawieniem.

- Dlaczego tak myślisz?

- Masz włosy, jakbyś spędziła cały dzień w salonie piękności, umalowane usta, coś różowego na policzkach i - powstrzymując śmiech, przyjrzał się jej powiekom - i chyba widzę tusz na twoich rzęsach?

- Chyba nie ma w tym nic złego, żeby się od czasu do czasu wystracić na rodzinny obiad?

- Absolutnie nic - zgodził się z nią od razu. Udając, że zwraca

się do żony, powiedział. - Jadłem dzisiaj lunch w klubie i wpadłem na babcię Spence'a. Grała w brydża w salonie dla pań.

- Jak się miewa pani Bradley? - spytała pospiesznie Diana. Spence mieszka! z babcią od dziecka i Diana czuła, do czego ojciec zmierza. Starając się oszczędzić Corey nieuniknionych żartów, dodała: - Nie widziałam jej od kilku miesięcy.

- Pani Bradley ma się doskonale, a dzisiaj była w wyjątkowo świetnym humorze, a to dlatego że...

- Jest taka energiczna, jak na osobę w jej wieku, prawda mammo? - wtrąciła Diana.

Jednak ojciec nie dawał sobie przerwać.

- ...że Spence zrobił jej miłą niespodziankę i przyjechał na jej urodziny.

- Taki miły młody człowiek - powiedziała babcia. - Uroczy i uważający.

- I taki zaprzyjaźniony z Haywardami, prawda? - dziadek posłał Corey znaczący uśmiech.

Cztery pary oczu wpatrywały się w nią z rozbawieniem. Tylko Diana się nie przyłączyła.

- Problem tej rodziny polega na tym, że wszyscy za bardzo się interesują tym, co ktoś inny robi i myśli.

- Masz rację, kochanie - Babcia poklepała ją po ramieniu, kiedy wstała, żeby pomóc Glennie sprzątnąć ze stołu. - Niezdrowo jest jeść w nerwach. Biegnij na górę i popraw sobie usta, żebyś wyglądała tak ładnie, jak przed obiadem.

Corey wstała, zaniósła swój talerz do zlewu i pobiegła na górę. Zawołała przez ramię do Diany:

- Wyjedźmy za piętnaście minut.

Diana skinęła głową, ale myślała o Cole'u.

- Babciu - zapytała - czy mogę zabrać tę resztkę kurczaka do Haywardów?

Babcia natychmiast odpowiedziała, że tak, ale siedzący jeszcze przy stole rodzice i dziadek wymienili zdumione spojrzenia.

- Diano - spytał ojciec - co mają Haywardowie zrobić z resztką kurczaka?

- To nie dla nich, to dla Coie'a - wyjaśniła, otwierając lodówkę i wyjmując z niej kilka jabłek i pomarańcz,

- Co to za Cole?

- Pracuje w stajni Haywardów i tam też mieszka - tłumaczyła Diana, penetrując spiżarnię. - Ale jest bardzo chudy i wydaje mi się, że nie chce „marnować” pieniędzy na jedzenie.

- Biedny staruszek - powiedział dziadek, wyrażając żal nad losem swego pokolenia.

- Nie jest stary - Diana zauważyła słoiki z przetworami na półkach, więc odpowiadała mechanicznie. - Niewiele mówi o sobie, ale wiem, że studiuje i musi pracować, żeby się utrzymać. - Spojrzała na babcię, która pakowała już do plastikowych pojemników pierś kurczaka i gorące jarzyny. - Babciu, mogę wziąć słoik z brzoskwiniami i parę twoich dżemów?

- Oczywiście, że możesz.

Pani Britton wytarła ręce i poszła za Dianą do spiżarni. Wzięła papierową torbę i włożyła do niej po trzy słoiki z brzoskwiniami i dżemami.

- Jak ostatnio zaniósłam Cole'owi twoją konfiturę truskawkową, to powiedział, że była lepsza od cukierków, a on przepada za cukierkami.

Puchnąc z dumy od tej pochwały, starsza pani dołożyła jeszcze cztery słoiki konfitury truskawkowej i podeszła do kredensu w kuchni, na którym stał zabytkowy porcelanowy półmisek.

- Jeżeli lubi słodczyce, musi spróbować moich jagodzianek. Są bardzo zdrowe, bo bez cukru i tylko z odrobiną tłuszczu. - Ułożyła sześć na talerzyku. - I zabierz jeszcze trochę tych ciasteczek orzechowych, które upiekłam wczoraj.

Kiedy wzięła kolejną torbę i ruszyła do spiżarni, Diana powstrzymała ją z uśmiechem.

- Babciu, nie chcę, żeby pomyślał, że to ja! mużna. Udało mi się go przekonać, że jesteś chorobliwą maniaczką przetwórstwa i że po każdym posiłku mnóstwo zostaje-

Dziadek wstał, żeby sobie dolać kawy i objął Dianę ramieniem, chichocząc:

- Muai myśleć, że jesteśmy albo przygłupi, albo marnotrawcy.

- Na pewno myśli, że jedno i drugie - stwierdziła Diana, nieświadoma tego, że rodzice patrzą na nią, z trudem skrywając dumę. - Lepsze to, niż żeby myślał, że jest obiektem akcji charytatywnej - wyjaśniła z uśmiechem, biorąc w objęcia wielką torbę.

- Nigdy przedtem nie słyszałem o tym młodym człowieku - zauważył ojciec. - Jaki on jest?

- Jaki? Jest..., no... inny niż chłopcy, których znam.

- Jak inny? - spytał ojciec. - Zbuntowany, renegat czy malkontent?

Diana stała w drzwiach, układając torby.

- Może renegat, ale nie w tym złym sensie. Jest... - popatrzyła

na nich i w końcu dodała - niezwykle. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale tak jest. Jest inny niż chłopcy, których dotąd znałam. Wyda się starszy, dojrzalszy. Jest... nie taki, jak inni chłopcy - dokończyła bezradnie. Pomachała radośnie, zbyt się spiesząc, aby zauważyć znaczące spojrzenia rodziny. - Pa!

Po chwili milczenia jej ojciec przeniósł spojrzenie z żony na teściów.

- Ja tam lubiłem tych innych chłopców, których dotąd znała.

- Ten jest inny - powtórzyła babcia.

- Dlatego jestem pewien, że by mi się nie spodobał.

- Robercie - uspokajała go żona - to pierwszy młody człowiek, którym Diana się zainteresowała, dlatego jesteś trochę zazdrosny. Zachowywałeś się tak samo w zeszłym roku, kiedy Corey zaczęła bezustannie mówić o Spencerze.

- Teraz już się przyzwyczaiłem - przyznał rozbrojony. - Nie przypuszczałem w najśmielszych marzeniach, że to jej zadurzenie potrwa dłużej niż miesiąc. Trwa już rok i jest coraz gorzej, zamiast coraz lepiej.

- Uważa, że jest w nim zakochana - powiedziała z przekąsem Mary Foster.

- Uważała, że jest w nim zakochana pierwszego wieczoru, kiedy go poznała. Teraz jest pewna, że chce za niego wyjść za mąż. Widziałas ostatnio jej pokój? Wytapetowała ściany jego zdjęciami. Urządziła tam świątynię. To już naprawdę śmieszne.

Dziadek Britton w pewnym stopniu podzielał niezadowolenie zięcia, wywołane zainteresowaniem dziewczynek również innymi mężczyznami, a nie tylko ojcem i dziadkiem.

- Przejdzie jej to. Czternastolatki nie zakochują się naprawdę, tylko tak im się wydaje.

Jego żona wzięła do ręki ołówek, żeby narysować szablon na szlaczek w gościnnej łazience.

- Henry, ja zakochałam się w tobie, kiedy miałam czternaście lat.

Robert Foster stracił już wątek. Popatrzył na drzwi, za którymi zniknęła Diana i powiedział:

- Czy to tyłko mnie się tak wydawało, czy ktoś inny też zauważył, że Diana się zarumieniła, kiedy mówiła o tym chłopcu stajenym?

- Studencie - sprostowała Mary cicho i ścisnęła rękę męża. Odprężył się i uśmiechnął rozbijająco.

- Mam po prostu wielkie plany co do dziewczynek. Nie chciał-

bym, żeby się za bardzo zajęły chłopcami, zanim zrozumieją, co mogą stracić, jeśli za wcześniej wyjdą za mąż.

- Nie rób sobie nadziei co do Corey - powiedziała oschle babcia.
- Ona już ma plany. Chce wyjść za mąż za Spence'a i zostać słynnym fotografem.

- Mam nadzieję, że nie w tej kolejności - zatroszczył się Robert. Babcia zignorowała tę uwagę.

- Jeśli chodzi o Dianę - ciągnęła - mogłaby być dekoratorem wnętrz albo architektem, albo pisarzem, ale chyba nie ma ochoty na nic takiego. Żal patrzeć, jak się marnują takie zdolności.

- Jej prawdziwy talent się nie zmarnuje - zaoponował ojciec. Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco, a on odrzekł dumnie. - Może ma artystyczne spojrzenie po matce, ale mój umysł. W swoim czasie znajdzie sposób, żeby go wykorzystać. Zawsze interesowała się biznesem.

- Biznes byłby dobry - żona z uśmiechem pokiwała głową.

- Biznes jest bardzo dobry - zgodził się dziadek.

Panie popatrzyły na siebie i wstały

- Zostało jeszcze tylko pół godziny dziennego światła, mamó. Chciałabym, żebyś mi doradziła, jak ustawić stoły.

Pani Britton zawahała się i spojrzała na panów.

- Jesteście pewni, że nie chcecie na deser świeżych truskawek z jogurtem?

- Ja już nic nie zmieszczę - powiedział Robert Foster.

- Ja też nie - zgodził się z nim Henry Britton, klepiąc stę po brzuchu. - Masz rację z tą naturalną żywnością, bez tłuszczu, Rosie. To jest naprawdę smaczne, jeśli się człowiek przyzwyczai. Ten kurczak z rusztu był naprawdę bezkonkurencyjny. Idźcie dziewczynki na dwór, jak macie coś do zrobienia.

Obaj panowie siedzieli przez chwilę cicho, nasłuchując, czy otwierają się drzwi od podwórza. Gdy tylko usłyszeli, jak ich żony zamknęły je za sobą, zerwali się z miejsc. Robert Foster popędził do zamrażalnika i wyjął z niego lody waniliowe, a Henry Britton do dolnej półki kredensu, skąd wydobył szarlotkę, którą kupiła i schowała dla nich Glenna.

Henry zaczął kroić ciasto i spojrzał na współnika.

- Duży kawałek czy średni? - spytał zięcia.

- Duży.

Henry ukroił dwa spore kawały szarlotki i ułożył starannie na talerzykach, a Robert wbił łyżkę w pojemnik z lodami i nałożył dużą porcję na talerzyk.

- Jedną łyżkę czy dwie, Hank?

- Dwie - odpowiedział Henry.

Popatrzyli na Glennę, krzającą się po kuchni.

- Jesteś aniołem, Glenno.

- Jestem zdrajczynią.

- Masz u mnie zapewnioną pracę do końca moich dni - zaoferował Robert z uśmiechem.

- Wasze żony by mnie wyrzuciły, jakby wiedziały, co każecie mi robić.

- Zatrudnilibyśmy cię z powrotem - powiedział Henry, przymykając oczy i rozkoszując się smakiem zakazanego cukru i tłuszczu. Popatrzył na zięcia, na którego twarzy malował się podobny wyraz błogości.

- Bałem się, że Mary i Rose już nigdy nas dzisiaj nie zostawią samych. Myślałem, że będziemy musieli czekać, aż pójda spać i dopiero potem zrobić nalot na kuchnię.

W ogrodzie na trawniku Mary, odwrócona tyłem do okna kuchennego, rozmyślała nad ustawieniem stołów na jutrzejsze przyjęcie.

- Chyba powinniśmy zacząć - stwierdziła Rose. - Pójdę po Henry'ego i Roberta, żeby nam pomogli.

- Jeszcze nie - powstrzymała ją Mary. - Nie skończyli deseru.

Rosa oparła ręce na biodrach.

- A co dzisiaj?

- Szarlotka.

- Powinniśmy wyrzucić tę Glennę. Zanim Conchita poszła na emeryturę, trzymała Glennę z dala od kuchni.

Mary westchnęła z rezygnacją i potrząsnęła głową.

- Glenna tylko wykonuje polecenia. Poza tym, zaraz zatrudnią ją z powrotem. Oprócz tych deserów, są obaj na zdrowej, niskokalorycznej diecie i wiem, że Robert tego przestrzega przy śniadaniu i lunchu. - Zaczęła powoli przesuwac stół, a Rosa rzuciła się do pomocy. - Lekarz powiedział mu wczoraj, że nareszcie spada mu cholesterol - dodała Mary.

- A co z jego ciśnieniem?

- Lepiej nie pytaj.

Rozdział 7

Padok znajdował się na małym wzniesieniu, kilkanaście metrów na prawo od stajni. Otoczony był niskim, białym płotkiem i oświetlony ręciovymi lampami na wysokich słupach, dzięki czemu było na nim jasno jak w dzień, za to dookoła panowały jeszcze większe ciemności.

Ze swego punktu obserwacyjnego tuż obok stajni Diana obserwowała, jak Spence zsiadł ze zgrabnego gniadosza i prowadził go teraz dookoła, żeby ostygł. Powiedział coś do Corey, idącej obok niego; dziewczyna się roześmiała, a Diana uśmiechnęła się z zadowoleniem, że tak miło jej się ułożył wieczór.

Corey miała Spence'a wyłącznie dla siebie i nie musiała się nim dzielić z Dougiem ani Barbarii Hayward, ich ojcem oraz niezliczoną ilością wielbicielek. Haywardowie w ostatniej chwili przypomnieli sobie o urodzinach u jakichś krewnych i musieli na nie pojechać, wobec czego Spence był sam.

Wieczór Diany też się nieźle ułożył. Miała Cole'a tylko dla siebie. Starła się go widywać najczęściej, jak się da, ale żeby wyglądało to na przypadek. Była to druga najtrudniejsza rzecz, jaka jej się udała, oprócz absolutnego utrzymania w sekrecie swych uczuć do niego.

Prawie wszystkie koleżanki się w nim kochały. Był wysoki, opalony, szeroki w barach, wąski w biodrach. Kiedy był ubrany w obcisłe dżinsy i koszulkę z krótkim rękawem, z jego umięśnionego ciała emanowała siła i męskość. Absolutny brak pozycji towarzyskiej Cole'a, brak pieniędzy i skromna praca w stajni sprawiały, że był poza ich zasięgiem. Właśnie dlatego wydawał im się jeszcze bardziej atrakcyjny.

Nie chciał z nimi rozmawiać o sobie, co dodawało mu tajemniczości. Był nieosiągalny, więc tym bardziej pożądanym. Odporny na

ich urodę, pieniądze, starania. Dlatego stanowił wyzwanie, Ponieważ Cole nie dawał się namówić na rozmowy o sobie, spędzały nie kończące się godziny, spekulując na temat jego rodziny i przyjaciół, wymyślając niestworzone przejścia, po których postanowił zapomnieć o swej przeszłości.

Robiły, co się dało, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. Próbowaly z nim flirtować, ubierały się w najbardziej obcisłe spodnie i wydekoltowane bluzeczki, pokazywały wymaginowane skręcenia kostki i wpadały na niego przypadkowo przy zsiadaniu z konia.

Diana obserwowała te wszystkie próby i zauważyła, że im większe były ich wysiłki, tym większy dawał im odpór. Łagodniejsze agresorki traktował jak dzieci, do których odzywał się z pobłażliwą wyższością, a ofiara płonęła ze wstydu. Bardziej nachalne bywały ukarane znacznie surowiej: całymi tygodniami narażone były na jego chłodne i z dużym dystansem zachowanie. W obu tych wypadkach, niestety, trzeba było później szukać sposobów, aby wkraść się w jego łaski, co czyniło go jeszcze bardziej pożądanym i władczym.

Przez ostatnie dwa lata właściwie każda dziewczyna, która jeździła konno u Haywardów, twierdziła, że powiedział lub zrobił coś, co świadczyło o specjalnym zainteresowaniu właśnie nią. W kwietniu ubiegłego roku dziewięć dziewczyn złożyło do wspólnej puli po dziesięć dolarów, zakładając się, którą pierwszą pocałuje. Diana nie przystąpiła do zakładu, twierdząc, że Cole jej nie pociąga, ale zaoferowała się zostać skarbniczką i modliła się w duchu, żeby nigdy nie musiała wręczyć zwyciężczyni wygranej. W tym roku, wiosną, kiedy w kilka dziewcząt nocowały u Haywardów, Barb twierdziła, że poprzedniej nocy wygrała zakład. Przez pół godziny dostarczała przyjaciółkom dziesiątek fantazyjnych i niezwykle prawdopodobnych szczegółów dotyczących rodzajów pocałunków i odważnych pieszczot.

Diana czuła, że zwymiotuje, jeżeli usłyszy jeszcze jeden pikantny szczegół, ale Barb nagle podskoczyła na łóżku i wybuchnęła śmiechem.

- Prima aprilis! - zawołała i została natychmiast obrzucona garściami prażonej kukurydzy.

Diana ani jednym ruchem czy grymasem nie zdradziła, co czuła, słuchając opowieści Barb.

Obejrzała się przez ramię. Cole wsypywał właśnie karmę do wiadra w ostatniej zagrodzie. Za chwilę wyjdzie do niej na podwórko. Diana wiedziała o nim znacznie więcej, niż inne dziewczyny, gdyż częściej z nim przebywała. Zauważyła, że w słońcu jego włosy mają

kolor wypolerowanego hebanu, widziała, jak uśmiech łagodzi jego rysy, a oczy nabierają blasku ręki. Znała uścisk jego rąk, gdy w żartach podnosił ją, kiedy stała mu na drodze. Słyszała potworną wściekłość w jego głosie, kiedy wyrzucił ze stajni kolegę Douga, który zapalił tam papierosa. Dosłownie zmieszał go z błotem za to, że spowodował zagrożenie dla koni.

Widziała również, jak pomagał rodzącej kotce, przemawiał do niej łagodnie, a potem uratował jedno kociątko, które wyglądało na martwe, delikatnie masując.

Oczywiście i ona, jak pozostałe dziewczyny, wyobrażała sobie różne cudowne z nim momenty. Były jednak między nimi dwie zasadnicze różnice: po pierwsze, była na tyle inteligentna, żeby nie starać się realizować swoich marzeń, a po drugie rozumiała i zaakceptowała fakt, że ta przyjaźń to wszystko, na co może kiedykolwiek liczyć.

Zdawała sobie sprawę z tego, że nigdy nie pozna jego pocałunków. Pogodziła się z tym z niewielkim tylko żalem. Wiedziała bowiem, że gdyby kiedykolwiek zdecydował się ją pocałować, nie umiałaby się zachować.

Cole nie zwracałaby sobie głowy pięknymi słówkami i przemyślnymi strategiami, tylko oczekiwałaby, że będzie równorzędną partnerką. Ona jednak nie była i miała tego świadomość. W porównaniu z nim, była beznadziejnie naiwna, a poza tym różnili się od siebie jak dzień i noc.

Cole był otwarty, zuchwały i mocno stapał po ziemi. Diana była powściągliwa, ostrożna, z nienagannymi manierami.

On był chłopakiem od motocykli, džinsów, wytartych workowatych toreb, zawsze sam torował sobie drogę przez życie.

Ona była panienką z BMW, eleganckimi sukienkami, skórzanymi walizkami, trzymającą się równych, sprawdzonych dróg.

Mimo zrozumienia całej tej sytuacji, Diana westchnęła, widząc Corey spacerującą obok Spence'a. Corey ryzykowała rozczarowanie i żal, goniąc tak za Spencerem Addisonem, ale miała odwagę podjąć to ryzyko, Diana nie miała.

Cole skończył karmić konie i podszedł cicho do niej.

- Mam nadzieję, że nie wdychasz do Addisona? - powiedział sucho.

Diana podskoczyła, zawstydzona i porażona jego bliskością. Cole pachniał mydłem i świeżym sianem, a jego głos wydawał jej się dzisiaj jakiś ponury i zduszony. Górował nad nią, trochę ją przerażał, taki groźny i nieprzystępny, jak góry w zachodniej części Teksasu.

- Co przez to rozumiesz?

Przysunął się, stając obok niej i oparłszy nogę o żerdź płotu, wskazał głową parę, zbliżającą się w ich kierunku.

- Rozumiem to tak, że bardzo bym nie chciał, żeby coś stanęło między tobą a Corey. Jesteście sobie bliższe niż jakiekolwiek naturalne siostry, a jest zupełnie oczywiste, że ona chce go dla siebie.

- Czy to się aż tak rzuca w oczy? - spytała Diana, zerkając na niego w ciemności. Starała się nie zwracać uwagi, że jego krótki rękaw dotyka jej ramienia.

- Nie od razu. Trzeba ją obserwować około trzydziestu sekund, kiedy znajduje się w pobliżu Spence'a, żeby się zorientować, o co chodzi.

Diana czuła się niezręcznie, rozmawiając na ten temat, ale ponieważ nie była w stanie wymyślić nic innego, kiedy stał tak blisko, popatrzyła tam, gdzie on.

- Spence fantastycznie jeździ - powiedziała.

Cole wzruszył ramionami.

- Nieźle.

Diana znała Spence'a od dzieciństwa i nie mogła pozwolić na takie potraktowanie jego umiejętności.

- Jest bardzo dobry, a nie niezły! Wszyscy mówią, że mógłby zostać zawodowym graczem w polo!

- Cóż za wzór wszelkich cnót! - powiedział Cole złośliwym tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszała. - Uczelniany bohater piłkarski, „zawodowy” gracz w polo i damski pupilek klasy olimpijskiej.

- A to ostatnie skąd ci się wzięło? - spytała Diana, martwiąc się o Corey.

Spojrzał na nią z politowaniem.

- Zawsze go tu widuję z jakąś piękną dziewczyną u boku, wpatrzoną w niego z uwielbieniem, zupełnie jak dzisiaj ty i Corey.

- Ja? - wybuchnęła Diana, patrząc na niego i o mało nie parskając śmiechem. - Ja?

Cole spojrzał na wzburzoną twarz.

- Nie, ty nie - stwierdził uśmiechając się. Popatrzył na Corey i Spence'a, którzy szli teraz powoli w stronę stajni. - Mam nadzieję, że Corey nie będzie miała złamanego serca. Strasznie się napaliła na Addisona. Zużyła na niego dzisiaj całą rolkę filmu.

- To o niczym nie świadczy - obruszyła się Diana. - Wiesz, jak poważnie Corey podchodzi do fotografowania. Pracuje teraz nad zdjęciami w akcji, a ponieważ Cole jeździł...

- Jeszcze nie wsiadł na konia, Piano.

- Och - Diana przygryzła wargę i spytała z wahaniem. - Myślisz, że Spence domyśla się, co ona do niego czuje?

Zdaniem Cole'a odpowiedź brzmiała zdecydowanie „tak”, ale nie chciał martwić Diany. Teraz, kiedy wiedział, że Diana nie należy do grona wielbicielek Addisona, stać go było na trochę wyrozumiałości wobec tego faceta.

- Jeżeli wie, to albo mu to nie przeszkadza, albo jest dżentelmem i nie chce zranić jej uczuć.

Cole oparł się łokciami o płot i przez chwilę oboje przyjaźnie milczeli. W końcu Cole powiedział:

- Więc jeżeli nie dla Addisona, to dla kogo ostatnio twoje serce bye mocniej?

- Dla George'a Sigourneya - rzuciła Diana.

- A czy ten Sigourney jest takim sportowcem jak Addison, czy tylko bogatym absolwentem drogiej szkoły?

- Pan Sigourney jest dziekanem w Southern Methodist i podpisał zawiadomienie o przyjęciu mnie na tę uczelnię, dlatego moje serce mocniej zabiło.

- Diano, to cudownief - przerwał z zapierającym dech uśmiechem. - Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

Bo kiedy jestem z tobą, nic innego nie ma znaczenia, pomyślała Diana.

- Czekałam na odpowiedni moment - powiedziała.

Spojrzał zaintrygowany, ale się nie spierał.

- Zdecydowałaś się już na specjalizację?

Kiedy potrząsnęła głową, przybrał ton dorosłego, udzielającego rad dziecku.

- Nie przejmuj się. Masz na to jeszcze dużo czasu.

- Dziękuję - Diana uśmiechnęła się półgębkiem. - A ty co? Czy ty zdecydowałaś, kim chcesz być, jak dorośniesz?

Zachichotał, słysząc jej pytanie.

- Tak - powiedział.

- Kim?

- Bogaczem - odparł z przekonaniem.

Diana wiedziała, że na uczelni specjalizował się w finansach, ale szczegóły jego planów nie były jej znane.

- Ale masz jakiś plan?

- Mam parę pomysłów.

Spence zawrócił konia w stronę stajni i Corey wiedziała, że ich wspólny czas się kończy:

- Muszę lecieć - rzekł. Corey usiłowała wymyślić, co powiedzieć mądrego lub dowcipnego, ale kiedy on był w pobliżu, w ogóle nie mogła pozbierać myśli. - Obiecałem Lizie, że po nią podjadę o dziewiątej.

- Aha, Lizie - powtórzyła ponuro, tracąc natychmiast humor po tej informacji.

- Nie lubisz jej? - spytał Spence zdziwiony.

Corey zdumiała tępota gatunku męskiego. Nie znosiła Lizy Murphy i to z wzajemnością.

Miesiąc temu, kiedy Corey była z rodziną w San Antonio na pokazach konnych na cele charytatywne, ku jej radości okazało się, że bierze w nich udział Spence. Ponieważ zabrała aparat, udało jej się zrobić kilka ciekawych zdjęć jego i koni. Kiedy Lisa odprowadzała swego konia po odebraniu nagrody, towarzyszył jej Spence. Corey oczywiście poszła w pewnej odległości za nim w nadziei, że jeszcze parę razy na niego zerknie.

W olbrzymiej stajni tłoczyły się konie, stajenni, trenerzy, właściciele i jeźdźcy, więc Corey była pewna, że nikt jej nie zauważy. Szła powoli środkiem, udając że zatrzymuje się przy koniach lub jeźdźcach. Była prawie naprzeciwko zagrody wyznaczonej dla konia Lisy, kiedy przeszedł obok niej Spence, idąc po coca-cole dla swej aktualnej sympatii. Odwróciła się szybko, więc jej nie zauważył, ale nie umknęła Lisie, która natychmiast wypadła z boksu swojego konia.

- Dlaczego musisz nam tak zatruwać życie! - wybuchnęła Lisa cichym, ale wściekłym głosem. - Nie widzisz, że robisz z siebie idiotkę, włóczęc się cały czas za Spence'em? A teraz wynoś się i trzymaj od niego z daleka.

Upokorzona i zła, Corey wróciła na arenę i usiadła z rodziną, jednak aparat miała gotowy, gdyby zobaczyła Spence'a. Okazało się to bardzo dobrym pomysłem, bo w następnym przejeździe Lisa spadła z konia. Wylądowała na pupie w błocie, spadła jej czapeczka, włosy zasłoniły twarz, a Corey uwieczniła to wszystko na kilku zdjęciach. Jedno z nich było jej ulubionym i powiesiła je na honorowym miejscu w swoim pokoju, chociaż nie było na nim Spence'a.

Ponieważ Spence wciąż czekał na odpowiedź, wzruszyła ramionami i odpowiedziała wymijająco.

- Lisa nie należy do moich ulubionych twoich dziewczyn.

- Dlaczego nie?

- Na pewno uznasz, że to nie jest ważne.

- Ale powiedz - poprosił.

- Dobra Jest bardziej jadowita, niż dwugłowy wąż!

Zaśmiała się głośno i w rzadkim geście sympatii objął ją ramieniem i uściśnął. Zdawała sobie sprawę z tego, że był to uścisk braterski, ale była tak wniebowzięta, że omal nie przegapiła niezwykłego widoku: Diana stała przy płocie z Cole'em i prawie dotykali się ramionami. W dodatku byli kompletnie pogrążeni w rozmowie.

Przedtem wydawało jej się to nieprawdopodobne, ale teraz przekonała się, że chociaż jej zdaniem zupełnie do siebie nie pasowali, Diana była w nim zakochana. Corey zaczęła natychmiast kombinować, co by tu zrobić, żeby mogli być trochę dłużej razem i wymyśliła sposób, dzięki któremu i ona będzie dłużej ze Spence'em.

- Spence - powiedziała szybko - czy mógłbyś odwiedzić mnie do domu?

Odwroci! wzrok od pary przy płocie na nią.

- A czy nie miałaś jechać z Dianą?

- Tak było planowane - przyznała, wskazując głową na siostrę.

- Tylko nie chciałam przerywać im wieczoru.

Na jego twarzy pojawił się wyraz sceptycyzmu.

- Nie chciałaś chyba powiedzieć, że Diana interesuje się Cole'em Harrisonem?

- Uważasz, że to niemożliwe?

- Tak uważam.

- Dlatego, że pracuje w stajni? - Corey wstrzymała oddech, bojąc się, że jej idol okaże się snobem.

- Nie, nie o to chodzi.

- Więc dlaczego jest to niemożliwe?

Popatrzy! na Dianę i kręcąc głową, zachichotał.

- Diana jest ostatnią dziewczyną na ziemi, która mogłaby zainteresować się takim ponurym, przyziemnym typem. Poza tym, bała się go.

- Skąd wiesz? - spytała Corey, chociaż trochę wcześniej sama tak uważała.

- Dzięki mojej znakomitej znajomości kobiet - wyjaśnił z irytującą męską arogancją - połączonej z dużą wnikliwością.

- Wnikliwość! - zakpiła, przypominając sobie, jak Lisa Murphy wyciągała po niego łapy. - Jak możesz mówić o wnikliwości, jeśli uważasz, że Lisa Murphy jest jak ciastko z kremem?

- Mówimy o Dianie, a nie o Lisie - powiedział miło, ale stanowczo.

Ponieważ najwidoczniej nie mógł uwierzyć w romantyczne zainteresowanie Diany Cole'em, zaczęła gorączkowo myśleć nad jakimś

innym powodem, dla którego Diana musiałaby zostać, a Spence musiałaby odwiedzić Corey do domu. Nagle przyszło jej do głowy prawdopodobne wyjaśnienie.

- Dobra, powiem ci, ale to miała być niespodzianka. Dwa lata temu Dianę zrzucił koń i od tego czasu boi się jeździć.

- Wiem o tym.

Starając się trzymać prawdy, mówiła dalej.

- Cole namawiał ją cały czas, żeby się odważyła, ale wiesz, jaka jest Diana: nie chce, żeby ktokolwiek zobaczył, że się denerwuje albo boi...

Spence'a olśniło i zawołał:

- Diana bierze prywatne lekcje jazdy! - wyciągnął oczywisty, choć nieprawdziwy wniosek, - Wspaniale! - Wskazał głową na swego jeepa cherokee, gdy zbliżali się do stojącej przy płocie pary. - Zbieraj swoje rzeczy, to cię podrzucę w drodze do domu.

Corey podbiegła do Diany z nadzieją, że siostra nie będzie miała obiekcji i nie zrujnuje jej planu.

- Spence powiedział, że podrzuci mnie do domu - powiedziała, patrząc na Dianę tak błagalnie, że Cole musiał ukryć uśmiech. - Możesz zostać, jak długo chcesz.

Diana spojrzała na nią z niesmakiem. Bez Corey w charakterze pretekstu nie mogła i nie chciała zostawać tu dłużej z Cole'em, pragnęła jednak umożliwić siostrze przejazd z Spence'em.

- Dobrze - zgodziła się, postanawiając, że wyjedzie zaraz po nich.

Kiedy Cole wziął lejące gniadosza i prowadził nowego lokatora do stajni, Diana obserwowała, jak siostra i Spence wsiadają do samochodu. Oczekała, aż tylne światła jeepa znikły za zakrętem i poszła do stajni po swoją torbkę i kluczyki. Na końcu korytarza Cole wyjmował z dużej torby jedzenie, które mu przyniosła i układał na blacie obok swej małej lodówki. Diana podeszła się pożgnąć.

- Dziękuję za towarzystwo.

- Nie możesz jeszcze jechać - powiedział, a Dianie podskoczyło serce. - Jeżeli wyjedziesz za wcześnie, miniesz ich po drodze - dodał ze znaczącym uśmiechem. - To by kompletnie zmyliło Addisona i zawstydziło biedną Corey. Może jednak zostać trochę i podzielimy się tym jedzeniem?

Dianie przyszło do głowy, że mogłaby uniknąć spotkania z Corey i Spence'em, jadąc okrężną drogą, ale skoro to nie przyszło do głowy Cole'owi, przyjęła jego zaproszenie z uśmiechem.

- Ja już jadłam, ale zjem z tobą ciastko na deser.
- Możemy zjeść na kolanach - zaproponował, zdecydowanie wykluczając możliwość jedzenia na biurku w jego pokoju.
- Coś wykombinuję - zawołała, wychodząc na korytarz.

Kiedy kurczak i jarzyny się podgrzewały, Cole rozpakowywał resztę, a później, nałożywszy sobie na talerz smakowite kąski, wyszedł z kuchenki.

- Wszystko gotowe - zawołała Diana, sięgając do wyłącznika. - Przy trochę przyćmionym świetle będzie znacznie ładniej.

Cole był zdumiony efektem, jaki osiągnęła. W ciągu niecałych dziesięciu minut z trzech beli siana i kawałka dykty zrobiła prowizoryczny stół, przykryty czerwono-żółto-pomarańczowym ręcznikiem kąpielowym z jej samochodu, ustawiła na nim dwie lampy naftowe, a przy stole siedzisko w kształcie litery L. Na stole stała stara misa, wypełniona kwitnącymi na pomarańczowo gałązkami hibiscusa.

- Bardzo ładnie - pochwalił.

Diana wzruszyła ramionami.

- Moja mama i babcia są przekonane, że atmosfera i dekoracja to siedemdziesiąt procent dobrego posiłku.

- Pewnie mają rację - powiedział Cole, kładąc swój talerz i talerzyk ze słodyczami na prowizorycznym stole i siadając na beli siana.

Pojęcie dekoracji w odniesieniu do jedzenia było mu całkowicie obce. Musiał się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o różne drobiazgi związane z tym, że jest się bogatym i znanym, ale najpierw powinien się skupić na zdobyciu majątku; później będzie czas na ogładę towarzyską.

- Jestem pełen podziwu - dodał, wyciągając długie nogi obok stołu. Diana przysiadła na drugiej beli.

- Dlaczego? - spytała, odłamując kawałek ciasteczka.

- Bo jesteś nadzwyczajna.

Nie miał zamiaru mówić tego głośno, ale to była prawda. Była bardzo bystra i opanowana. Mówiła łagodnie i bardzo dowcipnie, ale poczucie humoru miała tak subtelne, a głos tak śpiewny, że jej dowcipy albo go zaskakiwały, albo wcale ich nie zauważał. A najbardziej podobał mu się sposób, w jaki traktowała jego, pracownika w stajni.

Odnosiła się do niego z prawdziwą przyjaźnią, bez cienia zalotności. W czasie, gdy pracował dla Haywardów, prawie wszystkie koleżanki Barbary wdychały do niego, a on delikatnie ukrócał ich zapędy. Ich taktyka była przejrzysta, często zabawna. Jednak najbardziej go denerwowało to, że te bogate, niedorosłe „kobiety fatalne” sądziły, że mogą uwodzić przedstawiciela „niższego gatunku” bez jakiego-

kolwiek ryzyka i bez konsekwencji. Jego zdaniem, przydałoby im się dobre lanie, chociaż trochę już było za późno na takie środki.

W tej dziedzinie, jak w wielu innych, Diana Foster była wyjątkiem. Właściwie od ich pierwszego spotkania była dla niego źródłem nieustannych niespodzianek, a teraz zaskoczyła go jeszcze bardziej, gdyż po szczerym komplementcie zawstydziła się i zarumieniła. Żeby pokryć zmieszanie, zawołała do jednego z kociaków:

- Jak ty wyrosłaś, Samantho!

Wzięła w ramiona brązowego kotka i dała mu kawałek ciasteczka. Mały, czarno-biały piesek, najbardziej nieprawdopodobnej mieszanki ras nie opuszczał jej przez cały wieczór i jemu też ułamała kawałek.

- Siad, Luke - rozkazała, a kiedy posłuchał, dostał nagrodę.

- Ile masz własnych psów i kotów? - spytał Cole, patrząc, jak głaszcze zmatowiałą sierść, jakby to było sobole futro.

- Nie mam w ogóle.

Cole'a zatkało. Kiedy urodziły się małe kotki, opiekowała się nimi, bawiła, znalazła domy dla wszystkich, prócz Samanthy, bo namówiła go, żeby ją zatrzymał. Zeszłej zimy pojawiła się z małym bezdomnym pieskiem i namówiła go, żeby też przyjął go do stajni.

- Pomogę ci wymyślić dla niego imię - zaoferowała się, kiedy wciąż jeszcze miał opory. - Może nazwałbyś go Luke?

- Wygląda raczej jak Włóczęga - spierał się Cole - albo jak Pchlarz.

- Będzie wyglądał jak Luke, kiedy będzie wykapany.

Cole był nieodporny na te duże, zielone oczy. Wziął psa za kark i trzymając z dala od siebie, poszedł szukać szamponu antypchłowego i metalowej wanienki. Był przekonany, że ona już ma dom przepełniony bezdomnymi zwierzakami.

Powrócił do tego tematu, żeby pomóc jej pokonać tę nagłą nieśmiałość.

- Kotku, czy nikt ci nie mówił, że dobroczynność należy zacząć od własnego domu? - spytał sucho; nazywał ją Kotkiem od czasu, gdy go namówiła na zatrzymanie Samanthy i Luke'a.

Postawiła Samanthę na ziemi i wzięła na kolana Luke'a, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

- Co masz na myśli?

- Dlaczego to ja mam być rodziną zastępczą dla tego kundla, a nie ty? Myślałem, że ty już masz pełen „dom dla bezdomnych”, dlatego zwróciłaś się do mnie.

Podciągnęła pod siebie opalone kolano i odwróciła się bokiem, żeby móc jednocześnie głaskać Samanthę i Luke'a.

- Mój ojciec ma okropną alergię na psy i koty. W przeciwnym wypadku zaraz bym cię zabrała - zwróciła się do rozmarzonego psa. - Mógłbyś spać w moim łóżku...

Szczęśliwy pies - myśl ta wkradła się tak niepostrzeżenie, że sam nie zauważył, kiedy. Patrzył na tańczące za nią cienie od lampy, rozweselające to pomieszczenie. Diana też miała ten dar, że rozweselała i upiększała otoczenie po prostu samą swoją obecnością. Będzie kiedyś niezwykłą kobietą... i bardzo piękną.

Miała jedwabiste włosy koloru ciemnej miedzi i delikatną, świeżą cerę. Za każdym razem, kiedy ją widział, była coraz ładniejsza, z gładszą skórą i bardziej zielonymi oczyma. Sięgała mu ledwie do ramienia, ale widać było w krótkich, żółtych szortach i wyciętej w serek bluzeczce, że ma figurę bogini: długie, zgrabne nogi, pełne piersi i wąską talię. Patrzyła na niego w taki sposób, że czuł się jak zahipnotyzowany jej wzrokiem. Jego spojrzenie wędrowało od brązowych rzęs do wzniesienia piersi, zatrzymując się na delikatnym zaokrągleniu policzka i miękkich wargach.

Cole zdał sobie sprawę, że rozpatruje kobiece uroki niewinnego dziecka i był wściekły na siebie za to, o czym myślał i czego pragnął. Spróbował odwrócić uwagę ich obojga,

- To idiotyczne, że ciągle jeszcze nie odważasz się jeździć na koniu. - Był wciąż zły na siebie, więc odezwał się takim tonem, że pies, kot i dziewczyna popatrzyli na niego zdumieni. - Jesteś w ogóle bez ikry.

Diana nie mogła uwierzyć, że tak się do niej odezwał. Miała jednocześnie ochotę się rozpłakać i zerwać się na równe nogi, wziąć ręce pod boki i zażądać przeprosin. Zamiast tego spojrzała na niego przeciągle i powiedziała cicho:

- Nie jestem tchórzem, jeśli o to ci chodziło.

- Wcale nie o to mi chodziło - zaprzeczył Cole, czując się jak ostatni drań. Diana Foster była z pewnością najodważniejszą i najbardziej niezależną istotą rodzaju żeńskiego, jaką znał. - Prawdę mówiąc, ja sobie mato oczu nie wypłakałem, kiedy mnie koń zrzucił po raz pierwszy - skłamał, żeby się lepiej poczuła.

- Ja nie płakałam - rzekła Diana, wyobrażając sobie małego chłopca z czarnymi, kręconymi włoskami, płaczącego i przyciskającego piąstki do oczu.

- Nie płakałaś?

- O, nie. Ani kiedy złamałam nadgarstek, ani kiedy doktor Paltrona go nastawiał.

- Ani jednej łezki?

- Ani jednej.

- Dobra jesteś - stwierdził z uznaniem.

- Niezupełnie. - Westchnęła. - Za to zemdlałam.

Cole odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem, a potem spoważniał i spojrzał na nią tak czule, że Dianie zaczęło walić serce.

- Nie zmieniaj się - powiedział. - Zostań taka, jaka jesteś.

Diana nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, że on naprawdę mówi do niej i patrzy w ten sposób. Nie wiedziała, dlaczego tak się w końcu stało, ale chciała, żeby się to nie skończyło. Jeszcze nie.

- A czy mogę trochę urosnąć? - spytała żartem.

Uniosła głowę, patrząc tak, jakby nieświadomie zapraszała go do pocałunku i Cole zauważył to.

- Tak, ale nie zmieniaj się poza tym - odparł, starając się zignorować tę prowokacyjną pozę. - Pewnego dnia znajdzie się jakiś szczęściarz, który zauważy, jak wielkim jesteś skarbem.

Jego radosne przewidywania, że inny mężczyzna zdobędzie jej serce, skutecznie zmroziły jej szczęśliwy nastrój. Wyprostowała się i zdjęła z kolan psa, ale nie miała żalu do Cole'a i naprawdę ciekawiła ją jego opinia.

- A jeżeli ja nie poczuję tego w stosunku do niego?

- Poczujesz.

- Na razie to się jeszcze nic wydarzyło. Jestem jedyną znaną mi dziewczyną, która nie jest w kimś szaleńczo zakochana i przekonana, że tylko za niego chce wyjść za mąż. - Uniosła rękę i zaczęła liczyć na palcach. - Corey kocha się w Spencerze, Hailey w Peterze Mitchellu, Denise w Dougu Haywardzie, Missy kocha się w Michasiu Murchisonie... - machnęła ręką ze zniecierpliwieniem. - Mogłabym tak ciągnąć w nieskończoność.

Była tak zdegustowana, że Cole postanowił ją pocieszyć.

- Daj spokój, na pewno jest co najmniej jedna dziewczyna w twoim wieku dostatecznie rozsądna, żeby inaczej patrzeć w przyszłość. - Chociaż osobiście uważał, że Barbara Hayward ma siano w głowie, postanowił na jej przykładzie zilustrować swój pogląd, skoro Diana jej nie wymieniła. - A co Barb? - Za kogo ona ma zamiar wyjść?

Diana odpowiedziała, robiąc odpowiednią minę:

- Za Harrisona Forda.

- To wyjaśnia sprawę - powiedział sucho Cole.

- No i jeszcze jesteś ty - ciągnęła Diana, prowokując temat Valerie, chociaż wiedziała, że to go zupełnie odciągnie od niej.

- Co ja?

Wydawał się tak zdumiony, że serce Diany zabiło nadzieją. Podczas ich rozmów w ciągu ostatnich dwóch lat słyszała wiele o pięknej blondynce z Jeffersonville, która studiowała w Los Angeles. Wiedziała o wymianie listów i telefonów kilka razy w miesiącu i o tym, że czasami się widują, głównie podczas letnich wakacji, kiedy ona jest w domu.

- Miałam na myśli Valerie.

- Aha. - Skinął głową, ale było to na tyle enigmatyczne, że wzmogło tylko ciekawość i nadzieję Diany.

- Miałeś od niej jakieś wiadomości?

- Widziałem się z nią kilka tygodni temu podczas ferii wiosennych.

Dianie stanął przed oczami bardzo realistyczny, choć nie chiany obraz tych dwojga, kochających się namiętnie na malowniczej polance, w blasku gwiazd. Taka sceneria bardziej jej pasowała do typu urody Cole'a. W chwili słabości Diana zamówiła poprzez bibliotekę w Houston biuletyn Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Dowiedziała się z niego, że Valerie jest nie tylko aktywna w organizacji studenckiej, ale spotyka się z kapitanem studenckiej drużyny piłkarskiej. Poza tym, jest wysoka i piękna, starsza i z pewnością bardziej światowa niż Diana. Ma twarz i oczy nordyckiej księżniczki i uśmiech jak z reklamy pasty do zębów. Diana musiała się bardzo starać, żeby jej nie nienawidzić. Właściwie jedyną zaletą, jakiej Valerie nie posiadała, były dobre stopnie. To przynajmniej Diana miała wspólne z Cole'em. Miał średnią 4,9, tak samo jak Diana.

- A jakie miała Valerie stopnie na koniec semestru? - spytała, nienawidząc się za tę małostkowość.

- Ma poprawki.

- To przykre - mruknęła Diana. - Czy to znaczy, że będzie musiała chodzić na zajęcia latem i nie będziesz się mógł z nią zobaczyć, kiedy przyjedziesz do domu?

- Nie jeżdżę do domu, o ile nie mogę się z nią zobaczyć.

Tego się spodziewała. Zdołała się dowiedzieć, że pochodził z miasteczka w Teksasie, zwanego Kingdom City i nie miał rodziny, poza stryjczym dziadkiem i kuzynem, starszym o pięć lat od Cole'a. Wkrótce zorientowała się, że wszelkie próby dokładniejszego wgłębiania się w jego przeszłość powodowały zdawkową tylko odpowiedź lub przerwanie przyjacielskiego nastroju, który tak sobie ceniła.

Miała nadzieję, że Valerie doceniała lojalność i oddanie Cole'a i nie będzie próbowała zrobić z pantery, jaką przypominał, wytresowanego, ugładzonego labradora. Było w tej dziewczynie

z uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów coś takiego, że wydawała się Dianie zupełnie nieodpowiednia dla Cole'a. Zawiść jest wstrętą, ale co mogła na to poradzić!

Siedzący obok Cole odsunął puszkę od ust i studiował wyraz twarzy Diany.

- Nie piję przypadkiem twojej coli? - spytał.

Diana strząsnęła z siebie odległe marzenia i potrząsnęła głową. Czas było wracać... Czas dawno minął, bowiem dziś wieczorem jej rozsądek i samokontrola zupełnie nie działały.

- Pomogę ci to posprzątać. - Wstała, zbierając od razu talerze i sztućce.

- Muszę się uczyć do końcowych egzaminów - powiedział Cole, zdmuchując lampy naftowe i zabierając naczynie z kwiatkami. - Ale nim pojedziesz, mam jeszcze czas na partyjkę bezika.

Zapalił lampy na korytarzu i ostre, migoczące światło spłoszyło resztki jej romantycznych marzeń. Nauczyła go gry w bezika w zeszłym roku, podczas jednego z rzadkich popołudni, kiedy Corey przyjechała poćwiczyć konie, a nikogo innego nie było. Teraz się to wszystko musi skończyć, pomyślała Diana, bo nie mogą zapanować nad tymi głupimi marzeniami na jego temat. Gdyby dziś wieczorem chciał ją pocałować, zignorowałyby wszelkie niebezpieczeństwo i pozwoliłaby mu. Pozwoliła? Gdyby tylko trochę ją zachęcił, sama pocałowałaby jego! Jakoś w ostatnich tygodniach zgłupiała na jego punkcie, a przecież rozsądna dziewczyna nie powinna się poddawać takiemu uczuciu, jeżeli wie, że szanse na wygraną ma prawie żadne.

- Jesteś już za dobry - powiedziała, uśmiechając się przez ramię.

- Na pewno nie dla takiej karciary, jak ty.

- Muszę już jechać.

- Rozumiem.

Wydawał się trochę zawiedziony i Diana walczyła z pokusą, żeby jeszcze trochę zostać. Wciąż się wahała, kiedy odwrócił się i znikł w swoim pokoju. Zdążyła włożyć naczynia do zlewu, a obojętną maskę na twarz. Kiedy otwierał już jej samochód, pogratulowała sobie, że oparła się pokusie pozostania dłużej. Odwróciła się, żeby powiedzieć mu dobranoc, a wtedy się odezwał:

- Słyszałem, jak dziewczyny rozmawiały o twoim przyjęciu urodzinowym dwa tygodnie temu.

Diana była zbyt zajęta przyglądaniem się tajemniczemu uśmieškowi, jaki pojawił się w kąciu jego ust, żeby odpowiedzieć coś inteligentnego.

- To były moje szesnaste urodziny.

- Wiem - odpowiedział. - Tam, skąd pochodzę, jest zwyczaj, że daje się dziewczynie na szesnaste urodziny coś specjalnego...

Pocałunek! Na pewno ją teraz pocałuje, pomyślała Diana w radosnym i nerwowym oczekiwaniu. Jej spojrzenie przeniosło się z jego srebrzystych oczu na zmysłowe usta.

- Co daje się dziewczynie w twoich stronach - westchnęła i przyknęła oczy - kiedy kończy szesnaście lat?

- Prezent! - wykrzyknął triumfalnie, wysuwając zza pleców lewą rękę.

Diana otworzyła oczy i przytrzymała się drzwiczek samochodu, żeby nie stracić równowagi, kiedy spojrzała zdumiona na jego wyciągniętą dłoń. Trzymał w niej jakiś duży, nieforemny przedmiot, owinięty w gazetę i przewiązany sznurowadłem. Nieświadomy jej zdumienia, przysunął paczkę bliżej.

- No dalej, odpakuj to.

Diana odzyskała równowagę, posiała mu czarujący uśmiech i pociągnęła za zerwane białe sznurowadło.

- To takie nic - wyjaśnił cicho, tracąc nagle pewność siebie.

Papier spadł i ukazała się futrzana zabawka: naturalnej wielkości biały kotek z różowym jęczyzkiem, zielonymi oczami i przywiązaną do szyi wizytówką „Nazywam się Pinkerton”.

- Masz na pewno dziesiątki egzotycznych pluszowych zwierzków - dodał nieśmiało, kiedy nie zareagowała natychmiast, - a w ogóle, to chyba jesteś za stara na takie zabawki.

Miał rację w obu wypadkach, ale nie miało to dla Diany żadnego znaczenia. Żeby zaoszczędzić pieniądze, obywał się bez wielu rzeczy, łącznie z jedzeniem, ale wydał je na prezent dla niej. Zaniemówiła. Wzięła tę zwyczajną, niedrogą zabawkę z jego rąk tak ostrożnie, jakby była to najcenniejsza porcelana, i oglądała ją z podziwem.

Cole popatrzył na kotka i zdał sobie sprawę, jak nędznie może wyglądać dla kogoś takiego jak ona.

Tak po prostu wybrałem, to taka pamiątka - zaczął się tłumaczyć.

Przerwał, kiedy Diana przecząco pokręciła głową, żeby go uciśnić, a potem mocno przytuliła kotka do siebie.

- Dziękuję ci, Cole - szepnęła, ocierając policzek o futrzany łeppek. Spojrzała na niego z uśmiechem. - Dziękuję - powtórzyła.

Proszę bardzo, pomyślał Cole, ale nie odezwał się, bo jej ciepła reakcja odebrała mu zdolność mówienia. W milczeniu zamknął za nią drzwiczki auta i obserwował, jak światła jej samochodu znikają za zakrętem długiego podjazdu, wijącego się wśród drzew.

Rozdział 8

Trzy godziny po wyjeździe Diany Cole zamknął w końcu podręcznik do ekonomii i odsunął notatki. Bolały go plecy od pochylania się nad biurkiem, a w głowie czuł pustkę. Nie było sensu uczyć się dalej. Był przygotowany tak, że mógł zdobyć najwyższą ocenę, ale na dobrych stopniach nigdy mu nie zależało. Chodziło mu o wiedzę, dzięki której mógł osiągnąć swój cel i cieszyć się swoją zdobyczą.

Rozciągnął obolałe łopatki, potem odchylił głowę w tył i przyknęła oczy, rozmyślając o liście od wuja. List przyszedł rano, a wiadomości w nim były tak dobre, że Cole uśmiechał się do siebie, poruszając ramionami, żeby zlikwidować odrętwienie.

Cztery lata temu przedsiębiorstwo wiertnicze zaoferowało Calvinowi kontrakt i dziesięć tysięcy dolarów za prawo kontrolnego odwiertu na jego ziemi. W pierwszym otworze niczego nie znaleziono, lecz rok później spróbowali ponownie za dodatkowe pięć tysięcy. Kiedy i za drugim razem szyb okazał się za mało wydajny, by cała operacja się opłacała, zrezygnowali.

Jednakże kilka miesięcy temu odwiedzili Cala przedstawiciele większego przedsiębiorstwa naftowego i poprosili go o zgodę na wiercenie w zupełnie innym miejscu. Odpowiedział im, że traci tylko czas, i Cole się z tym zgadzał, jednak okazało się, że obaj się mylili. Z dzisiejszego listu dowiedział się, że odwiert okazał się bardzo wydajny i „pieniądze będą się lały strumieniami”.

Cole wyprostował się, otworzył oczy i sięgnął po grubą kopertę z listem wuja i kopią kontraktu, jaki miał podpisać. Według wyliczeń staruszka, w ciągu następnego roku zarobiłby 250 tysięcy dolarów, czyli więcej niż w ciągu całego swojego życia. Ironia losu polegała na tym, że Calvin Patrick Downing nie zrobi użytku ze swego majątku i nie potrafi się nim cieszyć. Był z natury sknerą i ćwierć miliona dolarów tego nie zmieni.

Zamiast wydać dwa dolary na rozmowę międzymiastową i zadzwonić zaraz do Cole'a, by podzielić się fantastyczną wiadomością, wysłał mu list i kopię umowy zwykłą pocztą. Umowę wysłał dlatego, że jak pisał „ludzie z tej firmy twierdzą, że to są standardowe kontrakty i nie mogą być zmienione. Myślę, że nie ma sensu płacić jakiemuś wydrwigroszowi adwokatowi za czytanie tej abrakadabry po to, żeby mi powiedział to samo. Masz tam prawników na tym swoim, uniwersytecie, więc namów jakiegoś studenta, żeby to przeczytał, albo sam w to zajrzyj i powiedz mi, czy Southfield Exploration czegoś tam nie kombinują”.

To był cały Cal. Oszczędny do bólu. Wycinał kupony promocyjne z gazety, sam się strzygł, łątał sobie džinsy i targował się wściekle o każdego centa za metr drutu, a już najtrudniej było mu się rozstać z całym dolarem. Ale swój pierwszy czek na dziesięć tysięcy dolarów za próbne wiercenia wręczył Cole'owi, żeby mógł się uczyć. A rok później dał mu następną na pięć tysięcy.

Jako samotny, zbuntowany nastolatek, Cole często jeździł autostopem ponad sześćdziesiąt kilometrów do Calvina, u którego znajdował zrozumienie i ciepło, jakich nie miał dla niego własny ojciec. Calvin go rozumiał i popierał jego marzenia. Nie były to tylko słowa zachęty, ale szły za nimi pieniądze, aby Cole mógł się wyrwać z Kingdom City do lepszej przyszłości, z nieograniczonymi możliwościami. Poczucie lojalności i wdzięczności wobec wuja było najsilniejszym uczuciem Cole'a.

Umową jaką Cal mu przysłał, miała piętnaście stron drobnego druku, pełna była prawniczych formułek, a na marginesach - własnych uwag Cala, które zdumiewały dociekliwością. Calvin rzucił szkołę po dziesiątej klasie, bo musiał pracować, ale był zaprzętym czytelnikiem i samoukiem i wiedział tyle, że pewnie mógłby mieć honorowy dyplom wyższej uczelni. Cole jednak nie miał zamiaru pozwolić wujowi podpisywać czegokolwiek, póki nie zobaczy tego prawdziwy, kompetentny adwokat, specjalizujący się w umowach dzierżawy terenów ropośnych. Po czterech latach w Houston Cole słyszał, czytał i widział wystarczająco wiele, żeby zorientować się, jak to wszystko działa. Wiedział, że nie istnieje coś takiego, jak standardowa umowa, której nie można zmienić, i wiedział, czyje interesy są zwykle chronione przez autorów takich umów. Postanowił zapytać Charlesa Haywarda, kiedy wróci jutro z podróży służbowej do Filadelfii, o nazwisko najlepszego adwokata z tej dziedziny. Wiadomo było powszechnie, że jego chlebodawca początki swej fortuny zawdzięczał nafcie. Będzie wiedział, z kim Cole powinien się skonsultować i na pewno chętnie mu jeszcze coś doradzi.

W przeciwieństwie do innych osobistości, które Cole poznał, pracując tutaj, Charles Hayward nie był bufonem ani słabeuszem.

Miał pięćdziesiąt lat, był energiczny, pracowity i sprawiedliwy. Wyznaczył standardy, dotyczące wszystkiego, począwszy od rodziny, poprzez pracowników, do koni włącznie. Kto nie spełniał jego kryteriów - pracownicy, psy myśliwskie, konie - odchodził, ale ci, którzy się wywiązywali, traktowani byli z szacunkiem. Kiedy był w domu, odwiedzał stajnie co wieczór i przechadzał się po szerokim korytarzu, poklepując konie i rozdając im smakołyki.

Z biegiem czasu zaczął bardzo cenić wiedzę i troskliwą opiekę Cole'a nad końmi, co doprowadziło do swoistej przyjaźni między obydwoma mężczyznami. Często, kiedy Hayward odwiedzał późnym wieczorem swoje ulubione zwierzęta, zostawał na kawę i rozmowę z Cole'em. Stał się kimś w rodzaju mentora dla młodego człowieka, służąc mu radą i uwagami na dwa najbardziej interesujące Cole'a tematy: interesów i pieniędzy.

W tych sprawach Charles był błyskotliwy i spostrzegawczy. Zdaniem Cole'a, Hayward miał tylko jeden mankament, a mianowicie rodzinę. Pierwsza żona Charlesa i ich dziecko zginęły w katastrofie samolotowej dwadzieścia pięć lat temu i jego rozpacz była tak wielka i długotrwała, że jeszcze teraz była tematem przyciszonych rozmów jego przyjaciół

Ożenił się ponownie siedemnaście lat temu, a nowa żona w ciągu dwóch lat urodziła mu syna i córkę. Hayward uwielbiał żonę Jessicę i dawał jej i dzieciom wszystko, co tylko można kupić - Zakładał automatycznie, że albo już spełniają, albo na pewno będą spełniać pokładane w nich nadzieje.

Cole mógłby mu powiedzieć, jak bardzo się mylił. Mógłby mu podać bolesne przykłady, wynikające z rozpuszczania dzieci i ufania niewiernej żonie. Wiedział doskonale z własnych obserwacji i doświadczeń, że Jessica Hayward była piękną, amoralną, czterdziestoletnią dziwką. Jej piętnastoletnia córka Barbara była przez nią stłamszona i zupełnie pozbawiona charakteru. Zasypywana przez ojca wszelkimi dobrami materiami, na które zupełnie nie musiała sobie zasłużyć ani przyzwyczajonymi stopniami, ani niczym innym, stawała się coraz bardziej bezwolna.

Doug Hayward był uroczym, nieodpowiedzialnym, przystojnym szesnastolatkiem i Cole uważał, że ma jeszcze szansę. Mimo nieodjrzałości chłopaka, widział w nim czasami otwartość i przebłyśki intelektu ojca, choć stopnie miał przeciętne.

Cole popatrzył na zegarek; było już po jedenastej. Przeciagnał się, ziewając i przeszedł jeszcze raz wzdłuż zagród, żeby sprawdzić, czy wszystko było zabezpieczone na noc.

Rozdział 9

Jessica Hayward zeszła z mechanicznej bieżni w malej siłowni, sąsiadującej z główną sypialnią i narzuciła na ramiona ręcznik. Ubrana w cienkie, białe szorty i obcisły czerwono-biały podkoszulek na ramiączkach, weszła do sypialni. Czuła się pełna energii i niepokoju, i bardzo samotna. Mąż miał wrócić do domu dopiero jutro, ale nawet gdyby był, nie dałby jej tego, czego pragnęła. Pragnęła seksu... gorącego, ostrego, szalonego seksu. Nie chciała takich letnich, grzecznych, nudnych pieszczoł, które Charles nazywał „kochaniem się”. Nie chciała się kochać. Chciała szaleć. I to nie z Charlesem, ale z Cole'em.

Wściekła na siebie za to, że tak beznadziejnie pożądała tego aroganckiego, nieposłusznego i tak męskiego pracownika, który absolutnie nie dorównywał jej pozycją społeczną, podeszła do baru i wyjęła z lodówki butelkę chardonnay. Otworzyła i nalała sobie do kieliszka ze złoconym brzegiem. Potem podeszła do okien, wychodzących na trawnik i stajnie po lewej. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie Cole'a, barczystego i umięśnionego, pokrytego warstwą potu, gdy wkręcał się w nią z brutalną siłą, którą tak lubiła. Na samą myśl zacisnęła mocniej uda, po czym wypiła resztę wina z kieliszka i odeszła od okna. Zsunęła z pleców ręcznik, przyczesła włosy, a później wzięła butelkę wina i drugi kieliszek, i wyszła z sypialni.

Drzwi od pokoju córki były zamknięte, ale wydostawał się spod nich paseczek światła, więc Jessica przeszła ostrożnie przez hol do służbowych schodów. Noc była ciepła i parna, pachnąca gardeniami, rosnącymi wzdłuż ścieżki do stajni. Księżyc oświetlał wyraźnie drogę, ale Jessica znała ją doskonale. Przemierzała ją wielokrotnie we snach, a i w rzeczywistości też nierzadko. Niosąc ostrożnie butelkę wina i dwa kieliszki, wsunęła się bocznymi drzwiami do stajni,

gdzie owionął ją miły chłód klimatyzacji. Nie zapalając światła, skręciła korytarzem i stanęła u progu jego pokoju. Był odwrócony plecami i przypatrywała się w napięciu, jak zdejmował koszulę i rzucił ją na krzesło. Delikatne światło lampy na biurku rzucało blask na mięśnie jego barków i plecy, a kiedy sięgnął do zapięcia dżinsów, zaczęła oddychać szybciej.

Ten ledwie słyszalny dźwięk zwrócił jego uwagę, gdyż odwrócił się natychmiast i spojrzał na nią najpierw przerażony, a zaraz potem wściekły.

- Cholernie mnie "wystraszyłaś, Jessico!

Jessica wysunęła przed siebie kieliszki i butelkę z winem i weszła do pokoju, jakby była jego właścicielką, co zresztą było prawdą.

- Zobaczyłam światło, więc skoro żadne z nas nie może zasnąć, pomyślałam, że możemy zrobić to razem.

- Prawdę mówiąc, jestem zmęczony i nie sądzę, żebym miał jakiś kłopot z zaśnięciem.

- Nie musisz mnie zaraz tak zniechęcać - powiedziała Jessica, przysiadając na jego biurku i zakładając nogę na nogę, Sandałek zsunął się z jej stopy i balansowała nim, utrzymując na jednym, wylakierowanym paluszku. - Nie widziałam cię całe wieki, więc postanowiłam przyjść z wizytą - dodała, nachylając się, żeby nalać wino. - To wszystko.

- Naprawdę to wszystko? - zapytał Cole kpiącym tonem, obrzucając spojrzeniem jej skąpy podkoszulek, obcisłe szorty i uwodzicielski uśmiech. Specjalnie sięgnął po koszulę, lecz ona potrząsnęła głową, a jej uśmiech nabrał wyrazu zdeterminowania.

- Nie ubieraj się, kochanie. Lubię na ciebie patrzeć.

- Jessico - powiedział ostro. - Nie będziemy znów do tego wracać. Było, skończyło się. Mówiłem ci już, jestem zmęczony.

- Bardzo nieładnie tak mówić do swojej chłebodawczyni - powiedziała, zsuwając się z biurka i wyciągając rękę do jego policzka.

- Do diabła, daj spokój! - warknął Cole, uchylając głowę.

Była to w tej chwili jedyna dostępna obrona przed jej zakusami. Usunięcie jej z pokoju siłą zostawił jako ostateczność. Nie był pewien, czy jego dentyk spowodowałby wybuch jej złości, czy - co gorsze - rozpałił namiętność. Za nim znajdowało się łóżko i prócz odsunięcia jej ze swojej drogi, nie miał wyjścia. Zdawała sobie sprawę, że złapała go w pułapkę i zrobiła krok do przodu, ze zwycięskim uśmiechem na twarzy.

- Jessico - odezwał się znów Cole. - Przecież jesteś mężatką, na miłość boską!

- Wiem o tym - odpowiedziała, zdejmując podkoszulek i rzucając na łóżko.

- Lubię twój męża - ciągnął Cole, starając się ją ominąć.

Patrzyła na niego szerokimi ze zdumienia oczami, sięgając ręką do zapięcia biustonosza na plecach.

- Ja też go lubię.

Gdyby jego sytuacja nie była taka niezręczna, Cole uśmiełby się, patrząc na nią cudzymi oczyma. Rozbiera się przed nim piękna kobieta, tarasując swym ciałem drogę, a jednocześnie oświadcza z niewinną miną, że lubi swojego męża, któremu ma zamiar przetrwać rogi.

- Nie jestem w nastroju na striptiz - ostrzegł ją.

- Zaraz będziesz - obiecała, zsuwając ramiączka.

- Nie znasz nawet pojęcia wierności małżeńskiej - powiedział, przytrzymując ramiączka, żeby nie opadły.

- Zawsze jestem wierna, kiedy Charles jest w mieście - odparła, przesuując ręką po jego owłosionej klatce piersiowej. - Ale dzisiaj go nie ma, a ty jesteś, a mnie się nudzi.

- Więc znajdź sobie jakieś hobby - poradził, chwytając ją za rękę.

Zaśmiała się, obejmując go za szyję i ocierając się o jego uda. Cole nie odczuwał najmniejszego zainteresowania nią, był tylko coraz bardziej zły i tracił cierpliwość.

- Ostrzegam cię! - Chwytał ją za przeguby, a po chwili puścił. - Może być z tego duży problem dla nas obojga.

Otarła się o niego biodrem i zaśmiała zmysłowo, świadomie mylnie interpretując jego słowa.

- No, może duży, ale jeszcze nie...

Nagle w korytarzu zamigotały jarzeniówki, które ktoś włączył już na zewnątrz stajni. Cole zakrył jej usta dłonią.

- Cole! - zawołał z daleka Charles Hayward przyjacielskim tonem. - Zobaczyłem u ciebie światło i postanowiłem rzucić okiem na naszego nowego lokatora. Co o nim sądzisz?

Wargi Jessiki zaczęły drżeć, a przerażone oczy mało nie wyszły z orbit.

- Już idę! - zawołał Cole, zasłaniając jej usta.

- Boże! Muszę się stąd wydostać - powiedziała, nagle zupełnie sztywne.

Po chwili zaczęła się tak trząść, że Cole nawet by jej współczuł, gdyby nie fakt, że to właśnie ona naraziła ich oboje. Wiedział z poprzednich wizyt Charlesa Haywarda w stajni, że jego chlebowca

pójdzie teraz do kuchenki zrobić sobie kawę, a potem będzie chciał przejść z Cole'em po wszystkich boksach, omawiając kolejno ich lokatorów. W ciągu paru lat stało się to niemal rytuałem, bardzo miłym dla nich obu. Cole bardzo lubił te wizyty, zwłaszcza kiedy Hayward zostawał dłużej i rozmowa schodziła na inne sprawy. Hayward był bardzo czytany i miał mnóstwo wiadomości na różne tematy, prócz swojej żony.

- Słuchaj mnie! - powiedział cicho Cole, podając jej bluzkę. - Jest teraz w kuchence i robi sobie kawę.

- Więc blokuje moje jedyne wyjście - syknęła. - Jestem w pułapce!

- Nie panikuj - ostrzegł Cole, bo widział, że szalała ze strachu. - Zamknę drzwi, on tu nie wejdzie, ani cię nie zobaczy.

- Muszę wrócić do domu!

- Cole! - zawołał znów Charles. - Chcesz kawę?

- Nie, dziękuję - odkrzyknął, zasłaniając sobą drzwi, żeby Charles nie zobaczył jego pokoju i stojącej w nim półnagiej kobiety.

Zostawił ją tam, zamknął drzwi i poszedł na bosaka i bez koszuli do kuchenki, gdzie Charles właśnie służył sobie kawę.

- No - uśmiechnął się do Cole'a zachęcająco - co sądzisz o tym nowym koniku?

- Niezły - odpowiedział Cole i zmusił się do kiepskiego dowcipu. - Nie wiem, czy dobrze gra w polo, ale jako konik wygląda pięknie.

Pony znajdował się w zagrodzie niedaleko pokoju Cole'a i chłopak obawiał się, że Jessica wyskoczy z miejsca usiłowania przestępstwa i da się przyłapać.

- Może zechce pan zobaczyć przednią nogę kasztanki - zaproponował, prowadząc Haywarda w przeciwny koniec stajni.

- A co jej się stało? - zapytał z troską.

- Uszkodziła ją wczoraj w czasie skoku.

- A kto na niej jeździ? - spytał Charles, współczując swemu ulubionemu koniowi.

- Barbara - odparł Cole.

- No tak, to wyjaśnia sprawę - powiedział Hayward z grymasem. - Staram się nie być niesprawiedliwy, ale na razie nic nie potrafi zrobić dobrze. Poza rozmowami telefonicznymi na temat chłopców. W tym jest świetna.

Cole nie odpowiedział, tylko otworzył ciężkie, dębowe drzwi do zagrody, a Charles wszedł za nim. Podał chłopakowi do potrzymania swój kubek z kawą i nachylił się, żeby obejrzeć zabandażowaną nogę.

- Nie taka bardzo spuchnięta - stwierdził. - To smarowidło, które robisz, cuchnie jak diabli, ale pomaga. Wciąż uważam, że powinienes zostać weterynarzem. - Wyprostował się szybko, znacznie prędzej niż Cole mógłby sobie życzyć, i poklepał zwierzę na pożegnanie. - Nie widziałem jeszcze nikogo, kto miałby lepszą rękę do zwierząt.

- Przestałyby mnie lubić, gdybym im zaczął dawać zastrzyki - powiedział Cole, rozglądając się po holu niepewnym wzrokiem. Wstrzymał oddech, kiedy w drzwiach swego pokoju zobaczył twarz Jessiki, która zdecydowała się przebiec przez korytarz, zasłaniając biało-czerwona bluzeczką nagie piersi. Cole obrócił się szybko, zasłaniając ją przed wzrokiem Haywarda, ale przy okazji potracił kubek z kawą, która wylała się na siano i parę kropli poplamiało koszulę Charlesa.

- Co, do... - zaczął, ale uspokoił się i zabrał do wycierania koszuli.

- Przepraszam - powiedział Cole.

- Nie szkodzi, zrobię sobie następną;. Może byś tak wyprowadził naszego nowego lokatora na dłuższej lince. Zobaczymy, jak chodzi. W Memphis widziałem go tylko przez pół godziny w zagrodzie, bo nie miałem więcej czasu. - Spojrzała na Cole'a, który już się odwracał, i zapytała. - Co się stało? Jesteś jakiś nieswój dzisiaj.

Cole potrząsnął głową i poszedł za nim w nadziei, że Jessice udało się szczęśliwie uciec. Za wcześniej odetchnął.

- To dziwne - zauważył Charles Hayward, przechodząc obok pokoju Cole/a. - Wyraźnie widziałem, że zamykałeś drzwi za sobą, kiedy wychodziłeś z tego pokoju.

- Pewnie się same otworzyły - bąknął Cole, ale Hayward nagle przystanął, a na jego ustach pojawił się tajemniczy uśmiezek. - Pewnie miałeś gościa, a ja przeszkodziłem. Teraz chyba młoda dama uciekła, albo gdzieś się ukrywa.

Wzrok Cole'a, podobnie jak Haywarda, padł na biały koronkowy staniczek, leżący na podłodze obok zmiętoszonego łóżka, lecz nim zdążył zareagować, Hayward spostrzegł coś znacznie bardziej obciążającego. Wyrzucił głowę, jego twarzy zmieniła się: najpierw był zdumiony, potem oburzony, w końcu wściekły.

- Czy to nie moje kieliszki? - Podeszedł bliżej i przyjrzał się nalepce na butelce z winem. - A to ulubione wino Jessiki...

-Pożyczyłem - zaczął Cole. - Nie, ukradłem... - powiedział, starając się odwrócić jego uwagę i nie dopuścić do nieuchronnego następnego kroku. Jednak Hayward podeszedł do tylnich drzwi od

stodoły, otworzył je, wyrzwał i zobaczył białą sylwetkę, wbiegającą do domu.

- Ty sukinsynu! - wybuchnął Hayward, a jednocześnie jego pięść wylądowała ze zdumiewającą siłą na szczęce Cole'a. - Cholerny gnoju!

Jessica, uniknawszy na razie wykrycia, popędziła po schodach do swego pokoju, ale kiedy wyrzała przez okno, zobaczyła męża, biegnącego z wściekłością w stronę domu.

- O Boże! - westchnęła, drżąc ze strachu, bo jej wygodne życie zaczęło się trząść w posadach. - Co ja zrobię? - szepnęła - rozglądając się po ciemnym pokoju.

Usłyszała, że Barbara odkręciła magnetofon jeszcze głośniej i nagle ją olśniło.

- Barbaro! - zawołała Jessica, wpadając do pokoju córki i zamykając za sobą drzwi.

Barbara spojrzała na nią znad ilustrowanego magazynu.

- Mamo, co się stało?

- Musisz mi pomóc, kochanie. Rób, co ci powiem, i nie zadawaj pytań. Opłaci ci się to.

Rozdział 10

Dallas, 1996

-Dzień dobry, panie Harrison. Gratuluję - powiedział strażnik, gdy limuzyna Cole'a mijała główny wjazd na teren Unified Industries, położony niedaleko E-Systems, należącego do Rossa Perota.

Gładka, czteropasmowa droga wiała się wśród łagodnie opadających wzgórz, między drzewami i wokół sztucznego jeziora. W ładną pogodę pracownicy z siedmiu przeszklonych budynków, połączonych krytymi pasażami, zbierali się tu na lunch.

Limuzyna przejechała obok budynków administracji, następnie wzdłuż laboratoriów badawczych, gdzie trzej panowie w białych fartuchach, pochłonięci ożywioną dyskusją, podchodzili do drzwi. W końcu samochód zatrzymał się przed tabliczką „Biura Zarządu”.

- Gratuluję panu - powitała Cole'a recepcjonistka, gdy wysiadł z windy na szóstym piętrze.

W odpowiedzi skinął głową i ruszył przez salon recepcyjny. Oddzielony był od biur ścianą wyłożoną boazerią, na której zawieszono duży znak firmowy korporacji. Tutaj na eleganckich jasnozielonych sofach, przy mahoniowych stolikach, inkrustowanych masą perłową lub ozdobionych mosiądzem, czekali umówieni klienci.

Cole skręcił w prawo za ścianę z boazerią i siedł teraz wyłożonym dywanem korytarzem w stronę swego gabinetu, ledwo zauważając nietypową dla tego budynku ciszę. Gdy przechodził obok sali konferencyjnej, zatrzymał go Dock Rowse, szef reklamy.

- Cole, mógłbyś tu zajrzeć na chwilę?

Kiedy tylko wszedł do zatłoczonej sali, wystrzeliły korki od szampana i czterdzieścioro pracowników zaczęło wiwatować na cześć najnowszego osiągnięcia firmy: zakupu przedsiębiorstwa elektronicznego z potężnym pakietem zamówień rządowych i nowym procesorem do komputerów, w fazie testowania. O przejęcie Cushman Electronics, firmy należącej do braci Kendalla i Prenti-

ce'a Cushmanów, rywalizowało wiele firm, a walka, żywo relacjonowana przez środki masowego przekazu, była krwawa i okrutna. Dziś zwycięstwo przypadło Unified Industries, a prasa i telewizje szalały.

- Gratulacje, Cole - powiedział Corbin Driscoll, kontroler spółki, wręczając mu kieliszek szampana.

- Przemówienie! - zawołał Dick Rowse. - Czekamy na przemówienie - upierał się żartobliwym tonem osoby, która za wiele wypiała, a czuje się odpowiedzialna za to, żeby goście byli na luzie i żeby wszystko wyglądało różowo. Poza tym jego wysiłki były w tym wypadku skazane na niepowodzenie, gdyż przyjazna zażyłość między samodzielnymi pracownikami a ich najgłówniejszym przełożonym po prostu nie istniała, Cole spojrział niecierpliwie, po czym zrezygnowany wygłosił „przemówienie”:

- Proszę państwa - powiedział, uśmiechając się zdawkowo. - Właśnie wydaliśmy sto pięćdziesiąt milionów dolarów na zakup spółki, która nie będzie warta nawet połowy tej sumy, jeśli nie uda nam się dobrze wejść na rynek z procesorem. Proponuję, żebyśmy zaczęli się teraz zastanawiać, jak zminimalizować straty, jeśli się to nie uda.

- Miałem nadzieję na jakiś cytat dla prasy - narzekał Rowse. - Od dwóch godzin mój telefon wciąż dzwoni.

- To już twoja sprawa. Wymyślanie cytatów dla prasy to twoja robota Dick, nie moja - odpowiedział i odwrócił się, kierując się w stronę swego gabinetu.

Dick Rowse poczuł się skarcony, a reszta zebranych też straciła zapał. W ciągu kilku minut grupa się rozeszła i w pokoju konferencyjnym pozostali tylko Rowse, jego asystentka Gloria Quigley i Corbin Driscoll. Gloria, wysoka trzydziestoletnia blondynka, najmłodszy i najnowszy pracownik, odezwała się pierwsza.

- Co za zawód - powiedziała z westchnieniem. - Na Wall Street się kotłuje, bo Unified Industries zwyciężyły Intercorp Matta Farella i dwóch innych poważnych rywali w walce o przedsiębiorstwo Cushmanów. My jesteśmy w euforii, nasi urzędnicy są dumni, woźni już pewnie tańczą, a facet, który to wszystko wymyślił, wydaje się zupełnie nie przejmować.

- Och, przejmuje się - wyjaśnił Dick Rowse. - Gdybyś była tu co najmniej sześć miesięcy, zauważyłabyś że Cole Harrison okazał olbrzymie zadowolenie. Prawdę mówiąc, jeszcze go nie widziałem takiego szczęśliwego.

Gloria popatrzyła na nich z niedowierzaniem.

- Więc jak wygląda, kiedy jest nieszczęśliwy?
Corbin Driscoil pokręcił głową.
- Lepiej, żebyś tego nie zobaczyła.
- Nie może być aż tak źle. - Gloria wciąż była nie przekonana.
- Ach tak? - Corbin wskazał na swe gęste, pięknie ostrzyżone siwe włosy. - Kiedy dwa lata temu zaczynałem pracę u Cole'a, nie miałem ani jednego siwego włosa. - Tamci dwoje roześmiali się, a on ciągnął dalej. - Ta dobra pensyjka, premie i dodatkowe przywileje, jakie się dostaje, przychodząc tu do pracy, wiążą się z kilkoma warunkami.

- Na przykład jakimi?

- Na przykład telefonami o północy, bo Cole ma jakiś świetny pomysł i chce, żebyś nad nim popracowała - powiedział Dick Rowse.

- I naucz się pakować walizkę, aby w ciągu godziny zdążyć na samolot podczas weekendu - dodał Corbin, bo nasz szef nie uznaje zegarów ani kalendarzy.

- Weekendy? - wykrzyknęła Gloria z udawanym przerażeniem.
- Będę musiała wyłączać sekretarkę w piątki wieczorem!

- Dobrze, że mi przypomniałaś - powiedział Rowse z chytrym uśmiechem. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały, czarny przedmiot. - To prezent dla ciebie, żebyś miała czym zastąpić sekretarkę, i atrybut twojej pozycji w firmie. - Gloria odruchowo wyciągnęła rękę, a Rowse włożył w jej dłoń pager. - Witamy w Unified Industries - wyrecytował oficjalnym tonem. - Jeśli masz dość oleju w głowie, będziesz spała z tym pagerem.

Wszyscy się roześmieli, ale Gloria wiedziała, starając się o tę pracę, że będzie się od niej bardzo wiele wymagać i między innymi to wyzwanie było dla niej atrakcyjne. Zanim zostawiła swoją własną firmę public relations w Dallas, przeczytała wszystkie dostępne artykuły o agresywnym, enigmatycznym przedsiębiorcy, który zapisał się w historii, stwarzając olbrzymi i niesłychanie dochodowy konglomerat, nim skończył trzydzieści lat.

Przekonała się już, że był niezwykle wymagającym pracodawcą i utrzymywał dystans nawet wobec najbliższych współpracowników, którzy traktowali go z szacunkiem. Wydawało się, że nic sobie nie robi z tego, iż przysparza sobie wrogów, ani z obrazu swojej osoby, jaki kreuje, a jednak namiętnie bronił reputacji firmy. Jego oczkiem w głowie była obsługa klientów. Wobec narzuconych przez niego wysokich standardów Unified Industries zyskały uzasadnioną sławę nienagannej obsługi klienta przez wszystkie spółki, wcho-

dzące w skład korporacji. Niezależnie od tego, czy był to producent leków, czy sieć małych knajpek, czy duże przedsiębiorstwo tekstylne, najważniejszym zadaniem dla pracowników Harrisona, przejmujących nową firmę dla korporacji, było podniesienie poziomu obsługi klienta do najwyższego standardu Unified Industries.

- Jest niewiadomą dla wszystkich w świecie biznesu, łącznie z ludźmi stąd - myślała głośno Gloria. - Nikt właściwie nie o nim nie wie. Interesowałam się nim od czasu głośnego przejęcia przez niego Erie Plastics dwa lata temu. Ktoś znajomy mówił mi, że studenci zarządzania uczą się jego techniki przejmowania przedsiębiorstw.

- No, Erie Plastics nie było wcale takie skomplikowane. Mogę ci to w skrócie wytłumaczyć i nie musisz być magistrem zarządzania, żeby to pojąć - zaoferował się Corbin.

- Proszę bardzo - popatrzyła na niego w skupieniu.

- W zasadzie sukces Cole'a polegał na tym, że w końcu konkurencji zabrakło czasu i pieniędzy. Kiedy inne korporacje decydują się wykupić spółkę, rozważają, jaką ma dla nich wartość, jeśli chodzi o wkład czasu i pieniędzy. Jeżeli koszty są zbyt wysokie, wycofują się, żeby ograniczyć straty. Tak robią znane korporacje na całym świecie. Tak robią przeciwnicy Cole'a. Kiedy toczy się walka, cały czas oceniają, co mogą stracić, a co zyskać, a później próbują przewidzieć następną krok przeciwnika. Cole jest inny. Kiedy czegoś chce, nie spocznie, póki tego nie zdobędzie, niezależnie od kosztów. Jego przeciwnicy nareszcie zdali sobie z tego sprawę i czują jeszcze większy żal. Teraz, kiedy on decyduje się na jakiś zakup, inni potencjalni kupcy wolą się wycofać, niż narażać na kłopoty i koszty. Generalnie to jest jego broń i dzięki niej wygrywa.

- A co z Erie Plastics? Przez nich stał się legendą.

Corbin skinął głową.

- W wypadku Erie Plastics konkurentów było pięciu, a my byliśmy pierwsi. Ich Zarząd w zasadzie przyjmował naszą szczerą ofertę, ale kiedy pojawili się inni oferenci, postanowili skorzystać i podnieść cenę. Suma, jakiej chcieli, i warunki, jakie stawiali, wciąż rosły, aż trzech drobniejszych konkurentów odpadli. Został tylko Itercorp i my, ale właśnie wtedy inna firma od plastików zgłosiła się do Itercorp z ofertą, która im bardziej odpowiadała. Wycofali się i wtedy my pozostaliśmy jedynymi chętnymi na Erie. Dzień później Cole zaproponował im sumę niższą niż na początku. Zaczęli krzyknąć na całej Wall Street, że zagrał nieczysto. Zyskali trochę współczucia, ale nie znaleźli się inni oferenci. Takie przejęcia kosztują majątek,

niezależnie od tego, czy się wygra, czy przegra, a Cole stał wciąż na ringu, jak mistrz wagi ciężkiej, z rękawicami na rękach i pięściami gotowymi do walki. Reszta to historia. Unified zdobył spółkę plastikową poniżej wartości, a Cole złą prasę i mnóstwo nowych wrogów.

- Nie mogę nic poradzić na jego wrogów - powiedziała Gloria - ale mam zamiar coś zrobić z obrazem naszej firmy.

- Cole'a nie obchodzą wrogowie. Obchodzi go tylko firma i wygrana. Właśnie to chciałem wcześniej powiedzieć: Cole Harrison zapłaciłby każdą cenę, żeby zdobyć Erie. Tak, jakby sama wygrana była dla niego równie ważna, jak to, co chce wygrać, a może nawet ważniejsza.

- Wydawać by się mogło, że z takim charakterem powinien ponosić porażki w interesach, a nie takie spektakularne sukcesy.

- Miałabyś rację, gdyby nie to, że prócz nieustępliwości, Cole Harrison ma niezwykły dar - powiedział Dick Rowse, nalewając sobie whisky z barku w sali konferencyjnej.

- Jaki to dar?

- Przewidywania. Ma niezwykłą zdolność przewidywania tendencji, zmian, zapotrzebowań i jest na nie przygotowany na długo przed konkurencją.

- Nie wydaje mi się, żebyś to podziwiał - Gloria była zaintrygowana.

- Podziwiam talent, ale nie człowieka - przyznał Rowse. - Cokolwiek robi, zawsze ma jakiś skomplikowany, ukryty zamiar. Analitycy z Wall Street stają na głowie, żeby go przechytryć, ale rzadko im się to udaje. My wszyscy dostajemy szalu, starając się go przechytryć.

- Wydaje się bardzo intrygującym człowiekiem. - Gloria wzruszyła ramionami, podkreślając swą niezależną opinię.

- Dlaczego sądzisz, że Cole Harrison jest człowiekiem? - zażartował Rowse. - Mam swoje powody, aby przypuszczać, że jest robotem wysokim na sto osiemdziesiąt osiem centymetrów, ze sztuczną inteligencją, ubranym w garnitur za osiem tysięcy dolarów. - Kiedy pozostałych dwoje się roześmiało, rozchmurzył się. - Śmiejecie się, ale istnieją dowody, potwierdzające moją opinię. Nie gra w golfa, nie gra w tenisa, nie interesuje się sportem zawodowym, nie prowadzi życia towarzyskiego. Jeśli ma na tym świecie jakiego przyjaciela, nikt nie wie, kto nim jest. Jego poprzednia sekretarka mi mówiła, że prywatne telefony, jakie odbierała, były wyłącznie od kobiet. Wszystkie kobiety - zakończył Rowse patrząc, oskarżycielsko na Glorię - uważają, że jest fascynujący.

- To zdecydowanie obala twoją teorię robota, Dick - zażartował Corbin.

- Niekoniecznie. Nie wiemy, czy współczesna technika nie może wyprodukować męskiego robota z...

- Z żalem przerywam tę pouczającą dyskusję - skłamała Gloria, wstając i odstawiając kieliszek - ale mam robotę, do której muszę się zabrać. Może pan Harrison nie dba o swój wizerunek, ale ma on wpływ na wizerunek korporacji, a płacą nam za jego ulepszanie. Skoro on już tu dzisiaj jest, namówmy go na konferencję prasową na temat kontraktu z Cushmanami, dalszych planów korporacyjnych i tak dalej.

- Nie zrobi tego - ostrzegł Rowse, wstając. - Już próbowałem.

- Więc spróbujmy razem i może uda nam się zaapelować do jego zdrowego rozsądku.

- Już mi odmówił. Może ty sama będziesz miała szczęście, jako początkująca, jeśli w ogóle uda ci się z nim zobaczyć.

Spotkanie z Cole'em Harrisonem było znacznie łatwiejsze, niż pozyskanie jego uwagi, zrozumiała Gloria, gdy znalazła się w sanktuarium ze szkła i chromu, ze srebrnoszarą wykładziną i meblami obitymi zamszem w kolorze burgunda. Przez dziesięć minut siedziała przed biurkiem Cole'a Harrisona, starając się przekonać go do konferencji prasowej, a on podpisywał dokumenty, rozmawiał z sekretarką, przeprowadzał rozmowy telefoniczne i ogólnie biorąc, lekcewał jej obecność. Nagle spojrzał na nią.

- Pani coś mówiła? - powiedział tonem osoby wydającej rozkaz.

- Ja... - Gloria zahała się pod wpływem tego chłodnego, takującego spojrzenia, po czym zebrała się na odwagę. - Starałam się wyjaśnić, że konferencja prasowa teraz byłaby nie tylko pożyteczna, ale wręcz niezbędna. Prasa przedstawia już przejęcie Cushmana jako rzeź. Przegrani zaczęli krzyczeć, że grał pan nieczysto, nim rozgrywka została zakończona...

- Gram, żeby wygrać. Ja wygrałem. Oni przegrali. Tylko to się liczy.

Gloria spojrzała mu prosto w oczy i postanowiła zaryzykować utratę pracy.

- Pańscy przeciwnicy i wiele osób na Wall Street uważa, że gra pan zbyt ostro i nie bierze jeńców. Prasa przedstawia pana jako drapieżnego wilka, którego bardziej cieszy zabijanie, niż jedzenie.

- Bardzo obrazowo, panno Quigley - odpowiedział ironicznie.

- To jest fakt - nie dawała za wygraną.

- Nie - zaoponował. - To jest fakt: Cushman Electronics zosta-

ła założona sześćdziesiąt lat temu przez geniusza, ale jego spadkobiercy z każdym pokoleniem byli coraz głupszy i bardziej leniwi. Ci spadkobiercy, którzy tworzyli Zarząd, urodzili się w bogactwie, chodzili do najlepszych szkół i mimo że wyrzucali w bioto wkłady inwestorów i rujnowali firmę, byli tak przekonani o własnej doskonałości, że nie zauważali, co się dzieje wokół. Nie mogli uwierzyć, że nie pojawił się żaden dawny kolega szkolny z „paczki”, żeby ich poratować potężnym zastrzykiem gotówki, który mogliby znów roztrwonić na siebie, albo chwilowo uratować się przed przejściem. Zamiast tego, przegrali ze mną, początkującym, z niewłaściwego końca drabiny społecznej. To ich upokorzyło, obraziło ich uczucia. Dlatego krzyczą „nieczysta gra”. Nie byliśmy na herbatce z uprzejmym rytuałem, braliśmy udział w bitwie. W bitwie są tylko wygrani, przegrani i ciężko przegrani. - Cole czekał, aż uzna klęskę i wycofa się, ale siedziała uparcie, milcząc i nie potakując mu. - No więc? - spytał po chwili.

- Można tak walczyć, żeby zwycięzca nie wyszedł na barbarzyńcę, a kluczem do tego jest wizerunek publiczny.

Miała rację i Cole to wiedział, ale nie bardzo miał ochotę to przyznać. Co jakiś czas, budując swe imperium, staczał prawne i finansowe bitwy z zadowolonymi z siebie arystokratami, jak ci z Zarządu u Cushmana. Za każdym razem, gdy odnosił zwycięstwo, czuł, że nienawidzą go w równym stopniu za straty finansowe, widoczne na kontach bankowych i pakietach akcji, jak i za straty moralne, jakie ponoszą, wierząc głęboko w swoją wyższość.

Cole uważał to raczej za zabawne niż obraźliwe. Bawiło go to, że gdy rozpoczynał walkę o wykup kolejnej spółki, przedstawiano go jako bezlitosnego łupieżcę, wymachującego maczugą, odkupywane spółki, jako niewinne ofiary, a pozostałych konkurentów jako szlachetnych rycerzy bez skazy. Prawda była taka, że ci szlachetni rycerze najmowali prawników, księgowych i analityków giełdowych, żeby wykonywali za nich brudną robotę, a kiedy przeciwnik był już za słaby i bronił się tylko symbolicznie, oni wkraczali na pole bitwy ze szlachecką szabelką. Po krótkim pojedynku unosili ostrze do czoła w rycerskim geście wobec ofiary, następnie wbijali je w jej ciało i schodzili z pola, przysyłając najemne siły, aby uprzątnęły prawny bałagan i pogrzebały ofiary.

W porównaniu z nimi, Cole był ulicznikiem, awanturnikiem, którego interesowało tylko zwycięstwo, a nie reputacja, nawiązywanie przyjaźni, czy okazywanie rycerskości na polu bitwy. W efekcie dorobił się wielu wrogów i niewielu przyjaciół oraz opinii

człowieka bezlitosnego, na którą częściowo zasłużył, i bez skrupułów, na którą nie zasługiwał. Nie przejmował się tym wszystkim. Wrogowie na całe życie, niesprawiedliwe zarzuty i zawiść były ceną za sukces. Cole płacił ją bez narzekania, podobnie jak i inni wizjonerzy, którzy zrobili majątek w ciągu ostatnich dwudziestu lat, czyli w warunkach ekonomicznych uznanych za niesprzyjające.

- Mówili to samo na temat Matta Farella i Intercorp pod koniec lat osiemdziesiątych - przypomniał jej Cole - a teraz na Wall Street jest traktowany jak książę z bajki.

- Rzeczywiście. Ale częściowo zawdzięcza to burzliwemu małżeństwu z ogólnie lubianą spadkobierczynią znacznej fortuny, a częściowo dzięki bardziej otwartemu na publiczność wizerunkowi.

Cole spojrzął w kierunku drzwi i skinął głową głównemu doradcy Johnowi Nederly, który został wprowadzony do gabinetu przez sekretarkę Cole'a. Gloria uznała, że jej czas z Cole'em Harrisonem dobiegł końca i wstała, pokonana.

- Kiedy chce pani urządzić tę konferencję?

Przez ułamek sekundy Gloria nie wierzyła własnym uszom.

- Ja... jak najprędzej. Może jutro? To wystarczająco dużo czasu, żeby ją zorganizować.

Podpisując jakieś papiery, które mu podała sekretarka, popatrzył na nią i potrząsnął głową.

- Dziś wieczorem wyjeżdżam do Los Angeles i będę tam do środy.

- A w czwartek?

Znów potrząsnął głową.

- W czwartek i piątek będę załatwiał sprawy rodzinne.

- To może w sobotę? - zapytała Gloria z nadzieją w głosie.

- W porządku.

Wewnętrzny okrzyk radości Glorii został natychmiast stłumiony przez sekretarkę, która, przewracając kartki kalendarza, wskazała na coś, mówiąc:

- Obawiam się, że sobota nie wchodzi w rachubę. Ma pan być w Houston.

- Houston? - spytał, wyraźnie zdegustowany tą perspektywą. - Poco?

- Na Balu Białej Orchidei. Podarował pan rzeźbę Klinemana na aukcję charytatywną, która poprzedza bal i chcą pana uhonorować za taką szczodrość.

- Wyślij kogoś innego-

Wszyscy popatrzyli ze zdumieniem, kiedy Gloria ostro zaprotestowała.

- Ja to wszystko zorganizowałam. Ta rzeźba będzie najcenniejszym przedmiotem na aukcji...

- I najbrzydszym - przerwał jej Cole tak łagodnym i rzeczowym tonem, że Gloria zachichotała.

- Dlaczego pan ją kupił? - spytała, niewiele myśląc.

- Powiedziano mi, że to będzie dobra inwestycja i rzeczywiście w ciągu ostatnich pięciu lat znacznie wzrosła w cenie. Niestety, wcale mi się nie podoba bardziej. Niech ktoś inny pojedzie do Houston i odbierze honory w imieniu korporacji.

- To musi być pan - upierała się Gloria. - Kiedy biuro reklamy zaproponowało, żeby pan coś zaoferował, był pan bardzo szczodry. Zebrane fundusze idą do Amerykańskiego Towarzystwa do Walki z Rakim, a bal jest głównym wydarzeniem krajowym dla mediów. Doskonały termin na zareklamowanie się tam i konferencję prasową tutaj w przyszłym tygodniu.

Cole przestał pisać i spojrzał na nią twardo, ale nie mógł znaleźć argumentu, przeciwko jej rozumowaniu. Zresztą w pewnym sensie pochwalał jej determinację, żeby dobrze wykonywać robotę, za którą korporacja jej płaciła.

- Dobrze - powiedział krótko.

Wstała i ruszyła do drzwi. Zrobiła kilka kroków, po czym odwróciła się i zauważyła, że obaj na nią patrzą.

- Telewizje na pewno będą się zajmowały sprawą Cushmana - zwróciła się do Cole'a. - Jeśli miałby pan czas rzucić okiem na wiadomości, chciałabym to z panem omówić i przygotować jakieś odpowiedzi na konferencję prasową.

Odpowiedział jej tonem, który wyraźnie sugerował, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Włącz wiadomości, jak będę się pakował do Los Angeles.

Kiedy wychodziła, Cole usiadł głębiej w fotelu i popatrzył na głównego doradcę, który obserwował wyjście Glorii.

- Ale twarda, co? - rzucił John, kiedy już nie mogła ich usłyszeć.

- Bardzo.

- I świetne nogi. - John powrócił do spraw służbowych. - Tu są upoważnienia, które musi podpisać twój wuj przed zebraniem zarządu - powiedział, przesuwając jakieś papiery po szklanym blacie. - Cole, nie chciałbym być złym prorokiem, ale wuj naprawdę powinien przepisać na ciebie swoje udziały w korporacji, zamiast za każdym razem dawać osobne upoważnienie. - Wiem, że z jego testamentu wynika, iż jesteś jedynym spadkobiercą jego udziałów, ale

nie śpię nocami, zlany zimnym potem na myśl, co by się stało, gdyby nagle przestał je podpisywać, dostał sklerozy czy coś w tym rodzaju.

Cole spojrzał w stronę adwokata, pakując papiery do teczki.

- Niepotrzebnie się przejmujesz. - Odwrócił się i zaczął zbierać dokumenty z szafki za biurkiem. - Cal jest bystry jak za młodych lat.

- Mimo to - nalegał John, zwracając się do pleców Cole'a - jest już po siedemdziesiątce, a starszych ludzi łatwo namówić do dziwnych i często szkodliwych rzeczy. W zeszłym roku, na przykład, grupa drobnych udziałowców ze spółki chemicznej w Indianie postanowiła sprzeciwić się połączeniu, jakie chciał przeprowadzić zarząd. Odnaleźli starszą panią, która odziedziczyła po mężu większościowy pakiet akcji, i przekonali ją, że działanie zarządu zmierza do obniżenia wartości jej akcji. Zawieźli ją z Kalifornii do Indiany, gdzie osobiście zagłosowała przeciwko połączeniu i zablokowała całą akcję. Po kilku tygodniach napisała do zarządu list, wyjaśniając, że została do tego zmuszona!

Cole zamknął szafkę, obrócił się z fotelem i pakując dokumenty, przyglądał się zakłopotanemu adwokatowi z nieukrywanym rozbawieniem. Calvin Downing był wujem jego matki, ale był mu znacznie bliższy niż rodzony ojciec. Znał go tak dobrze, że obawy Johna wydały mu się niedorzeczne.

- Wiem, że jeszcze nikt, łącznie ze mną, nigdy nie przekonał ani nie zmusił Cala do zrobienia czegoś, czego nie chciał zrobić, ani nie przeszkodził wtedy, kiedy chciał.

Kiedy John wciąż wydawał się nie przekonany, Cole przytoczył pierwszy przykład, jaki mu się przypomniał.

- Przez pięć lat namawiałem go, żeby opuścił ranczo i przeniósł się do Dallas, ale nie chciał. Przez następnych pięć starałem się go przekonać, żeby zbudował sobie na ranczo ładniejszy dom, ale spierał się, że niepotrzebny mu nowy dom i że to strata pieniędzy. Był już wtedy wart co najmniej pięćdziesiąt milionów dolarów i mieszkał wciąż w tym samym starym domku, w którym się urodził. W końcu dwa lata temu zdecydował się na pierwsze i ostatnie prawdziwe wakacje. Kiedy wyjechał na sześć tygodni, sprowadziłem ekipę cieśli i zbudowali mu piękny dom na zachodniej stronie rancza. - Cole zamknął teczkę i wstał. - Zgadniesz, gdzie teraz mieszka?

John pochwycił nutkę ironii w głosie Cole'a.

- *W* swoim starym domu?
- Właśnie.
- I co on tam robi, zupełnie sam, w starym domu?
- Nie jest zupełnie sam. Ma od dziesięcioleci tę samą gospodynię i kilku pomocników na rancho. Zajmuje się przeszkadzaniem im, albo czytaniem, bo to zawsze było jego ulubionym zajęciem. Jest zagorzałym czytelnikiem.

Ta ostatnia informacja zupełnie nie pasowała Johnowi do stereotypu starego teksańskiego farmera.

- A co czyta?
- Czyta wszystko, co mu wpadnie w ręce, a dotyczy tematu, który go fascynuje na danym etapie życia. Etapy trwają zwykle trzy do czterech lat i w tym okresie pochłania dziesiątki tomów na bieżący temat. Przeszedł okres, kiedy czytał wyłącznie biografie bohaterów wojennych od początku udokumentowanej historii, później na jakiś czas przerzucił się na mitologię. Następnie była filozofia, psychologia, historia, w końcu westerny i kryminały - Cole przerwał, żeby zaznaczyć coś w kalendarzu i ciągnął dalej. - Rok temu zaczął się interesować namiętnie popularnymi magazynami i czyta wszystko, od „Kwartalnika Geograficznego” poprzez „Playboya” do „Ladies Homes Journal” i „Cosmopolitan”. Mówi, że popularne magazyny są najlepszym odzwiedleniem zbiorowego stanu umysłu współczesnego społeczeństwa.

- Doprawdy? - zdziwił się John, skrywając instynktowną nieufność do dziwactw upartego, starego milionera, który posiadał olbrzymi pakiet akcji w Unified Industries i który mógłby, gdyby chciał, zniszczyć skomplikowaną strukturę korporacji, na którą składały się między innymi spółki zależne, oddziały i porozumienia. - Czy wyciągnął jakieś wnioski ze swoich lektur?

- Tak. - Cole rzucił mu ironiczne spojrzenie i spojrzawszy na zegarek, wstał. - Zdaniem Cala, nasze pokolenie w sposób skandaliczny pogwałciło zasady moralności, przyzwoitości, etyki oraz osobistej odpowiedzialności. Do tego wychowujemy młode pokolenie, które nawet nie zna tych pojęć. Mówiąc krótko, Cal doszedł do wniosku, że Ameryka schodzi na psy w taki sam sposób, jak niegdyś starożytna Grecja i Rzym i z tych samych powodów, które wpłynęły na ich upadek, gdy były światowymi mocarstwami. To porównanie, nawiasem mówiąc, jest Cala, a nie moje.

John wstał i podszedł z nim do drzwi, ale Cole przystawał z ręką na klawce.

- Masz oczywiście rację, że Cal powinien przepisać swoje akcje

na mnie. Powiniennem być sam się tym zająć, ale z różnych powodów to odkładałem. Spróbuję załatwić z nim tę sprawę, kiedy się z nim zobaczę w tym tygodniu.

- Spróbujesz załatwić? - powtórzył zaniepokojony adwokat. - Czyżby był z tym jakiś problem?

- Nie - odpowiedział Cal, trochę nieszczere.

Prawda była taka, że nie miał ochoty opowiadać nikomu obcemu o roli, jaką odegrał Cal w jego życiu, o swojej wdzięczności i miłości. Nie potrafiłby wyjaśnić prawnikowi firmy, że wyłącznie z sentymentalnych pobudek nie potrafił poprosić swego wuja o przepisanie na siebie akcji, które Cole mu wydał czternaście lat temu.

Wtedy Unified Industries były zaledwie odległym marzeniem Cole'a, ale wuj słuchał opowieści o jego planach. Z nieograniczoną wiarą w możliwości realizacji ambitnego zamierzenia Cal pożyczył mu na początek pół miliona dolarów, co stanowiło wówczas cały jego dochód z dzierżawy roponośnego gruntu, oraz pożyczkę z banku na dwieście tysięcy dolarów. Cole zwrócił się wtedy o pożyczkę do bankiera w Dallas, na dodatkowe siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wykorzystując jako zabezpieczenie przyszłe dochody Cala z szybów naftowych. Uzbrojony w ponad milion dolarów, bystrość umysłu i bogactwo wiedzy, zdobytej głównie poprzez słuchanie Charlesa Haywarda i innych milionerów, rozmawiających w stajni, Cole po raz pierwszy postawił pieniądze na najbardziej ryzykowne, ale potencjalnie najbardziej zyskowne przedsięwzięcie, dzierżawę terenów roponośnych i gazonośnych.

Postanowił kupić udziały w mniejszej firmie, tej której poświęciło się na terenach Cala. Jej właścicielem i bardzo złym zarządcą był Alan South, zarozumiały trzydziestotrzylatek, który uwielbiał znajdować ropę tam, gdzie innym się nie udało. Wolał odnosić spektakularne sukcesy, niż dbać o dochody, chętnie więc przyjął partnera z pieniędzmi na inwestycje. Alan nie był chętny do przekazania Cole'owi kontroli finansów, ale Cole był uparty, więc nie miał wyjścia.

Cole postanowił, że wuj będzie pełnoprawnym partnerem oraz że zwróci mu pożyczkę, której Cal mu udzielił, i wszystko zostało spisane przez prawnika. W ciągu następnych trzech lat Alan podejmował wiele nieudanych prób, na których finansowanie Cole nie chciał się, zgodzić, i wciąż ze sobą walczyli. W końcu Cole pozwolił Alanowi wykupić się za pięć milionów dolarów i rozstali się w przyjaźni.

Za zgodą wuja Cole wykorzystał jego dochody z szybów na zakup trzech małych zakładów produkcyjnych, zatrudnił nowe kierownictwo, zadbał o nowoczesne wyposażenie i zwrócił uwagę na obsługę klienta- Kiedy tylko dochody szły w górę, sprzedawał każde przedsiębiorstwo. W tak zwanym przez siebie wolnym czasie uczył się giełdy i doszedł do wniosku, że szczęście i wycucie czasu miało takie samo, jeśli nie większe, znaczenie jak umiejętności i wiedza. Spróbował kilku poważnych inwestycji.

Po trzech latach jego pięć milionów dało sześćdziesiąt pięć. Jedynym warunkiem, jaki przez ten cały czas Cal postawił Cole'owi, było zatrudnienie drugiego siostrzeńca - Tralisa Jerrola. Travis był pięć lat starszy od Cole'a, pochodził z drugiej strony Teksasu, miał dyplom wyższej uczelni i ładną żonę Elaine, którą Cole bardzo lubił, i dwoje rozpuszczonych dzieci, Donne Jean i Teda, których Cole absolutnie nie lubił. Spotkali się przedtem tylko raz, jako nastolatki, ale spodobał mu się pomysł wprowadzenia do firmy rodzinnej lojalności.

Cole zaczął się rozglądać za dochodową spółką, wokół której mógłby zbudować własną korporację. Chodziło o produkt lub usługę, na które będzie rosł popyt. Choć wszyscy uważali, że IBM i Apple, zawładną wkrótce całym rynkiem komputerowym, on był przekonany, że tańsze, ale dobrej jakości nowe marki mogą przejąć dużą część rynku komputerów osobistych. Wbrew radom, zakupił małą firmę zwaną Hancock i wymyślił swoją własną nazwę. Potroił możliwości sprzedaży, wzmógł kontrolę jakości i wydał mnóstwo pieniędzy na kampanię reklamową. W ciągu dwóch lat komputery Hancock sprzedawano w punktach sprzedaży detalicznej w całym kraju i miały one znakomitą opinię. Kiedy wszystko już dobrze szło, powołał Tralisa na nowego dyrektora firmy, na co jego żona zareagowała łzami wdzięczności, a Travis nerwową wysypką.

Travis okazał się bardzo cennym nabytkiem dla rodzinnego przedsięwzięcia- Jeśli nie starczało mu inwencji, nadrabiał to lojalnością, determinacją i skrupulatnym przestrzeganiem zaleceń Cole'a. Kiedy cztery lata później Cole stworzył nowy dział badawczo-rozwojowy w Unified, mianował Tralisa jego szefem.

Rozdział 11

-Jestem pani wielbicelką, panno Foster - wyznała charakterystyka w CNN, ostrożnie szcztokując długie do ramion, błyszczące włosy Diany. - Moja mama, siostra i ja czytamy pani magazyn co miesiąc, od pierwszej do ostatniej strony.

Pokój, w którym poprawiano makijaż gościom czekającym na wejście na wizję był taki sam, jak w większości stacji telewizyjnych w kraju, poza tym, że w CNN był większy. Dwa blaty umieszczone wzdłuż wąskiego pokoju jeszcze go wydłużały. Nad nimi wisały oświetlone lustra, a przy blatach, w odstępach prawie dwumetrowych, ustawiono krzesła. Przy każdym stanowisku tłoczyły się słóiczki, buteleczki, szminki, cienie do powiek, ołówki do oczu, komplety szcztok i grzebieni.

Czasami wszystkie stanowiska zajęte były przez gości, przygotowywanych do występu, ale dzisiaj Diana była jedyną osobą, z którą przeprowadzano wywiad. Młoda dziewczyna, która robiła jej makijaż, była pełna entuzjazmu.

- Na urodziny mojej siostry zrobiłyśmy tort z budyniem waniliowym, według przepisu pani babci. Ozdobiłyśmy go jagodami w glazurze, zupełnie jak na zdjęciu. Potem zebrałyśmy naręczę piwonii do ozdoby stołu, a prezent owinęłyśmy papierem, który popiecztowałyśmy stemplami w kształcie piwonii, ja złotym, a mama srebrnym. Wyglądało wszystko wspaniale!

- Bardzo miło mi to słyszeć - Diana uśmiechnęła się nieobecnym uśmiechem, nie odrywając wzroku od pilnych faksów, które dostała przed południem do hotelu.

- Mamie udało się w końcu namówić tatę, żeby spróbował sposobu pani dziadka na wyhodowanie dużych, soczystych truskawek, i wyrosły olbrzymie, a jakie pyszne! Kiedy najpierw oglądał je na zdjęciu w magazynie, powiedział, że to jakiś trik

fotograficzny, ale jego też wyrosły fantastycznie. Potem zbudował skrzynię na kompost, identyczną z tą, która pani dziadek pokazywał w magazynie. Teraz czyta razem z nami „Piękniejsze Życie Fosterów”!

Czuąc, że powinna jakoś zareagować, Diana znów się uśmiechnęła, nim zaczęła czytać drugą stronę faksu z biura Fosters Enterprises w Houston. Dziewczynie ta zachęta zupełnie wystarczyła.

- Właściwie wszyscy, których znam, czytają pani magazyn. Pani pomysły uwielbiamy, a zdjęcia pani siostry są cudowne! A pani mama to tak o was wszystkich pisze, że jak czytam, to mam wrażenie, że znam całą rodzinę. Jak Corey urodziła bliźniaczki, od razu zabrałyśmy się do szydełkowania bucików dla nich. Mam nadzieję, że je dostała.

Diana spojrzała na nią i uśmiechnęła się po raz trzeci.

- Na pewno dostała.

Dziewczyna przeciągnęła jeszcze pędzlem po wydatnych kościach policzkowych Diany i cofnęła się.

- Skończyłam - powiedziała prawie z żalem. - W rzeczywistości jest pani jeszcze ładniejsza, niż na zdjęciu w magazynie.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Diana, odkładając faksy i spojrzała na dziewczynę.

- Ma pani około dziesięciu minut, nim zaprowadzą panią do studia.

Kiedy charakteryzatorka wyszła, Diana zajrzała do Cindy Bertillo, szefowej od mediów w magazynie „Piękniejsze Życie Fosterów”, która przyjechała z nią do Atlanty i czekała w pobliżu podczas makiyażu.

- Są jeszcze jakieś faksy? - spytała Diana, notując coś na dwóch poprzednich, które następnie wręczyła Cindy, żeby je przesłała do biura po powrocie do hotelu.

- Nie, to wszystko - odpowiedziała Cindy, wkładając papiery do teczki.

Miała trzydzieści dwa lata, krótko ostrzyżone ciemne włosy, za duże okulary, szybkie, energiczne ruchy i cały czas wyglądała tak, jakby szukała nowych sposobów na reklamę magazynu Fosterów. I tak istotnie było.

Diana spojrzała na zegarek i skrzywiła się.

- Nie znoszę tych wywiadów. Zabierają za dużo czasu. Mam jutro sześć zebrań, księgowi chcą sprawdzić wstępny rachunek zysków i strat, a do tego powinnam finalizować sprawę nowego albumu. Mam zaległości we wszystkich

Cindy dobrze znała morderczy tryb pracy Diany, która miała teraz trzydzieści jeden lat i była znaną damą biznesu. Niechcący stała się idolką, a zawdzięczała to swej niezwyklej fotogeniczności i umiejętności zachowania pozornego spokoju, nawet gdy sytuacja była krytyczna, a nerwy jej ledwo wytrzymywały. Mimo gorącego pragnienia zachowania prywatności, jej klasyczne rysy, wyraźny koloryt i naturalna elegancja sprawiały, że była ulubienicą dziennikarzy, fotografów i gospodarzy telewizyjnych talk-show.

Cindy uśmiechnęła się współczująco i powtórzyła to, co mówiła zawsze w tych sytuacjach,

- Wiem, ale kamery telewizyjne cię kochają, a wywiady pomagają w sprzedaży magazynu. - Przechyliła głowę, żeby lepiej ocenić kompozycję żółtego kostiumu Diany, kasztanowego błysku we włosach i zielonych oczu. - Wyglądasz wspaniale.

Diana wzniosła oczy "W górę i nie zwracając uwagi na komentarz, powiedziała:

- Staraj się częściej umawiać na te wywiady babcię i mamę, nawet dziadka, ale nie mnie. Babcia i mama są sercem i duszą całego ideału Fosterów, to one są tym magazynem. Wpakuj Corey do telewizji, na litość boską, dzięki jej genialnym zdjęciom magazyn jest taki atrakcyjny. Ja jestem tylko figurantką, zajmuję się biznesem i czuję się jak oszustka podczas tych wywiadów. Poza tym jestem po prostu zbyt zajęta.

Kiedy zabrakło jej argumentów, Cindy odezwała się bardzo uprzejmie, ale stanowczo:

- Media chcą ciebie, Diano. Poza tym - dodała z ponurym uśmiechem - nie możemy pozwolić babci na wywiady na żywo. Zdrobiła się na starość nadmiernie szczerą. Nie mówiłam ci tego, ale w zeszłym miesiącu, kiedy nagrywała program dla Dallas CBS, prowadzący zapytał ją, jaka jest różnica między „Piękniejszym Życiem Fosterów” a jego największym konkurentem „Nowym Stylem”.

Cindy, z trudem ukrywając rozbawienie, czekała, aż Diana zada pytanie.

- A co takiego babcia powiedziała?

- Powiedziała, że kiedy robiła ręcznie ozdabianą lampę według instrukcji z „Nowego Stylu”, omal nie spaliła całego domu.

Diana stłumiła przerażony śmiech.

- A potem dodała, że jadła już smaczniejszy gips, niż tort weselny „Nowego Stylu”.

- O Boże! - Diana pękała już ze śmiechu na całego.

- Gdyby to szło na żywo, szczerłość babci wpakowałyby nas

w niezły procesik - ciągnęła Cindy z ironią. - Ubłagałam prowadzącego, żeby nie wykorzysta! tego, co uznał za najbardziej soczysty kawałek całego wywiadu. - Cindy nachyliła się i wyznała. - Zgodził się, ale następnym razem, jak będę w Dallas, muszę się z nim umówić na randkę.

- To rozsądny układ - powiedziała Diana z poważną miną, po czym obie wybuchnęły śmiechem. - Babcia nie mówi tego ze złośliwości - wyjaśniała już poważniej - tylko na starość uznała, że szkoda resztki jej sił na prawienie nieszczerych komplementów.

- Tak mi to tłumaczyła w Dallas. Więc umawiam twoją mamę, Corey i dziadków, kiedy tylko się da, wiesz przecież o tym. Organizuję im specjalne programy; w których demonstrują swoje cudowne pomysły, ciesząc się wielkim powodzeniem. Ale kiedy chodzi o talk-show i wywiady, publiczność chce widzieć ciebie.

- Zrób coś, żeby zmienili upodobania.

- Może mi się uda, jak zmienisz twarz - odparowała Cindy z uśmiechem. - Zbrzydnij, utyj. Zrób się zarozumiała, trochę bezczelna. Telewizjowicze natychmiast to zauważą i przestanieś być atrakcyjna.

- Dzięki, bardzo jesteś pomocna - powiedziała Diana.

- Co mogę poradzić na to, że stałaś się symbolem? Czy to moja wina, że ludzie cię postrzegają jako amerykańską boginię domowego ogniska?

Diana zrobiła komiczną minę, słysząc ten zwrot, wymyślony przez komentatora CBS, który w zeszłym roku przeprowadzał z nią wywiad.

- Nie mów nikomu, że od dwóch lat nie miałam czasu nic ugotować w domu, ani że zatrudniłam architekta wewnątrz do urządzenia mojego mieszkania, bo jestem zbyt pochłonięta pracą.

- Szczypcami tego ze mnie nie wyrw! - zażartowała Cindy, ale zaraz spoważniała, odsunęła kosmetyki i przysiadła na blacie. - Dianno, w ciągu ostatnich paru miesięcy żartujesz sobie na takie tematy, a ja się potwornie denerwuję. Kiedy zakładałaś ten magazyn, miałaś otwartą drogę, ale od dwóch lat to się radykalnie zmieniło. Nie muszę ci mówić, jak wzrosła konkurencja, ile ma za sobą pieniędzy i że zrobi wszystko, żeby zrzucić „Piękniejsze Życie Fosterów” z pierwszego miejsca. Najwięksi wydawcy otwierają własne magazyny i próbują stworzyć własne symbole. Jeżeli znajdują choć jedną twoją słabą stronę, wykorzystają ją, żeby roznieść ciebie i twój magazyn na strąpy we wszystkich mediach. I niezależnie od tego, jak bardzo utalentowane są twoja mama, babka i asystentki, to ciebie kobiety amery-

kańskie uważają za symbol Fosterów. Wiem, że jesteś wykończona i że nie chcesz łączyć życia prywatnego z zawodowym, ale dopóki nie wyjdiesz za Dana Penwortha i nie będziecie mieli domu, urządzonego według tych wszystkich rad, jakie dajemy w magazynie, nie wolno ci nawet żartować na temat braku życia domowego. Jeżeli konkurencja się o tym dowie, zrobi z ciebie w prasie kompletną oszustkę.

Diana wyprostowała się i starała się ukryć złość w głosie.

- Jestem dyrektorem dużej, rozwijającej się firmy i nie mam czasu na rysowanie szlaczków na tapecie.

Cindy zdumiał ten ton, w którym usłyszała płaczącą nutę i zdała sobie sprawę, że Diana, która zawsze była wcieleniem żywotności, optymizmu i pogody, stała na skraju załamania. Trudno się zresztą było dziwić, biorąc pod uwagę odpowiedzialność, jaką dźwigała. Praca właściwie wykluczała jej życie osobiste. W dodatku od dwóch lat trzymała za kulisami narzeczonego, czekającego na ślub, który miał być wcieleniem ideału Fosterów.

- Przepraszam - powiedziała Cindy łagodnie. - Nie chciałam ci sprawić przykrości. Może przynieść ci kawy?

- Chętnie - uśmiechnęła się do niej Diana. - Chętnie się napiję.

Cindy wyszła, zamykając za sobą drzwi, a Diana obróciła się na krześle i spojrzała w lustro.

- Powiedz mi - odezwała się cicho do swego odbicia. - Dlaczego taka miła dziewczyna jak ty znalazła się w takim miejscu? Twarz w lustrze odwzajemniła się smutnym uśmiechem. Odpowiedź była prosta: konieczność i rozpacz po śmierci ojca, który umarł po wylewie osiem lat temu, kazały jej zaryzykować, żeby utrzymać rodzinę. Właściwy czas i trochę szczęścia doprowadziły rodzinę znacznie dalej, niż ich skromne plany. Czas, szczęście i być może trochę niebiańskiej pomocy ze strony Roberta Fostera.

Po pogrzebie, kiedy adwokat ojca przedstawił rzeczywisty stan ich finansów, opowiadając pogrążonej w żałobie rodzinie o fatalnych wynikach giełdy w ostatnich miesiącach i majątku, który stanowił zabezpieczenie, jedna tylko Diana potrafiła zrozumieć prawdziwe znaczenie jego słów: po spłaceniu długów ojca, rodzinie pozostanie tylko dom, w którym mieszkają, i meble.

W rozpaczliwym wysiłku, żeby jakoś utrzymać rodzinę, Diana postanowiła zarobić pieniądze na podziwianym w okolicy zamiłowaniu rodziny do ładnego stylu życia. Zdołała znaleźć dobrych doradców, zrobić biznes-plan i pożyczyć trochę pieniędzy na początek. W końcu udało jej się zmienić wyjątkowy styl życia rodziny w wielomilionowy interes.

Rozdział 12

Stojąc z namydloną twarzą przed marmurową umywalką, Cole przejeżdżał po szyi maszynką do golenia i jednocześnie słuchał wiadomości z telewizji. W gabinecie sąsiadującym z sypialnią wbudowano olbrzymi ekran, który można było zakryć zasuwanyymi drzwiami.

Na łóżku leżała jego walizka, spakowana na wyjazd do Los Angeles, a w jadalni Michelle przygotowywała drinki. W CNN przedstawiano gościa, z którym za chwilę miała się odbyć rozmowa.

- Od czasu, gdy Diana Foster wcieliła w życie plan, żeby rodzinne hobby przekształcić w interes, jest ona nie tylko redaktorem miesięcznika „Piękniejsze Życie Fosterów”, ale prezesem świetnie prosperującej korporacji, z siedzibą w Houston, zajmującej się wieloma dziedzinami, między innymi telewizją oraz produkcją i sprzedażą naturalnych środków czyszczących. Cole opłukiwał twarz, kiedy usłyszał nazwisko gościa. W pierwszej chwili myślał, że to czysty zbieg okoliczności, ale kiedy padła jeszcze nazwa Houston, wyprostował się i chwycił ręcznik. Wycierał resztki piany, wchodząc do gabinetu.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, gdy patrzył na uroczą postać Diany Foster, a gospodarz programu prezentował jej biografię.

- W ciągu ostatnich dwóch lat Diana pojawiała się na okładkach „People” i „Working Woman”, Pisano o niej w gazetach, począwszy od „The New York Timesa”, poprzez „Enquirer” i „Star”. „Working Woman” podawała ją za przykład, jaka może i powinna być kobieta-dyrektor. „Cosmopolitan” opisał ją w artykule zatytułowanym „Kobiety piękne, mądre i odważne”. - Prowadzący zwrócił się do swego gościa. - Diana, jeden z dziennikarzy nazwał cię „Najwyższą kapłanką domowego piękna i wdzięku”. Jak się z tym czujesz?

Zaśmiała się tym śpiewnym, cichym śmiechem, który Cole pamiętał sprzed lat, i wciąż jeszcze jej uśmiech i błyszczące oczy robiły na nim wrażenie.

- Oczywiście mi to pochlebia - powiedziała - zresztą zupełnie niezасłużenie. „Piękniejsze Życie Fosterów” jest wspólnym dziełem całej rodziny, a ja jestem tylko niewielką jego częścią.

- Miałaś zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy zdecydowałaś się na sprzedaż tego, co dotychczas było znanym tylko w Houston stylem życia rodzinnego. Byłaś pełna młodzieńczego optymizmu, czy miałaś też jakieś obawy, kiedy rozpoczynałaś wydawanie magazynu?

- Miałam tylko jedną obawę - powiedziała uroczyście, ale Cole uśmiechnął się, bo znając ją dobrze, uchwycił w jej głosie żartobliwą nutkę - która nie dawała mi spać nocami przez dwa lata.

Gospodarz programu potraktował ją bardzo serio.

- A cóż to była za obawa?

Zaśmiała się.

- Że mi się nie uda! - dziennikarz jeszcze chichotał, kiedy dodała. - I muszę wyznać, że część majątku i sławy moich przodków pochodziła z rabowania banków i kradzieży bydła. Właściwie najbardziej szacownym członkiem rodziny, aż do 1900 roku, był zawodowy hazardzista, którego zastrzelono za oszustwa karciane w saloonie w Fort Worth.

Stojąc boso na środku biblioteki, z rękami na biodrach i uśmiechem na ustach, Cole zachichotał z jej dowcipu i szczerości.

Za jego plecami weszła do pokoju Michelle, niosąc na tacy drinki i przekąski.

- Co takiego śmiesznego? - spytała, stawiając tacę na stoliku, a następnie wygładzając jedwabne spodnie i bluzkę.

Cole kręcił głową, nie odrywając wzroku od twarzy Diany na ekranie.

- To Diana Foster - wyjaśniła mu. Michelle pochodziła ze znanej rodziny w Dallas, z ważnymi powiązaniem w Houston, i znała wszystkie „trupy w szafie” ludzi ze swych kręgów towarzyskich. - Wykorzystała reputację rodziny, pożyczyla sporo pieniędzy i rozpoczęła interes, w którym pracuje cała rodzina. Nikt nie wierzył, że im się uda, ale udało się znakomicie. Na początku, kiedy Diana to zaczynała, wszyscy się bardzo dziwili, a teraz ma wielu wrogów.

Cole oburzył się w imieniu Diany.

- Dlaczego?

- Kotku, to jest Teksas, nie wiesz? Siedziba „naszych chłopaków”, gdzie wciąż funkcjonuje mit męskiej wyższości, a „macho” jest słowem świętym. W Teksasie bogaci mężczyźni traktują swoje żony i córki protekcjonalnie i rozpieszczają je. Żony i córki nie powinny same zabierać się do niczego, a już na pewno nie mogą odnosić dużych sukcesów czy być bardziej znane od mężczyzn. - Podczas kiedy Cole przetrwaja! jeszcze niewątpliwe prawdy, jakie mu Michelle przekazała, ona rysowała palcem po krótkich, czarnych włosach na jego piersi. - Poza tym Diana Foster jest piękna, niezamężna i ma klasę. Kiedy się to wszystko podsumuje, jasne jest, że przedstawicielki mojej płci raczej jej zazdroszczą, niż ją lubią.

Cole popatrzył na długie, arystokratyczne palce z polakierowanymi paznokciami, drażniące zakończenia nerwów na jego piersi.

- Czy dotyczy to również ciebie? - zapytał, chociaż wiedział, że nie.

W wieku trzydziestu dwóch lat Michelle była już zbyt inteligentna i zbyt mądra, żeby tracić czas na zazdroszczenie innej kobiecie. Poza tym, wybrała już kandydata na trzeciego męża i Diana Foster nie była dla niej zagrożeniem.

- Nie - odpowiedziała, odrzucając głowę i patrząc mu w oczy. - Ale gdybym mogła, zamieniłabym się z nią w ciągu dziesięciu sekund. Byłam już ofiarą tej protekcyjności i rozpieszczania ze strony mojego ojca i dwóch mężów.

Była piękna i szczerą, a w łóżku jak kocica. Poza zainteresowaniem seksualnym i intelektualnym, Cole czuł do niej prawdziwą sympatię. Splótł palce za jej plecami i przyciągnął ją do siebie.

- To może chodźmy do łóżka, żebym teraz ja mógł cię rozpieszczać.

Potrząsnęła przecząco głową i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Wobec tego pójdziemy do łóżka - zaripostował - i ty będziesz rozpieszczać mnie.

Michelle nigdy nie odrzucała okazji pójścia z nim do łóżka, więc był zdziwiony, że ponownie odmówiła.

- Może zamiast tego ożeniłbyś się ze mną?

Cole nie zmienił wyrazu twarzy.

- Nie - szepnął tylko, a potem zakrył jej usta swoimi.

- Mogłabym dać ci dzieci - powiedziała drżącym głosem, kiedy uniósł głowę. - Chciałabym mieć dzieci.

Cole wzmocnił uścisk i znów zamknął jej usta gorącym pocałunkiem, który nie pasował zupełnie do wypowiedzianych lodowatym tonem słów.

- Ja nie chcę dzieci, Michelle.

Rozdział 13

Zadzwoił telefon na biurku recepcjonistki i Tina Frederick podniosła słuchawkę.

- „Piękniejsze Życie Fosterów” - powiedziała żywym, energicznym głosem, charakteryzującym postawę wszystkich pracowników Fosterów.

- Tina, tu Cindy Bertillo. Czy Diana wróciła już z lunchu?

Mówiła tak zdenerwowanym głosem, że Tina odruchowo się obejrzała, żeby sprawdzić, czy nie drgnęły przypadkiem drzwi obrotowe do holu.

- Nie, jeszcze nie.

- Jak ją tylko zobaczysz powiedz, że muszę natychmiast z nią porozmawiać. To pilne.

- Dobrze, powiem.

- Jesteś pierwszą osobą, obok której przechodzi, wchodząc do budynku. Pod żadnym pozorem nie opuszczaj biurka, póki jej nie przekażesz tej wiadomości.

- Nie, nie opuszczę.

Kiedy odłożyła słuchawkę, Tina zaczęła się zastanawiać, jaka to pilna sprawa mogła się wydarzyć, ale nie wątpiła, że cokolwiek to było, Diana poradzi sobie z łatwością i nie okaże takiego zdenerwowania, jakie przebijało z głosu Cindy.

Spokój i humor Diany Foster były podziwiane przez wszystkich 260 pracowników Foster Enterprises, zatrudnionych w biurze w śródmieściu Houston. Od pokoju gości do dyrektorów Diana znana była z uprzejmości i szacunku, okazywanych wszystkim, którzy z nią i dla niej pracowali. Niezależnie od tego, w jakim była stresie i jak długo pracowała, zawsze przechodząc obok któregoś z pracowników, uśmiechnęła się czy skinęła głową.

Trudno więc się dziwić, że Tina aż wstała z krzesła ze zdumienia, kiedy Diana wpadła jak burza przez obrotowe drzwi ze zwinęta pod pachą gazeta i bez słowa przemknęła obok jej biurka.

- Panno Foster! - zawołała, ale jej zwykle urocza szefowa nie raczyła nawet spojrzeć.

Diana mszyła korytarzem między stanowiskami sekretarek i biurami redaktorów, nie odzywając się do nikogo, przemknęła obok działu graficznego, nie mówiąc nic na temat następnego numeru, nacisnęła przycisk windy i zniknęła w niej natychmiast. Jej sekretarka, Sally, kiedy zobaczyła ją wysiadającą z windy, przygotowała informacje na temat wszystkich odebranych telefonów, bo Diana pytała zawsze o to, gdy tylko się pojawiała. Tymczasem Diana przeszła obok jej stanowiska, jak gdyby dziewczyna była niewidoczna, i znikła w swym gabinecie. Sally wstała, trzymając karteczki z wiadomościami w ręku, a kiedy się rozejrzała, zauważyła, że inne sekretarki też zerkają z ciekawością w kierunku gabinetu Diany. Poszła za nią, chcąc koniecznie dostarczyć informacje.

- Dzwoniła pani Underwood w sprawie Balu Białej Orchidei - zaczęła, odczytując pierwszą z trzech karteczek. - Prosiła, żeby powiedzieć, że ten naszyjnik z ametystów i brylantów, który pani będzie prezentować na aukcji charytatywnej, jest cudowny i gdyby nie fakt, że jak wszyscy przypuszczają, kupi go dla pani Dan Penworth, namówiłaby męża, żeby jej kupił. - Sally przerwała i spojrzała na Dianę. - Chyba trochę żartowała.

Czekała na jakąś dowcipną reakcję, ale Diana tylko sztywno kiwnęła głową, rzuciła gazetę na biurko i zdjęła czerwony wełniany żakiet, niedbale go wieszając na oparciu obrotowego fotela.

- Były jeszcze jakieś telefony? - spytała ze zwieszoną głową.

- Tak, dzwonili z salonu ślubnego powiedzieć, że mają kilka nowych sukni z Paryża, które na pewno będą się pani bardzo podobały. Diana zamarła, a po chwili odwróciła się od biurka i podeszła do przeszklonej ściany z widokiem na słoneczne niebo Houston. Rozcierała ramiona, jakby było jej za zimno w białej, jedwabnej bluzce.

- Jeszcze coś? - zapytała tak cicho, że Sally musiała podejść bliżej, żeby ją usłyszeć,

- Dzwonił Bert Peters. Mają problem z rozmieszczeniem dwóch zdjęć do następnego numeru i starają się teraz coś z tym zrobić. Bert pytał, czy to dzisiejsze zebranie produkcyjne można przełożyć z trzeciej na czwartą?

Diana odezwała się jeszcze ciszej, ale zdecydowanie.

- Odwołaj je.

- Odwołać? - powtórzyła Sally z niedowierzaniem.

Diana przełknęła ślinę.

- Przełóż na jutro na ósmą rano. - Po chwili dodała. - Jeżeli moja siostra jest w budynku, poproś ją, żeby tu przyszła.

Sally skinęła głową, sięgnęła do telefonu na biurku Diany i zadzwoniła pod numer wewnętrzny gdzie spodziewała się zastać Corey.

- Corey jest na dole w dziale produkcji i pomaga przy układzie zdjęć. Bert mówi, że chyba rozwiązała problem.

Sally powtórzyła Corey prośbę siostry i zaniepokojona popatrzyła na nieruchomą postać Diany. Ludzie, którzy jej nie znali, patrząc na jej klasyczne rysy, spokojną elegancję i łagodny głos ulegali mylnemu wrażeniu, że jest rozlazłą panią z towarzystwa, która udaje pracę charytatywną i wpada czasami na zebranie do biura, a wieczory poświęca na dbanie o delikatną urodę. Jednak ci, którzy z nią pracowali, tak jak Sally, wiedzieli, że Diana jest ciężko pracującą osobą, z niewyczerpanymi pokładami energii i entuzjazmu.

Kiedy zbliżał się comiesięczny termin kończenia magazynu, trzeba było zwykle pracować codziennie aż do północy. Gdy wszyscy byli już zbyt zmęczeni, żeby robić cokolwiek innego, niż opaść w fotelach, Diana, której obowiązki też często trzymały ją do późna w gabinecie na ostatnim piętrze, przychodziła do działu produkcji z uśmiechem na ustach i z tacą z kawą i kanapkami.

Następnego ranka pracownicy działu produkcyjnego pojawiali się z zapuchniętymi oczami i przymulonymi umysłami, a Diana, świeża i wypoczęta, współczuła im, że musieli tak długo pracować. Widoczna różnica wpływu stresu i braku snu na Dianę i na pozostałych pracowników wywoływała zawsze jakiś dowcipny komentarz ze strony tych, którzy długo pracowali. Diana kwitowała to uśmiechem i przechodziła do omawiania następnego numeru i problemów, jakie na pewno się pojawiają.

Biorąc pod uwagę jej pogodę i umiejętność pracy nad kilkudziesięcioma problemami jednocześnie i zajmowanie się setką drobniaków, Sally odczuła zdziwienie, ale i wzruszenie, gdy odkryła dwie słabości Diany: po pierwsze, musiała działać w ramach pewnej z grubsza ustalonej rutyny, a po drugie, musiała mieć absolutny porządek w swoim gabinecie. Niedopełnienie któregoś z tych warunków wprawiało ją w stan konsternacji i przerażenia.

Diana spokojnie pracowała w chaosie i bałaganie działu produkcyjnego, z zawałonymi podłogami i deskami kreślarskimi i podej-

mowała bezbłędne decyzje, ale nie potrafiła usiąść przy własnym biurku w Stylu Ludwika XIV i skoncentrować się na czymś czy podejmować decyzje, jeśli nie było ono idealnie sprzątnięte.

W zeszłym tygodniu Diana jak zwykle uczestniczyła w poniedziałkowym zebraniu w sprawie budżetu. Podczas zebrania jednocześnie usiłowała pogodzić dwóch niezwykle zdolnych i niezwykle kłótliwych plastyków, dawała instrukcje kontrolerowi i sprawdzała kontrakt, który Sally przyniosła jej do podpisania. Udawało jej się przy tym nie stracić ani słowa z niczego, co się działo, ale kiedy sięgnęła do teczki po swoje złote pióro i nie znalazła go, straciła kontrolę nad wszystkim.

Podpisała dokument długopisem kontrolera, ale nie przestawała szukać w teczce i w torebce, a kiedy dwaj oponenti poprosili ją o propozycję jakiegoś kompromisu, Diana popatrzyła nieprzytomnie i spytała:

- A o czym była mowa?

Sally przekonała się, że Diana była osobą, która odczuwała konieczność uporządkowania swego otoczenia i siebie. W każdy piątek o wpół do ósmej rano, choćby się waliło i paliło, jechała na masaż do hotelu Houstooian, a następnie na manicure i pedicure w swym ulubionym salonie kosmetycznym. Wracała do biura o dziesiątej, gdzie parkingowy brał od niej kluczyki, mył samochód, tankował i oddawał o dwunastej, żeby Diana miała auto do dyspozycji, gdyby jechała na lunch. Czekała za swoje prywatne wydatki wypisywała zawsze pierwszego i piętnastego każdego miesiąca, niezależnie od tego, gdzie się znajdowała i jaki wtedy przypadał dzień tygodnia, a do kościoła chodziła zawsze w niedzielę na dziesiątą. I zawsze, ale to zawsze, gdy wracała z lunchu, pytała Sally, kto dzwonił pod jej nieobecność i jaki ma program na popołudnie.

Jednak dzisiaj nie spytała o nic i zaniepokojenie Sally wzrosło, kiedy zobaczyła, że Diana rzuciła gazetę na biurko, na ceną kryształową żabę Steubena, a czerwony wełniany żakiet zwiisał niedbale z fotela, zahaczony o jeden rękaw.

- Diana - powiedziała Sally z wahaniem - nie chciałabym być wścibską, ale czy coś się stało?

Myślała przez moment, że Diana jej nie słyszała albo nie chciała odpowiedzieć, ale po chwili, uniósłszy głowę, spojrzała na nią przez ramię.

- Można tak powiedzieć - odpowiedziała drżącym szeptem. Kiedy Sally patrzyła, zmieszana wskazała głową na gazetę. - Właśnie znalazłam się na pierwszej stronie „National Enquirer”.

Sally sięgnęła po gazetę, z góry wściekła na tego, przez kogo Diana tak się zdenerwowała. Ale chociaż przygotowana była na najgorsze, kiedy zobaczyła tytuł i olbrzymie zdjęcie na pierwszej stronie, poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek.

KŁOPOTY W RAJU

DIANA FOSTER PORZUCONA PRZEZ NARZECZONEGO

Pod tytułem umieszczono wielkie zdjęcie Dana Penwortha, przystojnego narzeczonego Diany, leżącego na płazy obok kształtnej blondynki. Podpis głosił:

Wczoraj w Rzymie Christina Delmonte „załatwiła” redaktorkę magazynu „Piękniejsze życie Foglerów”, Dianę Foster... Ostatnio imperium Fosterów przeżywało oblężenie ze strony rywalizujących magazynów, które wykpiwają niezmiennie unikanie przez panią Foster małżeństwa i macierzyństwa, chociaż jej magazyn wychwala piękno i urok ich obu...

- Co za glista! - zaszczała Sally. - Co za gadzina... - przerwała, bo do pokoju wpadła nieświadoma katastrofy Corey.

- Chyba już problem układu stron mamy rozwiązany - zaczęła Corey, patrząc na odwróconą Dianę i przerażoną Sally. - Co się stało?

W odpowiedzi Sally wyciągnęła gazetę i Corey wzięła ją do ręki. Po chwili syknęła:

- Co za drań! Co za..

- Tchórz! - odpowiedziała Sally.

- Gnój! - dodała Corey.

- Skubaniec!

- Dziękuję wam bardzo! - powiedziała Diana, uśmiechając się przez łzy. - W takiej chwili lojalność bardzo się liczy.

Corey i Sally wymieniły współczujące spojrzenia, po czym Sally wyszła z gabinetu, zamykając za sobą drzwi, a Corey podeszła do siostry.

- Tak mi przykro - szepnęła, obejmując ją mocno.

- Mnie też - powiedziała Diana takim tonem, jak dziecko, które zostało ukarane za coś, czego nie zrobiło.

- Chodź - odpędziła ją od okna Corey - Bierz żakiet i torebkę i wynosimy się stąd. Pojedziemy do domu i razem powiemy mamie, babci i dziadkowi.

- Nie mogę tak wcześniej wyjść - Diana uniosła odrobinę głowę, ale w oczach wciąż miała szok. - Nie mogę uciec. Do wieczora

wszyscy już albo sami przeczytają, albo usłyszą o tym artykule. Będą pamiętali, że wyszłam wcześniej i pomyślałam, że to dlatego, że nie mogłam ludziom spojrzeć w oczy-

- Diano - powiedziała Corey twardo - nie ma drugiego prezesa dużej spółki, który byłby tak lubiany i podziwiany przez pracowników, jak ty. Będą ci bardzo współczuli.

- Nie chcę litości - powiedziała Diana, starając się zapanować nad sobą i swoją twarzą.

Corey wiedziała, że nie ma co się z nią sprzeczać. Diana była bardzo dumna i odważna i na pewno wytrwa do końca dnia, chociaż jest wstrząśnięta. - Dobra, ale nie pracuj za długo. Zadzwoń do mamy i powiem, że wracamy na obiad na wpół do siódmej. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się powiadomić rodzinę, nim dowiedzą się skądinąd.

Już myślała, że Diana z dumą odrzuci nawet tę propozycję pomocy, ale tak się nie stało.

- Dziękuję - powiedziała.

Rozdział 14

Do wieczora wiadomość się rozeszła. Diana stała się obiektem współczujących spojrzeń pracowników, strażników, a nawet obsługi parkingu. Po drodze podjechały do mieszkania Diany, żeby mogła szybko się przebrać. Na automatycznej sekretarce nagrano mnóstwo próśb o telefon od reporterów, przyjaciół, bliższych i dalszych znajomych, wszyscy na pewno byli ciekawi kolejnych pikantnych szczegółów. Diana była wściekła na Dana i czuła się upokorzona.

Gdy tylko Corey i Diana weszły do domu w River Oaks, oburzone twarze ich mamy i dziadków powiedziały im od razu, że już słyszeły.

- Właśnie usłyszeliśmy w telewizji, nim przyjechałyście do domu. Nie mogę wprost uwierzyć, że Dan tak postąpił, bez telefonu, telegramu, nie zawiadamiając cię - powiedziała pani Foster, kiedy siedzieli w jadalni, czekając na obiad.

Diana patrzyła smętnie na swoje dłonie, kręcąc na palcu czterokaratowy brylantowy zaręczynowy pierścionek.

- Dan dzwonił przedwczoraj z Wioch, ale pracowaliśmy, bo mijał termin, więc nie mogłam rozmawiać. Wczoraj pracowaliśmy do północy i biorąc pod uwagę różnicę czasu, kiedy wróciłam do domu, była idealna pora, żeby zadzwonić, ale zasnęłam, siedząc w łóżku, z ręką na telefonie. Dzisiaj wstałam późno, a jak tylko dotarłam do pracy, wynikły dziesiątki problemów. Pewnie chciał mi o tym powiedzieć, ale byłam zbyt zajęta, żeby oddzwonić - wyjaśniła z goryczą. - To moja własna wina, że dowiedziałam się o jego małżeństwie z gazety.

- Tylko się o to nie obwiniaj, młoda damo - zagrzmiął dziadek, unosząc się ostrożnie na krześle i podpierając zeszytniała po operacji nogą. - Był z tobą zaręczony, kiedy ożenił się z kim innym. Powinno się go za to ubiczować!

- Nigdy nie lubiłam Dana Penwortha! - oświadczyła babka Corey:

Diana doceniała ich postawę, ale wciąż była bliska łez. Nieświadoma faktu, że nie ułatwiała Dianie sytuacji, babcia ciągnęła bez ogródek.

- Pomijając wszystko inne, Dan był dla ciebie za stary. Ciekawe, czego może chcieć czterdziestodwuletni mężczyzna od dwudziesto-dziewięcioletniej kobiety?

- Najwidoczniej nic - odpowiedziała smętnie Diana. - Tylko ja mam trzydzieści jeden lat, nie dwadzieścia dziewięć.

- Ale miałaś dwadzieścia dziewięć, jak się zaręczyłaś - upierała się babka.

- Jego nowa żona ma osiemnaście. Może to jego szczęśliwa liczba.

- Diano - włączyła się delikatnie pani Foster - nie wiem, czy to odpowiedni moment, żeby filozofować, ale zawsze zastanawiałam się, czy wy do siebie pasujecie.

- Mamo, proszę, jak się zaręczyliśmy, to ci się podobał.

- Tak, podobał, ale zaczęłam mieć wątpliwości, jak go trzymałaś na sznurku przez dwa lata.

- Na sznurku! - wtrąciła się babcia. - Chętnie bym go widziała na stryczku za to, co zrobił.

- Chodzi mi o to - ciągnęła pani Foster - że kiedy dwoje ludzi naprawdę się kocha, jeżeli wszystko jest naprawdę w porządku i nie ma żadnych przeszkód do małżeństwa, to powinni bardziej się spieszyć, niż Diana. Ja wyszłam za waszego ojca w ciągu dwóch tygodni od poznania go.

Diana zdołała się słabo uśmiechnąć.

- To dlatego, że nie dał ci wyboru.

Siedziała na swoim miejscu przy stole, przecząco kiwając głową, gdy na stole pojawiały się kolejne dania. Ścisnęła ją w żołądku i wszyscy wydawali się to rozumieć.

- Tak bym chciała wyjechać na miesiąc, póki wszystko nie ucichnie - powiedziała, kiedy skończył się deser.

- Niestety, nie możesz - powiedziała babcia z niezamierzoną stanowczością. - Ten łajdak wywinął ci numer na kilka dni przed Balem Orchidei. Jest już tradycją, że wszyscy na niego chodzimy, więc gdybyś się nie pojawiła, ludzie powiedzieliby że masz złamane serce!

Diana czuła się chora na myśl, że będzie wystawiona na widok publiczny na najbardziej prestiżowej towarzysko i największej imprezie w Houston.

- Szkoda, że nie możesz pokazać się na balu na ramieniu nowego narzeczonego! - dziadek okazał się tym razem niepraktyczny. - To by im wszystkim zamknęło gęby.

- A może pojawię się z nowym mężem - Diana zakrzuszyła się od bolesnego śmiechu - i niech sobie wszyscy myślą, że to ja porzuciłam Dana. - Odstawiając krzesło, powiedziała: - Idę się przebrać i popływam. Chyba zostanę tu na noc.

Męża Corey, Spence'a, nie było w mieście i Corey poszła z nią popływać. Kiedy później wypoczywały w leżakach nad basenem, Corey przyglądała się Dianie, która była coraz bardziej zamyślona.

- Nie spodziewałam się, że ci to przejdzie w ciągu kilku godzin, ale wyglądasz, jakby cię to gnębiło coraz bardziej.

- Prawdę mówiąc - wyznała Diana, nie odrywając wzroku od rozgwieżdżonego nieba - martwię się o interesy, a nie o swoje życie prywatne. Mówiąc ściśle, martwiłam się, jaki destrukcyjny wpływ ma moje życie osobiste na nasze interesy.

Corey obróciła się na bok i podłożyła rękę pod głowę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie chciałam cię martwić finansami firmy, skoro od początku ustaliliśmy, że ty zajmujesz się stroną artystyczną, a ja handlową...

- A co się dzieje ze stroną handlową? - spytała Corey, kiedy Diana zamilkła.

- Jak wiesz, kilka razy w tym roku byliśmy pod ostrzałem, bo ja nie żyję zgodnie z „ideałem Fosterów”. Za każdym razem, kiedy to się zdarzało, następował niewielki spadek wśród zamawiających reklamy, a liczba naszych prenumeratorów nie rosła, a nawet odrobinę malała. Zawsze dotąd udawało nam się to odrobić, ale teraz, dzięki Danowi, nastąpi znacznie większy spadek.

- Chyba przeceniasz wpływ i czytelność „Enquirer” - pocieszyła ją Corey, ale bez większego przekonania.

Diana była skuteczną bizneswoman, utalentowaną i ostrożną, ale nigdy nie szukała problemów tam, gdzie ich nie ma.

- Na mojej sekretarce było kilka nagrań. Słuchałam ich, przebiegając się po kolacji. Mówili już o tym w wiadomościach w CBS i NBC o szóstej.

Corey ogarnęła jednocześnie złość i współczucie dla siostry za takie bezpardonowe naruszanie jej prywatności. Starła się teraz poruszyć sprawy finansowe, skoro obecnie wydawały się one ważniejsze dla siostry.

- Myślisz, że ten szum wokół twojego narzeczonego, zrywającego go zaręczyny, będzie miał wpływ na magazyn?

- On nie zerwał zaręczyn, Corey. Rzucił mnie dla kogoś innego. Nasi czytelnicy to w większości kobiety i cały nasz sukces bazował na przekonaniu, że droga Fosterów jest słuszna, że wnosi do domu piękno i harmonię i daje wielką osobistą satysfakcję kobietom, które jej spróbowały.

- No i tak na ogół jest.

Diana przekręciła się na bok i spojrzała na Corey.

- Zastanów się, jeżeli byłabyś kobietą, która chce -wnieść cos nowego do swego rodzinnego życia, czy zawierzyłabyś obietnicom osoby, która właśnie została porzucona dla osiemnastoletniej modelki? Konkurencia będzie podsycać ten skandalik, jak tylko się da. Fakt, że jestem niezamężna, bezdzietna, bez własnego domu, uchodził jeszcze, póki byłam zaręczona z Danem. Oznaczało to bowiem, że także zamierzam stosować się do tego, co głosimy w „Piękniejszym Życiu Fosterów”. Teraz z powodu tego incydentu wszyscy pomyślą, że usiłujemy tylko zbić pieniądze na bardziej naiwnej części społeczeństwa, to znaczy na kobietach. Nasze dochody spadną, zobaczysz.

Corey nie mogła się zmusić do oceniania prywatnego nieszczęścia Diany w kategoriach strat i zysków firmy. Jej dusza artystki buntowała się przeciwko temu, żeby rachunki zepchnęły na drugi pian piękno i uczucia. W dodatku zaczynała podejrzewać, że Dianę naprawdę bardziej obchodzi magazyn, niż utrata mężczyzny, którego podobno kochała.

- Powiedz mi coś - spytała Corey z wahaniem. - Co cię w tej chwili bardziej martwi, niewierny narzeczony czy finanse firmy?

- W tej chwili?

- W tej chwili.

- Martwię się... martwic; się o firmę - przyznała Diana.

- No to całe szczęście, że nie wyszłaś za Dana.

- Bo pewnie zdradziłby mnie po ślubie?

- Nie, bo uważam, że nie kochałaś go naprawdę. Myślałam właśnie, jak bym się czuła, gdyby Spence mi zrobił coś takiego. Zwariowałabym z bólu i wściekłości, ale nie miałyby to nic wspólnego z interesami.

Spodziewała się, że Diana będzie się spierać czy protestować i wcale jej nie ucieszyło, że nie zrobiła nic takiego. Siostra usiadła, przyciągnęła kolana do piersi i objęła rękami, jakby chciała się zwinąć w bezpieczną kulkę.

- Chyba nie jestem w stanie kochać nikogo tak jak ty Spence'a.

Corey spojrzała na nią z troską. Wróciła pamięcią do tego pierwszego dnia, gdy się poznały. Diana dopiero co wróciła z Euro-

py i dowiedziała się, że właśnie sprezentowano jej macochę, przyrodną siostrę i jej dziadków. Corey spodziewała się po rozpuszczonym bogatym bachorze napadu hysterii, Diana jednak powitała Corey spokojnie i ciepło.

Teraz, patrząc na piękny profil Diany, przypomniła sobie słowa, jakie wypowiedziała Diana właśnie tego pierwszego dnia.

- To jeszcze będzie babcia? - spytała wtedy, gdy wbrew obawom Corey, pochwaliła obrazek, który babcia namalowała jej na bluzie.

Później, kiedy Corey opisywała jej dziadków, Diana uniosła w górę oczy i ręce, i obróciła się powoli.

- Siostra, mama, babcia i dziadek! To będzie naprawdę fajnie!

Dla Corey było z pewnością „fajnie”, bo Diana, ze swoją subtelną urodą, olśniewającym uśmiechem i wrodzoną łagodnością, torowała jej drogę i stała przy niej na każdym zakręcie. Przez wszystkie te lata Diana była najbardziej kochającą i opiekuńczą osobą, jaką Corey znała.

Fakt, że Diana ma tak niskie poczucie własnej wartości i nie wierzy, że mogłaby się zakochać, wstrząsnął Corey. Było to dla niej znacznie ważniejsze, niż zdrada Dana Penwortha czy ewentualne jej konsekwencje dla interesów.

- Diano - oznajmiła stanowczo - to, co przed chwilą powiedziałś, jest kompletną bzdurą!

- Może nie.

- Tu nie ma żadnego może! Czy nie przyszło ci do głowy, że od czasu śmierci taty byłaś zbyt zajęta, żeby robić cokolwiek, poza pracą? Że właściwie nie miałaś czasu na randki? Że może zadowoliliś się „lubieniem” Dana, zamiast „kochaniem” kogoś innego?

Diana wzruszyła ramionami.

- Niezależnie od tego, co zrobiłam źle, odbije się to teraz na nas i magazynie.

- Chciałaś wyjść za nieodpowiedniego mężczyznę, to właśnie zrobiłaś źle.

- Chciałabym teraz być żoną odpowiedniego.

Rozdział 15

- *Do* diabła, Cole! - wybuchnął Calvin, zrywając się z fotela i marszerując do kominka. - Tracisz czas, opowiadając mi o upoważnieniach i akcjonariuszach, kiedy jedyna rzecz, o jakiej marzę, to trzymać w ramionach twoje dziecko. Chyba nie wymagam od ciebie za wiele, jeśli weźmiesz pod uwagę, co ja zrobiłem dla ciebie. - *Z* bezwzględną determinacją i bezbłędnym wyczuciem czasu zmienił taktykę - od przymuszania, do wywołania poczucia winy Cole słuchał w ciszy, lecz z rosnącą złością, tej tyrady, która przebiła wszystkie poprzednie dyskusje na ten temat. - *Gdyby* nie *ja*, mieszkałbyś w chatce swojego ojca, tak jak on, a przedtem jego ojciec, starając się wyżyć z poganiania wołów. Teraz poganiasz rolls-royce'a i prywatny odrzutowiec. - Wymierzając palcem wskazującym w jego pierś, kontynuował: - To ja zawsze w ciebie wierzyłem, Cole. To ja cię zachęcałem, żebyś studiował. To ja chodziłem wyklócać się o to z twoim ojcem, a kiedy nie chciał o tym słyszeć, ja ci dałem wszystkie swoje pieniądze z szybów naftowych, żebyś zdobył porządne wykształcenie! - W środku tego monologu Cal przerwał i ruszył w kierunku kuchni. - Czas na moje lekarstwo - oświadczył! - ale jeszcze nie skończyłem. - *Siedź*, gdzie jesteś, póki nie wrócę.

Cole patrzył, jak staruszek lawiruje między starym, wytartym fotelem a stolikiem, ale nic nie mówił. Dzień Cole'a nie był zbyt udany, a wieczór, jak na razie, nie stanowił odmiany. Zakończył interesy na Zachodnim Wybrzeżu kilka godzin wcześniej i zadowolony, że spędzi więcej czasu z wujem, zadzwonił do swojego pilota i polecił mu, żeby przygotował się na wcześniejszy wylot do Teksasu. Od tej chwili nic już nie szło dobrze.

Pogoda była niepewna, lot trudny, wieża kontrolna poradziła zmianę trasy, co spowodowało przedłużenie lotu o godzinę i nieprzewidziany przystanek w El Paso, gdzie ruch powietrzny opóźnił

lot o kolejną godzinę. Kiedy schodzili do lądowania w Ridgewood o dwie godziny później, Cole próbował dodzwonić się do wuja, żeby po niego wyjechał na lotnisko. Po raz szósty usłyszał nagranie, że telefon jest uszkodzony.

Po wyjściu z samolotu było tak gorąco i wilgotno, że czuł się tak, jakby go ktoś owinał plastikową folią. Zdecydował się wynająć samochód na miniaturowym lotnisku i dojechać nim na ranczo. Ridgewood leżało prawie siedemdziesiąt kilometrów na północ od Kingdom City, które z kolei było oddalone od ranczo Cole'a o sześćdziesiąt kilometrów. Zbudowane trzydzieści lat temu tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, lotowisko Ridgewood Field używane było głównie przez kompanie naftowe, które przysyłały tu ekipy, dokonujące napraw w szybach. Pozostałe samoloty należały do Texan Airlines i przylatywały dwa razy w tygodniu ze specjalnym ładunkiem, a czasami pojedynczym pasażerem.

Poza jednym betonowym pasem startowym w bardzo złym stanie, Ridgewood Field oferowało podróżnym biały metalowy budynek, służący jako terminal. Wewnątrz budynku bez klimatyzacji znajdowały się dwie toalety, jeden barek z kawą i jedno poobijane metalowe biurko. Zbłąkany pasażer mógł tu próbować wynająć jeden z dwóch samochodów, które oferowała uśmiechnięta, tęga kobieta, o imieniu Roberta, jak głosił jej identyfikator, będąca równocześnie kelnerką.

Roberta wytarła ręce w fartuch, wyjęła książkę wypożyczeń z biurka i uprzejmie poprosiła Cole'a o dokonanie wyboru.

- Czy chce pan czarny z zepsutym tłumikiem, czy czarny ze zjechanymi oponami?

Cole powstrzymał się od nieuprzejmego komentarza i podpisał umowę.

- Wezmę ten z zepsutym tłumikiem.

Roberta pokiwała głową z uznaniem.

- W tym działa klimatyzacja, więc przynajmniej się pan tak nie spoci po drodze. Dobry wybór.

Wtedy jeszcze Cole też tak uważał, ale teraz już nie. Kiedy Cal wrócił do pokoju i kontynuował temat, Cole zaczął żałować, że nie wziął tego drugiego samochodu. Może przynajmniej miałby wypadek, co zdecydowanie opóźniłoby jego przyjazd tutaj.

- Zawrzyjmy taką umowę - oświadczył Cal, nachylając się w fotelu naprzeciwko Cole'a. - Przywieziesz tutaj żonę, która chce ci urodzić dzieci, a ja przekażę ci te udziały na pierwszą rocznicę ślubu. W przeciwnym wypadku cały mój majątek przekażę dzieciom

Travisa. Taka jest moja propozycja. Możesz ją przyjąć albo odrzucić.

W ponurej ciszy Cole zaczął pukać w zwiniętą gazetę, którą trzymał na kolanach. Miał trzydzieści sześć lat, kontrolował międzynarodową korporację, wartą 12 miliardów dolarów i zatrudniał 125 tysięcy osób. Był w stanie kontrolować wszystko w swym życiu zawodowym i prywatnym, wszystko prócz tego 75-letniego staruszka, który właśnie mu grozi, że zostawi połowę spółki Travisowi, który nie jest nawet w stanie kierować jej małą filią bez pomocy Cole'a. Cole nie wierzył, że wuj go zdradzi, oddając połowę korporacji, którą on stworzył, harując jak niewolnik, ale nie podobały mu się te pogrożki. W przekonaniu, że to nie błąd, utwierdziły go liczne zdjęcia rodziny Trevora, poustawiane nagle na kominku obok dotychczasowych zdjęć rodzinnych.

- No więc? - spytał Cal, który przestał już się złościć, - Co sądzisz o moich warunkach?

- Myślę - warknął Cole - że twoje warunki są śmieszne. To szaleństwo.

- Czy uważasz, że małżeństwo jest szaleństwem? - wypytywał Cole, znów niezwykle poważnie. - Cały ten cholerny kraj się rozpada, bo twoje pokolenie nie szanuje takich dobrych, starych pojęć, jak małżeństwo, dzieci i odpowiedzialność.

Cole nie dawał się wciągnąć w dyskusję, a Cal wskazał na mały stolik, zawalony, jak wszystkie pozostałe w tym pokoju, dziesiątkami magazynów, z którymi Letty, jego gosposia, wciąż usiłowała zrobić porządek.

- Jeżeli mi nie wierzysz, zobacz, co tu piszą. O! tutaj - wyciągnął swój ulubiony w „Reader's Digest” ze stosu na stoliku. - Popatrz tylko! - Pomachał małą książeczką, a potem odchylił głowę, żeby móc czytać przez dolną część dwuogniskowych okularów i wyrecytował niektóre tytuły:

- „Oszustwa w szkołach - skandal narodowy”. W tym artykule - mówił, patrząc na gościa, jakby to była jego wina - piszą, że ośmiu na dziesięciu uczniów oszukuje. Piszą, że poziom moralny jest tak niski, iż uczniowie liceów nie potrafią już odróżnić dobra od zła

- Nie wiem, co to ma wspólnego z tematem naszej rozmowy.

- Ach, nie wiesz? - starszy pan zamknął magazyn i zerknął na okładkę. - Więc może ten będzie odpowiedniejszy. Wiesz, jaki ma tytuł? - Popatrzył na niego, nie licząc na odpowiedź. - Tytuł brzmi: „Czego kobiety nie wiedzą o dzisiejszych mężczyznach”. -

Odrzucił magazyn z obrzydzeniem i popatrzył na Cole'a. - Chciałbym wiedzieć, co takiego jest z wami, młodymi ludźmi, że nagle mężczyźni nie rozumieją kobiet, kobiety nie rozumieją mężczyzn, a wszyscy razem nie rozumieją, że najważniejsze jest się pobrać, być dobrym małżeństwem i wychowywać dobre, bogobojne dzieci.

Cole dalej pukał w zwinięty magazyn, a złość w nim rosła.

- Chyba mówiłem już kiedyś, gdy poruszałeś ten temat, że nie bardzo masz prawo do pouczeń o dobrodziejstwach małżeństwa, skoro sam nigdy nie miałeś żony ani dzieci.

- Ku memu nieustannemu żalowi - odparł z niezmaconym spokojem Calvin, wygrzebując kolejną ilustrowaną gazetę. - Popatrz na to - powiedział, podtykając ją Cole'owi pod nos.

- „Enquirer”? - spytał. - Prenumerujesz „Enquirer”?

- Letty lubi to poczytać, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że wazsze pokolenie straciło zbiorowego ducha. Spójrz tylko, co wy, młodzi ludzie, wyprawiacie. Popatrz na tę piękną, młodą kobietę. Jest sławna, należy w Houston „do towarzystwa” co oznacza, że jest bogata.

- No i co? - spytał Cole, patrząc na wujka, a nie na zdjęcie.

- No więc jej narzeczony, ten Dan Penworth, porzucił ją dla osiemnastoletniej Włoszki, która leży tu z nim na plaży, prawie naga. - Kiedy Cole dalej nie wykazywał zainteresowania magazynem, odłożył go, ale nie zmienił tematu. - Rzucił ją, nic jej nie mówiąc, a ta biedaczka planowała ślub.

- I o co w tym chodzi?

- Chodzi o to, że ten Penworth jest z Houston, podobnie jak dziewczyna, którą rzucił. Więc skoro Teksasńczycy zaczynają tak traktować kobiety i depreczują tradycyjne wartości, cały ten cholerny kraj wali się w posadach.

Cole zaczął masować zmęczone mięśnie karku. Dyskusja prowadziła donikąd, a on miał ważne sprawy służbowe do omówienia z Calem, jeśli uda się go odwieść od absurdałnej obsesji na tle stanu cywilnego Cole'a. Zawsze dotąd mu się to udawało, ale tym razem wuj wydawał się bardziej zdeterminowany, więc zaczął w to wątpić.

Przyszło mu nawet do głowy, że może Cal rzeczywiście ma skłerozę, ale zaraz odrzucił to przypuszczenie. Jego osobowość się nie zmieniała. Zawsze był uparty, jak wół i nigdy nie można go było zawrócić z obranego kursu. Kiedy na jego ziemi odkryto ropę, oświadczył że pieniądze nie zmieniają jego życia, i rzeczywiście nie zmieniły ani o jotę. Wciąż liczył każdy grosz, jak żebrak, jeździł

dwudziestoletnią ciężarówką ze starą przekładnią biegów, chodził w wyblakłych dzinsach i flanelowych koszulach i uważał, że telewizja kablowa to kosztowny kaprys, który wkrótce przeminie.

- Posłuchaj - zaczął Cole - nie będę się z tobą sprzeczał...

- Bardzo dobrze.

- Chodzi o to, że nie będę się sprzeczał o upadek amerykańskiej cywilizacji, znaczenie małżeństwa czy chęć posiadania dzieci...

- Świetnie! - przerwał Cal, unosząc się z wyliniałego fotela. - Więc ożeń się i miej dziecko, żebym mógł dać ci drugą część twojej kompanii. Ożeń się z tą tancerką z Broadwayu, którą przywiozłeś tu dwa lata temu, tą z czerwonymi paznokciami na pięć centymetrów, albo ożeń się z nauczycielką, w której się podkochiwałeś w siódmej klasie, ale ożeń się z kimś. I zrób to szybko, bo czasu mamy obaj coraz mniej!

- Co to ma, u diabła, znaczyć?

- To znaczy, że powtarzamy tę rozmowę od dwóch lat, ty się wciąż nie ożeniłeś, a ja nie mogę trzymać maleństwa na kolanach, więc wyznaczam ci termin. Trzy miesiące, żebyś się zareczył, następnie trzy, żebyś się ożenił. Jeśli do tego czasu nie przywieziesz mi żony, moje pięćdziesiąt procent akcji twojej kompanii przejdą nieodwołalnie na Teda i Donnę Jean. Trávisa zrobię administratorem trustu, póki jego dzieci nie będą pełnoletnie, a potem one mogą pomóc ci prowadzić spółkę, jeżeli jeszcze będzie co prowadzić po administrowaniu przez Trávisa. - Cal rzucił „Enquirer” na stolik i dalej podgrzewał naładowaną atmosferę. - Na twoim miejscu nie czekałbym sześciu miesięcy. Moje serce może wysiąść w każdej chwili, a w przyszłym tygodniu zmieniam testament, więc jeśli umrę, nim się ożenisz, moje pięćdziesiąt procent akcji przejdzie na Teda i Donnę Jean.

Cole był tak wściekły, że zaczął się zastanawiać, czy nie można starszka uznać oficjalnie za niepoczytalnego. Ponieważ jednak to nie wchodziło w grę, postanowił, że może obalić testament... ale będzie to trwało latami i wynik wcale nie musi być zadowalający. Jego myśli przerwał głos gospozi, Letty, która pojawiła się w drzwiach kuchni.

- Kolacja gotowa - powiedziała.

Obaj ją usłyszeli, ale żaden nie zwrócił uwagi. Cole stanął naprzeciwko wuja i stali obaj na środku pokoju, dwaj wysocy, twardzi, nieustępliwi mężczyźni, których dzielił jeden metr, jedno pokolenie i decyzja, z którą jeden nie może walczyć, a drugi nie cofnie.

- Czy jesteś w stanie zrozumieć, że mogę nie znaleźć żony w ciągu sześciu miesięcy? - spytał Cole przez zaciśnięte zęby.

W odpowiedzi Cal wskazał kciukiem na leżące za fotelem magazyny.

- Zgodnie z testami z tych magazynów, posiadasz pięć z siedmiu najważniejszych cech, jakich kobiety poszukują u kandydatów na męża. Jesteś bogaty - powiedział, wymieniając cechy w kolejności, w jakiej je zapamiętał - jesteś inteligentny, wykształcony, masz świetlaną przyszłość i Donna Jean twierdzi, że jesteś „ekstra”, co chyba oznacza przystojny. - Zadowolony z wygranej bitwy, wuj wytrzymał przez chwilę wrogie milczenie ze strony Cole'a, a potem próbował rozładować trochę atmosferę. - Nie jesteś ciekaw, jakich dwóch cech ci brakuje?

- Nie - rzucił Cole z wściekłością.

Cal jednak był zdecydowany go poinformować.

- Brak chęci posiadania dzieci i obawiam się, że nawet ja miałbym kłopot, żeby nazwać cię „delikatnym i wyrozumiałym”. - Kiedy próba rozładowania napięcia się nie powiodła, Cal przygarbił się i odwrócił w stronę kuchni. - Letty czeka z kolacją - powiedział cicho.

Cole popatrzył na niego, ale był tak przepełniony goryczą i zawiedziony, że tym razem obserwował bardziej przygarbionego i szczuplejszego wuja bez przerażenia, jakie kiedy indziej wywołałby w nim ten widok. Cal nie wyglądał na takiego słabego minutę później, kiedy Cole wparował do kuchni, niosąc notes i złote wieczne pióro ze swej teczki. Cole siadł naprzeciw niego i rzucił notes na stół przed wujem.

- Napisz to - polecił chłodno, podczas kiedy zdumiona Letty stała przy piecu i spoglądała to na jednego, to na drugiego, trzymając w ręku chochlę pełną chili.

Calvin automatycznie wziął pióro, ale zmarszczył brwi, zaskoczony.

- Napisać?

- Zapisz warunki umowy i podaj szczegółowe wymagania, jakie masz w sosunku do kobiety, z jaką się ożenię. Nie chcę żadnych niespodzianek, jak przywiozę tu kogoś, a tobie przypomną się w ostatniej chwili jeszcze jakieś kryteria, którym nie sprostasz.

Wuj był wyraźnie urażony.

- Nie próbuję wybierać ci żony, Cole. Zostawiam to tobie.

- Cholernie jesteś łaskawy.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy.

- I wydaję ci się, że dzięki temu wszystkiemu będę szczęśliwy?

- Nie w tej chwili, na razie jesteś wzburzony.

- Nie jestem wzburzony. Jestem zniesmaczony.

Wuj skrzywił się na tę odpowiedź, ale nie zawróciło go to z upatrzonej drogi. Próbował odsunąć notes z powrotem do Cole'a, ale Cole położył na nim rękę.

- Chcę mieć to na piśmie - stwierdził.

Ze zdecydowanym postanowieniem, aby załagodzić sytuację, nim przerodzi się znów w walkę, Letty podeszła do stołu z parującymi miskami chili i postawiła je przed mężczyznami.

- Jedzcie, póki gorące - nalegała.

- Chcesz to na piśmie? - dopytywał się Cal, zdumiony i wściekły.

- Teraz jeść - wtrąciła się Letty - potem pisać.

- Chcę, żebyś napisał, że przekazujesz rai swoje pięćdziesiąt procent, jeśli w ciągu sześciu miesięcy przywieżesz tu żonę.

- Odkąd to nie wystarczy ci już moje słowo?

- Odkąd zniżyłeś się do wymuszenia.

- Słuchaj no! - wybuchnął Calvin, aie zaraz się pohamował, czując się trochę winny. - Mam prawo decydować, kto dostaje moje pięćdziesiąt procent udziału w spółce i chcę mieć pewność, że któregoś dnia twój syn będzie korzystał z moich pieniędzy i udziałów.

- Syn? - głos Cole'a zabrzmiał niebezpiecznie cicho. - Czy to część umowy? Nowy warunek? Powiem ci coś. Może ożeniłbym się z kobietą, która ma już syna, żebyś nie musiał czekać i martwić się.

Calvin popatrzył na niego ze złością, szybko napisał, czego chciał Cole, i szurnął notesem po stole.

- Masz, na piśmie. Bez warunków.

Cole w tym momencie miał ochotę wyjechać, ale nie miał pojęcia, gdzie podziewają się jego piloci, a poza tym nie wierzył, że wuj rzeczywiście wykonałby swoją groźbę. Umysł Cole'a dawał dziesiątki przykładów na to, że z powodu swego temperamentu Cal mógłby zrobić coś niewybaczalnego, ale serce nie dopuszczało takiej możliwości.

Jedli w nieprzyjemnej ciszy. Skończyli szybko i Cole wrócił do pokoju, włączył telewizor i otworzył teczkę. Praca była bezpieczniejsza i dawała więcej satysfakcji niż kolejna kłótnia, a milczenie między nimi, dzięki włączonemu telewizorowi, było mniej dokuczliwe.

Mimo umowy, do zapisania której zmusił wuja, Cole wcale nie miał ochoty podporządkować się dziwnym wymaganiom Cala w zamian za zdobycie stałej kontroli jego cholernych interesów. Nie miał na razie pomysłu, jak to robi. Wciąż był podenerwowany i je-

go możliwości, jeśli chodzi o umowę z Cal'em, wahały się na razie między sprawą cywilną, sądowym poddaniem w wątpliwość jego władz umysłowych lub pospiesznym małżeństwem, którego nie chciał, z kobietą, której nie znal.

Wszystkie te opcje były wstrętne, groteskowe, a nawet bolesne.

Siedzący po drugiej stronie pokoju wuj opuścił gazetę, którą czytał, i patrzył na niego zza „Houston Chronicle's z niewinnym wyrazem twarzy, jakby wszystko załatwili ku obustronnej satysfakcji.

- Czytam teraz, że wiele młodych kobiet decyduje się nie mieć dzieci. Hodują modne zwierzątka i robią kariery zawodowe. Uważaj, żebyś takiej nie wybrał. - Cole zignorował go i dalej robił notatki. - I uważaj, żebyś nie trafił na jakąś poszukiwaczkę skarbów, która tylko będzie udawała, że chce ciebie, a będzie jej chodziło o pieniądze. Cierpliwość Cole'a już się wyczerpała.

- Jak ty sobie, do diabła wyobrażasz, że przez sześć miesięcy mam się zorientować, jakie są prawdziwe motywy kobiety?

- Wydawało roi się, że jesteś już ekspertem od kobiet. Czy to nie jakaś księżniczka snuła się za tobą po Europie dwa lata temu? - Cole spojrział na niego lodowato, więc wzruszył tylko ramionami. - Nie musisz znać kobiety na wylot, żeby być pewnym, że chce poślubić ciebie, a nie twoje pieniądze.

- Doprawdy? - powiedział specjalnie kpiąco. - A może mi doradzisz na podstawie twojego bogatego doświadczenia z kobietami i małżeństwem, jak mam osądzić motywy mojej przyszłej żony?

- Myślę, że gdybym był tobą, szukałbym kobiety, która już ma własne pieniądze - Uniósł brwi, jakby oczekiwał od Cole'a oklasków za ten pomysł.

Przez następny kwadrans ciszę w pokoju przerywał tylko szelst gazety. W końcu Cal odezwał się na ostatni temat, jaki Cole miałby ochotę poruszyć.

- Piszą tutaj w rubryce Maxine Messenger, że wybierasz się na Bal Białej Orchidei w sobotę i zaoferowałeś najdroższy przedmiot na aukcję. Maxine pisze, że ten hal jest najwspanialszym wydarzeniem towarzyskim w Houston. Tam nie musisz się martwić o łowczynię majątku. Rozejrzyj się, znajdź jakąś, która ci się spodoba i przywieź tutaj, żebym mógł obejrzeć ją... i świadectwo ślubu - dodał chytrze. - W pierwszą rocznicę ślubu przekażę ci moją połowę spółki, jak to napisałem na tym papierze. - Cole nie odpowiedział i po chwili starszy pan ziewnął. - Chyba skończę gazetę w łóżku - oznajmił, wstając - Jest dziesiąta. Długo będziesz pracował?

Cole studiował list intencyjny, który na jego prośbę napisał na brudno John Nederly.

- Pracowałem do późna przez ostatnie czternaście lat - powiedział krótko. - Dlatego ty i Travis jesteście tacy bogaci.

Przez moment Cal stał, patrząc na niego, ale nie mógł zaprzeczyć temu, więc powoli wycofał się z pokoju.

Rozdział 16

Cole nie uniósł głowy, póki nie usłyszał, jak wuj zamyka drzwi od swojej sypialni. Dopiero wtedy rzucił dokumenty, które czytał, na stolik. Spadły na „National Enquirer”, tuż obok zdjęcia kobiety porzuconej przez narzeczonego. Obok zdjęcia Diany Foster. Złapał pismo i przeczytał krótki artykuł, czując sympatię dla jego bohaterki. Odłożył je po chwili i wrócił myślami do Cala.

Rozważał różne alternatywy, kiedy jego uwagę zwrócił jakiś szmer. Spojrzał w kierunku drzwi kuchennych. Stała w nich Letty z kubkiem w ręku i niepewnym uśmiechem na twarzy. Odkąd Cole sięgał pamięcią, zawsze kiedy posprzeczał się z wujem, Letty Girandez, która była kiepską kucharką, pojawiała się później z czymś do jedzenia i picia, na pociechę. Zdawała sobie sprawę z tego, że marnie gotuje. Miała niewiele ponad sześćdziesiąt lat i okragłą twarz, z której przebijała dobroć. Mówiła z hiszpańskim akcentem, dodającym jej osobliwej łagodności. Przeszła przez cały pokój i postawiła parujący kubek na stoliczku.

- Gorąca czekolada? - zgadł. Lekarstwo Letty na zły nastrój było niezmiennie takie samo. Gorąca czekolada wieczorem, lemoniada w ciągu dnia. I ciasto. Ciasto czekoladowe. - Gdzie moje ciasto? - zażartował, sięgając po kubek.

Wiedział, że będzie musiał wypić wszystko, żeby nie zrobić jej przykrości. Gorąca czekolada była tradycją, a ponieważ nie doświadczył w swoim życiu zbyt wielu tradycji, tym bardziej były cenne. Jedyne ciepło rodzinne, jakiego zaznał, pochodziło właśnie stąd, od brata dziadka i jego gospodyni. Letty zawróciła i ruszyła do kuchni.

- Zostało trochę ciasta od wczoraj. Kupiłam w sklepie.

Dzięki tej ostatniej informacji ciasto stawało się bardziej pożądane, ale Cole nie był głodny.

- Jeżeli nie ty je piekłaś, to nie warto jeść - powiedział, a ona się rozpromieniła, słysząc ten komplement i ruszyła z powrotem do kuchni. - Zostań tu ze mną i porozmawiajmy trochę - poprosił.

Letty siadła ostrożnie na skraju krzeselka, jakby uważając, że tu nie jej miejsce.

- Nie powinieneś się kłócić ze swoim wujem - powiedziała w końcu.

- Mówisz mi to od dwudziestu lat.

- Czy życzenie wuja, żebyś się szybko ożenił, wydaje ci się takie nierozsądne?

- Można to i tak określić - Cole starał się nie być uszczypliwy.

- On chyba uważa, że jeżeli cię nie zmusi, to nigdy się nie ożenisz.

- To nie jego interes.

- Kocha cię.

Cole łyknął gorącej czekolady i ze złością postawił kubek na stoliku.

- To żadna pociecha.

- Ale to prawda.

- Miłość nie usprawiedliwia szantażu, nawet jeśli to tylko blef.

- Chyba nie blefuje. Myślę, że twój wuj zostawi połowę spółki dzieciom Trávisa, jeżeli się nie ożenisz.

Cole znów zareagował furją.

- Nie wiem, jak potrafiłby to usprawiedliwić przed samym sobą, nie mówiąc o mnie.

Nie oczekiwał odpowiedzi, ale Letty ją miała i zda! sobie sprawę, że miała absolutną rację i przejrzała Calvina na wylot.

- Twojego wuja nie obchodzą teraz pieniądze, obchodzi go nieśmiertelność - oznajmiła, układając prosto ryzykownie wysoki stos materiałów do czytania na stoliku. - Pragnie nieśmiertelności i zdał sobie sprawę, że może ją osiągnąć tylko przez swojego syna.

- Nie jestem jego synem - zauważył z niecierpliwością.

Letty uśmiechnęła się słodko.

- Ale uważa cię za syna.

- Jeżeli chodzi o nieśmiertelność, to zapewniło mu ją dwoje dzieci Trávisa. Obaj jesteśmy jego ciotecznymi wnukami. Nawet gdybym miał dzieci, będą z nim tak samo spokrewnione, jak dzieci Trávisa.

Letty powstrzymała uśmiech.

- Syn Trávisa jest leniwy i ciągle w złym humorze. Jest nadzieja, że kiedyś z tego wyrośnie, ale na razie wuj nie chce ryzykować swojej nieśmiertelności z kimś takim, jak Ted. Donna Jean jest

nieśmiała i zastraszona. Może kiedyś okaże trochę energii i odwagi, ale teraz... - przerwała, pozostawiając jemu konkluzję, że z Donna Jean też nie chciał ryzykować.

- Czy masz pojęcie, skąd mu się nagle wzięła ta obsesja nieśmiertelności? - spytał Cole.

Zawahała się, a potem skinęła głową.

- Serce ma coraz słabsze. Doktor Wilmeth często teraz przychodzi. Mówi, że nic więcej nie da się zrobić.

Cole odczuł przerażenie, a zaraz potem bezsilność. Wiedział, że nie da się namówić Cala na przyjazd do Dallas na konsultacje. Udało się to raz, po miesiącach długich sprzeczek, ale w rezultacie wszyscy lekarze musieli zgodzić się z Wilmethem. Od tego czasu Cal odmawiał nawet rozmowy na ten temat.

Letty westchnęła niespokojnie, a w jej brązowych oczach pojawiły się łzy.

- Doktor Wilmeth mówi, że to tylko kwestia czasu, nim... - przerwała i zaraz wstała i wyszła z pokoju.

Cole pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Ogarnął go strach i przeczucie nieszczęścia. Siedział zgarbiony, patrząc na pusty fotel wuja i wspominał wieczory w przytulnym zaciszu i ożywione dyskusje, jakie prowadzili przez ostatnie trzydzieści lat. Były to jedyne wspomnienia szczęścia i ciepła domowego ogniska, jakie miał z dzieciństwa. I wszystko to umarłoby wraz z Cal'em.

Jeśli Letty miała rację, czas ten się zbliżał. Nie potrafił sobie wyobrazić swojego życia bez przyjazdów tutaj, do wuja. Ten człowiek i to ranczo stanowiły istotę życia Cole'a. Zamienił buty kowbojskie i wytarte dżinsy na włoskie mokasyny i garnitury szyte w Anglii na miarę, ale w głębi duszy pozostał równie twardy i szorstki, jak dżinsowe spodnie i zniszczone skórzane buty, w których niegdyś chodził. W młodości Cole nienawidził swych korzeni. Od dnia, kiedy pojechał na studia do Houston, starał się pracowicie wypłenić wszystkie swoje cechy kowboja. Zmienił sposób chodzenia i mówienia, aż nie było po nim widać śladu chwiejnego kroku jeźdźcy ani słycać akcentu z zachodniego Teksasu. Teraz, kiedy los mógł mu odebrać ostatni związek z korzeniami, Cole pragnął za wszelką cenę zachować to, co jeszcze zostało.

Pogróżka wuja, że zostawi połowę spółki Trávisowi i jego rodzinie, poszła w zapomnienie. Cole starał się intensywnie myśleć, co mogłoby wlać trochę życia w staruszkę i umilić jego ostatnie lata. Może miesiące. Może dni. Istniała tylko jedna rzecz, która mogłaby go uszczęśliwić.

- Sukinsyn - powiedział głośno, ale przekleństwo to nie oznaczało buntu, ale rezygnację.

Musi się z kimś ożenić, a małżeństwo w stanie Teksas, w którym obowiązywała wspólnota majątkowa, niesło kolejne ryzyko finansowe. Kimkolwiek będzie szczęśliwa wybranka, pomyślał sarkastycznie, musi przede wszystkim mieć poczucie humoru i łagodne usposobienie. W przeciwnym wypadku można sobie wyobrazić niezłą scenę, kiedy okaże się, że musi podpisać umowę przedmałżeńską. Zastanawiał się, czy nie wynająć do tego aktorki, ale wuj był zbyt sprytny i podejrzliwy. Dlatego upiera się, że musi zobaczyć świadectwo ślubu. Na szczęście nie nalegał na urodzenie chłopca, nim podpisze przekazanie swoich części akcji, które i tak należały się Cole'owi. Fakt, że nie postawił tego warunku, świadczył o tym, że nie był już taki bystry jak kiedyś. I nie był już w takiej formie.

Klnąc pod nosem, sięgnął po kubek zimnej już czekolady, który miał zamiar odnieść do kuchni. Jego wzrok padł na złożoną gazetę, z której uśmiechała się do niego Diana Foster. Już wtedy, kiedy miała szesnaście lat, zapowiadała się na piękność, ale im dłużej teraz patrzył na pewny siebie uśmiech i doskonałe rysy olśniewającej bizneswoman, tym trudniej było mu pogodzić ją z obrazem inteligentnej, opanowanej nastolatki, która siadywała na beli siana, obserwując go w milczeniu lub gadając o wszystkim, począwszy od szczeniactw, a skończywszy na polityce.

Dzisiaj, kiedy wuj powiedział coś o tym, że jakąś kobietę z Houston porzucił narzeczony, nie zdawał sobie sprawy, o kogo chodzi. Kiedy przeczytał w ilustrowanym piśmie tę historię, zrozumiał jej trudną sytuację i czuł głębokie współczucie dla dziewczyny, którą niegdyś znał. Sądził, że z jej urodą i majątkiem, dobrocią i inteligencją ma z życia to, co najlepsze. Zasługiwała na to. Nie zasługiwała natomiast na to, żeby z powodu Dana Penwortha być pośmiewiskiem dla całego kraju.

Po chwili jednak przestał o tym myśleć i nie mógł już dłużej zagłuszać własnych problemów losami niegdysiejszej nastolatki o olbrzymich zielonych oczach, która zamiast rozpieszczoną księżniczką, stała się szefową olbrzymiej spółki i bohaterką wstydliwego skandalu.

Życie, jak Cole doskonale wiedział, rzadko kiedy toczyło się tak, jak człowiek sobie planował, czy wyobrażał. Ani jego życie, ani Diany Foster, ani jego wuja...

Wziął kubek z zimną czekoladą i zaniósł do kuchni. Wylał resztę i dokładnie wypłukał kubek, żeby Letty nie domyśliła się, co są-

dzi na temat gorącej czekolady, bo byłoby jej przykro. Prawda była taka, że nie znosił gorącej czekolady. Nie znosił też pianki. A najbardziej nie znosił chorób i lekarzy, którzy dawali diagnozę, nie podając możliwości leczenia.

Z tego też powodu nie był entuzjastą byle jakiego małżeństwa, które było skazane na niepowodzenie, nim się zaczęło. Przyszło mu do głowy, że najbardziej prawdopodobną kandydatką była nie „księżniczka”, o której wspominał Cal, ale Michelle. Zależało jej na nim, a poza tym jego zwariowany tryb życia, praca i częste wyjazdy nie stanowiły dla niej problemu. Chętnie się do nich dostosowywała i to byłoby dla niego najważniejsze w tym „małżeństwie”. Biorąc pod uwagę okoliczności i to, że musiał się spieszyć, mógł się uważać za szczęściarza, mając na podorędziu taką kandydatkę.

Jednak nie czuł się szczęśliwy, kiedy wszedł do pokoju, w którym zawsze nocował podczas wizyty u wuja. Był przygnębiony. Tak bardzo przygnębiony, że było mu żal Michelle, bo wiedział doskonale, że zgodzi się na taki układ. I wiedział też, że Michelle popełni wielki błąd, zgadzając się tylko na tę jego część, którą był skłonny jej ofiarować, a było to bardzo niewiele.

Jego poprzedni związek, z Vicki Kełlog, zakończył się właśnie z tego powodu, a przecież on się nie zmienił, ani nawet nie zamierzał się zmienić. Wciąż był mężem swojej firmy, co mu niegdyś zarzuciła Vicky. Mierziło go bezsensowne poszukiwanie mocnych wrażeń przez Vicky i jej przyjaciół. Wciąż dużo podróżował, co ją denerwowało, i nie mógł się zmusić do dłuższych okresów beztronskiego lenistwa. Niewątpliwie był w dalszym ciągu „zimnym, nieczułym skurwysynem”, jak go nazwała, wyprowadzając się. Nie była w stanie zrozumieć, że Cole jest bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialny za bezpieczną pracę i bezpieczne inwestycje ponad stu tysięcy pracowników Unified Industries.

Łóżko wydało mu się wąskie i nierówne, kiedy się na nim wyciągnął. Świeża biała pościel pachniała wiatrem i słońcem. Była lekka i miękka, od wieloletniego prania przez Letty. Leżąc z rękami pod głową, Cole wpatrywał się w wirujący wiatraczek na suficie. Załamanie powoli ustępowało, a wraz z nim myśl o poślubieniu Michelle czy w ogóle kogokolwiek. Cały pomysł, wraz z przypuszczeniem, że wuj może nie dożyć końca roku, wydał mu się absurdalny.

Cole pracował po kilkanaście godzin na dobę całymi miesiącami, a dzisiaj, kiedy wyjątkowo zrobił sobie dzień wolny, żeby tu przylecieć z Los Angeles, miał kłopoty z pogodą. To stres, przemęczenie i zmartwienie pogarszającym się stanem wuja zmąciły jego

racjonalne myślenie, utfnął, przymykając oczy, gdy ogarnęło go dziwne poczucie pewności i bezpieczeństwa.

Cal będzie jeszcze żył co najmniej dziesięć lat. Wprawdzie nie wyglądał kwitnąco, ale kiedy Cole usiłował przeanalizować spowodowane wiekiem i chorobą zmiany w wyglądzie wuja przez ostatnie lata, stwierdził, że nie były one aż tak znaczne, jak mu się z początku wydawało. Przypomniał sobie dawne czasy, kiedy obserwował Calą, naprawiającego ogrodzenia, w pełnym słońcu albo wśród bydła spędzonego z pastwiska. W kowbojskich butach i kapeluszu na głowie wydawał się małemu chłopcu olbrzymem, ale kiedy Cole miał już ponad metr osiemdziesiąt pięć, przerósł wuja. Cal nigdy nie był taki potężny i mocno zbudowany, jak Cole. Był szczupły, żyłasty, ale miał siłę i wytrzymałość, które pozwalały wykonywać ciężką pracę równie dobrze, jak mięśnie. Wcałe nie zmalął aż o kilkanaście centymetrów i nie zmienił się w szkielet. Jak się to Cole'owi czasem wydawało. Kiedy dokuczał mu artretyzm, jak dzisiejszego wieczora, przygarbiał się trochę, co mu ujmowało kilka centymetrów. Nie posiwiał z dnia na dzień - był siwy, jak tylko Cole sięgnął pamięcią. Włosy miał białe i gęste, z krótko przystrzyżonymi baczkami, otaczającymi opaloną, wąską twarz z kwadratową brodą i jasnoniebieskimi oczami, które wydawały się patrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy. Patrzyły bystro i przebijała z nich inteligencja i humor. Teraz jego twarz nie była opalona, a oczy patrzyły zza okularów, ale nie wyblakły, a spojrzenie nie straciło ostrości.

Oczywiście fizycznie nie był już taki sprawny i silny, ale jego prawdziwa siła miała swe źródło w umyśle, a ten był wciąż w doskonałej formie.

W ciągu najbliższych kilku dni Cole musi znaleźć rozwiązanie, które zadowoli i jego, i wuja i pozwoli wszystko rozwikłać. Poza tym zacznie poszukiwać jakichś nowych metod leczenia i na pewno uda się uratować serce Calą. Gdyby wiedział przedtem, że jego stan się nie poprawił, a wręcz przeciwnie, już dawno szukałby rozwiązań. Znajdowanie rozwiązań dla pozornie nierozwiązywalnych problemów było jego specjalnością. Właśnie ta umiejętność przyniosła mu bogactwo i sukces, przekraczające jego najśmielsze marzenia.

Przymknął oczy, leżąc w tym małym, skromnym pokoiku, w którym jako chłopiec marzył o wielkiej przyszłości. Może właśnie zakonna prostota tego pomieszczenia sprzyjała takim ambitnym marzeniom. Cole miał domy i mieszkania na całym świecie, wszystkie z obszernymi sypialniami i wielkimi łóżami o przeróż-

nych kształtach, ale właśnie tu zasypiał szybciej niż gdzie indziej. Atmosfera tego pomieszczenia miała na niego kojący wpływ. Światło księżycy przesączało się przez cienkie firanki, tworząc z nich jedwabną pajęczynę, unoszącą się leciutko w świeżym, pachnącym powiewie. Rano, kiedy wypocznie, będzie mu łatwiej wszystko zaplanować i rozwiązać. Stary budzik na nocnym stoliku rytmicznym stukaniem ukołysał go do snu z przypomnieniem, że czas mija i jutro wszystko będzie prostsze.

Calvin Downing stanął obok łóżka siostrzeńca, przyglądając się śpiącemu mężczyźnie. Zaczął przemawiać do niego szeptem, jak to robił od lat, kiedy odczuwał potrzebę powiedzenia mu we śnie tego, czego nie śmiał na jawie.

- Dokonałeś już tego, o czym większość ludzi może najwyżej marzyć - szepnął. - Udowodniłeś już wszystkim, że możesz osiągnąć każdy cel, jaki sobie postawisz. Nie musisz już się tak pchać, synu. - Cole przekręcił się, ale spał dalej spokojnie. - Jutro na wszystko spojrzysz inaczej - obiecał mu Calvin jak zawsze, gdy jako chłopiec przyjeżdżał do niego. - Kocham cię, synu.

Rozdział 17

Ruch na autostradzie między stanowej z lotniska do centrum Houston był spory jak na sobotnie popołudnie, ale szofer prowadzący długi, czarnego mercedesa zręcznie lawirował, zmieniając pasy.

Cole, nieświadom sztuczek, jakie dla niego wyczyniał kierowca, siedząc na tylnym siedzeniu, pogrążony był w czytaniu szczegółowej analizy współpracy Unified z innymi spółkami przy budowie z Rosjanami gazociągu aż do Morza Czarnego. Podniósł wzrok dopiero, gdy samochód zatrzymał się pod zielonym baldachimem hotelu Grand Balmoral i pojawił się portier w liberii. Cole niechętnie włożył raport do teczki i wysiadł.

„Conde Nast Traveler” przedstawiał piętnastopiętrowy Grand Balmoral jako wybitny przykład staroświeckiej elegancji połączonej z nienaganną obsługą, ale Cole, przechodząc przez okrągły hol z zieloną marmurową podłogą i greckimi kolumnami, myślami był przy rosyjskich kolejach i rosyjskich zimach.

Po prawej części holu wznosiła się olbrzymia klatka schodowa, prowadząca na otaczającą ją dookoła, szeroką antresolę. W ramach przygotowań do Balu Białej Orchidei kręciły się tam dziesiątki robotników, ozdabiających setki naturalnej wielkości drzew maleńkimi światełkami i sztucznym śniegiem.

Oderwawszy się od swych myśli, Cole uniósł głowę i spoglądając na te przygotowania, skierował się do mahoniowego biurka recepcji. Natychmiast pojawił się dyrektor hotelu i osobiście zaprowadził go do jego apartamentu.

- Jeżeli możemy zrobić cokolwiek dla uprzyjemnienia pańskiego pobytu, proszę nam dać znać, panie Harrison - powiedział przy drzwiach.

- Oczywiście - odparł machinalnie Cole, na którym wyjątkowe traktowanie, jak i wspaniały, pięciopokojowy apartament w stylu

Ludwika XV nie robiły specjalnego wrażenia. Większą część życia spędzał na robieniu interesów w luksusowych hotelach na całym świecie i w ciągu niecałych dziesięciu lat tak się do tego przyzwyczaił, że przyjmował to jak coś naturalnego.

Cole nie skorzystał z propozycji dyrektora, żeby pokojówka rozpakowała mu walizkę, dał napiwek chłopakowi, który wniósł bagaż, a później zdjął marynarkę i krawat, rozpiął górne guziki przy białej koszuli i podszedł do barku w salonie, żeby zrobić sobie dżin z tonikiem. Wszedł ze szklanką na balkon. Temperatura osiągnęła wprawdzie trzydzieści stopni, ale nie było wilgoci, która zwykle zmieniała Houston w parującą łaźnię. Patrzył na miasto, które w czasach studenckich nazywał domem. Był tu później kilka razy służbowo, ale nigdy nie nocował i może dlatego szczególnie uderzyła go różnica między stylem, w jakim opuszczał Houston czternaście lat temu, a dzisiejszym „powrotem”. Dzień po otrzymaniu dyplomu wyjechał autobusem, ubrany w wyblakłe dżinsy, podkoszulek i znoszone kowbojki, a cały swój dobytek zmieścił w ortalionowej torbie. Dzisiaj przyleciał prywatnym odrzutowcem, w garniturze od Brioniego za siedem tysięcy dolarów, mokasynach za sześćset i z teczką za półtora tysiąca dolarów. Kiedy samolot zatrzymał się w hangarze, obok lśniącej limuzyny czekał szofer, żeby zawieźć go natychmiast do hotelu Balmoral. Przyzwyczaił się do traktowania go jak VIP-a, prywatnych samolotów, najlepszych apartamentów i uwodzicielskich spojrzeń pięknych kobiet.

Znow wrócił myślami do dziesięciogodz innej jazdy autobusem z Houston do Jeffersonville i przypominał ją sobie tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Dzień po rozdaniu dyplomów wsiadł do pierwszego autobusu, jadącego na północ w kierunku rancza wuja. Autobus był ustępstwem ze względu na skąpstwo Cala, który mimo swych szybów naftowych wciąż uważał podróże samolotem za niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy. Kiedy wsiadał do autobusu, miał tylko to, co na sobie, parę drobiazgów w ortalionowej torbie i marzenia. Torba była zwyczajna i nieduża, za to marzenia niezwykłe i ambitne. Siedząc obok staruszka, który cały czas czekał, Cole oglądał rezydencje wzdłuż River Oaks i upajał się marzeniami, jak to kiedyś wróci tutaj, sławny i bogaty I teraz wrócił.

Upijając łyk drinka ze szklanki, uśmiechnął się z ironii losu. Dzisiaj niewątpliwie nastąpiła realizacja jego dawnego marzenia, ale teraz nie było to już dla niego ważne. Udowodnił sobie, udowodnił innym, a jednak dalej do czegoś dążył, pracował do późna i wciąż ciężko, a nawet ciężiej. Spoglądając na mgiełkę, otulającą

strzelające w niebo wieżowce, zaczął się zastanawiać, do czego właściwie dąży. W Denver odbywało się właśnie doroczne zebranie udziałowców Alcan Electronics i jeśli negocjatorzy Cole'a nie będą skuteczni, będzie go *czekała walka o* przejęcie spółki. W Kalifornii jego prawnicy, dyrektorzy i zespół architektów prowadzili serię spotkań w sprawie kompleksów biurowych, jakie budował w północnej Kalifornii i stanie Washington na potrzeby licznych spółek, wchodzących w skład działu technicznego Unified.

A jeśli zdrowie wuja się nie poprawi... Wołał o tym nie myśleć. Po rozmowie z Letty spotkał się z lekarzem, który mu powiedział, że choroba Cala jest nieprzewidywalna i należy w każdej chwili być przygotowanym na najgorsze.

Cole popatrzył na zegarek. Było wpół do siódmej. Musiał pojawić się na dole, żeby udzielić wywiadu o wpół do ósmej, a aukcja Balu Orchidei rozpoczynała się o ósmej. Miał więc godzinę na prysznic, golenie i ubranie się; dla niego było to aż nadto. Zdecydował więc zadzwonić do swego biura prawnego w Kalifornii, żeby dowiedzieć się o przebieg spotkań.

Rozdział 18

Rodzina Diany i jej dwoje przyjaciół, z przyklejonymi do twarzy sztucznymi uśmiechami, stali w zatłoczonym holu hotelu Balmoral. Starali się wyglądać, jakby wszystko było w najlepszym porządku i cały czas zerkali na obrotowe drzwi przy głównym wejściu, czekając, aż się w nich pojawi Diana.

- Dekoracje są urocze - zauważyła mama Diany bez większego przekonania.

Reszta spojrzała z udanym zainteresowaniem na hol Baimoralu, olbrzymią klatkę schodową i antresolę. Główne światła były przyćmione, a cały hotel wydawał się gęstym lasem ocienionych drzew, z maleńkimi światełkami, migoczącymi wśród gałęzi pokrytych sztucznym śniegiem. Lodowe rzeźby, przedstawiające średniowiecznych rycerzy i ich damy, ozdabiały pokryte śniegiem sadzawki, kelnerzy w średniowiecznych strojach roznosili cynowe puchary z winem, a Orkiestra Symfoniczna Houston grała „Ciekawe, co król robi dziś wieczorem”.

- Wygląda to zupełnie, jak pierwsza scena z „Camelota” - dodała Corey. Zwróciła się do męża. - Nie uważasz?

Zamiast odpowiadać, Spenee objął ją w talii, a potem pocieszył:

- Nie martw się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Diana powiedziała, że będzie piętnaście po siódmej, a jest już wpoi do ósmej - powiedziała Corey. - Ona nigdy się nie spóźnia.

Jej matka rozejrzała się po holu i zauważyła, że tłum zaczynał przemieszczać się w kierunku antresoli, gdzie miały się odbywać główne atrakcje.

- Może jednak zdecydowała, że nie jest w stanie przyjść - zaczęła się zastanawiać Mary Foster.

Na twarzy Corey pojawiło się przerażenie.

- Wycofanie się w ostatniej chwili, to najgorsze, co mogłaby zrobić.

- Przyjdzie - uspokajał je Spence. - Diana nigdy przed niczym nie ucieka.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby tym razem uciekła - rzekła Corey. - Ona ceni swoją prywatność i godność ponad wszystko, a w rezultacie tego, co zrobi! Dan, jej godność została publicznie podeptana. Chyba nie miałabym odwagi pojawić się tutaj na jej miejscu.

- Na pewno miałabyś - stwierdził Spence z absolutnym przekonaniem.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Dlaczego tak uważasz?

- Duma - odparł. - Zraniona duma zmusiłaby cię, żeby się tu pojawić i spojrzeć im wszystkim w oczy. Duma, to jedyne, co jej pozostało, dlatego powinna pojawić się na balu z podniesioną głową.

- Przyjdzie na pewno - zgodził się z nim Doug Hayward.

- Właśnie się pojawiła - powiedział nagle Spence, patrząc z uśmiechem na Corey. - I zrobiła to w wielkim stylu.

Corey obróciła się, zbita z tropu. Zobaczyła Dianę, przechodzącą spokojnie przez tłum, z podniesioną głową, jakby nie widziała ciekawych spojrzeń. Siostra była z niej tak dumna i zaskoczona jej widokiem, że na chwilę zapomniała o Danie i zerwanych zaręczynach.

Zwykle Diana ubierała się na oficjalne wystąpienia ze skromną elegancją, ale dziś było inaczej. Corey ze zdumionym uśmiechem obserwowała wrażenie, jakie wywierała olśniewająca fioletowa kreacja Diany. Dopasowana suknia na wąskich ramiączkach, z głębokim rozcięciem z boku, rozszerzała się nagle na wysokości kostek. Zamiast gładkiej fryzury z Roczkiem, jaką zwykle nosiła, rozpuściła gęste, falujące włosy, sięgające jej do ramion, co dawało wspaniały efekt, kontrastując z wyrafinowaną sukienką. Corey uściskała siostrę.

- Już się bałam, że postanowisz zostać w domu - szepnęła.

- Tego w ogóle nie brałam pod uwagę - skłamała Diana, odwzajemniając uścisk i uśmiechając się do mamy i dziadków.

Była tak zdenerwowana i nieszczęśliwa, a jednocześnie wzruszona widokiem rodziny i Douga z narzeczoną, którzy czekali na nią, jak straż honorowa, żeby jej pomóc przejść przez tę próbę, że czuła wzbierające łzy, a przecież wieczór właściwie jeszcze się nie zaczął.

- Jesteś cudowna - znalazł się elegancko Spence, obdarzając ją braterskim uściskiem. - Twoja suknia też.

- Jak to szczęśliwie, że twoje zebrania w Nowym Jorku zakończyły się dzień wcześniej i mogłeś tu z nami przyjść.

Nie było w tym żadnego szczęścia, tylko ze względu na sytuację Diany Spence odwołał spotkania z ostatniego dnia, ale Corey wolała już tego nie mówić. Doug Hayward przypatrywał się Dianie z nie skrywanym podziwem.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedział. Pocałował ją w policzek i ujął jej dłonie. - Masz lodowate ręce. Jesteś pewna, że chcesz dzisiaj stawić czoło tym wszystkim ludziom, łącznie z mediami?

Wzruszona jego troską, Diana przykleiła do twarzy promienny uśmiech.

- Poradzę sobie - zapewniła przyjaciela z dzieciństwa. - Takie rzeczy przydarzają się wielu ludziom. Zrywają zaręczyny, poślubiają kogo innego, chociaż na ogół - usiłowała zachować poczucie humoru - odbywa się to w takiej kolejności, a nie odwrotnie.

Zamiast się roześmiać, skrzywił się tylko i Diana ścisnęła jego ręce w geście sympatii i wdzięczności. Nie planował wcale udziału w Balu Orchidei, gdyż jako młody senator z Teksasu miał pełne ręce roboty, ale kiedy dowiedział się, że Diana zamierza wystąpić publicznie pierwszy raz po zdradzie Dana, postanowił iść i koniecznie siedzieć razem z Fosterami. Wiedziała, że w ten sposób chce ją wesprzeć moralnie wobec elity towarzyskiej Houston.

- Dziękuję, że tak o mnie dbasz - rzekła Diana łamiącym się głosem. - Zawsze dawałeś rady Corey i mnie, i zawsze nas wyciągałeś z kłopotów.

- Przeważnie dzięki słuchaniu moich rad Corey miała kłopoty - zażartował - a ty rzadko prosiłaś o radę i nigdy nie pakowałaś się w żadne awantury, o ile pamiętam.

Ostatnie stwierdzenie było prawdą, ale Diana nie chciała żartować z prawdziwej przyjaźni.

- Masz dobre serce i jesteś przemiły - powiedziała szczerze.

Puścił jej ręce i cofnął się z udawanym przerażeniem.

- Chcesz zniszczyć mój pracowicie stworzony wizerunek twardego faceta? Moi przeciwnicy polityczni to wykorzystają, jeśli się dowiedzą, że mam miękkie serce i jestem przemiły.

Corey go słuchała, ale jednocześnie przyglądała się twarzy Diany. Z bliska widziała, że pod starannym makijażem Diana jest blada, a jej oczy nie mają zwykłego blasku. Spence najwyraźniej też to zauważył, gdyż podszedł prędko do któregoś z zainstalowa-

nych na dzisiejszy wieczór barów i po minucie wrócił z dwoma kieliszkami.

- Wypij to - poinstruował. - Wróca ci kolory i nabierzesz odwagi.

Diana wzięła od niego kieliszek, wypła łyk, po czym potrząsnęła głową. Za wszelką cenę musiała stawić temu czoło.

Nie miała pojęcia, co wydarzy się za godzinę, kiedy wejdzie na salę balową w towarzystwie rodziny, Douga i jego dziewczyny, Amy. Niektórzy z obecnych są jej przyjaciółmi, więc będą pytali o sprawę Dana z prawdziwą troską, ale setki dalszych znajomych i obcych będą śledziły jej każdy krok, żeby mieć o czym plotkować następnego dnia. Diana starała się przez całe życie nie robić sobie wrogów, ale wiedziała, że są tacy, którzy zazdroszczą sukcesów rodzinie Fosterów, i tacy, którzy po prostu cieszą się *i* cudnego nieszczęścia.

- Prasa będzie się koło ciebie tłoczyć cały wieczór - powiedziała ponuro Corey.

- Wiem o tym.

- Trzymaj się Spence'a i mnie. Będziemy cię osłaniać, jak się da. Diana uśmiechnęła się słabo.

- Czy Spence ma broń?

- Dzisiaj nie - zażartowała Corey. - Odnacza się w smokingu.

Diana skierowała wzrok na antresolę i przypatrywała się obecnemu tam tłumowi z entuzjazmem kobiety stojącej przed plutonem egzekucyjnym, czekającym u szczytu schodów.

- Szkoda, że zgodziłam się demonstrować ten naszyjnik na aukcji, nim się to wszystko stało - powiedziała. - Będę musiała iść tam za kilka minut, żeby mi go włożono.

- O Boże! Zupełnie zapomniałam - jęknęła Corey. - Zauważyłam, że nie masz na sobie żadnej biżuterii, ale tak się ucieszyłam, że pięknie wyglądasz w tej fioletowej sukni, że zapomniałam o tych nieszczęsnych ametystach, które masz prezentować.

Od ponad stu lat Bal Białej Orchidei, zwany często po prostu Bałem Orchidei, i aukcja dobroczynna, stanowiąca jego część, były co roku najwspanialszym wydarzeniem towarzyskim arystokracji w Teksasie. Jego tradycje sięgały czasów, kiedy zaproszonymi gośćmi byli królowie nafty i hodowcy bydła, którzy przyjeżdżali ozdobnymi powozami, a potem tańczyli ze swymi damami walca pod kryształowymi żyrandolami, błyszczącymi od światła świec. W obecnej formie nie ograniczał się on do kilkudziesięciu najbogatszych rodzin, tworzących elitę towarzyską, ale tradycje pozostały i był znany jako jeden z najbardziej skutecznych sposobów zbierania pieniędzy na cele charytatywne.

Dianę poproszono, by wystąpiła w roli modelki prezentującej jeden z darów ofiarowanych na aukcję. Był to taki zaszczyt i rytuał, że odmowa spowodowałaby na nią jeszcze więcej plotek. Diana wiedziała o tym, podobnie jak Spence i Corey.

- Wypij do końca - nalegał Spence. - Jeszcze dwa łyki.

Diana zgodziła się, bo było to łatwiejsze, niż się spierać, a musiała zachować siły na resztę wieczoru.

Wiedząc, że Diana zawsze się troszczyła o jego samopoczucie, dziadek postanowił odwrócić jej uwagę, żeby myślała o nim. Macając wykrochmalony kołnierzyk od koszuli smokingowej, zaczął narzekać.

- Nie znoszę przebierać się w ten pajacowaty strój, Diano. Czuję się jak idiota za każdym razem, kiedy muszę go włożyć.

Babcia spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie przeklinaj, Henry. Twój smoking bardzo ładnie na tobie leży.

- Wyglądam, jak jakiś cholerny pingwin - upierał się.

- Wszyscy panowie mają smokingi.

- I wszyscy wyglądamy, jak pingwiny - odparował, ale żeby już się nie kłócić, zmienił temat, patrząc z nadzieją na Dianę. - Chyba powinniśmy znów wydać jeden numer, poświęcony organicznemu ogrodnictwu, bo to jest zawsze popularne. Co o tym myślisz, kochanie?

Diana nie mogła się skupić na niczym, prócz tego, co ją czekało dzisiejszego wieczoru.

- Dobrze, dziadku - odpowiedziała, chociaż wydawali już taki numer dwa razy w tym roku. - Zrobimy to - dodała automatycznie, a mama i babcia spojrzały na nią ze zdumieniem. - Chyba pójdę po ten naszyjnik - powiedziała, ociągając się. - Dobrze, że nie jestem dziś w nastroju na wydawanie pieniędzy - usiłowała żartować. - Najpierw zapomniałam torebki i musiałam po nią wrócić. - Uniosła małą, owalną torebkę wieczorową. - Później, kiedy tu dojechałam, nie mogłam dać napiwku parkingowemu, bo zapomniałam zabrać pieniędzy. Mam przy sobie tylko prawo jazdy i puderniczkę. Aha, pamiętałam jeszcze, żeby zabrać szminkę. Ale wzięłam w złym kolorze.

Wszyscy się uśmiechnęli, słuchając tej historii. Wszyscy, z wyjątkiem Rosę Britton, która patrzyła na oddalającą się Dianę, marszcząc czoło w zamyśleniu. W końcu odwróciła się do reszty towarzystwa i oznajmiła dramatycznym tonem:

- Myślę, że Diana już przekroczyła swoją granicę i martwię się o nią.

- Co masz na myśli? - spytał jej mąż.
- Myślę, że zachowuje się bardzo dziwnie - odparła bez ogródek pani Britton - i robiła to już, zanim Dan ją puścił kantem.

- Ja nic dziwnego nie zauważyłam, mamu - zaprotestowała Mary Foster, krzywiąc się z niesmakiem na wyrażenie, jakiego użyła babcia.

- Więc dam wam parę przykładów. Diana była zawsze najlepiej zorganizowaną, metodyczną, punktualną, odpowiedzialną osobą, jaka chodzi po tej ziemi. W każdy piątek o wpół do ósmej rano ma masaż, a później manicure, a w każdy czwartek o czwartej spotkanie z działem produkcji. - Przerwała, żeby się przekonać, czy wszyscy są zgodni co do tego, o czym na razie mówiła, i sprawdziła, że wszyscy ją słuchają. - Dwa tygodnie temu Diana zapomniała o masażu i zapomniała powiedzieć sekretarce, że na ten termin umówiła się z jednym z naszych bankierów. Wiem o tym, bo szukając jej, sekretarka zadzwoniła do nas do domu.

Spence powstrzymał uśmiech.

- Każdy od czasu do czasu zapomina o jakimś spotkaniu, babciu, zwłaszcza gdy jest bardzo zajęty - uspokajał. - Z tego, co mi mówiła Corey, wiem, że Diana pracowała w dużym napięciu, starając się prowadzić magazyn, realizować plany rozwoju i jeszcze wyprzedzać konkurencję. Biorąc to pod uwagę, przeoczenie takich drobiazgów, jak masaż i manicure, wydaje się zrozumiałe.

- Dwa miesiące temu - ciągnęła babcia uparcie - zapomniała o moich urodzinach!

- Pracowała w biurze do późna - przypomniała matce pani Foster. - Kiedy do niej zadzwoniłam, zaraz przyjechała.

- Tak, ale kiedy przyjechała, zapomniała mojego prezentu, a później upierała się, że pojedzie po niego do swojego mieszkania.

- To nie jest tak niezwykle, jak na Dianę, babciu - wtrąciła się Corey. - Wiesz, jaka jest uważająca i jak starannie wszystkim dobiera prezenty. Chciała wrócić po niego, żeby koniecznie ci go dać tego dnia.

- Tak, ale szukanie zajęło jej godzinę, bo zapomniała, gdzie go położyła.

Doug wymienił porozumiewawczy uśmiech ze Spence'em, nim powiedział.

- To na pewno dlatego, że kupiła go dla pani znacznie wcześniej. W sierpniu wpadłem na nią u Neimana i powiedziała, że robi zakupy na Boże Narodzenie.

Corey uśmiechnęła się.

- Ona zawsze robi listę świąteczną w sierpniu i kończy zakupy we wrześniu. Mówi, że potem wszystko jest już przebrane.

- Zawsze kupuje najbardziej odpowiednie prezenty - wspomniał z uśmiechem Doug. - W zeszłym roku ja jej dałem pudełko czekoladek i szampana, a ona mi kupiła kaszmirowy szalik, o którym kiedyś wspominałem, że mi się podoba. Kiedy znalazła już ten prezent, na pewno to było coś, co pani bardzo chciała.

- To było pudełko cygar! - poinformowała.

Doug aż zmrużył oczy z wrażenia, ale pan Britton tylko zachichotał i pokiwał głową. - Zamówiła te cygara dla mnie, na moje urodziny. Zawsze pakuje prezenty, jak tylko je kupi, więc pewnie śpiesząc się, złapała niewłaściwą paczkę.

Pani Britton potrząsnęła głową, nie dając się zbić z tropu.

- Kilka tygodni temu, kiedy wracała ze spotkania z naszymi drukarzami w Chicago, wzięła taksówkę z lotniska wprost do biura.

- I co w tym złego?

- Jej samochód stał na lotnisku. Moim zdaniem, ona od dawna pracuje zbyt ciężko - powiedziała wprost.

- Nie miała wakacji od sześciu lat - przypomniała sobie pani Foster, czując się winna i zaniepokojona. - Musimy ją zmusić, żeby zrobiła sobie miesiąc wolnego.

- Z Dianą wszystko w porządku, tylko powinna pojechać na wakacje, choćby dla zasady - podsumował dziadek tę kłopotliwą dyskusję.

Rozdział 19

Oficjalne miejsce dla prasy zostało odgrodzone aksamitną linką w kącie antresoli, niedaleko sali balowej, gdzie rozłożono przedmioty na aukcję. Zgodnie z obietnicą, Jaką dał asystentce prasowej z Unified, Cole zaprezentował się prasie, robiąc wrażenie zachwyconego, że się tam znalazł. Powiedział, że udzieli krótkich wywiadów lokalnym reporterom z CBS i ABC, następnie pozował do zdjęć i odpowiadał na rutynowe pytania reporterów z „Houston Chronicle” i wysłannika „USA Today”.

Wywiad dla ABC był ostatni. Stojąc przy Kimberly Proctor, przed wycelowanym w niego światłem kamery, jak przed nieruchomym okiem Cyklopa, słuchał atrakcyjnej blondynki, która opowiadała z entuzjazmem o stuletniej tradycji Balu Białej Orchidei i niektórych zwyczajach związanych z aukcją, a później przystawiła mu mikrofon do twarzy.

- Panie Harrison, dowiedzieliśmy się od komitetu organizacyjnego, że ofiarował pan najcenniejszy dar na dzisiejszą aukcję. Ile jest warta rzeźba Klinemana?

- Dla kogo? - odpowiedział sucho.

Osobiście uważał zawsze te nowoczesną rzeźbę za obrzydlistwo, ale kupił ją okazji, a teraz była warta pięć razy tyle.

Zaśmiała się.

- Chodzi mi o to, na ile jest wyceniana?

- Ćwierć miliona dolarów.

- Jest pan bardzo hojnym człowiekiem

- Proszę to powiedzieć w Urzędzie Skarbowym - powiedział i sam zakończył wywiad, uśmiechając się do niej przelotnie i kiwając głową, nim wycofał się z wizji. Ta taktyka ją zdumiała, więc poszła za nim.

- Niech pan zaczeka... Myślałam... że może gdzieś pójdziemy... pogadać...

- Przepraszam - skłamała uprzejmie - ale musiałaby pani skontaktować się z naszym biurem prasowym i ustalić termin wywiadu.

- Nie myślałam o wywiadzie - powiedziała, patrząc mu w oczy i ścisząc nieco głos. - Myślałam, że może poszlibyśmy gdzieś na drinka...

Cole potrząsnął przecząco głową, ale osłodził tę odmowę smutnym uśmiechem.

- Żałuję, ale nie mam nawet piętnastu minut dla siebie aż do wyjazdu z Houston jutro.

Była urocza, wygadana i inteligentna, ale to wszystko nie miało dla niego znaczenia. Była reporterką i nawet gdyby była najpiękniejszą, najmądrzejszą i najbardziej pożądaną kobietą na świecie, z najczystszyimi motywami, i tak unikałby jej jak ognia.

- Może innym razem - dodał i wy dostał się ze strefy dziennikarzy, pozostawiając ją innym chętnym do wywiadu kandydatom, którzy czekali po drugiej stronie aksamitnej liny.

Nim przeszedł na drugą stronę antresoli, gdzie miały się odbywać główne uroczystości, ukłoniło mu się kilkanaście osób, którym się odkłonił, nie mając pojęcia, kim są. Jak na ironię losu, jedyne osoby, jakie rozpoznał, to byli Charles Hayward II i jego małżonka, którzy przeszli obok swego byłego stajennego z zadartymi nosami i lodowatym spojrzeniem.

Cole zatrzymał się w drzwiach pomieszczenia, w którym prezentowano najcenniejsze przedmioty wystawione na licytację. Usłyszał, że tu i ówdzie szeptano jego nazwisko, ale najczęściej padało nazwisko Diany Foster. Mówiono o niej „biedna Diana Foster”, ale były to przeważnie kobiety i nie mówiły tego współczująco, ale złośliwie.

Z jego punktu widzenia Bal Białej Orchidei zaspokajał trzy ważne, ale bardzo różne potrzeby. Po pierwsze, dawał żonom i córkom najbogatszych okazję do spotkania, zaprezentowania kreacji oraz klejnotów i poplotkowania. Drugim celem było zebranie pieniędzy na Amerykańskie Towarzystwo do Walki z Rakim. Trzecim celem było danie okazji prominentnym i bogatym obywatelom Houston do pokazania się poprzez przelicytowanie jedni drugich przy nabywaniu przedmiotów, ofiarowanych przez innych bogatych i prominentnych.

Dzisiejszy Bal Orchidei miał szansę odnieść nieporównywalny sukces w każdym aspekcie, pomyślał Cole. Przed drzwiami sali, w której znajdowały się licytowane przedmioty, stali uzbrojeni strażnicy. Zrobiło się zamieszanie, gdy chciał obok nich przejść fotoreporter w koszuli w czerwono-białą kratkę.

- Po siódmej nie wpuszczamy nikogo oprócz gości - ostrzegł strażnik, krzyżując ręce na piersiach.

- Jestem z „Enquirer” - wyjaśniał, starając się mówić cicho, ale tak, by być słyszalnym wśród głośniego tłumu. - Nie interesuje mnie to, co tu wystawiacie, ale chciałbym zrobić zdjęcie Diany Foster, bo zdaje się, że tu weszła.

- Przepraszam, ale wpuszczamy tylko gości.

Teraz dopiero Cole w pełni zdał sobie sprawę ze smutnego przeżycia Diany i odczuł jednocześnie sympatię i niedowierzanie. Widział ją w telewizji i wiedział, że jest teraz dorosłą kobietą, ale dla niego wciąż pozostała bystrą nastolatką, siedzącą po turecku na beli siana, z przechyloną na jedną stronę głową i słuchającą w skupieniu wszystkiego, co mówił.

Drzwi do sali balowej, w której miał się odbyć bankiet i licytacja, były wciąż zamknięte i Cole patrzył niecierpliwie na zegarek, nie mogąc się doczekać, żeby mieć już wszystko za sobą. Ponieważ było to niemożliwe, a nie miał ochoty wszczynać rozmowy z żadną z osób, które na niego spoglądały, cofnął się i stanął wśród drzew, gdzie zasłaniały go gałęzie i uniósł do ust kieliszek szampana. Od czasu, gdy przestał pracować w stajni Haywardów, bywał na setkach imprez, na których obowiązywały stroje wieczorowe. Na niektórych z nich się nudził, ale nigdy nie czuł się nie na miejscu. W Houston czuł się inaczej, jakby oszukiwał i udawał kogo innego. Ze swego miejsca w ukryciu obserwował przechadzający się tłum, nie chcąc przyznać się samemu sobie, że wzrokiem szukał Diany... I nagle tłum się rozstał i zobaczył ją, stojącą obok wind, kilkanaście metrów od niego. Odczuł ulgę, a jednocześnie podziw, gdy jego wzrok przesunął się po sylwetce „biednej Diany Foster”.

Zamiast omdlałego, załamane stworzenia, jakie obawiał się ujrzeć, zobaczył Dianę Foster jak zwykle spokojną, wytworną, w fioletowej jedwabnej sukni, która przylegała ciasno do jej pełnych piersi i wąskiej talii. Poruszała się godnie i z wdziękiem, jakby z dala od otaczających ją hałasów i bieganiny. Miała delikatne rysy, duże, błyszczące, zielone oczy otoczone brązowymi rzęsami, pod egzotycznie wykrojonymi brwiami. Jej kolorystyka była wyraźniejsza, pomyślał Cole, a mała dziurka w brodzie prawie niewidoczna, ale włosy miała wciąż takie same, gęste i błyszczące, z czerwonym połyskiem w świetle żyrandoli. Na jej szyi błyszczał naszyjnik z dużych, fioletowych ametystów, otoczonych brylancikami, który doskonale komponował się z jej sukienką. Była stworzona do wieczorowych sukien i biżuterii, stwierdził Cole. Pa-

sowały do niej znacznie bardziej, niż spodnie i blezery, w jakich ją pamiętał.

Stał w cieniu drzew, zaintrygowany czymś nieokreślonym, co sprawiało, że Diana wydawała mu się taka nieruchoma i wyraźna na tle krążącego jak w kalejdoskopie tłumu, kolorowego i głośniego. Słuchała z uwagą mężczyzny, który coś do niej mówił, a który prawie na pewno był Spence'em Addisonem. Addison odsunął się, a Cole wyszedł z ukrycia, pragnąc by spojrzała w jego stronę. Chciał, żeby go poznała, obdarzyła tym swoim niezapomnianym uśmiechem i podeszła porozmawiać. Pomyślał przez moment, że może go zlekceważy jak Haywardowie, ale odrzucił tę myśl. Aż do teraz młodzieńcze marzenia o triumfalnym powrocie do Houston nie były dla niego ważne, dlatego nagłe pragnienie, by Diana Foster go zauważyła, było absurdalne.

Sądząc po lodowatych spojrzeniach Charlesa i Jessiki kilka minut temu, wątpił żeby chętnie opowiadali ludziom, jaką karierę zrobił ich były stajenny. Istniała więc możliwość, że Diana nie miała pojęcia, że Cole ze stajni, z którym dzieliła się kanapkami i przemyśleniami nastolatki, to ten sam Cole, który został ogłoszony Przedsiębiorcą Roku przez „Newsweeka”.

Otwarto nareszcie drzwi do sali balowej i cały tłum runął, zasłaniając mu widok. Postanowił podejść do niej, nim zniknie w tłumie, lub wejść do sali najbliższymi drzwiami, i porozmawiać. Jednak przeszkodzili mu tłoczący się ludzie, a kiedy pokonał ostatnią ludzką przeszkodę, zobaczył, że wśród pozostałych stu osób stoi Diana i rozmawia z Dougiem Haywardem. Cole zwinął i stanął z boku. Uniósł kieliszek do ust, mając nadzieję, że Hayward zaraz sobie pójdzie. Nie miał pojęcia, czy stosunek Charlesa Haywarda do niego odziedziczył również syn, ale wolał nie ryzykować, żeby nie zepsuć tego spotkania z Dianą po ponad dziesięciu latach.

Hayward chciał ją wprowadzić na salę, ale ku radości Cole'a, Diana odmówiła.

- Idź już beze mnie - powiedziała. - Przyjdę za chwilę, muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

- Pójdę z tobą - zaoferował Hayward.

- Nie, proszę. Muszę przez chwilę być sama.

- Dobrze, jeśli jesteś pewna, że tego właśnie chcesz - powiedział Doug z ociąganiem. - Ale nie bądź długo - dodał, zmierzając w kierunku sali balowej.

Diana skinęła głową i podeszła szybko do drzwi z napisem „Wyjście”. Cole wystarczająco znał się na kobietach, żeby wiedzieć,

Nagle przejście od nieoczekiwanej nadziei do bolesnej prawdy porażało ją w jeszcze większym żalu. Przez mgłę zebranych w oczach łez zauważyła otwierające się drzwi od strony pasażera i wysuwające się długie nogi olśniewającej, dwudziestokilkuletniej blondyny. Patrząc na jej obcisłą, krótką sukienkę i pewne siebie, zmysłowe ruchy, Diana zaczęła się zastanawiać, kiedy Dan zaczął przedkładać seksowne młode blondynki nad konserwatywne, ponadtrzydziestoletnie szatynki jak ona. Sadząc po zdjęciach w gazecie, jego nowa żona jest dziesięć razy ładniejsza i powabniejsza od Diany, na pewno bardziej zmysłowa i zabawna. Zaczęła się zastanawiać, kiedy dokładnie Dan poczuł, że Diana mu nie wystarcza.

Nie wystarczała...Tak, to musiała być prawda, bo inaczej nie wyrzuciłby jej tak beztrzesko, jak wyrzuca się śmieć. Nie wystarczała mu, i od tego upokarzającego stwierdzenia zaczęto ją ścisnąć w żołądku. Przed Dianą zawsze spotykał się z wysokimi, postawnymi i olśniewającymi kobietami, dwudziesto- i trzydziestolatkami, dowcipnymi i poświęcającymi uwagę wyłącznie swojej urodzie i ostrej grze. Diana poświęcała się swojej pracy i rozwojowi rodzinnej firmy. Jedyne, co ją łączyło z kobietami Dana, to fakt, że i ona kiedyś była dwudziestolatką. Poza tym kontrast był oczywisty. Miała tylko metr pięćdziesiąt siedem wzrostu, zwyczajne, brązowe włosy i daleko jej było do zmysłowości. Przypomniała sobie, że kiedy wybuchł skandal w związku ze szkodliwością powiększania piersi, żartowała z Danem, że szczęśliwie nie zrobiła sobie operacji. A on, zamiast się śmiać, powiedział że niektóre implanty są bezpieczne, więc mogłaby, gdyby chciała, wstawić sobie te bezpieczniejsze.

Czując teraz obrzydzenie do siebie, Diana wyrzucała sobie, że jednak tego nie zrobiła. Gdyby była normalną kobietą, zajęłaby się bardziej swoją urodą, zamiast zadowalać się „naturalnym” wyglądem i liczeniem na to, że zatrzyma mężczyznę intelektem, a nie urodą. Mogła sobie zrobić pasemka, albo się utlenić, albo ostrzyć na chłopaka. Zamiast długiej sukni, jaką miała teraz na sobie, mogła nosić obcisłe, do pól uda.

Nagle obróciła się przestraszona, słysząc trzask zamykanych drzwi, którymi wszedł wysoki mężczyzna w smokingu. Ulga, że był to któryś z gości balowych, a nie reporter ani bandyta, ustąpiła zaraz miejsca złości, że szedł akurat w jej stronę. Szedł powoli, miał zgięte w łokciach ręce... Na moment wyobraziła sobie, że trzyma w nich rewolwery, ale wszedł w krąg światła i wtedy Diana zobaczyła, że niesie... dwa kieliszki szampana. Wpatrywała się najpierw w kieliszki, potem w niego, a odległość między nimi malała.

Był już tak blisko, że mogła zauważyć, iż miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć, szerokie ramiona, mocno zarysowane szczęki i gęste, brązowe brwi. Jego ukryta w cieniu twarz była opalona, a oczy jasne i rozbawione.

- Witaj, Diano - powiedział głębokim, dźwięcznym głosem.

Diana usiłowała przybrać jakiś w miarę cywilizowany wyraz twarzy, chociaż miała ochotę tupnąć nogą i kazać mu się wynosić. Od dziecka jednak miała wpojone dobre maniere i nie była zdolna do niegrzecznego zachowania.

- Przepraszam - powiedziała, starając się panować nad głosem - nie przypominam sobie, żebyśmy się kiedyś spotkali.

- Z całą pewnością się spotkaliśmy - zapewnił ją. - Nawet wiele razy. - Wyciągnął w jej stronę kieliszek. - Szampana?

Diana przecząco pokręciła głową i patrząc w jego twarz, z każdą chwilą była coraz bardziej pewna, że coś tu nie gra. Chociaż wolała mężczyzn o subtelniejszych rysach, a nie takich, których twarz i sylwetka promieniowały męskością, była przekonana, że gdyby go kiedyś spotkała, nie zapomniaby.

- Chyba jednak nie - powiedziała grzecznie, ale uprzejmie. - Pewnie mnie pan pomylił z kim innym.

- Nigdy nie pomyliłbym cię z nikim - zażartował. - Bardzo dokładnie pamiętam te zielone oczy i tę twoją gniadą grzywę.

- Gniadą grzywę? - zdumiało ją to wyrażenie. - Jednak mnie pan z kimś pomylił. Nigdy się nie widzieliśmy...

- A jak twoja siostra? - spytał. Surowa linia jego ust powoli rozciągnęła się w uśmiechu. - Czy Corey wciąż lubi jeździć konno?

Diana spojrzała niepewnie. Czy to przez przypadek, czy specjalnie stał wciąż w cieniu, ale coś było w nim znajomego.

- Czy pan jest znajomym mojej siostry, panie...?

Nareszcie stanął w kręgu światła i zdumiona Diana go rozpoznała.

- Bardzo oficjalnie - zażartował, a szare oczy uśmiechnęły się do niej. - Mówiłaś do mnie...

- Cole!- szepnęła.

Wiedziała, że ma być na balu i jeszcze kilka dni temu bardzo się cieszyła na spotkanie z nim, ale kiedy rozleciało się całe jej życie, zapomniała o wszystkim innym. Teraz nie mogła się oswoić z jego widokiem.

Cole zauważył, że twarz jej się rozjaśniła i poczuł ciepło, przebijające się przez jego zwykle zimną, cyniczną skorupę. Cokolwiek Haywardowie jej wtedy powiedzieli na temat jego nagiego wyjazdu

i mimo upływu tylu lat przyjaźń Diany Foster dla niego się nie zmieniła.

- Cole? To naprawdę ty? - pytała Diana, nie mogąc dojść do siebie ze zdumienia i radości.

- We własnej osobie. A właściwie w smokingu - zażartował, wyciągając znów w jej kierunku kieliszek z szampanem. Zauważył, że nie przyjęła go od obcego, ale wzięła od starego przyjaciela, co mu bardzo pochlebiało. - Myślę, że trzeba to uczcić toastem, panno Foster.

- Wymyśl coś - powiedziała. - Ja jestem wciąż zbyt zszokowana. Uniósł kieliszek.

- Za najszcześniejszą kobietę, jaką znam.

Uśmiech znikł z twarzy Diany i wzdrygnęła się.

- Boże broń! - Najwidoczniej nie wiedział, co jej się przydarzyło, więc usiłowała zbagatelizować swoją reakcję. - Chciałam powiedzieć, że miewałam więcej szczęścia...

- Co może być szczęśliwszego od cudownego uniknięcia małżeństwa ze skurwysynem?

Uwaga ta była jednocześnie tak szokująca i tak szczerą, że Dianie chciało się śmiać i płakać. - Masz rację - powiedziała. Aby uniknąć jego spojrzenia, łyknęła szybko szampana i zmieniła temat. - Kiedy rozeszła się wiadomość, że masz się tu dzisiaj pojawić, wszyscy byli bardzo przejęci. Marzą, żeby cię zobaczyć. A ja mam do ciebie tyle pytań, gdzie byłeś, co porabiałeś, nie wiem, od czego zacząć...

- Zacznijmy od najważniejszego pytania - przerwał jej zdecydowanie i Diana poczuła się znów jak mała dziewczynka w towarzystwie mądrego, dorosłego mężczyzny. - Jak przez to wszystko przechodzisz?

Wiedziała, że ma na myśli plotki na sali balowej na temat jej zerwanych zaręczyn.

- Radzę sobie - powiedziała, zaniepokojona drzeniem swego głosu. Wydało jej się, że słyszy, jak ktoś otwiera drzwi na balkon, więc na wszelki wypadek zniżyła głos. - Nieźle.

Cole spojrzał przez ramię w kierunku drzwi oświetlonych napisem „Wyjście” i dostrzegł człowieka w koszuli w kratę, który zaraz uskoczył w cień. W pierwszym odruchu chciał zaatakować szpiegującego reportera, ale postanowił go wykorzystać. Wyciągnął wolną rękę i ujął brodę Diany.

- Słuchaj uważnie i nie ruszaj się.

Spojrzała przerażonym wzrokiem.

- Obserwuje nas fotograf z jakiegoś szmatławca, który chce ci

zrobić zdjęcie. Proponuję, żebyśmy mu dali zrobić zdjęcie, warte zrucenia na pierwszą stronę w najbliższym numerze.

- Co? - szepnęła Diana w panice. - Zwariowałeś?

- Nie, mam po prostu większe doświadczenie od ciebie z negatywnie nastawioną prasą i wścibskimi reporterami. Nie pójdziesz stąd, póki nie będzie miał jakiegoś twojego zdjęcia - kontynuował Cole, kątem oka obserwując reportera, unoszącego aparat. - Masz wybór. Świat może o tobie myśleć jak o porzuconej kobiecie, albo mogą cię zobaczyć, jak się ze mną całujesz i będą się zastanawiać, czy Penworth w ogóle cię kiedyś obchodził i czy przypadkiem cały ten czas nie byłem już twoim kochankiem.

Dianie kręciło się w głowie ze strachu, radości i dwóch drinków wypitych na pusty żołądek. Przez ten moment, kiedy się wahała, Cole podjął decyzję za nią.

- Zróbmy to przekonująco - wyszeptał, odstawiając ich kieliszki.

Objął ją ręką w tali i przycisnął do siebie. Stało się to zbyt szybko, żeby stawiać opór, a za to potem działo się jak na filmie o zwolnionych obrotach, kiedy czuła swoje nogi przyciśnięte do jego ud, swoje piersi dotykające jego i ciepłe usta zakrywające jej wargi.

Uniósł na moment głowę, patrząc jej w oczy i myślała, że ją puści. Jednak zmienił tylko ułożenie rąk, jedna powędrowała w górę, po jej nagich plecach, druga się zacisnęła i znów się pochylił, żeby ją pocałować. Serce zaczęło jej walić nierówno. Poczowała jego język w kąciку swych ust i podskoczyła z wrażenia. Część jej rozumu kazała jej się natychmiast oderwać, ale jakiś głos wewnętrzny buntował się przeciwko takiej niesprawiedliwej reakcji na jego szarmanckie zachowanie. Delikatne i przekonujące zachowanie. A poza tym fotograf mógł nie zdążyć. Postanowiła działać sprawiedliwie i rozważnie, więc objęła go za szyję i oddała pocałunek.

Nagły wybuch muzyki i grzmot oklasków, jakie ich doszły z sali balowej oznaczały, że formalnie uroczystości już się rozpoczęły, co przywróciło ich do rzeczywistości. Diana oderwała się od niego ze śmiechem, a on wsunął ręce do kieszeni spodni i spojrzał na nią, marszcząc lekko gęste brwi. Sprawdzał, czy fotograf jeszcze tu był, ale stwierdził z zadowoleniem, że zrobił zdjęcie i poszedł.

- Nie mogę... uwierzyć, że to zrobiliśmy - odezwała się Diana nerwowo, starając się przygładzić włosy, gdy szli w kierunku wyjścia z tarasu.

Spojrzał na nią z wyrazem twarzy, którego nie zrozumiała.

- Chciałem to zrobić już wiele lat temu - wyjaśnił, otwierając przed nią drzwi.

- Niemożliwe - Diana uśmiechnęła się z niedowierzaniem.
- Cholernie chciałem - potwierdził z uśmiechem.

Na antresoli nie było już prawie nikogo. Zdając sobie sprawę, że na pewno ma rozmazaną szminkę i potargane włosy, Diana skierowała się w stronę toalety,

- Muszę trochę poprawić makijaż - wyjaśniła. - Idź już sam.
- Zaczekam - odpowiedział niezrażony i ustawił się pod filarem.

Diana, zaskoczona jego determinacją, posłała mu niepewny uśmiech i zniknęła w damskiej toalecie. Kilka kabin było zajętych, a kiedy podeszła do lustra, żeby poprawić włosy usłyszała dochodzące z nich rozmowy.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy tak się dziwią - mówiła do towarzyski Joelle Marchison. - Anne Morgan opowiadała, że Dan już kilka miesięcy temu powiedział jej, że chce zerwać te zaręczyny z Dianą, ale Diana chciała koniecznie za niego wyjść i błagała go o pozostanie, Anne mówi, że to co zrobił, to była chyba jedyna możliwość, żeby mógł skończyć z Dianą raz na zawsze. Diana stała, jak wrosnięta w podłogę, słuchając chóru dochodzącego z różnych kabin i łzy napłynęły jej do oczu. Chciała krzyknąć, że Anno Morgan jest zazdrosną, złośliwą kłamczucha, która kochała się w Danie, kiedy on wybrał Dianę, ale bała się, że straci panowanie nad sobą i zacznie płakać. Kiedy zaczęły się otwierać drzwi od kabiny Joelle, Diana wpadła do pierwszej wolnej i siedziała tam, póki wszystkie nie wyszły. Zabolała ją ta niczym nie usprawiedliwiona złośliwość kobiet, którym nigdy nie zrobiła nic złego. Podeszła do lustra i próbowała osuszyć oczy, nie rujnując makijażu.

Czekający na zewnątrz Cole też został poczęstowany tymi samymi nowinami, wymienianymi wśród przyjaciółek.

- Właśnie usłyszałyśmy, że Dan Penworth dawno chciał się pozbyć Diany, ale ona nie dawała mu odejść!

- Dobrze jej tak - oświadczyła jedna z nich. - Media zawsze ją traktowały, jak księżniczkę. Ja już rzygam od wysłuchiwania, jaki wspaniały jest ten jej magazyn, jakie ona odnosi sukcesy, jaka jest urocza i inne takie bzdury.

Koleżanka była uprzejmiej sza.

- Nic mnie to nie obchodzi. Mnie jest jej żal i innym ludziom też.

Cole, ukryty częściowo za kolumną, słyszał każde słowo i zdumiewała go zjadliwość rodzaju żeńskiego w stosunku do przedstawicieli swojej płci, a potem zaczął się zastanawiać, co bardziej zraniłoby Dianę: ich złośliwość czy litość. Wydawało mu się, że wołałaby złośliwość.

Rozdział 21

Cole ledwie zobaczył twarz Diany, domyślił się, że słyszała coś z tego, co opowiadały jej „przyjaciółki”. Ponieważ nie mógł jej zaoferować żadnej innej pomocy, zaoferował jej swe ramię. Kiedy doszli do sali balowej, drzwi były już zamknięte i zaczęło się przemówienie powitalne. Diana cofnęła się, zakłopotana. Nie chciała zwracać na siebie jeszcze większej uwagi, wchodząc spóźniona i w dodatku z Cole'em.

- Pewnie masz stolik z przodu?

Jako ofiarodawca najdroższego przedmiotu na licytację, Cole miał siedzieć przy głównym stole, tuż przed podium.

- Stolik pierwszy - potwierdził. - Pierwszy rząd na środku.

- Nasz stolik jest w trzecim rzędzie. - Westchnęła. - Dlaczego chociaż któreś z nas nie siedzi na końcu sali? Nie ma szans, żebyśmy weszli nie zauważeni.

Chcąc wejść jak najprędzej, żeby nie spóźnić się aż tak bardzo, sięgnęła do klamki ciężkich drzwi, ale on schwycił ją za rękę.

- Dlaczego chcesz próbować być niewidzialna? Niech sobie pomyśla to, co pomyśla ci, co jutro lub pojutrze przeczytają „Enquire-ra”: że guzik cię obchodzi Penworth i interesujesz się mną, a nie nim.

- Nikt, kto mnie zna, nie uwierzy w to! - krzyknęła, prawie zalamując ręce w rozpacz.

Twarc mu stężała.

- Masz rację. Głupio myślałem. Zapomniałem, że to zebranie bogatych i bezużytecznych, którzy nigdy nie uwierzą, że mogłabyś zamienić jednego z nich na pospolitego, prostego człowieka...

Diana spojrzała na niego zmieszana i zaskoczona.

- O czym ty opowiadasz? Nie ma w tobie nic pospolitego ani prostego.

Rzeczywiście tak uważała, pomyślał Cole, wściekły na siebie za swój niesmaczny wybuch.

- Dziękuję. - Uśmiechną! się, patrząc na jej zarumienioną, poruszoną twarz. - Dzięki tej złości wróci! ci błysk w oczach. Szkoda, że to nie dzięki mojemu pocałunkowi.

Diana popełniła błąd, spojrzawszy na jego usta, bo musiała potem odwrócić wzrok, żeby się skoncentrować.

- Nie mam zwyczaju całować się z mężczyznami, których prawie nie znam, w dodatku, jak ktoś się przygląda.

- Zrobiłaś się strasznie drobiazgowa - zażartował. - Kiedyś cały czas całowałaś bezdomne kotki i kundelki.

Porównanie było tak absurdalne, że Diana się roześmiała.

- Tak, ale tylko wtedy, kiedy myślałam, że nie patrzysz.

Uprzejme oklaski oznajmiły zakończenie przemówienia powitalnego w sali balowej. Cole otworzył ciężkie drzwi i ujął Dianę pod łokieć, wprowadzając ją do sali. Rozległ się szmer, gdy tysiąc osób obserwowało gościa honorowego, miliardera umieszczonego przez „Cosmopolitan” na liście pięćdziesięciu najodpowiedniejszych kawalerów na świecie, jak wchodził nonszalancko na środek, prowadząc Dianę Foster, świeżo porzuconą narzeczoną Daniela Penwortha.

Cole zaprowadził Dianę do jej stolika w trzecim rzędzie, gdzie usiadła na wolnym miejscu między Spence em a dziadkiem. Skinął wszystkim uprzejmie, mrugnął do Corey, uśmiechnął się ciepło do Diany, dotykając jej ramienia i pomaszerował do swojego stolika w pierwszym rzędzie. Diana obserwowała go przez chwilę rozbaawiona, będąc pod wrażeniem jego obojętności na zainteresowanie, jakie wzbudziło jego pojawienie się. Z miłym wyrazem twarzy popatrzyła na Douga i jego dziewczynę, Amy Leeland, potem w prawo na mamę i dziadków. Widziała po oczach Corey, że siostra umierała z ciekawości, ale starała się mieć spokojną twarz.

Właściwie wszyscy umierali z ciekawości, zdała sobie sprawę Diana, ale podstawową regułą przeżycia w towarzystwie było zachowanie spokoju i jednolitego frontu. Zgodnie z tą regułą Spence, Corey i Doug uśmiechnęli się do niej, jak gdyby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że Diana przybywa wyraźnie spóźniona, na ramieniu mężczyzny, którego nie widzieli ponad dziesięć lat, a który traktuje ją z nadmierną poufałością. Mama i dziadkowie nie mieli w ogóle pojęcia, kto to jest, ale również zachowali twarz.

Jednak babcia, która zaczęła ignorować towarzyskie maniere mniej więcej od czasu, kiedy skończyła siedemdziesiąt lat, postano-

wiła zignorować je i tym razem. Popatrzyła ze zdziwieniem na plecy Cole'a Harrisona i pochyliwszy się w stronę Diany, zadała scenicznym szeptem pytanie, które dotarło do kilku siedzących w pobliżu osób.

- Kim jest ten człowiek, Diano?

Aby uniknąć dalszej dyskusji, która mogłaby być słyszana przez innych, Diana prędko odpowiedziała;

- To Cole Harrison, babciu. Wiesz, ofiarodawca tej rzeźby Klinemana, którą przed chwilą podziwiałaś.

Rosę Britton na stare lata odczuwała nieprzeparłą chęć mówienia całej prawdy, niezależnie od konsekwencji.

- Wcale jej nie podziwiałam - zaprotestowała oburzonym szeptem, który usłyszały dwie dalsze osoby. - Powiedziałam, że jest ohydna. - Popatrzyła na innych, oczekując sprzeczki na temat zalet rzeźby lub ich braku, ale wszyscy pograżyli się w rozmowie, aby tego uniknąć. - Oczywiście, że tak - zwróciła się do Diany, gdy tylko spojrzała w jej stronę. - Wygląda, jak olbrzymi wycior.

Diana miała wielką ochotę wyjaśnić babce, że Cole Harrison, to ten sam Cole, który pracował u Haywardów wiele lat temu, ale bała się, że starsza pani przypomni sobie o jedzeniu, jakie mu posyłała i ktoś usłyszy. Cole bardzo elegancko się zachował, przychodząc jej na ratunek i Diana za wszelką cenę musi dbać o to, by go nie urazić.

Rozdział 22

Diana odetchnęła, gdy drobne zamieszanie, spowodowane ich późnym i ostentacyjnym wejściem, wreszcie ucichło. Kelnerzy zaczęli podawać pierwsze danie kolacji, która wchodziła w cenę tysiąca dolarów za bilet na bal i wydarzenia poprzedniej półgodziny odchodzący w niepamięć.

Nie mogła wciąż uwierzyć, że ten zdecydowany, wytworny mężczyzna w smokingu, który wyłonił się z ciemności na balkonie, był tym samym ubranym w dzinsy młodzieńcem, z którym rozmawiała, kiedy cesał konie Haywardów... żartował, kiedy grali w karty... i łapczywie pochłaniał wszystko, co mu przyniosła do jedzenia. Sięgnęła mechanicznie po chrupiącą bułeczkę i przełamała ją. Uspokoiła ręce i przypomniała sobie ze wzruszeniem, że Cole, jakim go pamiętała, był zawsze głodny. Uśmiech przemknął po jej ustach. Sądząc po jego okazałej postaci, Cole musiał jeszcze bardziej urosnąć.

Uprzejmy głos nad jej uchem przerwał te wspomnienia, a w zasięgu wzroku pojawiły się dwie butelki doskonałego wina.

- Czy woli pani wino czerwone czy białe?
- Tak - mruknęła nieprzychylnie.

Zdezorientowany kelner popatrzył bezradnie na siedzącego obok Spence'a, który zasugerował;

- Może oba?

Inny kelner ustawił przed nią supę z krewetek, wokół niej brzmiały ożywione rozmowy i śmiech, mieszające się z cichym dźwiękiem sztućców uderzających o talerze, ale Diana nie zauważała niczego. Cole bardzo się zmienił, stwierdziła, rozsmarowując rozetkę masła na bulce, którą następnie, nie tknawszy, odłożyła na talerz i sięgnęła oł kieliszek z winem. Wzięła najbliższe, delikatne i iagwine chardonnay. Cole nie złagodniał z biegiem lat, pomyślała z żalem,

wręcz przeciwnie. Jako młodzieniec miał zadatki na twardego mężczyznę, ale była też w nim pewna łagodność. Teraz wyczuwała w jego głosie cyniczną nutkę, a w oczach widziała chłód. Doświadczyła tego, kiedy zaprotestował przeciwko cichemu wślizgnięciu się na salę. Zhardział w bitwach, ale wciąż był wrażliwy, przypomniała sobie. Kiedy na balkonie pojawił się fotograf, wymyślił od razu ratunek dla niej... Pocałował ją... Diana sięgnęła znów po swój kieliszek. Jak mogła na to pozwolić! A jaki to był pocałunek! Najpierw delikatny... dziwne, żeby czuć się tak blisko obcego... właściwie starego przyjaciela. Później coraz bardziej zdecydowany, gwałtowny, głodny... A potem uniósł jej głowę, popatrzył w oczy, znów pocałował...

Diana zaczerwieniła się i dopiła swoje chardonnay, starając się ukoić nerwy. Nie powinna była pozwolić na ten drugi pocałunek. Inne porzucone kobiety nie wpadają od razu w ramiona pierwszego mężczyzny, który im współczuje. A może właśnie tak robią? Chyba tak robią!

Doszła do wniosku, że przesadnie reaguje i niepotrzebnie tak poważnie traktuje nic nie znaczący pocałunek na użytek szpiegującego fotoreportera. Cole na pewno już o wszystkim zapomniał i siedzi teraz w towarzystwie kobiety, z którą z pewnością przyszedł na bal, doskonale się bawiąc w pochlebiającym mu towarzystwie.

Próbowała się powstrzymać i nie patrzeć w tamtą stronę, ale nie udało jej się. Stół Cole'a był dwa rzędy od Diany, dokładnie naprzeciwko podium prowadzącego aukcję. Patrząc trochę w lewo lub w prawo, widziała niektóre osoby siedzące przy jego stole. Uniósł kieliszek do ust i spojrzała w prawo. Stolik był większy od pozostałych i siedziało przy nim więcej osób.

U szczytu stołu zasiadał oczywiście Franklin Mitchell, przewodniczący tegorocznego balu, z żoną oraz ich syn Peter i jego żona Haley, niegdyś Haley Vincennes. Następna para to przyjaciele Haley i Petera. Siedząca plecami do Diany pani z siwymi, podfarbowanymi na niebiesko włosami, to na pewno pani Canfield, której przodkowie zorganizowali pierwszy Bal Białej Orchidei. Łysawy mężczyzna obok niej to prawdopodobnie jej syn Delbert, kawaler w średnim wieku. Franklin Mitchell powiedział coś, co wzbudziło salwy głośnego śmiechu przy ich stole. Siedziały tam również - Diana przesunęła się trochę w lewo - Conner i Missy Desmond i wszyscy się śmiali, z wyjątkiem... wzrok Diany napotkał szare oczy, które świdrowały ją z ciekawością. Wyraźnie nie interesował go ani posiłek, ani ludzie przy stole. Diana nie miała pojęcia, dlaczego on tak na nią patrzy, ale uznała, że należy uśmiechnąć się

uprzejmie. Odpowiedział skinieniem głowy i uśmiechem równie ciepłym, jak śmiałym, ale najbardziej zaniepokoił ją dziwny, niemalże wyrachowany wyraz jego oczu. Oderwała szybko od niego wzrok i włączyła się do rozmowy przy własnym stoliku, wciąż jednak myśląc o tym, co powie Haley Mitchell do Cole'a, jeśli widziała, jak razem weszli. Haley uwielbiała plotki, sama je tworzyła, a następnie używała jako broni przeciwko wszystkim, których nie lubiła. Było takich osób bardzo dużo, w większości - kobiet.

Szczególnie nie znosiła Diany, gdyż kilka lat temu, kiedy Peter był jeszcze kawalerem i był wyjątkowo pijany, wstał podczas przyjęcia weselnego, na którym on był drużbą, a Diana druhną, i zamiast wznieść toast na cześć młodej pary, czego się wszyscy spodziewali, zaproponował Dianie małżeństwo. Usiłowała obrócić to w żart i tak też zrobili wszyscy obecni, oprócz Petera i Haley, która kochała się w nim od lat. Wkrótce potem ożenił się z Haley, ale ona nigdy mu nie zapomniała, że była druga w kolejce, a on nigdy nie zapomniał Dianie, że go odrzuciła. Haley nie znosiła jej tym bardziej, im częstsze stawały się pogłoski, że ich małżeństwo nie bardzo się układa. Diana była przekonana, że jeśli tylko Haley wyobrazi sobie, że coś jest między Cole'em a nią, natychmiast przy stole rozpocznie kampanię nienawiści. Perspektywa ta wpłynęła na nią jeszcze bardziej stresująco. Spojrzała na Douga i Amy, siedzących po drugiej stronie stołu i spytała, jakie mają plany na resztę pobytu Amy w Houston, a następnie sięgnęła po kolejny kieliszek wina i starała się zmusić do śledzenia rozmowy.

Była tak zdeterminowana, żeby się oderwać od swoich myśli, że nie zauważyła, jak Spence obserwuje cały czas Cole'a. Jednak zauważyła to Corey i kiedy sprzątano główne danie, nachyliła się do niego.

- O co chodzi?

Zaczął, aż kelner nalał mu kawy i wskazał głową w kierunku głównego stołu.

- Harrison wciąż spogląda na Dianę i bardzo mi się to nie podoba.

Corey była zdziwiona, lecz bynajmniej nie zmartwiona. W obecnej sytuacji Diany odrobina uwagi ze strony pożądanego przez panie mężczyzny mogła jej tylko pomóc.

- Dlaczego ci się nie podoba?

- Bo nie lubię Harrisona.

- Dlaczego nie? - spytała zdumiona Corey.

Myślał nad odpowiedzią podejrzanie długo, a potem postanowił sprawę zbagatelizować.

- Między innymi dlatego, że ma opinię przewrotnego i nastawionego tylko na jedno. Diana jest teraz bardzo nieodporna.

- Spence, Cole jest jej starym przyjacielem, a ty jesteś nadopiekuńczy.

Położył rękę na jej dłoni i uściśnął.

- Masz rację.

Chętnie kontynuowałyby rozmowę, ale prowadzący aukcję wszedł na estradę. Stuknął młotkiem o podium, rozległ się szmer podniecenia, wszystkie rozmowy ucichły i publiczność zwróciła wzrok w jego stronę.

- Proszę państwa - zaczął. - Kiedy zakończymy licytację tutaj, będą państwo mieli dodatkowo pół godziny, żeby przystąpić do ofert pisemnych na przedmioty wystawione na milczącą aukcję w Królewskiej Sali Balowej. A zatem dochodzimy do momentu, na który wszyscy państwo czekali. Nie zwlekając, bez dalszych dygresji, zapraszam państwa do otwarcia serc i książeczek czekowych. Proszę pamiętać, że każdy dolar z tej aukcji idzie bezpośrednio na badania nad rakiem. A teraz, jeśli państwo zwrócą uwagę na katalogi na swoich stolikach, znajdą tam państwo listę przedmiotów, które będziemy licytować, łącznie z ich opisami. - Rozległo się szuranie, bo wszyscy sięgali po katalogi. - Wiem, że wielu z państwa chce zdobyć rzeźbę Klinemana - ciągnął prowadzący i zażartował - więc żeby skrócić państwa oczekiwanie i zwiększyć napięcie i pożądanie, umieściliśmy ją mniej więcej w połowie, na pozycji dziesiątej. - Po sali rozległ się szmerek śmiechu, więc czekał, aż się uspokoi. - Punkt pierwszy - oświadczył. - Jest to mały szkic ołówkowy Pabla Picassa. Kto rozpocznie licytację od czterdziestu tysięcy dolarów? - Za moment skinął głową z zadowoleniem. - Pan Certiullo zaoferował czterdzieści tysięcy dolarów. Czy widzę gdzieś czterdzieści jeden?

Po kilku minutach sprzedano szkic za sześćdziesiąt sześć tysięcy i przedstawiono następny przedmiot.

- Numer dwa, wspaniała lampa Tiffany'ego, 1904 rok. Kto da pięćdziesiąt tysięcy?

Rozdział 23

Zzaszczytu siedzenia przy głównym stole Gole najchętniej by zrezygnował Jego oficjalnym gospodarzeni był wysoki, dostojnie wyglądający siwy pan, o nazwisku Franklin Mitchell, który był wiceprezesem rodzinnej spółki naftowej i zarozumiałym nudziarzem. Jego gośćmi była żona, syn, synowa i młoda para o nazwisku Jenkins, przyjaciele syna. Cała szóstka reprezentowała ten rodzaj aroganckiej wyniosłości, której Cole najbardziej nienawidził.

Pozostałe dwie pary przy jego stole, to korpulentny kawaler koło pięćdziesiątki, Delbert Canfield i jego matka staruszka, do której zwracał się „mamuniu”, oraz Conner i Missy Desmond. Desmondowie byli atrakcyjną parą w średnim wieku i usiłowali znaleźć jakiś wspólny temat z Cole'em. Niestety ich zainteresowania ograniczały się do golfa, tenisa i znajomych. Ponieważ Cole'a nie obchodziły te tematy, rozmowa kulała, aż utknęła.

Zamiast marnować wieczór na plotki i bezsensowne rozmówki, Cole zignorował towarzystwo przy stole i postanowił pożyteczniej wykorzystać ten czas. Najpierw rozmyślał o chorobie Cała i jego żądaniu, żeby ożenił się w ciągu sześciu miesięcy, od czasu do czasu spoglądał przy tym na Dianę. Potem zwrócił myśli ku sprawom, które był w stanie rozwiązać.

Nim sprzątnięto po pierwszym daniu, miał już w głowie program dorocznego zebrania zarządu i postanowił ogłosić wysokość dywidendy na jakiś czas przed zebraniem, aby zapewnić sobie ratyfikowanie swych propozycji.

Podczas deseru, kiedy Mitchell chwalił się swoją strategią, dzięki której został prezesem Klubu Rzeki Pines, Cole w myślach układał swój plan, by Cushman Electronics zdobyło pierwszą pozycję na rynku procesorów komputerowych.

Aukcja już się rozkręciła, a Cole opracowywał alternatywne wykorzystanie swego nowego zakupu, gdyby nowe procesory nie sprostały oczekiwaniom, gdy zorientował się, że Mitchell coś do niego mówi. Ponieważ nie udało mu się wciągnąć Cole'a w rozmowę na temat przodków, ani szans Houston Oilers na zdobycie Pucharu w przyszłym roku, zdecydował jako trzeci temat rozmowy wprowadzić polowanie.

- Strzelasz trochę, Cole?

- Trochę - odpowiedział Cole, zerkając na Dianę. Była teraz bardziej spięta niż godzinę temu.

- Muszę cię kiedyś zaprosić na nasze ranczo, żeby zapolować na sarny. Cudowne miejsce, dwadzieścia tysięcy hektarów.

Uniósł szerokie, białe brwi, oczekując odpowiedzi na zaproszenie, którego nie było. Była to subtelna pułapka słowna, z jaką Cole już nieraz się zetknął, a którą nieodmiennie zakładały narcystyczne osły, jak Mitchell, bo zawsze w nowym towarzystwie musiał dowodzić swej społecznej wyższości. Ponieważ właściwie nie zaprosił Cole'a do „cudownego” rancza na polowanie na sarny, każda forma pozytywnej, uprzejmej odpowiedzi z jego strony, stawiałaby Cole'a automatycznie na pozycji wdzięcznego petenta. Biorąc to wszystko pod uwagę, Cole nie miał najmniejszych skrępowań, wyrażając szczerą opinię.

- Prawdę mówiąc, nie widzę specjalnego sensu w odmrażaniu sobie tyłka o świcie w lesie, uparcie wierząc, że przejdzie tamtędy sarna.

- Nie, nie. Tak nie robimy. Mamy paśniki na całym ranczo i sarny codziennie przychodzą tam jeść.

- To znaczy, czekasz koło paśników, aż sarny przyjdą jeść - głośno myślał Cole - a potem, kiedy spokojnie zajadają, wyskakujesz, strzelasz, a potem odcinasz łeb i wieszasz nad kominkiem?

Mitchell zdenerwował się.

- To nie jest tak, jak opowiadasz.

- Nie? To wobec tego jak?

- Więc jesteś przeciwko strzelaniu? - odgryzł się, coraz bardziej wściekły za krytykowanie jego ulubionego sportu i patrząc na Cole'a, jakby powątpiewał w jego męskość.

- Wcale nie. Ale ja zjadam to, co upoluję.

Mitchell rozchmurzył się nieco.

- Tak, tak. My też. Zawsze. Więc do czego strzelasz?

- Do lotek - odpowiedział Cole i zaraz wściekł się na siebie za ujawnienie swojej pogardy dla bogatych i leniwych człowiekowi, dla którego w ogóle szkoda jego czasu. Żona i synowa Mitchella

podśmiewały się z jego zakłopotania, ale Delbert Canfield i jego matka popatrzyli na Cole'a w dziwnym milczeniu. Desmondowie rozmawiali między sobą o lekcjach żeglowania i nie zdawali sobie sprawy z tego, że coś się wydarzyło.

Artykuł numer dziewiąty został sprzedany za sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i w głosie prowadzącego dało się słyszeć napięcie, które zostało z ulgą przyjęte przy głównym stole.

- Następny przedmiot nie wymaga prezentacji - powiedział i promieniejąc radosnym oczekiwaniem, podszedł do środka sceny. Odłonił aksamitne draperie i oczom zebranych ukazała się rzeźba Klinemana, którą ofiarował Cole. Przez widownię przeszedł szmer podziwu. Umilkły rozmowy, podczas gdy potencjalni nabywcy przyglądali się olbrzymiej, brązowej figurze, zastanawiając się, ile mogą maksymalnie za nią dać.

- Oto moment, na który wielu z państwa czekało, jedyna w życiu okazja, żeby stać się właścicielem tej wspaniałej rzeźby, dzieła mistrza, straconego już dla świata. Licytowanie - ciągnął - rozpoczniemy od dwustu tysięcy dolarów, a stawki mogą wzrastać o pięć tysięcy. - Uniósł brwi, patrząc pewnie na publiczność, pozwalając rosnać napięciu, po czym powiedział szybko. - Kto chciałby rozpocząć licytację... - widząc uniesioną gdzieś rękę, natychmiast skinął głową. - Pan Selfer rozpoczął od dwustu tysięcy, czy mam...tak, dwieście tysięcy pięć od pana Higginsa i dwieście tysięcy dziesięć od pana Altoura, dziękuję...

- Dwieście pięćdziesiąt - zawołał Franklin Mitchell.

Cole powstrzymał uśmiech nad idiotyzmem, który kazał ludziom oferować dwieście pięćdziesiąt tysięcy za wysoki na metr trzydzieści kawał metalu, który wyglądał jak banany z brązu z przyczepionymi częściami ciała.

- Dwieście siedemdziesiąt - krzyknął ktoś inny.

Prowadzący promieniał. Spojrzał pytająco na Mitchella.

- Trzysta tysięcy - powiedział Mitchell, pograżając się jeszcze bardziej w opinii Cole'a.

- Trzysta tysięcy, a dopiero rozpoczęliśmy - entuzjasmował się licytator, oceniając rosnącą determinację na sali z dokładnością sejsmografu. - Proszę nie zapominać, że to na szlachetny cel, proszę państwa.

- Trzysta dziesięć - rzucił ktoś inny.

- Pan Lacey zaferował trzysta dziesięć tysięcy dolarów - ogłosił - a pan Selfer znów wrócił do licytacji. - Zaczeka! na sygnał i skinął głową z uznaniem. - Za czterysta tysięcy dolarów. Pan Sel-

fer zaferował czterysta tysięcy dolarów! Czy słyszę gdzieś czterysta dziesięć? - rozejrzał się po sali. - Ostrzegam, proszę państwa - Przerwał i znów szybko skinął głową i uśmiechnął się. - Mamy teraz czterysta dziesięć tysięcy dolarów. Czy widać gdzieś czterysta dwadzieścia tysięcy?

W końcu Klineman poszedł za czterysta siedemdziesiąt tysięcy. Publiczność wiwatowała, zachwycony nowy właściciel wypisał czek i wręczył asystentowi prowadzącego, a następnie podszedł ucisnąć rękę Cole'a. Uścisk dłoni był czymś więcej niż tylko wyrazem wdzięczności. Należał do jednej z licznych tradycji Balu Białej Orchidei i symbolizował przekazanie własności i odpowiedzialności od ofiarodawcy do nowego właściciela.

Kiedy nowy właściciel, dumny, odchodził, dawny właściciel spojrzął na zegarek i próbował ukryć znudzenie, przeglądając kolorowy katalog przedmiotów wystawianych na aukcję. Pozostały jeszcze cztery punkty programu, plus kilkanaście z działu „Dla pań”, zawierających biżuterię i futra. Wewnątrz programu umieszczono dwustronicowy opis tradycji i historii charytatywnego Balu Białej Orchidei. Wynikało z niego, że pierwsze bale nie były publiczne, tylko ograniczały się do ścisłego grona ważnych teksańskich rodzin. Dodano jeszcze ciekawostkę, dotyczącą przedmiotów dla pań: od początków aukcji do dnia dzisiejszego były one zawsze prezentowane przez panie.

Starając się nieco naprawić swoje zachowanie, Cole zwrócił się do pani Canfield i Delberta, wskazując na broszurę.

- Widzę z tego, pani Canfield, że macie tu bardzo ciekawe zwyczaje, związane z tym balem.

Matka Delberta z ostrożną nadzieją potraktowała tę zmianę nastroju. Miała co najmniej osiemdziesiąt lat, niebios kawo-siwe włosy, cerę porcelanowej laleczki i obwieszony perłami opadający biust.

- Niektóre z nich mają już sto lat - odpowiedziała.

Cole skinął głową z zainteresowaniem.

- Wynika z tego, że rzeczy specjalnie interesujące panie, jak biżuteria czy futra, prezentowane są przez damy z towarzystwa.

- Jest w tej tradycji praktyczny motyw - zapaliła się do tematu, jak dziewczynka. - Widzi pan, za dawnych czasów

przyjęło się, że to, co da

- Wygląda to na delikatne wymuszanie - uśmiechnął się Cole.

- Oczywiście, że tak jest! - potwierdziła. - Ach, ile pieniędzy udawało się dzięki temu zdobyć na pożyteczne cele. Kiedy byłam

świeżo poślubioną małżonką, wybrałam do prezentowania olbrzymią, rubinową broszkę. Uważałam, że Harold zna ten zwyczaj, ale nie znał, i nie dostałam broszki. Byłam bardzo zawiedziona i zastrydzona.

- Jak mi przykro - powiedział Cole, bo nie wiedział co innego mógłby powiedzieć.

- Nie tak przykro, jak było Haroldowi następnego dnia - kończyła ze złośliwym uśmiechem. - Nie mogłam ludziom spojrzeć w oczy przez cały tydzień.

- Tak długo? - zażartował Cole.

Skinęła głową.

- Tyle czasu zabrało mu znalezienie takiej samej broszki w Nowym Jorku i przywiezienie jej tutaj.

- Rozumiem.

Tu już wyczerpał się koncept Cole'a na rozmowę. Ponownie zaczął przeglądać program, starając się obliczyć, ile to jeszcze zajmie czasu i kiedy będzie mógł iść na górę, zabrać się do pilnych papierów, czekających na stoliku w jego apartamencie. Pod hasłem „Dla pań” naliczył dwanaście punktów, przy których podawano, kto prezentuje. Jego uwagę zwrócił ostatni punkt w tej kategorii. Przedmiot był darem miejscowego jublera i był prezentowany przez pannę Dianę Foster. Według opisu, był to „Wspaniałe naszyjnik i kolczyki z fioletowych ametystów, otoczonych białymi brylantami, osadzonymi w 18-karatowym złocie. Z kolekcji nieżyjącej hrabiny Vandermilf, ok. r. 1910.”

Cole uniósł wzrok znad broszurki i spojrzał na Dianę. Rozmawiała z Corey na pozór spokojnie, ale była znacznie bledsza, niż wcześniej. Wiedział, ile ją kosztowało to ostentacyjne wejście i jak bardzo musi ją przerażać myśl o publicznym prezentowaniu tego naszyjnika.

Missy Desmond doszła zapewne do tego samego wniosku.

- Biedna Diana Foster! - wykrzyknęła. - Ciekawa jestem, dlaczego nie poprosiła kogoś innego, żeby pokazywał naszyjnik.

Cole pomyślał, że odpowiedź była oczywista: nazwisko Diany było już w wydrukowanym programie i nie mogła się wycofać, nie zwracając na siebie uwagi tysiąca ludzi.

Po drugiej stronie stołu Haley Mitchell, która czuła się wyraźnie urażona, że Cole Harrison oczywiście rozpoznał Dianę Foster z ich młodych lat, a jej nie, obserwowała go uważnie. Zauważyła, że jego wzrok znów zwrócił się w kierunku Diany, podobnie zresz-

ta, jak wzrok jej męża, który od początku kolacji ostro popijał. Nachylając się do niej, Peter szepnął:

- Diana chyba dokonała nowego podboju. Harrison nie może oderwać od niej wzroku.

- Zupełnie jak ty - odgryzła się Haley zła, że jej mąż śmiał przy niej wymienić imię Diany i w dodatku nie mylił się co do Harrisona. Zwracając się do Missy Desmond, powiedziała:

- Diana Foster dlatego nie pozwoliła nikomu innemu prezentować tego naszyjnika, bo nie może znieść, kiedy nie jest na widoku nawet przez pięć minut. - Nachyliła się, żeby słyszała również jej przyjaciółka, Marilee Jenkins. - Zauważyłaś, jaką dzisiaj odstawia męczennicę, z tym dzielnym uśmiechem?

- Mnie jest jej raczej żal - przyznała się pani Canfield. - To, co zrobił Daniel Penworth, jest niewybaczalne.

- To po prostu było nie do uniknięcia - spierała się Haley. - Diana była dla niego pętlą u szyi. Nie kochał jej i starał się jej pozbyć delikatnie, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Ludzie uważają, że ona jest taka słodka i miła, ale tak naprawdę, to nikt i nic jej nie obchodzi, poza nią samą i tym kretyńskim magazynem, który prowadzi.

Marilee sekundowała jej dzielnie.

- Nie winię Dana ani trochę.

Cole czekał, czy jeszcze ktoś przy ich stole weźmie Dianę w obronę. Pani Canfield wyglądała na niezdecydowaną, a Missy Desmond na zakłopotaną, ale żadna nie powiedziała ani słowa. Licytator zapowiedział pierwszy punkt programu i Cole demonstracyjnie odwrócił się od swego towarzystwa przy stole.

Kilka stolików dalej smukła rudowłosa kobieta wstała i zaczęła demonstrować brylantowy naszyjnik. Uśmiechała się, przechodząc między stolikami z gracją osoby urodzonej do tego, by ją podziwiać, a jej mąż rozpoczął licytację. Natychmiast któryś z panów przy tamtym stoliku przebił jego ofertę, śmiejąc się, by zmusić męża do wyższej stawki. Później licytacja, której towarzyszyły wybuchy śmiechu, poszła szybko i Cole zorientował się, że to przyjaciele męża zmuszają go do coraz wyższych stawek. Harrisonowi spodobała się ta zabawa, prowadzona z wdziękiem, a każda pani, prezentująca swój wybrany przedmiot, i przyjaciele rodziny zmuszali męża, żeby jej go kupił i to za najwyższą cenę. Zerkając na Dianę zauważył, że jest coraz bardziej ponura i spięta.

Kiedy nareszcie zbliżała się pora licytowania naszyjnika, który miała na sobie, zaczęła się nim bawić, jakby chciała albo go zakryć, albo zerwać. Gdy usłyszała słowa prowadzącego, zamarła.

- Proszę państwa, następny przedmiot na naszej aukcji jest przykładem najwyższej klasy rzemiosła minionej epoki, cudowny naszyjnik brylantowo-diaamentowy, prezentowany przez pannę Dianę Foster.

Cole rozumiał, że bała się stać centralnym tematem plotek, ale dopiero, gdy wstała, uświadomił sobie, że nieobecność Dana Penwortha stokrotnie pogarsza jej sytuację, gdyż to on powinien brać udział w licytacji i kupić jej naszyjnik. Gdy tylko wstała i uśmiechnęła się, na sali rozległy się szepty. Przy stoliku za nim jakiś mężczyzna zażartował, że Dan pewnie ożenił się z tą Włoszką, żeby uniknąć kosztów naszyjnika i wszyscy się roześmiali.

Cole poczuł rosnący gniew i silną potrzebę chronienia jej. Oba uczucia kipiły w nim jednocześnie, dochodząc do zenitu, gdy niezorientowany licytator szczyrzył się do Diany i do tłumu oczekując, że jej mężczyzna rozpocznie licytację.

- Cena wywoławcza wynosi piętnaście tysięcy dolarów. Czy widać gdzieś piętnaście tysięcy? - przerwał, zaskoczony dziwną ciszą. - Ten naszyjnik za dwa razy tyle będzie i tak okazją. Czy ktoś da mi dziesięć tysięcy dolarów? - Rozchmurzył się. - Tak, dziękuję, panie Dickson...

Licytacja zatrzymała się na trzynastu tysiącach, aby przyszedł nabywca mógł się przyjrzeć naszyjnikowi.

- Biedna Diana - powiedziała pani Canfield do Cole'a. - Znam dobrze jej ojca. Na pewno kupiłby jej ten naszyjnik, żeby zakończyć tę niezręczną sytuację.

- Dianie trzeba trochę utrzyć nosa - upierała się Haley Mitchell. - To jest zarozumiała dziwka.

Franklin Mitchell miał na tyle przyzwoitości, że zawstydził się nieco z powodu języka swojej synowej. Popatrzył na swego podpitego syna, jakby oczekując, że coś powie, i rzeczywiście się odezwał, ale zgodził się z żoną.

- Diana zawsze uważała się za coś lepszego - poinformował Cole'a.

- To prawda - poparła ich starsza pani Mitchell.

Cole nie brał pod uwagę tego, że ci ludzie mogą mieć jakieś powody, aby nie lubić Diany i cieszyć się z jej nieszczęścia. Uznał po prostu, że wszyscy na tej sali są mściwi i bez serca. Przypomniał sobie uroczą, filigranową nastolatkę, wyciągającą do niego rękę z torbą wyładowaną jedzeniem, które usiłowała mu tak dać, żeby nie urazić jego dumy.

- *Czy zmieściłbyś trochę tego kompotu brzoskwiowego, Cole?*

Moja babcia uwielbia gotowanie i robienie przetworów, ale nie mamy już miejsca w spiżarni... Mam nadzieję, że pomożesz nam skończyć tę babciną sałatkę ziemniaczaną i kureczaka, bo zrobiła tego dla pułku wojska.

Pamiętał też, że zawsze była porządna i czyściutka, od czubków wypolerowanych mokasynów, po czubki palców, ze starannie opilowanymi, ale niemalowanymi paznokciami.

W jego wspomnienia wdarł się głos prowadzącego.

- Mam trzynaście tysięcy dolarów... czy ktoś daje czternaście? Trzynaście tysięcy.

- Peter - powiedziała nagle Haley głosem przepełnionym złością. - Kup mi ten naszyjnik. Chcę go.

- Ostatnie ostrzeżenie, proszę państwa - zawołał śpiewnie licytator.

Peter Mitchell spojrział na Dianę, która stała dwa stoliki od nich, prezentując naszyjnik, i zawołał głośnym, trochę bełkotliwym głosem.

- Chwileczkę! Chcielibyśmy się przyjrzeć z bliska.

Diana obróciła się i posłusznie podeszła do ich stolika. Cole wiedział, że Diana pierwotnie była przekonana, iż niewierny narzeczony kupi jej na balu naszyjnik. Przyszło mu teraz do głowy, że z pewnością dlatego kupiła tę fioletową suknię, która podkreślała doskonałość ametystów. Widział, jak uśmiech spełzył z twarzy Diany, gdy Mitchell gapił się na jej piersi. Zobaczył, jak jej smukłe palce unoszą największy z kamieni, żeby go pokazać. Mitchell sięgnął po niego, specjalnie dotykając dekoltu Diany. Natychmiast się cofnęła, odpięła naszyjnik i podała mu go na dłoni. Gdy Mitchell sięgnął po niego, przeniosła wzrok na Cole'a, ale zaraz go odwróciła. W tym króciuteńkim momencie zauważył w jej wzroku coś, co kazało mu podjąć błyskawiczną decyzję.

Może drzemała w nim nieświadomiona potrzeba wystąpienia jako rycerz w błyszczącej zbroi, przychodzący na ratunek damie w niebezpieczeństwie, może było to uwspółcześnione działanie prehistorycznego samca, walącego przeciwnika maczugą, by wykazać swą przewagę. Może podświadomie zdawał sobie sprawę, że los oferuje mu możliwość rozwiązania nie tylko problemów Diany, ale i swoich. A może była to kombinacja wszystkich trzech czynników. Niezależnie od motywów, podjął decyzję, nim Mitchell zdolał powiedzieć:

- Piętnaście tysięcy dolarów.

- Dwadzieścia pięć - rzucił Cole, nim przeciwnik zdołał odechnąć.

Prowadzący licytację był zszokowany, ale wniebowzięty.

- Oho! Mamy nowego, poważnego oferenta - poinformował publiczność z triumfującym uśmiechem. - Pan Harrison podwyższył stawkę o dziesięć tysięcy - zwrócił uwagę nawet tych, którzy nie byli dotąd zainteresowani naszyjnikiem - a nawet nie widział go jeszcze z bliska. Panno Foster - zwrócił się do Diany - czy pozwoliłaby pani na moment panu Harrisonowi ocenić kolor i piękno tych kamieni, a także mistrzowskie wykonanie naszyjnika.

Z uśmiechem ulgi Diana odwróciła się w stronę Cole'a. Kiedy podeszła do jego krzesła, wyciągnęła dłoń z naszyjnikiem, ale Cole zignorował go zupełnie, patrząc tylko na jej twarz. Spytał z serdecznością:

- Podoba ci się?

Zauważyła rozbawienie w jego srebrzystych oczach i wyczuła, że specjalnie przedłuża ten moment. Ona jednak miała wszystkiego dosyć, pragnęła jak najszybciej zniknąć z publicznego widoku. Nic jej nie obchodziło, kto kupi naszyjnik, chciała tylko mieć już to za sobą.

- Jest piękny - potaknęła ochoczo. Odchylił się w krzesło, włożył ręce do kieszeni i uśmiechnął się leniwie, jakby miał nieograniczoną ilość czasu na ten zakup i bawiło go zainteresowanie publiczności jego osobą.

- Tak, ale czy tobie się podoba?

- Naprawdę, jest cudowny.

W ciszy, jaka zapanowała na sali, jej zdecydowany głos zabrzmiał donośnie i publiczność roześmiała się dobrodusznie.

- Więc uważasz, że powinienem go kupić?

- Oczywiście, jeżeli masz go komu dać.

Prowadzący aukcję wyczuł, że napięcie publiczności za chwilę zacznie opadać.

- Panie Harrison - spytał - czy jest pan zadowolony z inspekcji?

Uśmiech Cole'a był pełen zachwytu, gdy patrzył na twarz Diany.

- Niezwykle zadowolony - powiedział, mając wyraźnie na myśli Dianę, nie naszyjnik.

- A więc kontynuujemy licytację. Pan Harrison zaoferował dwadzieścia pięć tysięcy. Czy ktoś da trzydzieści? - spojrzał wymownie na Petera Mitchella, który skinął głową.

Prowadzący powiódł wzrokiem po sali sprawdzając, czy ktoś nie włączył się do licytacji, po czym spojrzał na Cole'a.

- Panie Harrison?

Gdyby Diana nie była taka spięta i nieszczęśliwa, roześmiałaby się, patrząc na zaraźliwy uśmiech Cole'a, który podniósł cztery palce, proponując stawkę czterdziestu tysięcy z taką nonszalancją, jakby chodziło o czterdzieści centów.

- Czterdzieści tysięcy dolarów! - piał z zachwytu prowadzący, - Pan Harrison zaproponował czterdzieści tysięcy i wszystko przeznaczamy na cele charytatywne. Panie Mitchell? - dopytywał się. - Czy da pan czterdzieści pięć?

Haley skinęła mężowi, żeby się zgodził, ale Peter Mitchell zawahał się, patrząc groźnie na Cole'a. W odpowiedzi Cole rozsiadł się wygodniej i uniósł pytająco brew.

- Nie - wykrztusił Mitchell.

- Ostatni raz czterdzieści. Sprzedany! - ogłosił licytujący. - Za czterdzieści tysięcy dolarów panu Cole'owi Harrisonowi. Zwracając się do Cole'a, dodał: - Sądzę, że w imieniu wszystkich patronów Balu Białej Orchidei mogę panu wyrazić głęboką wdzięczność za pańską ogromną szlachetność na szlachetny cel dzisiejszego balu. Pozwolę sobie również wyrazić nadzieję, że szczęśliwa dama, która dostanie ten naszyjnik, doceni nie tylko pański gest, ale i doskonały gust - zażartował.

- Ja też mam nadzieję! - odpowiedział, wywołując wybuch śmiechu i sam się roześmiał z wdziękiem, co stanowiło kompletne zaprzeczenie jego chłodnej obojętności, jaką demonstrował przez cały wieczór. - Zaraz zobaczymy, co o tym sądzi.

Publiczność zapałała sympatią do tego enigmatycznego potentata, o którym kiedyś napisano, że ma obwód scalony zamiast mózgu, a komputer zamiast serca.

Diana była już tak zdenerwowana tym publicznym występem, że próbowała natychmiast się wycofać, gdy tylko wziął naszyjnik z jej dłoni. Cole stanął przed nią, ułożył naszyjnik wokół jej szyi i zapiął go. Diana patrzyła na niego, zmieszana. Publiczność zaczęła się śmiać i klaskać, a kamery z tyłu sali rozbłysły, jak rój obudzonych świetlików.

- No i? - spytał Cole, upewniając tym samym wszystkich, że to ona była ową szczęśliwą damą. - Jak oceniasz mój gust?

Diana nagle doszła do wniosku, że on udaje, iż podarował jej naszyjnik, tak samo jak udawał, całując ją na tarasie dla zmylenia fotoreportera. Sprezentowanie jej naszyjnika było bardzo sprytnym i bardzo miłym manewrem, aby pomóc jej zachować twarz.

- Uważam, że masz doskonały gust - odpowiedziała z nieco spóźnionym entuzjazmem.

Uważam, że jesteś świetnym aktorem - pomyślała z podziwem.

- Czy jesteś pod takim wrażeniem, że zgodzisz się ze mną zatańczyć? - spytał, roztaczając cały swój urok. - Słyszę muzykę z sąsiedniej sali.

Nie czekając na odpowiedź, wziął ją pod ramię i zaczął manewrować między stolikami i zachwyconymi gośćmi w kierunku sali balowej. Publiczność zorientowała się, że przedstawienie się zakończyło i też ruszyła.

Byli już w pół drogi, kiedy Diana nagle się zatrzymała.

-Zaczekaj - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. - Chcę cię przedstawić reszcie mojej rodziny. Po tym, co się wydarzyło, na pewno nie mogą się doczekać, żeby cię poznać.

Odwróciła się i zaczęła powoli torować sobie drogę wśród rosnącego tłumu.

Rozdział 24

Kiedy usiłovali dobrać się do stolika jej rodziny, Diana poczuła się niebywale lekko i niefrasobliwie. W ciągu kilku ostatnich dni musiała ukrywać swój ból przed światem i rodziną, w pracy i w domu. W dodatku cały czas prześladowała ją perspektywa tej aukcji. Tymczasem było już po aukcji, która wcale nie okazała się koszmarem, gdyż Cole uczynił z niej ciekawe widowisko z holywoodzkim happy endem.

Nagła ulga i nieoczekiwane rozluźnienie napięcia były szokiem dla jej systemu nerwowego. Czuła się lekka jak piórko bez tej uczuciowej zbroi, jaką sobie nałożyła prawie tydzień temu. Kilka godzin wcześniej była odrzuconą narzeczoną Daniela Penwortha, obiektem współczucia i kpin. Za parę godzin prasa ukaże ją w nowej roli, z Cole'em Harrisonem, prawdopodobnie, jako kochankiem. Wszystko razem było tak niewiarygodne, że miała ochotę się śmiać. Udało się jej opanować, gdy przedstawiała Cole'a dziadkom i mamie, ale uczucie niefrasobliwości wzbierało w niej, gdy obserwowała reakcje poszczególnych członków rodziny.

Corey uściśnęła go i powitała z uśmiechem, pani Foster mniej wylewnie, ale przyjaźnie. Spence i dziadek uśmiechnęli się uprzejmie i uściśnęli mu rękę. Babcia popatrzyła mu w oczy, jakby chciała przeniknąć jego duszę. Amy Leeland zarumieniła się, gdy Cole się do niej uśmiechnął.

Doug Hayward odniósł się nie tylko wrogo, ale wręcz obraźliwie. Wstał i wsadził ręce do kieszeni, żeby nie witać się z Cole'em. Nie spuszczając z niego pogardliwego wzroku, powiedział do Amy:

- Harrison pracował w naszej stajni. Wyrzucał gnój z zagród. Teraz ofiarowuje dzieła sztuki na balach charytatywnych. - Zwrócił się do Cole'a. - Zdumiewające, jak wysoko można się wspiąć w Ameryce, prawda, Harrison?

Cole zacisnął zęby i spojrzał lodowato. Wrogość między nimi była porażająca i rodzina automatycznie zwróciła wzrok ku Dianie

wiedząc, że zawsze w trudnych sytuacjach można było liczyć na jej dyplomację, wrażliwość i poczucie humoru.

Jednak tym razem Diana albo nie chciała, albo nie mogła nic poradzić. Uśmiechnęła się tylko promiennie do obu mężczyzn, spoglądających na siebie, jakby czekali na hasło do rozpoczęcia pojedynku, i radośnie oświadczyła:

- Rozumiem, że chętnie powspominalibyście dawne czasy, ale musicie to odłożyć, bo my z Cole'em wychodzimy.

Porwała ze stołu czarną torebkę, wzięła Cole'a pod ramię i obróciła się gwałtownie, pociągając go za sobą.

Uznając, że grzeczność wymaga jakiegoś pożegnania, Cole popatrzył przez ramię, zobaczył oddalającego się z godnością Haywarda i powiedział:

- Diana postanowiła zaryzykować życie i zgodziła się zatańczyć ze mną.

Grupa przy stole obserwowała odchodzącą parę ze różnicowanymi reakcjami. Wszyscy, poza babcią uważali, że wieczór był dla Diany sukcesem, który przyniesie zmianę w jej dotychczas nieudanym życiu osobistym.

- Pan Harrison to było dokładnie to, czego Diana potrzebowała dzisiaj, żeby przeżyć tę sprawę z Danem. Odzyskała wiarę w siebie i wygląda na zadowoloną.

- Diana jest twarda - wtrącił Spencer.

- Diana jest praktyczna - dodał dziadek. - Wie, że Dan nie był dla niej odpowiedni, więc już o nim zapomina.

- Diana jest dzielna - zgodziła się Corey.

- Diana - zaprzeczyła babcia - jest u kresu sił.

- Bzdura, babciu - powiedziała Corey, między innymi dlatego, że nie chciała w to uwierzyć. - Zawsze była niezależna i samodzielna. Jest opanowana... trochę jeszcze spięta...

- i... - przerwała babcia triumfalnie, dostarczając ostatecznego dowodu stanu umysłu Diany - ...właśnie wymaszerowała z moją czarną torebką!

Ta rewelacja wstrząsnęła wszystkimi. Wiedzieli, jaką uwagę przywiązywała do detali, jej styl był legendarny, zawsze wszystko miała idealnie dopasowane. Na stoliku leżała mała torebeczka Diany, z kolekcji Judith Kleiner, w kształcie fioletowej śliwki ze srebrnym ogonkiem i zielonym listkiem. Fakt, że wyszła w cudownej fioletowej sukni z wystającą pod pachą torebką dla starszych pań, zaalarmował wszystkich.

- Jak widzicie - oznajmiła babcia - Diana jest u kresu wytrzymałości. To jest prawdziwy dowód.

Rozdział 25

Jeżeli rzeczywiście chcesz ze mną zatańczyć - zażartował Cole, gdy dochodzili do sali balowej - proponuję, żebyś coś wypić. Zatrzymał się przy jakimś stoliku ze świeżymi nakryciami, wyjął butelkę szampana z pojemnika z lodem i napełnił kieliszek. - Alkohol działa jak znieczulenie - uśmiechnął się, podając go Dianie. - Taniec ze mną może okazać się bolesną i niebezpieczną przygodą.

Diana wzięła kieliszek, szczęśliwa, że najgorsze miała za sobą i taka mu wdzięczna za jego dobroć i pomysłowość, że zatańczyłaby z nim nawet, gdyby była boso, a on w butach do golfa. Kobiety nie spoglądały już na nią z litością ani pogardą. Prawdę mówiąc, nie patrzyły w ogóle na nią, tylko na Cole'a i trudno było się dziwić. Z gęstymi, czarnymi włosami, bystrymi szarymi oczami i wysoką, atletyczną sylwetką, Cole Harrison prezentował się wspaniale.

Wszystkie jego męskie cechy, o których dawno temu śniły panny, teraz stały się wyraźniejsze. Była w nim zawsze pewna szorstkość, siłą i uśpiona zmysłowość, a obecnie doszły jeszcze do tego wiedza, ogłada i pewność siebie.

Wchodząc do sali balowej, łknęła szampana, rozbawiona widokiem zdumionych twarzy tych samych osób, które nieco wcześniej spoglądały na nią z litością lub satysfakcją. Gdy zbliżali się do parkietu, orkiestra grała właśnie popularną, wolną piosenkę, więc Diana próbowała postawić kieliszek na stole, ale on potrząsnął głową.

- Wypij to.

- Naprawdę boisz się, że mi podepczesz nogi? - spytała z uśmiechem wdzięczności i ulgi.

- Oczywiście, że nie. Boję się, że będziesz taka spięta i sztywna, że to ty nadepniesz mnie.

Ze śmiechem wysączyła szampana do dna i wzięła Cole'a pod ramię gestem, który wyglądał na nieco zaborczy i co bardzo go ucieszyło. Miał zaraz negocjować najważniejszy interes w zyciu

z uroczą, niczego nie podejrzewającą kobietą i potrzebne mu było jej zaufanie, żeby zaakceptowała tę dziwną propozycję.

Kiedy objął ją na parkiecie, Diana spojrzała na niego ciepło.

- Cole?

Odwzajemnił uśmiech, ale szare oczy były zamysłone.

- Hmm?

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś przemiły i bardzo szarmancki?

- Absolutnie nie. Generalnie określają mnie jako zimnego, wyrachowanego i bezwzględnego.

Diana była bardzo przejęta taką niesprawiedliwością. Serce miała przepełnione wdzięcznością, w głowie karuzelę od wina i szampana, które piła dla dodania sobie odwagi, więc Cole Harrison wydał jej się absolutnie cudowny i wszechmocny - obrońca, który przybył jej w sukurs, pogłębił wrogów i uratował od hańby. Był przykładem rycerskości i odwagi w świecie przepełnionym tchórzostwem i złośliwością.

- Jak ktokolwiek mógłby coś takiego o tobie pomyśleć?

- Ale to prawda - stwierdził ze spokojem.

Diana zachichotała.

- Kłamczuch.

Wydawał się urażony.

- Tym akurat nie jestem.

- Och. - Starając się powstrzymać uśmiech, doszła do wniosku, że próbował żartować, bo krępowały go jej komplementy, i zmieniła temat: - Dla kogo tak naprawdę kupiłeś ten naszyjnik?

Zamiast odpowiedzieć, patrzył na nią w milczeniu tak długo, że Diana zaczęła się zastanawiać, czy miał w ogóle komu go dać, czy wydał czterdzieści tysięcy dolarów, żeby poprawić jej pozycję. Jednak po chwili jego słowa ją uspokoiły.

- Ten naszyjnik to prezent ślubny dla mojej przyszłej żony.

- Cudownie! A kiedy się żenisz?

- Jak tylko się oświadczę.

Brzmiało to tak rzeczowo, że Diana zażartowała.

- Albo jesteś taki pewny, że powie „tak”, albo chcesz ją nakłonić przez ten naszyjnik. Więc jaka jest prawda?

- Chyba trochę jednego i drugiego. Mam nadzieję, że pomoże mi naszyjnik i jestem prawie pewny, że się zgodzi, jak jej wytłumaczę korzyści i logikę związane z takim układem.

- Brzmi tt> tak, jakbyś proponował połączenie spółek - zauważyła Diana z uśmiechem zdziwienia.

Cole szybko sprawdził w myśli plan, jaki ułożył w ciągu ostatniej półgodziny i podjął ostateczną decyzję. Pozornie od niechcenia powiedział:

- Kiedy ostatnio prosiłem dziewczynę, żeby za mnie wyszła, mieliśmy po szesnaście lat. Muszę jeszcze przećwiczyć technikę, kiciu.

Diana z pewnym zażenowaniem odkryła, że Cole wcale nie był takim specjalistą od kobiet, za jakiego go uważała, gdy miała szesnaście lat i szalała za nim. Przede wszystkim jednak wzruszyło ją, że użył dawnego przezwiska, którym się wtedy czasami do niej zwracał: kiciu. Przypomniały jej się czasy, jak gadała z nim, gdy pracował w stajni Haywardów. Dookoła pachniało świeżym sianem i naoliwioną skórą, a ich chaotyczne rozmowy przerywało czasami skrobanie końskich kopyt. Jej życie było wtedy takie proste, a przyszłość jasna i pełna ciekawych możliwości. „Kiciu” szepnęła, a oczy jej się zamgliły, kiedy zdała sobie sprawę, że jej życie wcale nie potoczyło się tak oszałamiająco, jak sobie wyobrażała.

Wyczuwając nagłe pogorszenie się jej nastroju, Cole łagodnie wymanewrował z parkietu.

- Chodźmy gdzie indziej i popracujmy nad moją techniką oświadczenia. Tu mamy za dużą publiczność.

- Myślałam, że chciałeś publiczność.

- Widzieli już wszystko, co powinni.

Wypowiedział te słowa z arogancją królewskiego dekretu i trzymając ją pod łokieć, wyprowadził z parkietu i z zatłoczonej, głośniejszej sali.

Rozdział 26

- Dokąd idziemy? - spytała Diana, śmiejąc się, gdy prowadził ją w kierunku wind.

Śmiała się z coraz większą przyjemnością. Jutro znów ją osaczy rzeczywistość, ale dziś wieczorem Cole, wino i naszyjnik stanowiły cudowną kombinację i niespodziewaną ucieczkę od kłopotów i miała zamiar nacieszyć się nimi.

- Może nad jezioro Tahoe? - zaproponował Cole, przyciskając guzik windy. - Moglibyśmy wziąć ślub, popływać i być tu z powrotem jutro na późne śniadanie.

Diana uznała, że w dalszym ciągu przeprowadza próby swych oświadczeń i z największym trudem ukrywała rozbawienie tym pospiechem i mało romantycznym podejściem.

- Tahoe jest trochę za daleko - powiedziała bojowym tonem. - Poza tym nie jestem ubrana na taką okazję.

Popatrzyła ponuro na swoją suknię, a wzrok Coie'a powędrował najpierw na kremowe wzniesienie nad staniczką sukni, później na jej talię.

- W takim razie jest tylko jedno miejsce, które zapewni nam atmosferę i samotność, jakiej potrzebuję do mojego celu.

- Co to za miejsce?

- Mój apartament - powiedział, wprowadzając ją do zatłoczonej windy. Diana rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie, ale ponieważ w windzie nie było nikogo z balu, nie chciała się przy nich kłócić. Kiedy ostatnia starsza para wysiadła na piętrze poniżej jego apartamentu, odwróciła się i potrząsnęła głową.

- Naprawdę, nie powinnam była tak uciekać z balu, a zwłaszcza z tobą...

- Dlaczego zwłaszcza ze mną? - spytał chłodno.

Winda zatrzymała się i otworzyły się drzwi do wyłożonego czarnym marmurem holu. Nie wysiadając, Cole przytrzymał drzwi ręką,

żeby się nie zamknęły. Czując lekki szmerek od szampana, Diana miała nieprzepartą ochotę do śmiechu, a nie przejmowania się jego minami.

- Byłeś tak zajęty ratowaniem mojej reputacji, że naraziłeś na szwank własną. Chodziło mi o to, że nie powinnam, była odchodzić, nie tłumacząc mojej rodzinie, dlaczego tak naprawdę kupiłeś ten naszyjnik. Poza tym jeśli te nasze zdjęcia staną się sławne, a ludzie wiedzą, że masz się żenić, wyjdiesz na nieuczciwego faceta.

Cole mało się nie roześmiał.

- Ty się martwisz o moją reputację?

- Oczywiście - odpowiedziała Diana, wysiadając z windy.

- No - powiedział Cole - to się zdarzyło pierwszy raz. Prawdę mówiąc - wchodząc do salonu, zapalił małe lampki w suficie - czuję, że dzisiejszej nocy będzie wiele pierwszych razów.

Spojrzał przez ramię na Dianę, która zatrzymała się koło małego stolika na środku pokoju. Patrzyła na niego, przechyliwszy głowę, bardziej zaciekawiona niż ostrożna. Zaciekawiona to dobrze, ocenił Cole. Ostrożna to gorzej. Podszedł do baru i wyjął z lodówki butelkę szampana. Alkohol w krwiobiegu kobiety, która była już przepełniona wdzięcznością i uczuciem ulgi, pomoże kontrolować jej ostrożność.

- Pierwsze razy? - powtórzyła. - Czy jest coś, czego nigdy nie robiłeś aż do dzisiejszego wieczoru?

- Po pierwsze - zaczął - nigdy nie stałem na balkonie tego apartamentu z kobietą. - Włożył szampana do kubełka z lodem. - Czy zrobimy to pierwszy raz?

Diana patrzyła, jak rozpina smoking i rozluźnia muszkę. Potem wziął pod pachę kubełek z szampanem, po kieliszku do każdej ręki, po drodze zatrzymał się, żeby łokciem nacisnąć przycisk w ścianie, dzięki czemu rozsunięły się ciężkie draperie, osłaniające drzwi balkonowe. Ten obraz przywołał wspomnienie chłopaka w wyblakłych dzinsach i koszuli, szcztokującego konia jedną ręką, trzymającego uzdę drugą i jednocześnie rozmawiającego z nią o szkole. Już wtedy robił zawsze kilka rzeczy naraz. Wyszedł pierwszy na balkon i czekał, żeby jej podać napełniony kieliszek.

Zauważył uśmiech na twarzy Diany.

- Czy zrobiłem coś zabawnego?

Diana potrząsnęła głową.

- Myślałam o tym, że już w tamtych czasach zawsze udawało ci się robić kilka rzeczy naraz i to bez najmniejszego wysiłku. Zawsze to podziwiałam.

Ten niespodziewany komplement sprawił mu taką przyjemność, że nie wiedział, co powiedzieć. Diana podeszła do barierki i patrząc z góry na oświetlone Houston, słuchając dochodzącej z salonu cichej muzyki, zaczęła myśleć o Danie.

Cole podszedł bliżej i oparł się o barierkę plecami, żeby patrzeć na nią.

- Mam nadzieję, że myślisz o Penworcie, a nie o mnie, skoro masz taką nieszczęsną minę.

Ząskoczona, że można ją nazwać nieszczęsną, Diana dumnie uniosła głowę.

- W ubiegłym roku niewiele czasu spędzaliśmy razem i właściwie prawie go już zapomniałam.

Zamiast odpowiedzieć, Cole uniosł brwi i przypatrywał się jej w milczeniu, dając do zrozumienia, że oczekiwał zwierzeń. Diana wiedziała, że po tym, co dla niej zrobił tego wieczoru, zasługiwał na więcej niż zdawkową odpowiedź.

- To nieprawda - przyznała, wzdychając. - Prawda jest taka, iż uznałam, że to, co się stało, jest ostateczne, ale... jestem wściekła. Wściekła i upokorzona.

- Oczywiście, że jesteś - powiedział Cole z sympatią. - W końcu puścił cię w trąbę największy drań na świecie.

Diana spojrzała na niego zdumiona i oburzona. Aż nagle wybuchła śmiechem. On odpowiedział tym samym. Śmiech miał szczery i głęboki. Objął ją ramieniem i poczuła na gołej skórze cienki materiał jego ubrania i ciepły dotyk palców, głaszczących jej rękę. Chociaż była tylko w zastępstwie jego przyszej narzeczonej, miło było pomyśleć, że ktoś tak przystojny i niezwykły uznał ją za wystarczająco pociągającą, by spędzić z nią wieczór. Pociągającą i wartościową. Nie tak, jak Dan, który... Uniosła do ust kieliszek i pociągnęła spory łyk, żeby odsunąć myśli o Danie.

Przypomniała sobie, że Cole chciał przeciwzyć sobie oświadczy i że ona wciąż ma na sobie naszyjnik.

- Lepiej go zdejmę, zanim zapomnę i wyjdę z nim - powiedziała, sięgając do zapięcia na szyi.

- Nie, zostaw go - powstrzymał ją. - Kupiłem go dla ciebie. Opuściła rękę.

- Nie, kupiłeś go dla kobiety, którą masz zamiar poślubić...

- Właśnie to powiedziałem.

Diana potrząsnęła głową, żeby móc pomyśleć. Odgarnęła włosy z czoła i patrząc mu w oczy, powiedziała:

- Wiem, że wypijałam więcej niż zwykle i nie nadałam za twoim rozumowaniem. Mówisz jakimiś zagadkami.

- Wobec tego powiem to wyraźniej. Chcę, żebyś za mnie wyszła, Diano. Dzisiaj.

Chwyliła się poręczy i wybuchnęła śmiechem.

- Cole Harrison, czyś ty się upił?

- Absolutnie nie.

Przyglądała mu się zmieszana.

- Czy wobec tego ja się upiłam?

- Nie, ale chciałbym, żeby tak było.

W końcu puściła barierkę i odwróciła się do niego z niepewnym uśmiechem.

- Chyba nie mówisz tego poważnie.

- Bardzo poważnie.

- Nie chcę się wydawać niewdzięczna ani cię krytykować - odpowiedziała śmiejąc się - ale m-m-muszę cię ostrzec, że twoja rycerskość posuwa się za daleko.

- Rycerskość nie ma z tym nic wspólnego.

Obserwował, jak Diana usiłuje opanować wesołość. Jest cholernie urocza, pomyślał. Zdjęcie w gazecie nie oddawało tego. Była na nim uśmiechnięta, pewna siebie kobieta, odnosząca sukcesy w interesach. Żywa Diana była znacznie bardziej frapująca. Zdjęcie zupełnie nie ukazywało ciepła jej nagłego uśmiechu, czerwonych połysków w gęstych włosach ani blasku zielonych oczu za gęstymi rzęsami. O ile pamiętał zdjęcie, nie było na nim śladu uroczego dołka w brodzie. Z trudem utrzymywała powagę, mówiąc:

- Albo pańska litość nade mną posunięta jest do granic ostateczności, panie Harrison, albo pan gra znaczonymi kartami.

- Nie jestem ani przyglupi, ani nie oszalałem - oświadczył - a litość nie jest powodem, dla którego chcę się ożenić.

Diana wpatrywała się w jego twarz, żeby wyczytać z niej, czy przypadkiem nie żartuje, ale nie wyrażała niczego.

- Czy naprawdę mam brać cię... to znaczy tę propozycję, na serio?

- Zapewniam cię, że jestem absolutnie poważny.

- Czy wobec tego pozwolisz, że zadam ci kilka pytań?

Uniosł rękę, wyrażając tym gestem zgodę na całkowitą współpracę.

- Pytaj, o co chcesz.

Przechyliła głowę, jednocześnie zmieszana i rozbawiona.

- Czy jesteś może pod wpływem jakiegoś narkotyku, który powoduje zmiany w mózgu?

- Absolutnie nie.

- Czy mam uważać, że mmm... zakochałeś się we mnie, kiedy miałam naście lat i myślałeś o mnie cały czas i dlatego teraz chcesz się ze mną ożenić?

- Ta hipoteza jest równie absurdalna jak poprzednia.

- Rozumiem.

Trochę była rozczarowana, że nie interesował się nią ani trochę, podczas kiedy ona za nim szalała.

- Czy wolałabyś, żebym skłamał, że miałem wtedy na ciebie oko?

- Nie, wolałabym, żebyś mi powiedział, z jakich powodów chcesz się ze mną ożenić.

- Są dwa powody: ja potrzebuję żony, a ty potrzebujesz męża.

- I dlatego - rozumowała Diana sucho - jesteśmy dla siebie stworzeni?

Cole spojrział na błyszczące oczy i uśmiechnięte usta i z trudem opanował chęć, by scałować uśmiech z jej ust.

- Myślę, że tak.

- Nie wiem, dlaczego ty musisz się ożenić, ale wierz mi, małżeństwo jest ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba.

- Mylisz się. Małżeństwo jest dokładnie tyra, czego ci trzeba. Zostałaś opisana w prasie jako porzucona i z tego, co czytałem w „Encjuirer”, konkurencja twojego magazynu niemal od roku wytyka ci twój niemałżeński stan. Teraz się to nasili. Jak to napisali? Przypomniał sobie i zacytował: „Kłopoty w raju - Diana Foster porzucona przez narzeczonego”. - Potrząsając głową, powiedział bez ogródek. - To zła prasa, Diano. Działa niszcząco na interesy. Wychodząc za mnie, mogłabyś zachować godność, a jednocześnie uratować swoje przedsiębiorstwo od niszczących efektów takich tytułów

Popatrzyła na niego, jakby otrzymała śmiertelny cios od osoby, po której się tego nie spodziewała.

- Muszę ci się wydawać kompletnie załamana i zdesperowana, żeby mi w ogóle coś takiego proponować i uważać, że na to pójdę.

Odsunęła się od barierki i ruszyła w kierunku apartamentu, ale Cole schwycił ją za rękę delikatnie, lecz stanowczo.

- To ja jestem zdesperowany, Diano.

Spojrzała z powątpiewaniem.

- A dlaczego właściwie jesteś taki „zdesperowany”, że chcesz wziąć za żonę kogokolwiek?

Instynkt i doświadczenie mówiły mu, że delikatna perswazja mogłaby bardzo pomóc i był skłonny uciec się do tego, jeżeli logika

i absolutna uczciwość nie wystarczą, żeby ją przekonać. Przede wszystkim była teraz niezwykle wrażliwa i nie chciałby zrobić czy powiedzieć czegoś, co zrozumiałaby opacznie i potraktowała go jako namiastkę miłości i kochanka, którego straciła. Nie miał zamiaru komplikować ich małżeństwa żadnymi uczuciowymi lub fizycznymi zbliżeniami.

Tak więc opanował odruch, żeby odsunąć ciemny kosmyk z jej policzka i pokusę, żeby jej powiedzieć, że nie jest dla niego "jakąkolwiek kobietą", ale najbliższą jego ideału kobiecości, Nie miał jednak moralnych hamulców, aby rozpuszczać jej opór w alkoholu, ile tylko się da.

- Skończ szampana, to ci wyjaśnię.

Diana już miała zamiar się sprzeczać, ale zdecydowała się na kompromis i upiła jeden łyk.

- Moim problemem - zaczął wyjaśniać spokojnie - jest Calvin Downing, stary człowiek, który jest wujem mojej matki. Kiedy postanowiłem opuścić ranczo i studiować, to Calvin próbował przekonywać mojego ojca, że wcale nie zadzieram nosa i nie lekceważę jego i wszystkiego, co reprezentuje. Kiedy ojciec nie dał się przekonać, Cal pożyczył mi pieniądze na czesne. Gdy bytem na przedostatnim roku, kompania naftowa zrobiła na jego ziemi próbny odwiert i okazało się, że była ropa. Nie był to od razu majątek, ale dostawał około dwudziestu sześciu tysięcy miesięcznie. A kiedy zrobiłem dyplom i pokazałem Calowi swój szaleńczy projekt na zrobienie pieniędzy, którego nie sfinansowałby żaden bankier, on wręczył mi wszystkie swoje oszczędności, żebym miał z czym zacząć. Od czasów mojego dzieciństwa Cal zawsze we mnie wierzył. Kiedy snułem marzenia, że kiedyś dokonam czegoś wielkiego i będę naprawdę bogaty, on słuchał i wierzył.

Zafascynowana jego otwartością, ale wciąż nie pojmując, jak taki dobry staruszek mógł stać się źródłem problemów Cole'a, Diana sączyła szampana i czekała, co powie dalej.

- No, mów - ponaglała. - Na razie wydaje się, że jest ostatnim człowiekiem na świecie, który mógłby ci stwarzać problemy.

- Jemu się wydaje, że rozwiązuje problem, a nie tworzy.

- Nie rozumiem. Nawet, gdybym nie wypiła tyle wina i szampana, i tak nie rozumiałabym.

- Nie rozumiesz, bo nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszego. Kiedy po dyplomie przyjechałem, wuj dał mi wszystkie swoje oszczędności z szybu naftowego i pożyczył jeszcze dwieście tysięcy dolarów z banku, dając szyb, jako zabezpieczenie, żebym mógł stworzyć wła-

sne przedsiębiorstwo. Oczywiście wymogiem na nim, żebyśmy podpisali prawną umowę i stał się moim pełnoprawnym partnerem.

O ile pamiętała z artykułu o interesach Cole'a Harrisona w „Time”, szacowano go rocznie netto na pięć miliardów dolarów.

- Rozumiem, że spłaciłeś pożyczkę?

Skinał głową.

- Spłaciłem wraz z odsetkami, jak ustalono w umowie. - Jego ostre rysy rozjaśnił lekki uśmiech. - Wśród dziwactw mojego wuja poczesne miejsce zajmuje skapstwo, dlatego jego gorliwość, z jaką wręczył mi wszystkie swoje pieniądze, była tym cenniejsza. Żeby zilustrować jego skapstwo, mogę powiedzieć, że mimo swego bogactwa, Cal wciąż wycina kupony na zniżki z gazet, kłóci się o rachunki za wywóz śmieci i inne usługi, kupuje ubrania w Montgomery Ward. Jest do tego stopnia beznadziejny, że jeżeli mu wyłącza telefon na kilka godzin, co zdarza się parę razy do roku, odlicza sobie jeden dzień z abonamentu.

- Nawet nie wiedziałam, że tak można zrobić - powiedziała Diana, na której zrobiło to duże wrażenie.

- Można - odpowiedział poważnie Cole - tylko wyłączają potem telefon, póki nie dopłacisz.

Diana uśmiechnęła się, usłyszawszy ten barwny opis starego, upartego człowieka o wielkim sercu i z węzłem w kieszeni.

- Wciąż nie rozumiem, jaki w związku z nim masz problem.

- Problem jest taki, że Cal jest równoprawnym partnerem w moim pierwszym interesie, więc nie mogę, skoro zawdzięczam mu moralne i finansowe wsparcie, zrobić mu przykrości, prosząc go o rozwiązanie tej umowy, mimo że spłaciłem pożyczkę z odsetkami. Poza tym powierzyłbym mu własne życie, więc nie wierzę, że sprzedałby swe udziały komu innemu, lub nie zrobił z nimi tego, o co go proszę.

Diana, jako bizneswoman, zdała sobie od razu sprawę z ewentualnych szkód takich działań, ale też nie wierzyła, aby człowiek, którego Cole jej opisał, zdolny był do zdrady.

- Czy poprosiłeś go oficjalnie, żeby przepisał na ciebie swoje udziały?

- Poprosiłem.

- I co?

Usta Cole'a wykrzywił słaby uśmiech.

-I jest absolutnie skłonny to zrobić, tylko muszę przedtem rozwiązać jeden jego mały problem, nim uzna, że przekazanie mi reszty udziałów mojej firmy będzie uzasadnione.

Przerwał, a Diana, siedząc jak zaczarowana, spytała:

- Jaki problem?

- Nieśmiertelności.

- Nieśmiertelności?

- Właśnie. Okazało się, że od sześciu czy siedmiu lat, od czasu kiedy skończył siedemdziesiątkę i zdrowie mu nie dopisuje, wuj Calvin marzy o tym, by zapewnić sobie nieśmiertelność, zostawiając po sobie następców. Problem w tym, że prócz mnie ma tylko jeszcze jednego krewnego, mojego kuzyna. Travis ma żonę Elaine i oboje są bardzo mili, ale niezbyt błyskotliwi. Mają dwoje dzieci, które nie są ani błyskotliwe, ani miłe i Cal ich nie znosi. Dlatego właśnie chce, żebym ja się ożenił i miał mądre dzieci, które przejmą rodzinny interes.

Wciąż niepewna, czy właściwie zrozumiała, Diana spytała:

- A jeśli tego nie zrobisz, to co?

- Wtedy zostawi udziały mojej korporacji dzieciom Trávisa i Elaine, czyli Donnie Jean i Tedowi, które jeszcze się uczą. - Upił trochę ze swego kieliszka, jakby chciał zmyć smak tych słów. W takim wypadku Travis i Elaine będą moimi partnerami z takimi udziałami, że mogą kontrolować firmę do czasu uzyskania pełnoletności dzieci. Travis dla mnie pracuje, jest szefem działu badawczo-rozwojowego. Jest bardzo lojalny i stara się, jak może, ale nie ma dość inteligencji i wyobraźni, żeby prowadzić Unified, nawet gdybym miał ochotę mu to przekazać, ale oczywiście nie mam. Dzieci nie mają ani jego lojalności, ani zdrowego rozsądku i dobrego serca matki. Są pazerne, egoistyczne i już planują, jak wydać moje pieniądze, jeśli im się uda położyć na nie łapy.

Diana z trudem opanowała uśmiech, myśląc o jego losie. Cole Harrison, słynny biznesmen, postrach Wall Street, przyparty do muru przez staruszkę - wujka, który pewnie ma sklerozę.

- Biedy Cal - powiedziała. - Cóż za dylemat. Jeden cioteczny wnuk nie ma żyłki do interesów, ale ma żonę i dzieci, drugi jest wzorowym przedsiębiorcą, bez żony i dzieci...

- I bez zamiaru ich posiadania - dodał Cole, podsumowując swoje stanowisko.

Zadowolony, że pojęła całą sytuację, uniósł kieliszek, wznosząc toast za jej przenikliwość. Jego zamiar, by pozostać nie tylko bezżennym, ale i bezdzietnym, został na chwilę zaćmiony przez Dianę i jej rozbawienie.

- No to jesteś niezłe urządzony - powiedziała z niesfornym uśmiechem.

- A ciebie to zdaje się bawi?
- No, musisz przyznać, że brzmi to trochę... jak powieść grozy
- zdołała niepewnie wymówić Diana.
- Delikatnie mówiąc - zgodził się ponuro.
- Chociaż - ciągnęła - w klasycznej powieści grozy to bohaterka była zmuszana do małżeństwa; nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby to bohater się znalazł w takiej sytuacji.
- Jeżeli chcesz mnie rozweselić, to ci się nie udaje - stwierdził z goryczą.

Prawdę powiedziawszy, wyglądał na tak zasmuconego, że Diana musiała się odwrócić, żeby ukryć śmiech, i dopiero po dłuższej chwili pojęła, jak arogancka i obraźliwa dla niej była jego propozycja,

- A więc - podsumowała, starając się mówić równie spokojnie i beznamiętnie, jak on - kiedy mnie dziś zobaczyłeś, przypominałeś sobie, że właśnie zostałam wyrolowana, i uznałeś, że zgodzę się na ślub z tobą, zwłaszcza jeśli kupiłeś mi naszyjnik, żebym mogła wyjść z aukcji z twarzą.

- Nie jestem aż taki samolubny, Diano, ani taki zarozumiały. Wiem, że natychmiast odrzuciłabyś moją propozycję, gdyby niejedną sprawą.

- A mianowicie jaka?

- Żeniąc się z tobą, jednocześnie oferowałbym siebie jako rozwiązanie twoich problemów.

- Rozumiem - powiedziała Diana, chociaż wcale nie rozumiała.

- Czy mógłbyś łaskawie wyjaśnić, jak?

- Logiczne. Mimo że zostałaś publicznie porzucona, możesz zachować godność, jeśli natychmiast za mnie wyjdiesz. Jutro gazety będą pełne naszych zdjęć, jak się całujemy na balkonie i opisów historii, jak ci kupiłem naszyjnik. Jeśli następnego dnia ogłosimy nasze małżeństwo, ludzie zaczną przypuszczać, że cały czas coś między nami było i że to pewnie ty rzuciłaś Penwortha, a nie on ciebie.

Diana wzruszyła ramionami, żeby ukryć ukłucie bólu i gniewu za takie podsumowanie jej sytuacji.

- Nie muszę aż tak bardzo zachowywać godności, żeby posuwać się do czegoś tak skandalicznego i pochopnego, jak twoja propozy-

- Nie, ale musisz ratować swoją firmę. Ten parawan z zaręczynami przez dwa lata i tak przestawał już wystarczać. Teraz, kiedy nie masz nawet tego - ciągnął Cole - twoja konkurencja wzmocni atak, a media będą to podsycać dla swoich własnych celów.

Jej zielone oczy rozbłysły i wprawdzie zaraz zakryła je rzesami, ale zdołał zauważyć, że wzmianka o Danielu nie podziąkała na nią tak, jak ta o zagrożeniu firmy. Mimo delikatnych rysów i kobiecej, subtelnej urody Diana Foster najwyraźniej była kobietą, dla której firma była na pierwszym miejscu. Z całą pewnością, stwierdził Cole, przynajmniej tyle mieli wspólnego. Starał się przypomnieć sobie, co wie o tej firmie, która dla niej tyle znaczyła. Zaczęło się chyba od zaopatrywania najbogatszych ludzi w Houston w „naturalne” produkty własnej hodowli, wspaniale ozdobione i podane, ale wszystko domowej produkcji. Ktoś gdzieś nazwał to „Ideałem Fosterów” i w końcu powstał magazyn „Piękniejsze Życie Fosterów”. Kupił jeden numer gdzieś na lotnisku, krótko po tym, jak zobaczył Dianę w telewizji, i nawet go przejrzał. Wśród błyszczących zdjęć kolorowo pomalowanych mebli, ścian z ręcznie rysowanymi szlaczkami i stołów nakrytych ręcznie wyszywanymi obrusami, rysowała się filozofia całego magazynu i ideału Fosterów: przez powrót do podstaw kobieta może i powinna osiągnąć osobistą satysfakcję, poczucie spełnienia i spokój domowego ogniska. Poza tym zauważył tylko, że fotografie były doskonałe i było to zasługą Corey Foster Addison.

Tego można było się spodziewać, gdyż jak pamiętał, Corey nie rozstawała się z aparatem fotograficznym. Ale nie tego, że założycielką i redaktorem naczelnym magazynu była wypieszczona panna z Houston, która siedząc na beli siana, przyznała że nie lubi chłopięcych zabaw, bo nie lubi się brudzić.

Patrzył na jej profil w świetle księżycy i zastanawiał się nad głupotą Penwortha, który wolał osiemnastoletnią modelkę od Diany Foster. Już będąc nastolatką, Diana błyszczała dowcipem, inteligencją i dobrocią. Jako kobieta, wyróżniała się kolorytem, wspaniałą figurą i sposobem bycia.

Cole przebywał wystarczająco dużo z różnymi modelkami, żeby wiedzieć, że są nudne przez swoje obsesje na temat każdej cząsteczki swej skóry i włosów, a ich ciała, na których wspaniale leżą ubrania, w łóżku robią wrażenie szkieletów obciążonych skórą.

Penworth był idiotą, skoro zmarnował taką szansę.

Cole Harrison nie jest idiotą i jej nie zmarnuje.

Rozdział 27

Cole uznał, że Diana miała już dość czasu, żeby zobaczyć rzeczywistość we właściwych barwach, więc powiedział:

- Nie chciałem ci sprawić przykrości ani zawstydząć, ale próbowałem opisać ci twoją sytuację taką, jaka jest.

Przełknęła głośno i spojrzała na swoje dłonie. W jednej trzymała kieliszek, drugą zaciskała tak mocno na barierce, że zbieleły jej kostki. Gdy zdała sobie sprawę, że Cole to zauważył, rozluźniła rękę. Zorientował się, że nie lubi okazywać uczuć i bardzo go to ucieszyło, gdyż byli w tym podobni. Oczekiwał od niej układu bez emocji, zarówno w trakcie jego trwania, jak i podczas rozwiązywania.

Cole postanowił wreszcie przerwać przedłużające się milczenie.

- Diano, jeżeli masz do mnie jakieś pretensje, to możesz je mieć o to, że jestem brutalnie szczery, ale nie przeze mnie jesteś niezszcęśliwa.

Odetchnęła głęboko, ale w jej głosie słychać było płacz.

- Dlaczego mam mieć do ciebie pretensje o przedstawienie problemu w całej jego ohydzie?

- Ja nie tylko przedstawiłem problem - uprzejmie przypomniiał. - Ja również zaproponowałem rozwiązanie. Siebie.

- Tak, rzeczywiście, bardzo to sobie cenię, naprawdę...

Przerwała i Cole zorientował się, że chociaż wciąż uważała jego rozwiązanie za dziwne i niemożliwe, starała się nie ranić jego uczuć. Wydało mu się to bardzo małe i bardzo naiwne, ponieważ on nie angażował uczuć w ten układ. W ogóle wolał żyć w permanentnym stanie uczuciowej obojętności.

- Problem w tym - zaczęła znowu cichym, miłym głosem - że nie widzę sensu w zamianie narzeczonego, którego kochałam, a który nie kochał mnie, na męża, którego ani ja nie kocham, ani on mnie nie kocha.

- Dlatego jest to idealne! - wykrzyknął Cole, kładąc rękę na jej ramieniu. - Żadne uczucia nie będą komplikowały naszego małżeństwa.

Odstawiła kieliszek i objęła się dłońmi, jakby zrobiło jej się zimno.

- Czy naprawdę jesteś taki zimny i nieczuły, jak się wydajesz?

Patrząc na jej piękną twarz i piersi, oddalone od niego tylko o kilkanaście centymetrów, Cole absolutnie nie czuł się zimny. Po raz pierwszy, odkąd wymyślił ten plan, poczuł że pożądanie do niej może stanowić pewną komplikację. Przysiągł sobie po cichu, że będzie unikał wszelkiej intymności.

- Nie jestem zimny - zaprzeczył. - Jestem praktyczny. Mam palący problem, który zostanie rozwiązany, gdy będę żonaty. Ty jesteś w podobnej sytuacji. Nasze małżeństwo nie będzie obciążone komplikacjami uczuciowymi, będzie przyjacielskim układem dla interesów, który zakończy się po roku cichym, zgodnym rozwodem. Oferujemy sobie wzajemnie doskonałe rozwiązania. Gdybyś była przesadna, mogłabyś powiedzieć, że to przeznaczenie.

- Nie ufam już przeznaczeniu. Kiedyś myślałam, że Dan i ja byliśmy sobie przeznaczeni.

- Jest zasadnicza różnica między Penworthem a mną - powiedział Cole uszczypliwie. - Ja nie łamię danego słowa.

W tej chwili, patrząc w jego stalowe, świdrujące ją oczy i słuchając głębokiego, przekonującego głosu, Diana uwierzyła, że mówił o tym wszystkim ze śmiertelną powagą. Uniósł jej brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Daję ci słowo - oświadczył - że w trakcie tego roku naszego małżeństwa będę się publicznie zachowywał jak najbardziej oddany i wierny mąż. Nie zrobię świadomie niczego, co mogłoby przynieść ci upokorzenie i złość, jak w wypadku Penwortha. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś nigdy nie żałowała tej transakcji - zakończył i odstawił kieliszek.

To nie jest żadna transakcja, ostrzegł Dianę głos wewnętrzny, ale cichy z nim spór został zakończony z powodu efektu, jaki wywarła na niej poważna, przystojna twarz, hipnotyczny głos i potężna sylwetka mężczyzny, którego szerokie ramiona oferowały osłonę przed światem i możliwość udźwignięcia wszelkich jej kłopotów. Kombinacja wszystkich tych czynników stawała się niebezpiecznie kusząca, zwłaszcza że nie mówił nic o miłości ani w ogóle o uczuciach.

- W oczach wszystkich - ciągnął - będziesz moją umiłowaną żoną i podczas trwania naszego małżeństwa tak będzie.

Umiłowaną... takie staroświeckie słowo. Czułe i sentymentalne. Dan nigdy nic takiego nie powiedział. Zresztą i Cole'a nie podejrzewałaby o to. Przesunął rękami po jej ramionach i czuła, jak daje mu się oczarować przy wydatnej pomocy wina i francuskiego szampana, a także romantycznego światła teksańskiego księżycy.

- Oczywiście - dodał delikatnie, ale stanowczo - będę oczekiwał takiej obietnicy od ciebie. Czy to jest do zaakceptowania?

Diana nie mogła uwierzyć, że w ogóle brała pod uwagę cały ten plan, ani że skinęła potakująco głową.

- Nie zgodziłam się na wszystko - odparła drżącym głosem - tylko na warunki.

Delikatnie odwrócił dłońią jej twarz w swoją stronę.

- Tak, Diano - powiedział z uśmiechem. - Zgodziłaś się, tylko nie wypowiedziałas jeszcze tych słów. - Jego oczy i głos rzuciły na nią urok. - Jutro możemy już mieć za sobą wszystkie twoje problemy i moje. Musisz tylko powiedzieć, że się zgadzasz i za godzinę mój samolot może wystartować do Nevady.

Gdyby ją wtedy pocałował, już by jej nie było. Gdyby zwolnił uścisk, uciekłaby gdzie pieprz rośnie. Ale kiedy objął ją za szyję i przycisnął do piersi dziwnie ojcowskim gestem, jej opór nagle znikł. Proponował jej na rok bezpieczne schronienie, pod względem zawodowym i osobistym... Proponował obronę przed upokorzeniem, zdenerwowaniem, stresem. Proponował to wszystko Dianie, zmęczonej, rozczarowanej i zdenerwowanej, która teraz zaczynała odczuwać cudowną atmosferę rozmarzenia, wywołaną większą ilością alkoholu, niż normalnie spożywała w ciągu miesiąca i obecnością mężczyzny, przy którym wszystko wydawało się proste i łatwe. Cole obiecywał wybawić ją i miłować jeszcze tej nocy. Musiała tylko skinąć głową.

Słyszała jego szept, lekki podmuch w swoich włosach.

- Możemy wyruszyć za godzinę i wrócić na śniadanie.

Diana przymknęła oczy, próbując powstrzymać łzy, poprzez które złote spinki przy koszuli Cole'a wyglądały jak zamazane węzłki. Próbowała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Musisz tylko dać mi słowo, że przez rok będziesz robiła też to co ja proponuję: przekonujące przedstawienie, zaświadczone przed całym światem, że jesteśmy prawdziwie szczęśliwym małżeństwem.

Dianie udało się w końcu pokonać skurcz, rozpoczynający się w żołądku i dochodzący do brody i odezwała się, protestując słabo.

- Nawet nie mieszkamy w tym samym mieście.

- Tym łatwiej będzie nam podtrzymać złudzenie. Nasze sprawy zawodowe wymagają, żebym ja mieszkał w Dallas, a ty musisz zachować mieszkanie w Houston. Ponieważ jest to tylko czterdzieści pięć minut samolotem, wszyscy będą myśleli, że do siebie jeździmy.

Uśmiechnęła się lekko, wciąż z policzkiem przytulonym do wykrochmalonego gorsu jego koszuli.

- Mówisz tak, jakby wszystko było takie proste

- Bo to jest proste. Musimy tylko przyjaźnie współpracować. W ciągu tego roku na pewno będziesz potrzebowała mojego towarzystwa na różne przyjęcia, więc postaram się tak zorganizować czas, żeby być z tobą. Musisz mnie tylko jak najwcześniej uprzedzić.

Diana usiłowała to dokładnie przemyśleć, po czym odsunęła się i przypatrywała mu się zamglonym wzrokiem, z niewyraźnym uśmiechem.

- Niezależnie od tego, gdzie to będzie i czy będzie prasa? Wiem, że nie znosisz reporterów, ale dla mojego przedsiębiorstwa media są bardzo ważne.

Cole zauważył z podziwem i rozbawieniem, że jego inteligentna przyszła żona usiłowała, mimo niezbyt trzeźwego stanu i jego dziwacznej propozycji, znaleźć ewentualne niedopatrzienia w tej umowie, nim wyrazi zgodę. Skinął głową.

- Niezależnie od tego, gdzie będzie - zgodził się - i oczekuję tego samego od ciebie. Chyba tak jest sprawiedliwie? - Cole czekał, aż wyrazi zgodę.

Uniosła głowę i wpatrywała się w niego uporczywie, chcąc zapewne pokonać słabe światło i otepiające działanie szampana.

- Czy masz jeszcze jakieś warunki?

Ostatnią rzeczą, jakiej mógłby sobie życzyć, to rozdrabnianie się teraz na detale i utrata pozycji, do której już prawie doszedł.

- Szczegóły możemy omówić jutro. Umowa stoi?

Znów czekał na jej zgodę.

Przygryzła wargę, zastanawiając się przez chwilę, aż w końcu potrząsnęła głową.

- Myślę, że lepiej byłoby teraz - oświadczyła, uśmiechając się przepaszająco za ten kłopot. - Tym sposobem nie będzie dyskusji - dokończyła, gdyż nie mogła znaleźć właściwego słowa.

Cole nie mógł powstrzymać uśmiechu podziwu. Diana Foster nawet w stresującej sytuacji nie traciła głowy. Zaczynał rozumieć, dlaczego stanowiła taką siłę w swej branży.

- Dobrze - zgodził się. - Oto jedyne podstawowe warunki, na jakie musimy się zgodzić: po pierwsze, po roku małżeństwa załatwiamy szybki, cichy rozwód, po drugie, nie zgłaszamy wzajemnie żadnych roszczeń finansowych. Zgoda?

Drgnęła na dźwięk słowa rozwód i Cole poczuł się trochę niewyrażnie, że jej pierwsze małżeństwo będzie tylko komedią. Z drugiej strony ma do zyskania tyle samo co on, a znacznie mniej do stracenia. Ponieważ w Teksasie obowiązuje wspólnota majątkowa, a on jest od niej znacznie bogatszy, miał więcej do stracenia, jeśli zechciałaby negocjować umowę małżeńską, jaką będą musieli zawrzeć zaraz po ślubie.

- Zgoda - szepnęła uroczyście.

Głos Cole'a nabrał energii, a on sam zaczął myśleć o podróży.

- Poza tym, chciałbym cię prosić jeszcze o dwa ustępstwa. Po pierwsze, żadne z nas nic powie nikomu, że małżeństwo to jest tylko kwestią interesu. Po drugie...

- Nie.

- Co? - popatrzył na nią z niedowierzaniem. - Dlaczego nie?

- Bo muszę powiedzieć mojej rodzinie. Będę musiała powiedzieć mojej siostrze. Wiesz, Corey? ~ podpowiedziała i Gołe pomyślał, że jest albo bardziej zalana, albo bardziej zdenerwowana, niż myślał.

- Znam Corey - zapewnił ją ponuro.

Za jej plecami, w smudze światła od drzwi, sprawdził godzinę na zegarku. Dziesięć po jedenastej. Obaj piloci z jego odrzutowca zatrzymali się w motelu koło lotniska, ale mieli pagery. Jego limuzyna była na zwołanie przez całą dobę. Jeśli pałace ślubów w Lakę Tahoe nie były czynne w nocy, to wiedział na pewno, że były w Las Vegas. Organizacja nie stanowiła problemu. Problem stanowiła Diana.

- Muszę powiedzieć całej mojej rodzinie. I Spence'owi. On też należy do rodziny.

- A jeśli się nie zgodzę?

Spojrzała na niego z wyższością.

- Nie sądzisz chyba, że uwierzą, iż spojrzeliśmy na siebie dzisiejszego wieczoru, zakochaliśmy się i uciekliśmy, żeby wziąć ślub?

- Nie udowodnią ci, że to nieprawda. Spróbujmy utrzymywać tę wersję.

Odsunęła się od niego, unosząc głowę najwyżej, jak mogła.

- Nie będę martwiła mojej rodziny, kłamiąc i nie mogę świadomie składać obietnic, których nie jestem w stanie dotrzymać.

Mówiła to zupełnie poważnie, stwierdził Cole. Był pewien, że ta „Bizneswoman Roku” z Teksasu, robiąc karierę, nie zrezygnowała ze swych młodzieńczych ideałów. Był z niej dumny.

- Wobec tego ustępuję.

- Naprawdę? - Diana zachwycała się wszystkim, co zrobił lub powiedział.

Starając się otrząsnąć z efektów alkoholu i jego srebrzystego spojrzenia, powiedziała.

- Mówiłeś o dwóch warunkach,

- Drugi jest taki, że zgadzasz się towarzyszyć mi na ranczo mojego wuja w przyszłym tygodniu lub za dwa tygodnie, zaprzeczając wszelkim podejrzeniom, jakie mógłby mieć w związku z naszym nagłym ślubem.

- Pewnie będę miała jakieś spotkania - odpowiedziała, marszcząc czoło. Wyglądała jak zmartwiona bogini, której lekki wiaterek rozwiewał włosy i fałdował sukienkę. - Zawsze mam jakieś spotkania. Poprzekładam je i chyba będą mogła odwiedzić twojego wuja albo w przyszłym tygodniu, albo w następnym.

- A więc załatwione - rzekł szybko Cole.

Była bardzo zdenerwowana i głos jej drżał.

- Czy.,, czy ja nie mogę mieć jakichś warunków?

- Jak wymyślisz, to mi powiedz. Mówiłem już, że jestem skłonny w ramach współpracy zrobić wszystko, co mogę, w rozsądnych granicach.

Cole uznał, że czas na gadanie się skończył i teraz należy plan wprowadzić w życie. Wszedł do apartamentu, zadzwonił do pilotów w motelu i zamówił swoją limuzynę, żeby pojechała pod hotel. Później nakręcił numer swojej sekretarki w Dallas i wydał zaspasnej, ale czujnej kobiecie kilka instrukcji, które ją wprawdzie całkowicie przebudziły ale z wrazenia zaczęła się jękać.

- Wszystko załatwione - powiedział, wracając na balkon. Wyjął znów butelkę szampana z kubełka z lodem i napełnił oba kieliszki. - Limuzyna czeka na dole, a samolot tankuje. Trzeba to uczcić - dodał, podając jej kieliszek.

Diana popatrzyła na trzymany w ręku kieliszek i nagle odwaga ją opuściła.

- Nie mogę! - zawołała, krzyżując ramiona na piersiach w obronnym geście. Podczas gdy on telefonował, ona próbowała ustalić, czyjej wątpliwości spowodowane są realną oceną sytuacji, czy przesadną ostrożnością, której nie znosiła i z powodu której zdarzało jej się przegapić świetne okazje zawodowe.

Bez słowa postawił oba kieliszki na stoliku i podszedł bliżej.

- Co to znaczy, nie możesz?

Diana odskoczyła.

- Nie mogę! Nie dzisiaj. - Głos jej tak drżał, że sama go nie poznawała. Cofnęła się, jakby chciała uciec z pułapki, i wpadła na barierkę. - Potrzebuję czasu!

Zablokował jej wejście do pokoju i próbowała ukryć się za fotelem balkonowym, ale zatrzymał ją jego głos, w którym słyszała zarliwość i smutek.

- Czas to jedyna rzecz, jakiej ci nie mogę ofiarować, Diano.

W zdaniu tym zabrzmiały różne motywy, począwszy od usiłowania przekupstwa, aż do próby zaimponowania jej swym bogactwem.

- Z tym wszystkim, co masz do ofiarowania - zapewniła go, odpinając naszyjnik - znajdziesz mnóstwo kobiet, które chętnie przystaną na twoją propozycję w nadziei, że zostaną na dłużej, łącznie z tymi % sali balowej.

- Pewnie masz rację - odpowiedział bezbarwnym głosem. - Pewnie mierzyłem za wysoko, ale chciałem, nawet w tym układzie, być dumny z kobiety, która będzie nosiła moje nazwisko. To ograniczało mój wybór do jednej osoby - ciebie.

Powiedział to tak spokojnie, że Diana dopiero po chwili zrozumiała.

- Dlaczego mnie?

- Z różnych powodów - wyjaśnił, wuszając ramionami. - Jednym z ważniejszych jest fakt, że mimo swego wysokiego statusu społecznego, znałaś mnie również wtedy, kiedy mi płacono za wyrzucanie gnoju ze stajni i nie uznajesz mnie za odpychającego.

Serce ją zabolowało, gdy usłyszała tę aluzję do jego pochodzenia i połączyła ją z usiłowaniem przekupstwa. Do oczu napłynęły jej łzy, kiedy patrzyła na tego silnego, dynamicznego mężczyznę, który z jakichś powodów nie zdawał sobie sprawy z własnej wartości. Jego twarz o mocnych rysach była jedną z najprzystojniejszych, jakie znała. Promieniowała z niej męska duma i zdecydowanie. Po jego rysach można było domyślić się, ile stoczył wygranych bitew, jak go doświadczał los. A w jego ustach, nawet wykrzywionych jak teraz, czuło się zmysłowość. Kobiety rzucałyby się na niego, nawet gdyby nie miał pieniędzy, a jednak z niezrozumiałych powodów wybierał małżeństwo na niby i życie bez dzieci.

Była jeszcze dzieckiem, kiedy zaczęła go odwiedzać u Haywardów i wtedy bardzo się cieszył z jej towarzystwa. Dał jej nawet na szesnaste urodziny kotka-zabawkę, przypomniała sobie nagle. Kiedy rozpływała się z radości, on pomyślał, że kotek jej się nie spodobał. „Pewnie masz dziesiątki egzotycznych zwierzaków-maskotek”.

Cole był jej przyjacielem, kochankiem z jej marzeń, mentorem. Dziś był jej rycerzem wybawcą. Ależ była głupia, żeby mu nie ufać, odrzucać szansę, która spadała jej z nieba.

- Cole - szepnęła i widziała, że rysy mu złagodniały na dźwięk jej głosu. - Przepraszam. - Wyciągnęła rękę pojednawczym gestem, ale jego wzrok padł na leżący na jej dłoni naszyjnik i zmarł.

- Zatrzymaj go - powiedział krótko. - Kupiłem go dla ciebie.

- Nie - zaczęła niezdarne. Żałowała, że nie wypita tego kieliszka szampana dla odwagi. - Chodzi mi o to, czy może mógłbyś powtórzyć jeszcze raz te wspaniałe powody, które podawałeś wcześniej?

Cole zobaczył w jej oczach łagodność, od której zrobiło mu się miękko koło serca, odczuł coś, czego nie pamiętał, ale uśmiechnął się. Wyciągnął rękę i czule odgarnął miedziany kosmyk z jej policzka.

- Nie mogę się zdecydować - wyjaśniła nieco drżącym głosem.

- Diano - szepnął. - Już się zdecydowałam.

Zakreśliło jej się w głowie od dotyku jego ręki i szoku nagle podjętej decyzji. Spróbowała obrócić to w żart.

- Zdecydowałam? O czym zdecydowałam?

Oczy mu się śmiały, ale odpowiedział uroczyście tonem:

- Zdecydowałam, że dzisiejszej nocy w Nevadzie wyjdiesz za mnie za mąż.

- Wyjdę?

- Wyjdiesz.

Rozdział 28

-Wyjdę... wyjdę... Diana odwróciła głowę na poduszce, ale te słowa ją prześladowały, odbijały się echem, jakby z odległego końca tunelu, i mieszały się w kalejdoskopie oderwanych wydarzeń. Śnił jej się szum silników odrzutowych, przytłumiony dzwonek telefonu i jakaś potężna sylwetka mężczyzny, którego obecność czuła, ale go nie widziała. Przy nim odczuwała poważne zagrożenie i jednocześnie czuła się bezpiecznie. Głos, który słyszała, nie był jego głosem, ale to on kontrolował jej odpowiedzi.

- Chcesz? - Teraz usłyszała swój głos, a właściwie szept, dochodzący z unoszącego się w powietrzu posłania w przyćmionym, dochodzącym z dala światła. Stał obok łóżka, nachylony i trzymał jej ręce. - Nie. - Położyła mu ręce na ramiona, przyciągnęła go do siebie, a jego oczy rozbłyły. Hałas silników zagłuszył jego głos, tylko usta układały się w wyraz. - Nie. - Objęła go za szyję, ogniki w jego oczach zmieniły się w płomień. Teraz ona miała pełną kontrolę, teraz ona szepnęła za niego. - Tak...

Jeszcze to ona panowała nad sytuacją, gdy jego usta znalazły się na jej ustach, jego język próbował rozsuwać jej wargi. Ale już po chwili, gdy przyciskała usta do jego ust, gdy wielkie dłonie pieściły jej piersi, a potem poczuła jego wargi na swych napiętych sutkach i krzyknęła, poczuła, że traci kontrolę. Nie może tego zrobić, nie może! Wiedział, że ona chce się wycofać, ale wsunął dłonie w jej włosy, jego głodne usta znów wpiły się w jej wargi i poczuła na sobie jego ciało. Jeszcze chciała opierać się, walczyć z własnymi pragnieniami, ale już unosił jej pośladki, a nogi same się rozsunęły i poczuła go w sobie. Jego wolne, ale zachłanne ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze i wydawało jej się, że spada na krawędź jakiejś przerażającej przepaści. Próbowała walczyć, wydostać się, ale on objął mocno jej biodra, przekreślił się na plecy

i wciąż przywierając mocno, narzucił taki rytm, że zapomniała o swoich potarganych włosach, za małych piersiach i bliźnie na biodrze. Nie pozwalał jej przestać. Nie mogła przestać. Nie chciała przestać. Była jak oszalała. Ich biodra poruszały się razem, jego dłonie pieściły jej piersi, palce ścisnęły napięte sutki. Krzyknęła, gdy jej ciało rozdarły wybuchy, a on wygiął się i szalonymi spazmami wkręcał się w nią coraz głębiej. Silniki ryczały, łóżko runęło na ziemię, ale jego ramiona wciąż oplatały ją ciasno. Za oknami z oszalamiającą prędkością migały niebieskie światła. Tajemnicze światła.

Niebieskie światła... obracające się dookoła... wirujące...

Diana kręciła głową po poduszce, przerażona tymi światłami, próbując wydostać się ze szponów tego demonicznego kochanka, który wziął znacznie więcej, niż pragnęła zaoferować. Chciała się odwrócić i uciekać, ale pilnował jej jakiś stwór, przerażająca, czarna bestia na czterech łapach. Miała olbrzymie kły, sztywne, sterzące uszy i była wychudzona, jak szkielet. Szatan z „Dziecka Rosemary”. A ona była Rosemary!

We śnie krzyknęła ze strachu, ale w rzeczywistości był to tylko ledwo słyszalny szept.

-Nie!

Przerażona Diana wyrwała się z tego koszmarne snu i otworzyła oczy. Ból przeszywał jej gaiki oczne, a gdy mrugając, spojrzała na nieznaną sypialnię poczuła, że usadowił się też w mózgu. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, ruszyła głową. Ból się wzmógł, pokój zawirował, a żołądek poruszył się niepokojąco. Mężczyzna, który wszedł do sypialni, jakby miał do tego pełne prawo, okazał się Cole'em Harrisonem.

- Spokojnie - powiedział, podchodząc do niej z tacą w rękach. - Nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

Diana mogła myśleć tylko o własnym nieszczęściu. Usiłowała coś powiedzieć, ale udało jej się tylko zachrypieć. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz.

- Co... mi... się stało?

- To wprawdzie tylko teoria, ale twój system nerwowy jest prawdopodobnie pod wpływem nagromadzenia aldehydu octowego - poinformował z radosnym współczuciem, stawiając tacę na nocnym stoliku. - W cięższych wypadkach może to spowodować niewyraźne widzenie, ból głowy, nudności, dreszcze i suchość w ustach. Tak w każdym razie - wynika z teorii, nad którą pracuje dział farmaceutyczny Unified. Dla laika jest to po prostu potężny kac.

- Dlaczego? - szepnęła Diana, mrużąc oczy od blasku jasnopomarańczowego płynu w szklance na nocnym stoliku.

- Za dużo szampana.

- Dlaczego? - spytała znowu.

Chciała wiedzieć, dlaczego ona tu jest, dlaczego on tu jest, dlaczego się tak zaprawiła, ale umysł i usta odmawiały posłuszeństwa. Zamiast odpowiedzieć, siadł na łóżku, więc materac się ugiął i Diana zsunęła się odrobinę na bok. Jęknęła głośno.

- Staraj się nie mówić - powiedział stanowczo, unosząc ją delikatnie, żeby mogła popić. - To jest aspiryna neutralizująca - powiedział, podając jej dwie tabletki, które Diana wzięła drżącymi rękami i włożyła niepewnym ruchem do ust. - A to - dodał, podając jej ostrożnie szklanekę z pomarańczowym płynem - jest sok pomarańczowy i mały klin.

Nim zdołała zaprotestować, zmusił ją do wypicia i ułożył z powrotem na poduszce. - Pośpij jeszcze - powiedział łagodnie, gdy przymknęła oczy. - Poczujesz się znacznie lepiej, jak cię potem obudzę.

Coś chłodnego i wilgotnego położył jej na czole. Gąbka.

Cole Harrison jest dobrym, troskliwym człowiekiem, pomyślała. Musi mu to powiedzieć.

- Dziękuję za pomoc - wymamrotała, gdy wstał.

- Jako twój mąż uważam za swój obowiązek kurować cię ze wszystkich kaców.

- Jesteś bardzo miły.

- Chciałem, żebyś jeszcze dziś rano tak uważała, ale miałem pewne wątpliwości.

Miękki dywan tłumił jego kroki, gdy odchodził. Drzwi zamknął za sobą bardzo cicho, a ona leżała spokojnie, czekając na sen. Przez chwilę traktowała jego uwagi przed wyjściem jak żart, ale przed jej obolałymi oczami przesuwały się uparcie jakieś dziwne obrazy. Pamiętała, że była na Balu Orchidei i piła wino i szampana... ametystowy naszyjnik... i znów szampan. Apartament Cole'a... i jeszcze szampan..- jazda limuzyną na lotnisko..- kabina prywatnego odrzutowca, gdzie piła znów szampana i jazda inną limuzyną przez rześcicie oświetlone miasto...

Obrazy zwolniły i stawały się wyraźniejsze. Wyszła z samochodu i poszła do jakiegoś budynku ozdobionego girlandą ze sztucznych kwiatów. Niski, łysy mężczyzna mówił coś do niej, uśmiechając się, a ona w myślach zdejmowała te obrzydliwe sztuczne pnącza i zastępowała je naturalną winoroślą. Walcząc z nudnościami, Dia-

na starała się nie myśleć o łysym i sztucznych kwiatkach, ale obraz wciąż powracał. Był to skądinąd miły człowiek, odprowadził Cole'a i ją do wyjścia, pomachał im i zawołał coś do niej, gdy limuzyna ruszała. Wychyliła się przez okno i też mu pomachała, gdy tak stał pod sztuczną girlandą, nad którą migotały neonowe dzwonki, a poniżej jakieś słowa.

Słowa poniżej.

Słowa...

Słowa, złożone z różowych i zielonych neonowych liter.

KAPLICA ŚLUBNA

Mężczyzna w drzwiach zawołał-.

- Życzę szczęścia, pani Harrison!

Rzeczywistość uderzyła Dianę z taką siłą, że natychmiast poczuła kolejną eksplozję w głowie i rewolucję w żołądku.

- O, mój Boże -jęknęła głośno.

Zwinęła się w kłębek i wtuliła głowę w poduszkę, starając się wymazać wszystko z pamięci.

Rozdział 29

Kiedy Diana znów się obudziła, ciężkie zasłony były już odsłonięte i do pokoju zaglądało słońce przez cieniutkie firanki. Gdzieś w głębi apartamentu dzwonił telefon. Przez kilka chwil leżała spokojnie z zamkniętymi oczami; rozważała stan swojego organizmu i bała się poruszyć. Wciąż jeszcze czuła się słabo i bolała ją głowa, ale nic jej już nie rozsadzało. Rozpatrzywszy fizyczny stan swego organizmu, przystąpiła do analizy skutków swego pierwszego poważnego pijaństwa.

Wyszła za mąż za Cole'a Harrisona.

Serce waliło jej jak młotem, gdy dotarło do niej, jak lekkomyślnie i irracjonalnie postąpiła. Wyszła za mąż za nieznanego! Był oportunistą bez serca, który wykorzystał wczoraj wieczorem stan jej umysłu i przekonał ją, że poślubienie go opłaci się również jej, nie tylko jemu.

Była niepoczytalna. On też.

Ona była idiotką. On był potworem.

Trzeba ją zamknąć w domu wariatów.

Jego należy zastrzelić!

Zmusiła się do przerwania tej bezgłośnej tyrady. Starła się na razie nie myśleć o swej winie i ogarniającej ją panice. Decyzja, podjęta wczoraj wieczorem, nie była kompletnie irracjonalna, a Cole nie zmusił jej do małżeństwa. Starła się wszystko sobie przypomnieć na temat wczorajszej decyzji.

W świetle dziennym, bez szampana, musiała przyznać, że Cole miał niezwykły dar perswazji. Stwierdziła, że tylko sentymenty sprawiły, iż zachowała się tak impulsywnie. Jednak im więcej myślała, tym logiczniejszy wydawał się jej ich układ. Wczorajszej nocy Cole był zakładnikiem staruszka o imieniu Calvin, który z dobrego serca narażał całe imperium, stworzone przez Cole'a. Dziś rano

Cole był zwycięzcą, a nie ofiarą, a ukochany wuj będzie uszczęśliwiony.

Zeszłej nocy wiarygodność i przyszłe finanse Foster Enterprises były zagrożone, a Diana stanowiła obiekt pogardy i współczucia. Dziś rano Foster Enterprises były bezpieczne, a Diana była „umiłowaną żoną” przystojnego miliardera.

Poczuła się znacznie lepiej, choć nie paliła się do spotkania z rodziną, żeby jej tłumaczyć, że Cole nie jest wyrachowanym potworem, a ona nie postradała zmysłów.

Żeby nie myśleć jeszcze o tym spotkaniu, usiłowała sobie przypomnieć, co się wydarzyło po starcie samolotu Cole'a z Las Vegas. Pamiętała, że kiedy wsiadali do niego w Houston, była pod wrażeniem wnętrza samolotu. Spytała wtedy Cole'a, czy mogą lecieć do Las Vegas zamiast do Lake Tahoe, bo tam już była. Od tej chwili wszystko jej się zatarło w pamięci i nie wiedziała, co było jawą, a co snem. Na razie jednak stan jej umysłu nie pozwalał na rozwiązanie tej zagadki.

Przekręciła się na bok, odkryła pościel i zdumiała się, że była naga. Biorąc pod uwagę jej upojenia alkoholowe, fakt, że zdołała odpiąć suknię i rozebrać się, był zdumiewający. Przyszło jej do głowy, że to może Cole, ale ta przerażająca alternatywa na razie ją przerastała. W tym momencie zdała sobie sprawę, że ma do ubrania tylko fioletową balową kreację z wczorajszego wieczoru. Restauracja w hotelu Grand Balmoral była ulubionym miejscem niedzielnych obiadów i perspektywa ukazania się w holu hotelowym w tej sukni w połączeniu z innymi czekającymi ją problemami sprawiła, że znów się położyła, przybita. Nie mogła przecież zadzwonić do rodziny z prośbą o przywiezienie ubrań do hotelu, nie tłumacząc szczegółów całej eskapady. Westchnęła zrezygnowana i wygramoliła się z łóżka.

Rozdział 30

Cole uniósł głowę, gdy wyszła z sypialni z włosami jeszcze wilgotnymi od kąpieli, opatulona w hotelowy płaszcz kąpielowy z frotte. Wychodziły jej tylko gołe palce od nóg, chociaż szlafrok miał sięgać do pół łydki, a ramiona opadały do łokci. Poprzedniej nocy uważał, że nie mogła już wyglądać bardziej pociągająco, niż w fioletowej wieczorowej sukni, ale nie miał racji. W za dużym szlafroku, bez makijażu i z wrzającymi się na karku wilgotnymi włosami Diana Foster była świeża jak róża o świcie. Odłożył na stolik niedzielne wydanie „Houston Chronicle” i wstał.

- Wyglądasz znacznie lepiej - powiedział.
Uśmiechnęła się słabo.

- Postanowiłam być dzielna i żyć dalej.

Uśmiechnął się i wskazał na nakryty stół z półmiskami jedzenia.

- Kiedy usłyszałem, że bierzesz prysznic, zadzwoniłem do recepcji i zamówiłem śniadanie.

Spojrzała na jajka, bekon i naleśniki, i wzdrygnęła się.

- Aż taka dzielna nie jestem.

Nie zważając na jej protest, Cole podszedł do stołu i wysunął krzeselko.

- Musisz zjeść.

Westchnęła i poczępała do stołu, usiadła i rozwinęła serwetkę.

- Jak się czujesz? - spytał i usiadł naprzeciwko niej.

- Tak, jak wyglądam. - Za duży szlafrok zsunął się z nagiego ramienia i zaraz go poprawiła.

- Tak dobrze? - spytał.

Ciepło w jego głosie i podziw w oczach sprawiły, że coś nieoczekiwanego stało się z Diany pulsem, a policzki zaczerwieniły się. Odwróciła szybko wzrok i przypomniała sobie, że on tylko gra rolę na okres ich umowy. Dla niego jest to tylko umowa i tak jest też

dla niej. Nie wiedziała tylko, co zrobić, żeby jej rodzina to zrozumiała.

Sięgnęła po grzanekę i zamilkła, wyobrażając sobie tę scenę z rodziną. Cole uparł się, żeby być przy niej, kiedy będzie im mówił o ich małżeństwie i doceniała ten gest. Nie spodziewała się, żeby robili jakieś nieprzyjemności, ale babcia mogła mieć swoje opinie, których z pewnością nie będzie skrywała ani przed Dianą, ani przed Cole'em.

Obserwując, jak jej mina z każdą chwilą rzednie, Cole spytał w końcu;

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Obawiam się, że nie. - Kiedy jednak dalej patrzył na nią zaniepokojony, powiedziała, co ją trapi. - Po prostu nie wiem, jak im wyjaśnić, że wyszłam za mąż właściwie za nieznanego, pod wpływem impulsu i ze względów praktycznych. To znaczy, jak się uspokoją, to pewnie zrozumieją. Może nie zgodzą się, ale zrozumieją.

- Więc w czym problem?

- Problem w tym, że boję się ich reakcji, jak się dowiedzą, co zrobiliśmy. Największy szok w ich życiu.

- Niekoniecznie.

- Dlaczego tak uważasz?

- Wykonałeś kilka telefonów z mojego samolotu.

- Do kogo zadzwoniłam? - zdumiała się Diana.

- Marge Crumbaker.

Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Marge jest starym przyjacielem rodziny. Prowadziła kiedyś kronikę towarzyską w „Houston Post”, ale ta gazeta już nie wychodzi, więc wszystko w porządku.

- Kiedy już podzieliłaś się najnowszymi wieściami z nią, zadzwoniłaś do Maxine Messenger.

- To niedobrze. - Załamała się, słysząc o redaktorce rubryki towarzyskiej z „Houston Chronicle”, ale zaraz się uspokoiła. - Chyba prosiłam ją, żeby zachowała to dla siebie?

- Niestety, nie, ale nie sądzę, żeby był jakiś sens prosić ją o to.

- Błagam, nie mów mi, że jeszcze do kogoś dzwoniłam.

- W porządku.

Popatrzyła na niego podejrzliwie zmrużonymi oczyma.

- Dzwoniłam jeszcze do kogoś, co?

- Zjedz coś. Lepiej się poczujesz.

Wzięła łyżeczkę, zsunęła wisienkę z połówki grejpfruta i ugryzła skrawek owocu.

- Do kogo jeszcze dzwoniłam?
- Do Larry Kinga.
- Chcesz mi powiedzieć - pytała przerażonym szeptem - że zadzwoniłam w środku nocy do CNN i poprosiłam do telefonu Larry Kinga?
- Właśnie tak, tylko że go nie było.
- Dzięki Bogu.
- Wobec tego porozmawiałaś z dyżurnym w Wiadomościach.
- Potrząsała głową, starając się znaleźć coś na pocieszenie, ale pociecha była słaba.
- Mam takie popularne nazwisko, a zresztą mężczyźni bardziej znają dziadka. Kojarzona jestem z magazynem, a w większości czytają nas kobiety. Nie ma mowy, żeby facet z CNN kojarzył taka myszkę jak ja.
- Może nie - zgodził się Cole. - Ale skojarzył „taką myszkę” jak ja.
- Powinieneś był mnie powstrzymać -jęknęła. - Zabrać mi ten telefon. Albo nie, wypchnąć z samolotu. Przynajmniej gdybym była martwa, nie czułabym się tak okropnie.
- Nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale wskazał głową na jej talerz zjedzeniem.
- Skończ grejpfruta i wypij jeszcze odrobinę soku pomarańczowego, a potem zjedz trochę jajka.
- Popatrzyła przed siebie i wzdrygnęła się.
- To wszystko jest takie... żółte. Grejpsrut, jajko, sok pomarańczowy. Razi mnie w oczy.
- Tak się dzieje, jak ktoś za dużo pije.
- Dziękuję bardzo za wykład. Z tego tematu mogę już zrobić doktorat.
- Proszę bardzo - odpowiedział Cole z niezmaconym humorem.
- Zjedz grzankę, jest brązowa, więc nie powinna cię razić.
- Ale jest na niej żółte masło.
- Przestań, Diano - powiedział, chichocząc. - Ja się też nie czuję tak wspaniale, ale nie mam zamiaru chorować pierwszego ranka jako twój mąż.
- Przepraszam. - Wzięła grzankę i spojrzała na niego tak zmartwiona, że zrobiło mu się żal.
- O co chodzi? - spytał łagodnie.
- Powiedz mi prawdę, czy kiedy dzwoniłam do tych ludzi, wydawałam się szczęśliwa? Czy byłam pijana?
- Wydawałaś się szczęśliwa i może, jakbyś coś wypila - odpowiedział dyplomatycznie - ale nie sądzę, żeby ktoś zwracał na to

specjalną uwagę. Panny młode często wypijają ciut za dużo szampana w dniu ślubu...

- Ciut za dużo? - powtórzyła Diana zawstydzona. - Byłam obrzydliwie spita...

- Nie byłaś obrzydliwa - zaprzeczył Cole z uśmiechem w kątku ust.

Nieco uspokojona, ale nie do końca przekonana Diana dodała:

- Byłam nieprzytomna!

- Niezupełnie - znów elegancko zaprotestował.

- Tyle wypiałam, że chyba musiałam w samolocie stracić przytomność. - Dłubała w grzance, aż w końcu ugryzła spory kawałek, nim odłożyła resztę na talerzyk.

- Nie - sprostował. - Zasnęłaś po długim, wyczerpującym wieczorze.

- To jeszcze cud, że nie zwymiotowałam! - przerwała, czekając aż zaprzeczy. Tymczasem on uniósł tylko brew, patrząc na nią. Cisz. Zgoda.

- Ojej, niemożliwe! - westchnęła, ukrywając twarz w dłoniach.

- Zaraz się lepiej poczułaś - zauważył uprzejmie.

Odsunęła ręce od twarzy i wzięła głęboki oddech.

- Czy jeszcze coś robiłam?

- Opowiedziałaś mi kilka zabawnych dowcipów. - Nałożył sobie jajecznicę.

- Miałam przez całą noc dziwne sny, ale takie wyraziste, bardziej jak halucynacje, ale nie wszystko pamiętam i nie jestem pewna, czy to, co pamiętam, wydarzyło się naprawdę, czy to tylko sen. Chodzi mi o to, czy zapomniałam o czymś ważnym? - Znów wzięła do ręki kawałek grzanki, ale zamiast jeść, patrzyła badawczo na Cole'a.

Zależy, co uważasz za ważne, pomyślał Cole wspominając, jak mu siadła na kolanach tuż po starcie w drodze powrotnej do Houston. Śmiejąc się, opowiadała mu dziecięce wierszyki ze zmianionymi zakończeniami, które były okropnie śmieszne. Pamiętała, jak przycisnęła wargi do jego ust, a kiedy on pogłębił pocałunek, wsunęła rękę za jego marynarkę i objęła za szyję, przyciskając go do siebie. Gdy samolot przecinał niebo przed świtem, starał się jeszcze, aby sprawy nie zaszły zbyt daleko. Jego rozkoszna żona próbowała jednak różnych sposobów, aby sprawdzić, kiedy on wreszcie ulegnie. Stało się to na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Dziś rano miał problemy, starając się zapomnieć to, czego ona zupełnie nie mogła sobie przypomnieć. Z drugiej strony, całe szczęście, że nic nie pamiętała, bo powtórki nie będzie.

- Nic, co warto byłoby pamiętać - powiedział Cole.

- Wiem, że zrobiłam jeszcze coś innego. Pamiętam, że widziałam z samochodu oświetlone kasyna i wydawały mi się takie fascynujące. - Ugryzła jeszcze kawałek grzanki i uznała, że czuje się trochę lepiej. Zobaczyła, że Cole znów wydawał się rozbawiony, więc oparłszy łokcie na stole, pochyliła się w jego kierunku.

- Zrobiłam tam jeszcze coś, prawda? - spytała. Wyobraźnia podsuwała jej obraz kobiety w fioletowej sukni, wdzierającej się na estradę, żeby tam występować z tancerkami. A może to były striptizerki? - W każdym razie to, co robiłam, było straszne, prawda?

- Zależy. Czy masz moralne lub religijne opory wobec hazardu?

- Nie.

- Wobec tego nie było to straszne.

Diana wyrzuciła ręce w górę, wyrażając radość i spojrzała w górę.

- Uprawiałam hazard! - krzyknęła.

W ciągu tych kilku godzin Cole obserwował ją w różnych nastrojach, od ponurego do paniki, od ulgi do rozbawienia i pomyślał sobie, że niezależnie od tego, jaki to był nastrój, świetnie się czuł w jej towarzystwie. Zawsze tak było. Uśmiechając się półgębkiem, wzięła widelec i spróbowała jajecznicę.

- Jak mi poszło?

- Nieźle.

- Przegrałam - stwierdziła, tłumiąc śmiech, ale to odkrycie wcale nie miało negatywnego wpływu na jej apetyt i humor. Kiedy Cole skinął głową, sięgnęła po szklankę z sokiem pomarańczowym.

- Ile przegrałam?

- Przy ruletce? W bakaracie? Czy zjednorękim bandytą?

- Przegrałam we wszystkich?

- Tak, ale powstrzymałem cię, nim rzuciłaś się do pokera o wysoką stawkę - dodał, popijając kawę.

- Jak długo byliśmy w kasynie?

- Niedługo, pół godziny.

- No, to nie mogłam dużo przegrać - powiedziała Diana, ale coś w jej minie sprawiło, że spytała. - De przegrałam?

- Około trzech tysięcy dolarów.

Była przerażona, ale skinęła głową i powiedziała oficjalnie:

- Wypiszę ci czek.

- To nie jest konieczne.

- Nalegam. Dama musi zawsze sama płacić swoje długi hazardowe - powiedziała takim tonem, jakby cytowała formułkę ze szkoły dla pańienek z dobrych domów.

Była nie tylko piękna, inteligentna i dowcipna, stwierdził Cole, ale uparta jak diabli. On też.

- A dżentelmen zawsze płaci za miesiąc miodowy - odgryzł się.

Niestety, nazywając półgodzinny pobyt w kasynie „miodowym miesiącem”, niechcący zadrwił z tego słowa i zadrwił z nagłego, mało romantycznego ślubu, który go poprzedził. Zdał sobie z tego sprawę natychmiast, gdy to powiedział. Diana też. Jej uśmiech przygasi. Nie była jednak zła ani obrażona. Po prostu dostosowała się do rzeczywistości.

- Szkoda, że mi pozwoliłeś na te wszystkie telefony Z samolotu.

- Nie powstrzymałem cię, bo to było korzystne dla ciebie i dla twojego partnera, żeby wszyscy jak najprędzej się dowiedzieli, że za mnie wyszłaś.

Nie powstrzymał jej z tego powodu, ale również dlatego, że powiadomienie mediów dawało mu jakąś gwarancję, że Diana rano nie wycofa się z ich umowy. Jednak te myśli zachował dla siebie, a ona szczęśliwie przeszła na bardziej neutralny temat.

- Przynajmniej wiem, dlaczego śniły mi się te automaty do gry. Tylko w moim śnie były gigantyczne: wyższe, niż ty i szerokie co najmniej na półtora metra.

- To nie był sen,

- Naprawdę? - powiedziała z uprzejmym zainteresowaniem, ale nie było to pytanie, tylko grzecznościowe stwierdzenie. Ukryła się już za ścianą sympatycznej rezerwy, co było u niej normą, a Cole zaczął myśleć o swoich interesach, co było normą u niego.

- Musimy omówić pewne szczegóły praktyczne, ale możemy to zrobić w drodze do twojej rodziny.

Skinęła głową, spojrzała na zegarek i wstała.

- Nim tam dotrzemy, będzie piąta. Corey miała jeszcze powtórzyć jakieś zdjęcia do magazynu, więc ekipa będzie się związać, jak przyjedziemy.

Stała przy drzwiach i odwróciła się.

- Wczoraj wieczorem wyszłam z balu z torebką babci, zamiast swojej, więc nie miałam żadnych dokumentów. Jak mogliśmy wziąć ślub?

Cole spojrzał na nią, nalewając sobie kawę.

- Rzeczywiście, był z tym mały problem, ale kaplica ślubna należała do pewnego małżeństwa. Ona cię rozpoznała, więc z pomocą dodatkowych stu dolarów on uznał tę identyfikację za wystarczającą.

Diana kiwnęła głową i zajęła się sprawą swojego ubrania.

- Całe szczęście, że zostawiłam tu wczoraj wieczorem samochód, bo będę mogła dostać się do swojego mieszkania, żeby się przebrać.

Rozdział 31

Pół godziny później Diana była już przebrana w białe spodnie, białe sandały i wrzosową bluzkę, związaną w taliu w węzeł. Zaraz wyruszyli do jej domu rodzinnego w Inwood Drive. Ponieważ Diana wciąż czuła się nie najlepiej, Cole prowadził jej samochód i jadąc znajomymi bulwarami, wzdłuż wspaniałych rezydencji, położonych wśród drzew, miał jednocześnie uczucie déjà vu i nierzeczywistości. Ze wszystkich wydarzeń w jego życiu, zakrętów i zawirowań, najdziwniejszy był powrót do tego miasta z siedzącą obok niego Dianą Foster jako żoną.

Diana, nie zdając sobie sprawy z toku jego myśli, zajęta była planowaniem, jak najlepiej poinformować rodzinę o tym, co się wydarzyło. Musiała wykrzesać z siebie optymizm i przekonać ich, że małżeństwo zawarte ostatniej nocy było nie tylko normalne, ale idealne. Układała sobie wstępne przemówienie i wymyślała najlepszą do niego scenę, gdy Cole sięgnął do wewnętrznej kieszeni granatowego blezera i wyjął złożony arkusik hotelowej papeterii. Wręczył go jej, odzywając się urzędowym tonem:

- Kiedy dziś rano spałaś, spisałem warunki naszej ustnej umowy. Głównie sprowadza się do stwierdzenia, że nasze małżeństwo będzie trwało jeden rok, a po tym okresie weźmiemy cichy, zgodny rozwód, i żadne z nas nie będzie miało wobec drugiego roszczeń finansowych.

Na środku ich pasa, gdy zbliżyli się do zakrętu, pojawiła się rozerzystka, więc Cole ominął ją ostrożnie i ciągnął dalej.

- Oczywiście prezenty, jakie będziemy sobie dawać, jak obrączki czy naszyjnik, który ci wczoraj kupiłem, pozostają własnością obdarowanego.

- Obrączki? Jakie obrączki?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął dwie proste obrączki z białego złota i wyciągnął dłoń w jej kierunku.

- Te obrączki.

- Skąd je wzięłeś?

- Kaplica Ślubna Srebrne Dzwony jest firmą w pełni wyposażoną. Kupiłem obrączki od właściciela i wymieniliśmy je podczas ceremonii. - Wzdychając z udawanym żalem, zbeształ ją. - Jak szybko niektórzy zapominają te czułe, wzruszające momenty w życiu.

Diana wzięła z jego dłoni mniejszą obrączkę i trzymała ją w dwóch palcach, zaintrygowana określeniem uroczystości jako czułej i wzruszającej.

- Czy to był wzruszający moment? - spytała, zerkając na jego profil.

Uśmiech przemknął mu przez usta.

- Ty chyba tak uważałaś. Płakałaś prawie przez całą uroczystość.

- Zwykle popłakuję na ślubach - przyznała Diana.

- Na swoim własnym ślubie - przypomniał jej mało elegancko - rzycałaś tak, że musiałaś dwa razy wydmuchiwać nos.

Początkowe przerażenie Diany ustąpiło miejsca wesołości, gdy wyobraziła sobie pijaną pannę młodą w fioletowej sukni, łkającą histerycznie i wydmuchującą nos. Związała się ze śmiechem.

- Przed ceremonią miałaś poważne zastrzeżenia co do wystroju.

Diana zaśmiała się jeszcze serdeczniej. Jednak po chwili rzeczowy ton Cole'a sprowadził ją na ziemię.

- Sprawdź mój spis i zobacz, czy masz jakieś pytania lub komentarze. - Rozwinęła kartkę i przeczytała. Jego bazgroły były zdumiewająco czytelne. - Chyba wszystko jest proste.

- Bardzo - mruknęła Diana,

- Twój adwokat może na tej podstawie napisać formalny dokument. Jak będzie na brudno, przefaksuj mi do mojego domu w Dallas.

Trzymając lewą rękę na kierownicy, prawą wyjął z kieszeni wizytówkę. Kiedy jej wręczył, Diana z nagłym ukłuciem w sercu uświadomiła sobie, że nie znała nawet numeru telefonu i adresu człowieka, za którego wyszła za mąż.

- Czy masz zaufanego adwokata, który mógłby dbać o te sprawy z twojej strony, sprawnie i dyskretnie?

Diana wiedziała, że nie może się z tym zgłosić do firmy reprezentującej Foster Enterprises. Tamtejsi prawnicy strasznie plotkowali i nawet, gdyby któremuś odważyła się wyznać, co zrobiła, nie mogła mieć pewności, że ta wiadomość się nie rozejdzie. Jedynym adwokatem, któremu prywatnie i zawodowo ufała, był Doug Hayward.

Doug porzucił prawo dla polityki i zapewne w prawdziwej batalii prawnej nie byłby wystarczającym przeciwnikiem dla prawników Cole'a, ale to nie była batalia, tylko zwykła umowa. Wiedziała, że umowy poślubne stały się dość popularne, chociaż na ogół poprzedzały je umowy przedślubne. Z tego, co czytała i słyszała, bogaci ludzie w średnim wieku, z dziećmi z poprzednich małżeństw, często z nich korzystali, bo w sądzie łatwiej dawały się obronić, niż przedmałżeńskie. Charles Hayward, ojciec Douga, na pewno ma wielu przyjaciół, którzy takie umowy zawierali i na pewno coś jej poradzi. Po śmierci ojca Diana często korzystała z jego pomocy i rady.

- Znam kogoś takiego - powiedziała po dłuższej chwili.

Cołe skręcił w długą aleję, prowadzącą do domu, który pamiętał z okresu, gdy Diana była dziewczynką. Stało przed nim kilka samochodów.

- Wygląda na to, że twoja rodzina ma dużo gości.

- Explorer jest własnością Corey, a BMW należy do Spence'a, Staramy się jadać razem niedzielne obiady. Reszta to samochody asystentów Corey, bo mieli powtarzać kilka zdjęć, z których nie była zadowolona.

Rozdział 32

Dom Fosterów był okazały, jak większość budowanych na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rezydencji, w których Cole bywał. Jednak pokoje, przez które przechodzili lub do których miał okazję zajrzeć, różniły się atmosferą. Niektóre były wytworne, niektóre codzienne i przytulne, a we wszystkich czuło się gościnność.

Kuchnia była olbrzymia i na pewno przebudowana, żeby nadawała się do poważnego gotowania, z dwiema profesjonalnymi kuchenkami, dwoma zlewozmywakami, olbrzymią lodówką i zamrażarką i mnóstwem wiszących miedzianych garnków i patelni. Kobieta w średnim wieku, zapewne kucharka czy gospodyni, kroїła na desce dynie i wskazała głową na kuchenne drzwi.

- Wszyscy jeszcze pracują, tam za domem - poinformowała Dianę. - Twój dziadek twierdzi, że od tego nowego nawozu organicznego będą większe dynie. Dlaczego wciąż hoduje dynie, dynie i jeszcze raz dynie? Nie mamy już więcej miejsca ani przepisów na dynię. Zamrażarki pełne są zapiekank z dyni i wszystkiego innego z dynią. Jeżeli twoja mama albo babcia nie wymyślą przepisu na lody z dyni, nic już z nią nie zrobimy.

- Zawsze możemy je pomalować - odpowiedziała Diana, niezrażona.

Cole jeszcze trawił pomysł malowania dyni, gdy wszedł za Dianą w inny świat. Olbrzymi trawnik musiał mieć dobrze ponad hektar i każdy jego kawałek był zagospodarowany jednocześnie pięknie dla oka i z pożytkiem dla rodzinnego przedsięwzięcia. Wszędzie kręcili się ludzie.

Dwaj asystenci czekali gotowi ze światłami i reflektorami, a Corey ustawiała babcie, ubraną w kurtkę i trzymającą olbrzymią dy-

nię, do zdjęcia. U stóp babci rozrzucono suche liście dębowe. Mary Foster, trzymając w jednej ręce słoik z farbą, a w drugiej pędzel, poprawiała twarz stracha na wróble. Wszystkie trzy zaskoczył widok Diany z Cole'em, ale zauważył, że nie były mu niechętne. Mogło to tylko oznaczać, że jeszcze nie słuchały wiadomości.

- Skończymy za dwie minutki - zawołała Corey. - Jeszcze tylko jedno zdjęcie. Spence stał obok koca i dzielił uwagę między żonę a dwójkę bliźniąt, które usiłowały dotrzeć do olbrzymiej piłki, leżącej na skraju koca. Odwrócił się i uśmiechnął do Diany i skinął głową Cole'owi, nie uśmiechając się.

- Pracujemy nad numerem październikowym - wyjaśniła Diana.

- Twoja babcia chyba się upiecze w tej kurtce - zauważył Cole.

Po prawej stronie, koło warsztatu, który wyglądał jak domek z bajki, poustawiano stoły. Na jednym z nich dwie kobiety układały wianuszki i stroiki z szyszek, jagód i pomalowanych warzyw.

- Pomalowane warzywa wyglądają bardzo atrakcyjnie, stwierdził.

Przy innym stole jakaś para z zapałem zeszkrobywała farbę z jednej z kilku starych, mosiężnych kołatek. Troje drzwi na różnym etapie odnawiania stało opartych o ścianę warsztatu.

- Robimy artykuł pod tytułem „Nadać wyraz drzwiom” - wyjaśniła Diana.

Gdy to mówiła, z warsztatu wyszło dwóch młodych ludzi w poplamionych farbą ubraniach i zaczęli wносить drzwi do środka.

- Uważajcie z tymi drzwiami, chłopcy - zawołał Henry Britton od swego stołu przed warsztatem. Cały stół pokryty był kartkami z rysunkami, przyciśniętymi, by nie zdmuchnął ich wiatr, drewnianymi pudełkami o różnych kształtach i rozmiarach, których przeznaczenia Cole nie mógł się domyślić. Kiedy Henry zobaczył Dianę i Cole'a, zawołał, żeby do niego podeszli. Otarł rękę, żeby przywitać się z Cole'em i spojrzał z przejęciem na wnuczkę.

- Myślałem o tym od kilku tygodni, Diano, ale jestem pewien, że mam rację. Popatrz tylko.

Diana zerknęła na rysunki, a następnie na drewniane skrzyneczki, które robił dziadek.

- Co to jest? - spytała, starając się skoncentrować.

- Domki dla ptaków! Domki dla ptaków będą przebojem! - przekonywał Henry. - Nie takie zwykłe, Diano, ale domki, które wyglądają jak małe zamki, albo chatki ze strzechą, albo małe stoły. Mogłbym też zrobić takie nowoczesne, jak bloki mieszkalne.

Corey, jej mama i babka właśnie skończyły i zbliżały się w ich stronę.

- Henry Brittonie - wykrzyknęła jego żona - czy dobrze słyszałam, że chcesz budować bloki dla ptaszków?

- Nic takiego nie mówiłem. Opowiadałem tylko Dianie o projektach domków dla ptaków.

- Ależ tato, domki dla ptaków przedstawialiśmy dwa lata temu - matka Diany wydawała się nieco zmęczona ciągłymi zabiegami o oryginalność.

- To nie są domki dla ptaków do mieszkania, Mary - odpowiedział, sam nieco zmartwiony. - One będą tak wyglądały, ale będą ozdobne. Będzie się je umieszczać w ogrodzie dla ozdoby. Do licha - klepnął się w nogę z radości - będzie zabawa, jak cholera, jak się je tak poustawia w ogrodzie...

Zona nie podzielała jego entuzjazmu.

- To znaczy, coś jak dzielnica dla ptaszków?

- Corey mogłaby je odpowiednio ustawić, wśród różowych i pomarańczowych niecierpków i małych, zielonych krzaczków. Byłyby z tego niezłe zdjęcia do magazynu.

- Po prostu nie wierzę, że miniaturowe domki dla ptaków, których ptaki nie mogą używać, spodobają się czytelnikom.

- Oczywiście, że się spodobają. Co roku na Gwiazdkę spędzasz dwa dni, układając pod choinką małe ceramiczne domki, które mają wyglądać jak miasteczko z rysunków Normana Rockwella, a też nikt w nich nie mieszka. Nie rozumiem, dlaczego moje domki nie mogłyby równie ładnie wyglądać latem w ogrodzie.

Wszyscy spojrzeli na Dianę, czekając na jej opinię. Chociaż to Corey odpowiadała za wyraz artystyczny, a inni mieli zgłaszać projekty, jednak ostateczną odpowiedzialność za satysfakcję prenumeratorów ponosiła Diana, bo ich satysfakcja przejawiała się sukcesem finansowym firmy, a więc rodziny. Musiała więc się zmusić i skoncentrować na tym, zamiast na informowaniu ich o swoim ślubie.

- Właściwie - powiedziała po chwili - myślę, że dziadek ma rację. Moglibyśmy ozdabianie i dekorowanie ogrodów zrobić tematem wiodącym w jednym z najbliższych numerów.

Zadowolony z takiego obrotu sprawy, Henry wrócił do swego ulubionego tematu, patrząc na Dianę z nadzieją.

- Wczoraj wieczorem rozmawiałem z tobą o kolejnym numerze poświęconym naturalnemu nawożeniu. To zawsze ma powodzenie. Moglibyśmy połączyć moje domki i inne dekoracje, tak jak mówi-

łaś, z naturalnym ogrodnictwem. Więc jeżeli ci się to podoba - kontynuował dziadek, przerywając jej rozmyślenia - zacznę jutro robić spis artykułów.

Diana nie mogła się zdecydować, gdzie zebrać rodzinę na spotkanie.

- Dobrze, dziadku, zróbmy tak - powiedziała, co wzbudziło zdumienie mamy, babci i Corey.

- Przecież niedawno pisaliśmy o naturalnym nawożeniu.

- Rzeczywiście, zapomniałam - poprawiła się Diana, myślami nieobecna. - Tamto było o jarzynach i owocach, a to możemy zrobić o kwiatach. - Popatrzyła na całą grupę i zebrała się na odwagę.

- Chciałabym z wami wszystkimi porozmawiać chwilę w salonie.

Corey spojrzała na słońce.

- Czekałam całe popołudnie, żeby złapać słońce, jak prześwituje przez gałęzie, tak jak teraz. Daj mi dziesięć minut, żebym usadziła Spence'a z bliźniakami na kocu, pod drzewem. To zajęcie jest dla mnie.

- Dam ci pół godziny - powiedziała Diana. Zdawała sobie sprawę, że tyle potrwa, zanim ekipa się wyniesie, a rodzina ogarnie.

- Aha - dodała Corey, kierując się w stronę aparatu i statywu. - Dzwoniła Cindy Bertillo i przekazała Glennie, żebyś do niej zadzwoniła najszybciej, jak będziesz mogła. Chce, żebyś coś potwierdziła. Nie mówiła, o co chodzi.

Cindy odpowiadała w firmie za stosunki z mediami i do niej dzwoniło, żeby się czegoś dowiedzieć i tym razem Diana była pewna, jaką wiadomość Cindy chce potwierdzić.

- Zadzwoń do niej później.

Cole przystanął, żeby przyjrzeć się, jak sprawnie ekipa z magazynu zwijała swój sprzęt.

- Słyszałem terminy „przedsiębiorstwo rodzinne” i „przemysł domowy” - powiedział z podziwem - ale nie widziałem, ani nie wyobrażałem sobie czegoś takiego. Powinnaś być dumna z tego, co stworzyłaś.

- Ja to wprowadziłam na rynek i spieniężyłam - poprawiła go Diana - ale nie stworzyłam. - Wskazała głową na rodzinę. - Oni to stworzyli.

Nie uwierzył jej, wiedziała o tym. Zabrałoby jej dużo czasu, żeby mu wytłumaczyć, że na długo przedtem, nim jej ojciec ożenił się z córką Brittonów i porwał ją i pasierbicę do swej rezydencji z białymi kolumnami w Houston, wszyscy w rodzinie Brittonów byli wytrawnymi „złotymi rączkami”.

Rozdział 33

No dobrze - powiedziała Diana z nerwowym uśmiechem, prowadząc rodzinę do oficjalnego salonu, z fortepianem i marmurowym kominkiem. - Rozsiądźcie się wygodnie.

Na środku pokoju stały dwie długie sofy, z tapicerką w wiśniowo-złote paski, na nich dużo poduszek, żeby pokój wyglądał bardziej przytulnie, a między nimi stał rzeźbiony mahoniowy stół. Rozległym gestem wskazała na sofy i krzesła za nimi, a sama podeszła i stanęła przy klawiaturze. Cole umieścił się z drugiej strony fortepianu, skąd mógł się włączyć do akcji, gdyby zaszła potrzeba, ale nie był na pierwszym planie. Patrzył z rozbawieniem, jak Diana oparła się o fortepian, żeby sobie dodać odwagi, nerwowo rozcierała dłonie i w ogóle zachowywała się tak, jakby bardzo bała się reakcji rodziny. Z jego punktu widzenia Diana była dorosłą osobą, która rozważyła ryzyko, podjęła własną decyzję i nie powinna oczekiwać ani poparcia, ani nawet specjalnego zainteresowania ze strony rodziny.

Jej mama i babka usiadły na jednej z kanap, Corey i Spencer Addison usadowili się na przeciwległej, natomiast dziadek stał, ułożywszy ręce na oparciu krzesła, naprzeciw Diany.

- Nie, dziadku, proszę, usiądź - powiedziała.

- Wolę stać.

- Lepiej, żebyś siedział, jak to usłyszysz - mruknęła.

- No, to musisz mieć dla nas jakąś wielką niespodziankę - zartował, siadając. Uśmiechnął się promiennie, przekonany, że cokolwiek im powie, będzie to coś nadzwyczaj miłego. - Dobra, wszyscy jesteście, wszyscy siedzimy, strzelaj.

Diana rozejrzała się, otarła dłonie o uda i przyznała, śmiejąc się z zakłopotaniem:

- Nie byłam tak zdenerwowana od czasu, kiedy miałam szesna-

ście lat i musiałam tu stanąć i wszystkim powiedzieć, że rozbiłam nowy samochód, który właśnie tata dał mi na urodziny.

Corey zdała sobie sprawę, że zwykle opanowana Diana traci poczucie pewności, więc żeby jej dać czas na pozbieranie się, wyznała:

- Właściwie to nie Diana wtedy stuknęła ten samochód, tylko ja.

Rodzina zainteresowała się, ale babcia chciała wrócić do teraźniejszości. Zmarszczyła brwi i spytała:

- Czy znowu rozbiłaś samochód, Diano? Dlatego nas tu zwołałaś?

- Mój samochód jest w porządku - odpowiedziała Diana. To moje życie jest rozbite, pomyślała. Zerknęła na Cole'a, który uniósł brwi, popędzając ją, żeby przystąpiła do rzeczy i natychmiast go posłuchała. - Więc tak - zaczęła, zwracając się głównie do mamy i dziadków. - Wczoraj wieczorem, po aukcji, przedstawiłam wam Cole'a po raz pierwszy, pamiętacie?

Cała trójka skinęła zgodnie głowami.

- Ale chociaż wy go wcześniej nie znaliście, Corey, Spence i ja znamy go od dawna. Od bardzo dawna - podkreśliła, jakby długość tej znajomości równoważyła nieprawdopodobną decyzję błyskawicznego małżeństwa. - Dla nas, to znaczy dla Corey i dla mnie, Cole jest właściwie starym przyjacielem!

- Wiemy o tym, kochanie - powiedziała matka Diany. Zwracając się do Cole'a z miłym uśmiechem, dodała. - Wczoraj wieczorem, kiedy wracaliśmy do domu, Corey opowiedziała nam, kim pan jest. To znaczy, kim pan był. Mówiła, że pracował pan u Haywardów i że ona, Diana i Spence spotykali tam pana, kiedy przyjeżdżali z wizytą.

Cole zauważył, że dyskretnie unikała tematu stajni Haywardów, ale babcia najwyraźniej nie widziała powodów, żeby stosować jakieś półprawdy.

- Diana opowiadała o tobie, kiedy była nastolatki - dodała entuzjastycznie. - Mówiła, że mieszkałaś w stajni Haywardów i zajmowałaś się ich końmi, ale nie miałaś dosyć jedzenia i wciąż byłeś głodny. Pomagałam Dianie pakować te torby jedzenia, jakie zawsze zabierała, kiedy jechała do Haywardów.

Ku rozbawieniu Cole'a, reszta była tak zbulwersowana brakiem taktu u babci, że natychmiast ruszyli na ratunek, przerzucając usprawiedliwienia i komplementy, jak piłkę na turnieju siatkarskim. Pierwszy serw należał do Corey:

- Babciu, stajnia Haywardów jest wspanialsza, niż niejeden dom! - rzuciła pełne oczekiwania spojrzenie na męża.

Spence przejął piłkę.

- Kiedy ja byłem na studiach, przyjeżdżałem tutaj i opychałem się wszystkim, co mieli na obiad. Myślę, że taki apetyt występuje zawsze, jak się jest chłopakiem przed dwudziestką, nie sądzisz, Henry? - przekazał piłkę dziadkowi żony.

Henry był starszy i trochę nieporadny, ale rzucił się na piłkę po męsku i nie przerwał gry.

- Bez wątplenia. Ja się nigdy nie mogłem oprzeć potrawom Rose. Nie tylko to, ale też sypiałem w naszej stodółce, przy koniu. Kiedy nasza stara szkapina zachorowała i nie chciała jeść, spaliśmy tam kiedyś razem z Corey, bo nie chcieliśmy, żeby Pearl umierała w samotności. Rose przyniosła nam kolację i podzieliliśmy się deserem z Pearl. Chyba smak tego pieczonego jabłka dał jej chęć do życia, bo jak je zjadła, wstała. Od tego czasu tak lubiła jabłka, że na ich widok skrobała kopytem i dożyła dwudziestu dwóch lat!

Zadowolony ze swego występu, klepnął się w kolano i rzucił piłkę wprost do nie spodziewającej się niczego córki.

- Pamiętasz Mary - zwrócił się do niej - jak Robert uwielbiał mamy kuchnię? Po prostu nigdy nie miał dosyć.

- To prawda - odpowiedziała pani Foster, z pewnym opóźnieniem włączając się z pomocą domowej drużynie. - Mój mąż utył dziesięć kilo od czasu, jak się do niego wprowadziliśmy. Jadł obfitą kolację, a później wykradał się na przekąskę o północy, chociaż nie był naprawdę głodny. Diana o tym wiedziała i na pewno dlatego przynosiła ci to dodatkowe jedzenie, Cole.

Po skutecznym zagranie w tej werbalnej siatkówce, rozejrzała się za kimś, kto jeszcze nie grał, zdała sobie sprawę z tego, że została tylko jej matka i szybko zdecydowała, że lepiej piłkę posłać na aut do Cole'a.

- Wiesz, jakie dziwne są nastolatki - powiedziała z uśmiechem. - Pewnie byłeś już opchany po uszy i marzyłeś, żeby przestała, a tymczasem ona była przekonana, że ratuje cię od śmierci głodowej. Ty byłeś uprzejmy, a Diana... była panienką z wybujałą fantazją.

Wszyscy spojrzeli oczekująco na Cole'a, żeby ostatecznie ocenił skuteczność gry. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, ogłosił koniec meczu i wydał werdykt:

- Diana była bardzo miła, a ja byłem jej wdzięczny.

Aż do teraz Rose Britton obserwowała całą scenę z bezinteresownością neutralnego widza, ale teraz potrząsnęła głową, nie zgadzając się z werdyktem Cole'a.

- Diana zawsze była wrażliwa i miła, ale prawda jest taka, że się w tobie kochała! Dlatego cały czas łądowała dla ciebie te paczki z jedzeniem. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, chociaż - wyznała z uśmiechem - nie wygłupiała się z tym aż tak, jak Corey. Nim skończyła szesnaście lat, miała cały pokój wytapetowany jego zdjęciami i urządziła tam świątynię. Diana była znacznie bardziej skryta, ale moim zdaniem wariowała za tobą co najmniej tak, jak Corey za Spence'em. Miała wszelkie objawy zakochanej dziewczyny i myśleliśmy...

- Mamo! - przerwała jej Mary Foster błagalnym tonem. - Nie czas ani miejsce na to.

- Prawda jest prawdą, niezależnie od okazji - odpowiedziała Rosę Britton i spojrzała na Dianę, szukając poparcia. - Czy się myliłam, kochanie?

Pierwotna złość Diany z powodu babcinego komentarza już jej minęła, a teraz odczuła ulgę. Myślała długo nad jakimś uzasadnieniem swojego nagiego małżeństwa, chciała je jakoś uprawdopodobnić, więc z radością rzuciła się na okazję, jakiej nieświadomie babcia jej dostarczyła.

- Nie, miałaś absolutną rację, babciu! - wykrzyknęła z nadmiernym entuzjazmem, jak na tak dawną historię. - Strasznie się w nim podkochiwałam! - dodała, zerkając na reakcję Cole'a, ale jego wyraz twarzy nie zmienił się ani odrobinę. Trochę zdziwiona jego brakiem reakcji, wróciła do głównego wątku. - Teraz, kiedy już pamiętacie, co czułam do Cole'a jako młoda dziewczyna, może to co powiem... nie będzie aż tak wielką niespodzianką. - Ludzie, których kochała najbardziej na świecie, popatrzyli na nią w oczekiwaniu, że powie coś miłego i Diana zawahała się.

- No, dalej - popędzał Spence z uśmiechem. - Co to za niespodzianka?

Diana wzięła oddech i ruszyła.

- Więc wczoraj wieczorem, po aukcji, poszliśmy trochę z Cole'em potańczyć, a potem... a potem...

- A potem? - dziadek już myślał, że się zakrztusiła.

- A potem poszliśmy do apartamentu Cole'a, coś wypiliśmy, rozmawialiśmy o różnych rzeczach... - Diana popatrzyła na stoliczek między sofami i zamarzyło jej się, żeby tak nagle się zerwał na dwie łapki i podbiegł ją osłonić, jak tarcza.

- A co później się wydarzyło? - popędzała babcia, patrząc wy-czekująco to na Dianę, to na Cole'a.

Diana wyznała resztę, zająkując się nieco.

- Potem... wyjechaliśmy z hotelu... i... poleciliśmy do Las Vegas... i... pobraliśmy się!

Napięta cisza, jaka zapanowała po tym oświadczeniu, rozrywała system nerwowy Diany, jak dźwięk skrobania paznokciem po szybie.

-Wiem, że jesteście teraz troszkę zszokowani... - powiedziała w kierunku pięciu twarzy, które patrzyły na nią w niewyobrażalnym przerażeniu. Dziadek pierwszy przyszedł do siebie i zareagował, starając się patrzeć na Cole'a jak najbardziej pogardliwie.

- Panie, pan musi mieć niezłe gadane. Zwłaszcza jak pan zwabi samotną damę do pokoju. Zwłaszcza jak ta dama ma złamane serce i wypła więcej, niż jest zwyczajna.

- Nie, zaczekaj! - przerwała Diana, zdumiona gwałtowną reakcją łagodnego zwykle dziadka i zdecydowana wziąć sprawę w swoje ręce. - To zupełnie nie tak, dziadku. Cole i ja zawarliśmy umowę, na której skorzystamy osobiście, jak również skorzysta Foster Enterprises. Poślubiając Cole'a, uratowałam trochę swoją godność osobistą, a co ważniejsze, uratowałam publiczny wizerunek naszego pisma. Cole również ma problem, który może rozwiązać przez małżeństwo. Pomyślał, że szybki ślub będzie korzystny dla nas obojga, więc omówiliśmy warunki i zawarliśmy czasową umowę, która nas oboje zadowala.

-Jaką „czasową umowę”? - zapytał Spence głosem pełnym wrogości.

- Małżeństwo, tylko z nazwy, na jeden rok, dla dobra interesów - odpowiedział takim samym tonem Cole.

- I tyle? - nie mógł uwierzyć Spence, bardziej zdumiony niż zły.

-I tyle - potwierdził Cole.

- A jaki właściwie twój problem ma rozstrzygnąć małżeństwo z Dianą? - spytał Spence.

- To nie twój interes.

- Może nie - włączył się dziadek - ale to mój interes, miody człowieku.

Dianie nie przyszło do głowy, że to wszystko może tak fatalnie przebiegać i już otworzyła usta, żeby ich błagać o spokój, kiedy Cole uległ dziadkowi i odpowiedział, wprowadzie lodowato, ale jednak uprzejmie.

- Mówiąc w skrócie, mam starszego wuja, właściwie przybranego ojca, który jest poważnie chory i koniecznie, obsesyjnie marzy o tym, żeby przed śmiercią zobaczyć mnie jako męża i ojca.

- A jak pan zamierza zostać ojcem w „małżeństwie tylko z nazwy, dla dobra interesów”?

- Nie zamierzam - odparł Gole stanowczo. - Ale tego on nie musi wiedzieć, a niestety, nie będzie żył na tyle długo, żeby się samemu o tym przekonać.

- Nieźle to sobie wykombinowałaś, co? - dziadek mówił z coraz większą pogardą. Spojrzawszy na Dianę, pyta! dalej. - Jednego tylko nie rozumiem: jak mogłaś się dać namówić na taki niecny plan?

- On mnie do niczego nie namawiał, dziadku. Mówiłam wam, zgodziłam się poślubić Cole'a, ponieważ pomoże to rozwiązać wiele problemów: jego, moich i naszych - podkreśliła, wskazując ręką na nich wszystkich.

- Wychodzenie za mąż za jakiegoś podłego typka, którego nie widziałas od stu lat. nie przysłuży się rodzinie ani trochę - szalał dziadek.

- Owszem, przysłuży! - upierała się Diana, która myśląc o uzasadnieniu, niechcący zgodziła się z tym, że dziadek nazwał Cole'a „podłym typkiem”. - Wszystko, co przynosi korzyść Foster Enterprises, przynosi korzyść nam wszystkim, bo to my jesteśmy Foster Enterprises. I tak też nas widzą czytelnicy. Jesteśmy tak często ukazywani przez media, że wszystkim się wydaje, że znają nas osobiście. Oglądają w telewizji ciebie, babcię, mamę i Corey w „Według Fosterów” i uwielbiają nie tylko to, co prezentujecie, ale i to, jacy jesteście. Dowodzą tego ich listy. Piszą, jak bardzo im się podoba, kiedy żartujesz z babcią i kiedy mówisz do niej „Różycko”. Chcą oglądać, jak mama pracuje razem z tobą i wzrusza ich wasze wzajemne oddanie. Najbardziej podobał się program, w którym Corey przyprowadziła bliźniaki i demonstrowała, jak należy fotografować niemowlęta. Nauczyli się paru sposobów, ale i tak najbardziej ich wzruszyło, kiedy Molly wyciągnęła rączki do babci, a Mary porwała od mamy ciasteczko. Jednak gdybyś nagle podbił babci oko, Corey aresztowano za prowadzenie po pijaku, a mamę zatrzymano za kradzież w sklepie, media zrobiłyby z tego cyrk i notowania programu poleciałyby na łeb, na szyję. Z tego samego powodu, kiedy Dan mnie puścił w trąbę i doszło to do mediów, ja i wszystko, co reprezentuję, wydało się pożałowania godne

i głupie. Teraz rozumiesz?

- Nie, nie rozumiem - z niecierpliwością odparł dziadek.

- Więc spróbuję ci wyjaśnić. Publiczność kojarzy waszą czwórkę przeważnie z programem „Według Fosterów”, ale mnie przede wszystkim z magazynem „Piękniejsze Życie Fosterów” i jak byście na to nie patrzyli, w podtekście każdego artykułu i każdego wspaniałego zięcia Corey jest to samo: domowe piękno i harmonia. I w tym

tkwi mój problem. Jako redaktor i przedstawiciel pisma, powinnam żyć według propagowanych tam zasad. Tymczasem nie mam męża ani dziecka i, jak to odkrył któryś z reporterów w ubiegłym roku, spędzam znacznie więcej czasu w biurze niż w swoim mieszkaniu. Jeśli pamiętacie, to na końcu napisał, że znacznie lepiej reprezentowałabym „Kobietę Pracującą” albo „Vogue” czy „Bazaar”, niż „Piękniejsze Życie Fosterów”. A wtedy jeszcze byłam zaręczona z Danem. Teraz, kiedy mnie rzucił, i to dla osiemnastoletniej Włoszki, mój prestiż i wiarygodność szalenie ucierpiały. To wpłynęłoby bezpośrednio na magazyn. Najpierw stracilibyśmy prenumeratorów, a w ślad za tym reklamodawców. - Popatrzyła na dziadka, który nie zawahał się wyrazić swojej opinii.

- Jeżeli masz prenumeratorów i reklamodawców, którzy są na tyle niepoważni, żeby rezygnować z magazynu dlatego, że zaufałaś i pokochałaś nieodpowiedniego faceta, to do diabła z nimi. Niech sobie starzy idą, a ty znajdź nowych.

- Niech sobie idą? Znajdź nowych? - powtórzyła Diana z niedowierzaniem. Była tak przejęta i zmartwiona, że postanowiła powiedzieć im to, co prawie przez dziesięć lat skrzętnie ukrywała. - Nikt z was nie zdaje sobie sprawy z tego, jak trudno mi było utrzymać rozwój Foster Enterprises, bo nie chciałam, żebyście o tym wiedzieli. Boże, przecież zainwestowałam w to całe swoje dorosłe życie. Miałam dwadzieścia dwa lata i właśnie skończyłam uczelnię, kiedy tato umarł. - Spojrzała na sufit, żeby powstrzymać płacz. - Nie miałam pojęcia o niczym, a pragnęłam tylko jednego. Musiałam jakoś utrzymać nasz standard życia i utrzymać naszą rodzinę. Wiem, że wszyscy uważaliście, że jestem genialna, zdolna i pewna siebie, kiedy was przekonywałam, że możemy założyć firmę organizującą przyjęcia, a potem zaraz przerzucić się na coś pokrewnego. To nieprawda! Byłam przerażona i załamana! - Starła się teraz mówić jak najłagodniej, złożony rękę, jakby prosząc ich o zrozumienie. - Uważaliście, że skoro wyrosłam w środowisku bogatych biznesmenów, miałam wrodzone zdolności do prowadzenia interesów, ale tak nie było.

Przerwała na moment, a wtedy babcią przypomniała cichym, łagodnym głosem:

- A jednak to zrobiłaś.

- To był fuks! Jedyne, co „odziedziczyłam”, to zdrowy strach przed biedą i wiedzę z pierwszej ręki, jak bezwzględni i zimni mogą stać się bogaci, gdy jeden z nich zbankrutuje. Nie chciałam, żebyście tego doświadczyli i podjęłam olbrzymie ryzyko. Mieliśmy

tylko ten dom i byłam tak przerażona, kiedy go zastawiłam, żeby zacząć jakiś interes, że po powrocie do domu zwymiotowałam. - Przerwała i wzięła głęboki oddech, nim dalej przyzwała się do swych młodzieńczych pomyłek. - Na początku popełniałam błędy, które mnie wiele kosztowały. Żeby zdobyć pieniądze od prywatnych inwestorów, sprzedawałam im udział w spółce, udział, który teraz jest wart fortunę, w porównaniu z pieniędzmi, jakie zdobyłam dla nas. Miałam parę innych wpadek, na przykład wstrzymywałam się z inwestycjami, kiedy trzeba było iść naprzód.

Cole był oszołomiony jej wyznaniem, mimo że zachował kamienną twarz. Sądził dotąd, że magazyn powstał jako hobby, taki kaprys, kiedy żył jeszcze Robert Foster. Magazyn, który rodzina Fosterów sobie zafundowała, żeby pochwalić się swoim niecodziennym stylem życia, pokazać wyjątkowe zdolności fotograficzne Corey i dać szansę Dianie, by pobawiła się w redaktora. Nigdy, przynigdy nie podejrzewał, że magazyn powstał z konieczności, a nie z nudów. W dodatku Diana miała wtedy zaledwie dwadzieścia dwa lata. On też zaczął karierę w tym wieku, ale by! przyzwyczajony do trudnego życia i przeciwności, a Diana wydawała mu się delikatna i rozpieszczona. Jego młodość nie pozwoliła mu zaobserwować współdziałania normalnej, kochającej się rodziny.

Odezwał się w końcu Henry Britton, przez którego przemawiał ból i poczucie winy.

- Diano, nie musiałaś się dla nas na to wszystko narażać. Przecież nie byliśmy pod twoją opieką. Twoja babka, mama i ja mogliśmy pojechać z powrotem do Long Valley i żyć tak jak przedtem, Corey mogłaby wieczorami &ę uczyć, a w dzień pracować jako fotograf.

Cole spodziewał się, że Diana słusznie wybuchnie, że jej wysiłki i poświęcenie potraktowano jako niepotrzebne, ale choć słysząc było napięcie w jej głosie, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie rozumiesz, dziadku, nie mogłam tak się poddać bez walki. Corey ma niezwykły dar, ale musiała mieć szansę, żeby go objawić. Nigdy by się to nie udało, gdyby musiała się utrzymywać, robiąc ślubne zdjęcia u lokalnego fotografa, który przypisywałby sobie jej sukcesy, a płacił grosze.

Diana spojrzała teraz na mamę i dziadków, mówiąc z przejęciem:

- Żadne z was nie zdaje sobie sprawy z tego, jacy jesteście utalentowani. Cała trójka myśli, że to, co robicie, to tylko hobby, takie grzebanie w ogrodzie, warsztacie czy w kuchni, ale to znacznie więcej. Widzicie piękno w zwyczajnych rzeczach i pokazujecie innym,

jak je dostrzec. Przypomnieliście ludziom, że zadaniem prawdziwej gospodyni nie jest chwalenie się domem i tym, co posiada, tylko sprawianie, żeby każdy z gości czuł się ważny i wyjątkowy. Ludzie widzą w telewizji, jak się razem śmiejecie i razem pracujecie, i wierzą w was. Politycy mówią o powrocie do tradycyjnych wartości, ale wy pokazaliście ludziom dobrą, prostą drogę do osiągnięcia tego.

Ponieważ wyczerpała już wszelkie argumenty, powróciła do pierwotnego tematu.

- Musicie mi wierzyć, że Cole mnie nie namówił do tego małżeństwa. Moim zdaniem, wyjście za niego było najlepszą alternatywą i cieszę się, że miał do mnie tyle zaufania, żeby mnie o to poprosić. Wiem, że ze swej strony dotrzyma umowy, a ja też mam zamiar jej dotrzymać.

Wyczuła, że najlepiej będzie teraz zostawić rodzinę, żeby przedyskutowali sprawę między sobą i pogodzili się z sytuacją. Spojrzała na Cole'a i powiedziała:

- Lepiej już chodźmy.

Podziwiając wciąż jej uprzejme, aie stanowcze poparcie dla siebie mimo sprzeciwu rodziny, Cole ruszył za nią. Babcia Diany wystąpiła z zaproszeniem w formie wyzwania.

- Czy masz przynajmniej zamiar zostać na niedzielnym obiedzie, młody człowieku?

Diana odmówiła, chcąc mu zaoszczędzić dalszych przykrości.

- Nie dzisiaj, może innym razem.

Ku jej zdumieniu Cole odwrócił się do babci z równie wyzywającym uśmiechem.

- Nie wiedziałem, że jestem zaproszony.

- Teraz już jesteś - oświadczyła.

Mary Foster potwierdziła zaproszenie.

- Proszę zjeść z nami obiad.

Henry wyraził jednomyślność, choć jeszcze burkliwie.

- Dawno już nie próbowałeś niczego z kuchni Rosę.

- Dziękuję - zwrócił się do wszystkich. Spojrzał na Corey i wydało mu się, że zobaczył w jej oczach nieśmiałą propozycję przyjaźni. - W takim razie chętnie zostanę.

Diana uznała, że i tak będzie teraz najlepiej wyprowadzić Cole'a na dwór, żeby reszta mogła pogadać i wymienić wrażenia. Zaczynali już zmieniać poglądy, a najlepszym dowodem było zaproszenie go na obiad. Miałaby powody przypuszczać, że będzie to dla niego miły posiłek, ale ponieważ on o tym nie wiedział, była mile zaskoczona, że przyjął zaproszenie.

Rozdział 34

Stoły i cały sprzęt zostały już uprzątnięte i ogród odzyskał swój wymuskany, na wpół tropikalny wygląd. Leżaki nad basenem otoczone były pachnącymi gardeniami, nad którymi wyrastały palmy, szumiąc lekko w delikatnym powiewie wiatru. Kępy mirtu, pokrytego jasnoróżowymi i białymi kwiatkami, dodawały elegancji, a egzotyczne kwiaty na krzewach hibiscusa pyszniły się ognistymi kolorami, od żółtego, poprzez pomarańczowy, do czerwonego.

Wiedząc, że panowie byli zwykle zachwyceni warsztatem dziadka, z bogatym zestawem narzędzi, sprzętu i wspianiałymi kawałkami drewna, Diana zaprowadziła tam Cole'a najpierw. Udawał zainteresowanie, ale zauważyła, że tak naprawdę niewiele go to obchodziło, więc przespacerowali się przez szklarnię, a następnie ogród z kwiatami na bukiety przy końcu trawnika.

Kiedy wciąż był rozkojarzony, uznała, że scena w salonie znacznie bardziej wpłynęła na jego nastrój, niż dał po sobie poznać. Zresztą trudno było się dziwić, biorąc pod uwagę to, co tam powiedziano. Postanowiła szczerze o tym porozmawiać i zatrzymała się obok basenu. Oparłszy się o gładki, gruby pień palmy, powiedziała:

- Przepraszam za to, co powiedzieli. Weź pod uwagę wiek dziadka.

- Wziąłem - odpowiedział sucho.

- Ale wciąż jesteś urażony.

Potrząsnął głową.

- Nie jestem urażony, Diano.

- Czy jesteś zły? - spytała, patrząc na wyraz jego twarzy, żeby coś z niej odczytać.

- Nie.

- Więc co ci jest?

- Jestem pod wrażeniem.

- Czego? - wypytywała

- Jestem pod twoim wrażeniem - odparł uroczyście.

- Jak na człowieka, który jest pod wrażeniem - powiedziała rozbawiona - wyglądasz bardzo ponuro.

- Może dlatego, że to się rzadko zdarza i nie jestem do tego uczucia przyzwyczajony.

Zdała sobie sprawę z tego, że on mówi poważnie, i aż zaniemówiła.

- Nawiasem mówiąc - dodał - nie jest to mój ponury wygląd.

- Nie jest? - zdziwiła się, wciąż rozpromieniona od komplementu.

- Więc jaki jest twój ponury wygląd?

- Chyba wolałabyś go nie widzieć.

- No dalej, pokaż.

Cole tak nie przywykł do żartobliwych kpinek na swój temat, że roześmiał się głośno, a Diana pomyślała, że chyba dawno się nie śmiał.

- Nie spytałaś, co w tobie wywarło na mnie takie wrażenie...

Udawała, że się zastanawia.

- Na pewno nie był to dziadka warsztat. Piękny kawałek mahoni nazwałś deską. I chyba nie odróżniasz skrzyżowanej róży od hibiscusa...

- W obu wypadkach masz rację. Ale znam się trochę na interesach. Wiedziałem, że twój magazyn odnosi sukces, ale nie zdawałem sobie sprawy, że zdołałaś wykreować swoją macochę i jej rodziców na znane w całym kraju postacie. To jest co najmniej zdumiewające!

- Ale ja nie stworzyłam ich osobowości - uśmiechnęła się Diana ciepło. - Byli zupełnie wyjątkowi, kiedy ich poznałam i nic się nie zmienili. Byli pionierami nadchodzącego trendu.

- Co masz na myśli?

- Jakiś czas po ślubie mojego ojca pojechaliśmy wszyscy do Long Valley. Nie znałam jeszcze wówczas wyrażenia „zrób to sam”, ale u nich wszystko musiało być wykonane własnoręcznie. Dziadek był mierniczym w siedmiotysiecznym miasteczku, ale wieczory i weekendy spędzał w ogrodzie, gdzie eksperymentował, hodując najpiękniejsze i najlepsze kwiaty i warzywa w Teksasie, a używał wyłącznie naturalnych nawozów. Kiedy nie ślezczał nad katalogami nasion lub nie szperał w książkach w poszukiwaniu nowych lub bardzo starych metod walki ze szkodnikami, spędzał czas w warsztacie na tyłach domu, gdzie robił z drewna wszystko, począwszy od domku dla lalek Corey, poprzez mebelki dla niej, do skrzyneczek na bi-

żuterię i bujanego fotela dla babci. Uwielbiałam w warsztacie dziadka wszystko, trociny na podłodze, zapach bejcy... Pamiętam, kiedy byłam tam po raz pierwszy, nadepnęłam na jakiś kawałeczek drewna i chciałam wyrzucić go do śmieci. Zaśmiał się, zatrzymał mnie i zapytał, dlaczego chciałam wyrzucić pocałunek. Miałam wtedy czternaście lat, więc chociaż on nie miał jeszcze sześćdziesiątki, wydał mi się okropnie stary. Kiedy nazwał mały skrawek miękkiego drewna pocałunkiem, bałam się, że jest... - popukała się w czoło.

- Ale nie był - odpowiedział jej z uśmiechem Cole. Podobała mu się jej opowieść o ludziach, których kochała, podobał mu się błysk w jej oczach i promyk słońca w jej włosach.

- Nie, nie był szalony. Wziął mały nożyk i zrobił z klocka zaokrąglony trójkącik, a potem sięgnął po kawałek srebrnej folii, zwinął klocek i rzucił na moją dłoń. Wyglądał zupełnie jak czekoladka „pocałunek” Hersheya. I to bez kalorii, zaśmiał się. Na stolyczku w salonie była ich cała miska, jak później zauważyłam.

- A jak się w tym wszystkim znalazły twoja matka i babka? - spytał Cole, gdy Diana odwróciła się do kępki gardenii.

- Mama pracowała jako sekretarka w jakimś przedsiębiorstwie, gdy ojciec ją poznał, ale wolny czas spędzała podobnie, jak babcia - gotowała, zaprawiała i piekła do upojenia.

Zerwała kwiat, biały i delikatny, jak bita śmietana, i objęła dłońmi jego ciemnozielone liście.

- No, dalej - zachęcał, patrząc, jak unosi kwiat, żeby go powąchać.

- Babcia wykorzystywała owoce i warzywa, które hodował dziadek i eksperymentowała z przepisami, jakie w jej rodzinie przekazywano z matki na córkę. Każdy przepis miał nazwę, która kojarzyła się z przodkami i dawno minionymi wydarzeniami, wraz z przepysznym smakiem i smakowitym zapachem. Była sałatka z trzech fasoli babci Sary, ciasto wiśniowe prababci Kornelii. Ciasto jesiennego zrównania księżycy i krakersy z szynką na młóckę. - Powiedziała ze smutkiem. - Póki nie pojechałam do Long Valley, myślałam, że truskawki rosną na drzewie, a przetwory to tylko puszki z kolorowymi etykietami, których miejsce jest w spiżarni. Możesz sobie wyobrazić, jak zareagowałam na widok żółtych brzoskwiń w słoiku z ręcznie malowaną nalepką, przedstawiająca dziecko na kocyku pod drzewem brzoskwiniowym. Było to więcej, niż cudowne, zupełnie egzotyczne.

Patrzył na nią z rozbawieniem.

- Naprawdę myślałaś, że truskawki rosną na drzewie?

- A dlaczego nie? - spytała i zamrugała rzęsami, komicznie udając słodką idiotkę. - Uważałam, że kurczaki są produkowane w kartonikach, owinięte folią. Nawiasem mówiąc - dodała - wciąż wołę tę wersję. - Kończyła opowieść. - Dla mnie dom dziadków był magiczny. Kiedy zamieszkali z nami w Houston, nasz dom zaczął się zmieniać w taki sam cudowny sposób, od ogrodu, który kiedyś był tylko trawnikiem z basenem i kilkoma palmami, do pokojów w domu.

Uniosła ręce i podała mu kwiat, obejmując go ostrożnie dłońmi, jakby był to bezcenny skarb.

- Jest rozkoszny, prawda? - powiedziała miękko.

Ty jesteś rozkoszna, pomyślał Cole i wsadził ręce do kieszeni, aby oprzeć się pokusie ujęcia jej dłoni i przyciśnięcia jej palców do ust. Nie miał nigdy problemów z kontrolowaniem swych potrzeb seksualnych. Nie był też sentymentalny, nie dekoncentrował się, ani nie odczuwał konieczności okazywania specjalnych względów przedstawicielkom płci przeciwnej poniżej sześćdziesiątego roku życia. Zły był na siebie, że te wszystkie cechy zawiodły go w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Powiedział krótko.

- A ty stworzyłaś rynek dla ich talentów i filozofii. Bardzo mądrze.

Potrząsnęła głową.

- Nie musiałam stwarzać rynku, on istniał i rósł, tylko nikt jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Dlaczego tak uważasz?

- Żyjemy w czasach, kiedy Amerykanie coraz silniej zaczynają odczuwać brak korzeni, są coraz bardziej oddaleni od siebie i swego naturalnego środowiska. Żyjemy w bezimiennym świecie, w identycznych domach, pełnych identycznych, produkowanych na masową skalę przedmiotów. Nie mamy poczucia stabilności, korzeni, indywidualności. Ideał Fosterów, to odkrywanie na nowo własnych możliwości twórczych, które mogą nam pomóc się odnaleźć.

- Myślałem, że w dzisiejszych czasach kobiety bardziej interesują się tym, jak wysoko mogą zająć na szczeblach kariery.

- Interesujemy się, ale wcześniej się orientujemy, że nie wystarczy nam tylko sukces czy jego brak w pracy. Chcemy od życia jeszcze więcej i możemy dać więcej.

Cole zmarszczył się, zdezorientowany.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że w dużej mierze naszymi czytelniczkami są kobiety pracujące zawodowo?

Skinęła głową, wyraźnie zadowolona, że może sprostować jego wyobrażenia.

- Może cię to zdziwić, ale według badań rynku, sześćdziesiąt pięć procent naszych czytelniczek, to kobiety z wykształceniem powyżej średniego, które pracują albo pracowały zawodowo. Istnieje w tej chwili tendencja, żeby wstrzymać się z macierzyństwem do trzydziestego któregoś roku życia, a następnie zrobić przerwę w pracy na kilka lat, póki dzieci są małe. Wszystkie swoje zdolności, umiejętność organizacji i aktywność młode żony przeliczają na prowadzenie domu i wychowywanie dzieci. Zaczynają poszukiwać wzorców, rad, jak upiększać obecne swoje życie i jednocześnie realizować się twórczo, a przy tym oszczędzać. I wobec tego odkrywają „Piękniejsze Życie Fosterów”. A poprzez nas odkrywają siebie.

- To bardzo ambitne zadanie na jeden magazyn - stwierdził Cole, zły na siebie, że zauważał, jak pięknie mówiła. I poruszała się. I wyglądała.

- Foster Enterprises nie tylko publikuje miesięcznik. Wydajemy też albumy i mamy linię przyjaznych dla środowiska środków czyszczących. Sprzedajemy też zestawy „zrób to sam”, produkowane pod nadzorem dziadka. Kiedy zaczęliśmy okazjonalne programy przedświąteczne w telewizji CBS, ich oglądalność tak wzrosła, że chcieli zawrzeć z nami wyłączny kontrakt na sześć programów rocznie. Odrzuciłam tę propozycję, bo lepiej na tym wychodzimy finansowo, jak sami robimy i firmujemy programy tygodniowe. Nasze koszty produkcji są stosunkowo niskie, więc kontrakt na wyłączność nie opłacałby nam się tak, jak w wypadku droższych programów.

- Wydaje się, że dobrze to ustawiłaś.

- Tak się wydaje, ale tak nie jest. Jesteśmy cały czas w straszonym napięciu, nie tylko dlatego, że wszędzie nam wyrasta konkurencja, ale i dlatego, że narzuciliśmy wysoki standard i teraz publiczność wymaga od nas utrzymania go. Musimy mieć wciąż nowe i lepsze pomysły na kolejne numery, każdy album, każdy program telewizyjny. Musimy lepiej wyglądać i oferować więcej, niż inni. Kiedyś było łatwiej, bo byliśmy praktycznie jedyni na rynku. Musieliśmy wyrzucić dwóch szpiegów, którzy zostali wprowadzeni przez konkurencję.

- Zawsze szpiegostwo przemysłowe kojarzyło mi się z elektroniką czy zbrojeniem - zdumiał się Cole.

- Wiem, mnie też, póki się to nie wydarzyło. Kolejnym problemem jest wizerunek publiczny - tu zrobiła aluzję do Dana - i utrzymanie go w odpowiedniej formie jest koszmarem nie tylko

dla mnie, ale dla nas wszystkich. Musimy uważać, co mówimy i co robimy, niezależnie od tego, gdzie jesteśmy i z kim jesteśmy.

- Wszyscy? - zdziwił się Cole. - Myślałem, że to twój największy problem, bo ty jesteś głównie identyfikowana z magazynem.

- Mogłam sprawiać takie wrażenie tam, w salonie, ale to nie do końca prawda. „Piękniejsze Życie Fosterów” dlatego jest inne, że od początku było przedsięwzięciem rodzinnym. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze starcie w programie telewizyjnym, bo w rubrykach towarzyskich od razu piszą „Kłopoty w raju Fosterów”, czy inne takie bzdury. Mama ma w magazynie stały felieton, cieszący się olbrzymią popularnością, gdzie wspomina święta w domu swoich dziadków, gdy była dziewczynką, żartuje ze swoich obaw, gdy wydawała pierwsze przyjęcia. Opowiada też historyjki o babci i dziadku, a także o Corey i o mnie, gdy byliśmy młodsze. Pojawiały się też nasze zdjęcia. Ludzie mają wrażenie, że jesteśmy ich bliskimi przyjaciółmi. Kiedy Corey wyszła za Spence'a, malowane kartki z życzeniami przychodziły całymi tonami. Kiedy urodziły się bliźniaczki, ludzie przysyłali dla nich tysiące prezentów, własnoręcznie robionych. Niektóre z nich prezentowaliśmy w numerze poświęconym maluchom. Gdy dziadek złamał nogę, znów nadchodziły kartki z życzeniami zdrowia i prezenty. Dla tych ludzi musimy pozostawać dużą, szczęśliwą rodziną, wiodącą takie życie, jakie opisujemy w naszym magazynie.

Cole, słuchając tego wszystkiego, był szczerze zmartwiony, że ktoś, kto tyle osiągnął, praktycznie bez pomocy i bez pieniędzy, tak nisko ocenia swoje osiągnięcia. Oparł rękę o pień drzewa nad jej głową.

- Powiedz mi coś. Dlaczego uważasz, że twoje błędy są takie poważne, że przewyższają twoje sukcesy? Przedstawiłaś je tak, jakbyś swoje osiągnięcia zawdzięczała tylko szczęściu.

Odwróciła głowę.

- Nie masz pojęcia, jakie one były niszczące ani ile ich popełniłam.

- Powiedz mi, co to było, a ja je ocenię. Obiecuję, że będę bezstronny.

Diana cieszyła się, że ma okazję spędzić z nim trochę czasu i odnowić znajomość, ale wolałaby nie poruszać tego tematu. W końcu westchnęła z rezygnacją.

- Już o tym wspomniałam. Przepuściłam kilka wspaniałych okazji, bo nie chciałam ryzykować. Bałam się, że za szybko się rozwiijam.

Cole spojrział na jej zmartwioną twarz i zastanawiał się, jak to się stało, że Diana jest wciąż taka naturalna i bezpośrednia, jak była w wieku szesnastu lat. To ich małżeństwo mogło się okazać nieodporne na słabości, a nie chciał, żeby jemu udało się zrobić z niej wyrachowaną cyniczkę, co nie udało się nawet Penworthowi.

- Myślę - zażartowała - że teraz mam okazję zobaczyć twoją ponurą minę.

- Nie - odpowiedział, leciutko się uśmiechając. - To znów była mina, kiedy jestem pod wrażeniem. - Uprzedzając jej pytania, powiedział: - Często przedsiębiorstwa upadają, bo ludzie pozwalają swym marzeniom wyprzedzać finanse. Znacznie rozsądniej jest popełniać błąd konserwatyizmu.

- Ale ja popełniałam głupstwa. Najpoważniejszym moim błędem było czekanie aż dwa lata na wprowadzenie na rynek naszych produktów ogrodniczych i rzemiosła artystycznego. Kiedy to w końcu zrobiliśmy, rozchodziły się, jakbyśmy rozdawali je za darmo.

- Musiały być powody, dla których czekałaś i które wtedy wydawały się rozsądne - zwrócił jej uwagę Cole.

- Były. Przede wszystkim obawiałam się kontroli jakości i kosztów magazynowania. Kiedy w końcu wypuściliśmy linię produktów, okazała się olbrzymim sukcesem, więc straciliśmy sporo dochodów.

- To był spóźniony refleks - tłumaczyła ją.

Diana nie lubiła, kiedy traktowano ją ulgowo. Odparowała natychmiast.

- A ty byś czekał i dumał, aż konkurencja cię wyprzedzi?

Na początku rozmowy Cole obiecał jej szczerłość. Dotrzymywał umowy.

- Nie - przyznał.

- No widzisz? Jesteś odważny i masz wyobraźnię.

- Nie, nie widzę. Jest wielka różnica między sytuacją moją a twoją. Kiedy zakładałem Unified Industries, miałem wystarczającą ilość pieniędzy i możliwość zdobycia większej ilości, jeżeli zaszłaby potrzeba.

Rozchmurzyła się trochę.

- Robiłam jeszcze inne rzeczy, które bardzo chciałabym cofnąć.

- Na przykład co? - dopytywał się Cole, chcąc dalej ją pocieszać.

- Tak, jak powiedziałam w salonie, nasze akcje rozdałam praktycznie za darmo, żeby zdobyć pieniądze na początek.

Miał wielką ochotę dotknąć jej policzka, ale powstrzymał się i odpowiedział niezwykle miłym głosem:

- Jestem zdumiony, że w wieku dwudziestu dwóch lat potrafiłaś namówić bank i prywatnych inwestorów do wyłożenia pieniędzy na swój plan.

Diana wzruszyła ramionami.

- Bank nie podejmował aż takiego ryzyka, ponieważ zastawiłam dom.

- Ale jak udało ci się namówić prywatnych inwestorów, żeby wyłożyli pieniądze na ryzykowne przedsięwzięcie, bez gwarancji zysku?

- Ach, o to chodziło - odpowiedziała ze śmiechem. - Spakowałam teczkę z formalnym biznesplanem i projektami, i zaczęłam odwiedzać znajomych ojca. Z pewnością uważali, że nam się nie uda, ale głaskali mnie po głowie i dawali po pięć czy dziesięć tysięcy, *kombinując, że najwyżej poniosą stratę, którą odpiszą sobie od podatku.* W zamian za to dawałam im świadectwa udziałowe nowego przedsięwzięcia. - Westchnęła i rozejrzała się. - Krótko mówiąc rozdałam tyle naszego przedsiębiorstwa, że kiedy to wszystko podliczyłam, okazało się, że nam zostało pięćdziesiąt procent.

- A miałaś inne wyjście?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- Więc przestań się obwiniać o to, że nie jesteś jasnowidzem i przyznaj się do swoich niewątpliwych zasług. W końcu pokonałaś przeszkody, jakie załamałyby niejednego doświadczonego przedsiębiorcę.

Diana spojrzała w jego poważną, przystojną twarz i doszła do wniosku, że mówił absolutnie serio.

- W twoich ustach to rzeczywiście pochwała.

Uśmiechnął się.

- Więc pamiętaj o tym. Nie mogę pozwolić na to, żeby moja żona na prawo i lewo pomniejszała swoje zasługi. Mogłoby to źle wpłynąć na mój wizerunek - zażartował - i akcje Unified's mogłyby spaść.

- A Wall Street zawaliłaby się - dopowiedziała Diana, odzyskując humor pod wpływem jego ciepłego uśmiechu.

Rozdział 35

Stojąc przy zlewozmywaku, gdzie dzieliła liście czerwonej sałaty na mniejsze kawałki, Corey przypatrywała się parze w ogrodzie. Była tak pochłonięta tą sceną i jej możliwymi interpretacjami, że podskoczyła, gdy mąż stanął nagle za nią i objął ją w pasie.

- Gdzie jest reszta?

- Zaproponowałam im, żeby trochę odpoczęli przed obiadem. My z Glenną już tu nad wszystkim czuwamy.

- Położyłem dziewczynki do łóżka i ucałowałem je od mamusi. Ja też chciałem tam być - szepnął w jej szyję - w łóżku, z tobą.

Corey odwróciła twarz do pocałunku, kiedy weszła gospodyni, a oni automatycznie odskoczyli od siebie, jak przytłapano nastolatki.

- Nie przeszkadzajcie sobie - powiedziała Glenna. - Ja tylko próbuję przygotować sześciodaniowy obiad dla siedmiu osób.

Spence patrzył, jak wychodziła z kuchni.

- Dlaczego ona zawsze musi powiedzieć coś takiego, żebym czuł się winny? - Wziął odruchowo do ręki nóż i zaczął kroić zieloną paprykę na paseczki. - Robi to od piętnastu lat.

Corey powstrzymała śmiech, ale wciąż patrzyła na scenę za oknem.

- Robi to dlatego, że działa. Przecież zacząłeś pomagać przy sałatce, prawda? - Wręczyła mu czystą ściereczkę. - Zawiąz to sobie wokół pasa, żebyś się nie ubrudził.

Była gwiazda piłkarska Południowego Uniwersytetu Metodystów spojrzała krzywo na ściereczkę.

- Mężczyźni nie noszą fartuszków - zażartował.

- Wyobraź sobie, że to plemienna przepaska na biodra. Przez chwilę pracowali w zgodnym milczeniu, obserwując parę w ogrodzie. Diana opierała się o palmę, a Cole stał przed nią, trzymając

rękę nad jej głową. Cokolwiek mówiła do niego, udało się go rozśmieszyć.

- Kiedy byliśmy nastolatkami, tak się bujałam w tobie, że nie byłam w stanie zrozumieć, dlaczego wszystkie dziewczyny uważały, że Cole Harrison jest taki strasznie sexy.

- A teraz wiesz?

Corey skinęła głową.

- Chciałabym mu kiedyś zrobić zdjęcie. Proste płaszczyzny ostre kąty.

- Nie wygląda mi na materiał z Brooks Brothers.

- Oczywiście, że nie. Jest w nim za dużo surowej męskości, żeby mógł być modelem męskiej odzieży. Coś... drapieżnego. - Wrzuciła do miski garść sałaty i zaczęła rozdrabniać długie, wilgotne liście szpinaku. - Zrobiłabym mu zdjęcie w jakimś otoczeniu, pasującym do jego wyglądu.

Spence wyjrzał przez okno, zaintrygowany fascynacją Corey twarzą innego mężczyzny.

- A w jakim otoczeniu? - spytał, zabierając się do krojenia czerwonej cebuli.

- Wybrałabym jakiś nierówny teren, a może gorącą pustynię z gołymi górami w tle.

Góry bez drzew i bez śniegu wydawały się Spence'owi strasznie brzydkie. Skinął głową z aprobatą.

- To by bardzo do niego pasowało.

Nieświadoma jego negatywnej motywacji, Corey przestała na chwilę rozdzierać listki szpinaku i kontynuowała badanie swego modelu.

- Powiedz mi coś - droczył się z nią. - Jakbyś ukryła jego oczy?

- Dlaczego miałabym ukrywać jego oczy? - zdziwiła się.

- Bo są zimne i twarde jak granit. Obserwowałem go po południu w salonie i chyba nie ma w nim grama ciepła ani uczucia.

- Rzeczywiście, wygląda na twardszego niż w czasach, z których go pamiętam - przyznała Corey - ale chyba nie jest zimny. Przypomnij sobie, jak jej kupił ten naszyjnik i wszyscy myśleli, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Popatrz na nich razem. Ja widzę księcia z bajki, który przybył na ratunek Kopciuszkowi.

Milcząc sceptycznie, Spence spojrział w okno. Zdając sobie sprawę z tego, że jego brak odpowiedzi może wyrażać brak zgody, Corey spytała:

- A ty co widzisz, jak na nich patrzysz?

- Widzę Czerwonego Kapturka, uśmiechającego się do Wilka. - Roześmiała się, ale uśmiech jej znikł, gdy mówił dalej. - Biorąc pod

uwagę wszystko, co o nim słyszałem i czytałem, mogę ci powiedzieć, że człowiek, którym się tak zachwycasz, jest najbardziej nieczułym sukinsynem, jakiego znałaś i najbardziej bezwzględny przedsiębiorcą tego dziesięciolecia.

Corey zapomniała o szpinaku. Chociaż nie była w tych sprawach tak biegła jak Spence, śledziła wiadomości giełdowe.

- Nie rozumiem, dlaczego tak twierdzisz. Niedawno mówili we wszystkich wiadomościach, że wykondycypował bardzo sprytny sposób przejścia spółki komputerowej i nazywali to mistrzowskim posunięciem. Nie mówiono, żeby było to coś nielegalnego.

- Kupił Cushman Electronics, Corey - powiedział kategorycznym tonem Spence. - Nazywano to mistrzowskim posunięciem, bo tuż przedtem Wall Street obieżyły plotki, że Cushman ma kłopoty z nowym procesorem w fazie testowania i jego akcje spadły z dwudziestu ośmiu dolarów na czternaście. Jak tylko spadły, pojawiły się Unifid Idustnes i Harrison kupił sobie spółkę warta trzysta milionów dolarów za pot ceny.

- I co w tym złego? Czy nie należy kupować akcji, kiedy są najtańsze w nadziei że potem pójda w górę? - A kto, jak sądzisz, wznieci te plotki? I zgadny, kto, jak mówią, jest właścicielem niezależnej jednostki, która testowała procesory Cushmana?

- Uy ktoś udowodnił, że ludzie Cole'a sfałszowali wyniki badań, albo rozpuścili te plotki?

- Jeśli ktoś to udowodni, on pójdzie do więzienia.

Corey przeszedł dreszcz, ale natychmiast przypomniał jej się Cole w stajni Haywardów, dogładający czule chorego żrebaka, i jego łagodny wyraz twarzy, gdy w ogrodzie patrzył na Dianę.

- Póki ktoś tego nie udowodni, to są tylko oszczerstwa - oświadczyła.

- Plotki lub oszczerstwa pojawiają się za nim, gdzie tylko się ruszy - zauważył sarkastycznie Spence. - Cokolwiek robi, zawsze ma w tym jakiś ukryty interes. Wczoraj wieczorem potrzebował odpowiedniej zony, żeby uspokoić wuja. Znalazł wspaniałą okazję, Dianę, więc wystąpił na aukcji w roli kryształowego sir Galahada, w obecności prasy, żeby to odnotowała i kiedy Diana pełna była szampana i wdzięczności do niego, wywiózł ją do Nevady i poślubił. Kolejne mistrzowskie posunięcie. W ciągu mniej niż dwunastu godzin wręcił się do tej rodziny i my wszyscy głowimy się, o co chodzi.

Corey uśmiechnęła się na to ostatnie stwierdzenie i zaczęła wrzucać do pięknej, drewnianej misy wszystko, co pokroili, postrzępili i posiekali.

- Oprócz tego, że jest przystojny i seksowny, Cole jest miliarderem, którego widywano z wieloma pięknymi kobietami i wierz mi, nie musiałby zadawać sobie aż tyle trudu, co wczoraj wieczorem, żeby znaleźć żonę.

- Harrison zdobył nie tylko piękną żonę, poślubiając Dianę - z goryczą wypominał Spence. - Zdobyl też nowiutki, błyszczący wizerunek publiczny.

- W jaki sposób? - Kiedy zdjęcia z wczorajszego wieczoru ukażą się w prasie, ludzie uwierzą, że Cole Harrison zerknął tylko raz na kobietę, którą porzucił Dan Penworth, jedną z ulubienic Ameryki, i jak w bajce, obsypał ją klejnotami, wywiózł prywatnym odrzutowcem i poślubił, wszystko w ciągu jednej nocy. Pod koniec tygodnia Cole Harrison stanie się jednym z najbardziej szlachetnych i romantycznych bohaterów obecnej dekady.

- Nie mogę uwierzyć w to, żeby był aż tak zły. Kiedy pracował u Haywardów, był zawsze taki miły.

Spence pochylił się, opłukał ręce, otarł w ściereczkę i powiedział z ponurą miną.

- Wątpię, czy był taki miły nawet wtedy.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo wśród jego licznych wrogów znajdują się Charles i Doug Hayward. Nienawidzą go serdecznie.

Ręce Corey znieruchomiały nad miską sałaty.

- Nigdy nie dawał najmniejszego sygnału.

- Wczoraj wieczorem dał. Kiedy skończyła się aukcja, Diana przyprowadziła Harrisona do naszego stolika. Pamiętasz, co się stało?

- Tak, oczywiście. Doug powiedział coś, co uznałam za nietaktowne i nie w jego stylu, ale cały wieczór wydawał się jakiś dziwny.

- Był zupełnie normalny, póki Diana nie weszła na salę z Cole'em Harrisonem, a potem specjalnie unikał podania mu ręki.

- Połuchaj mnie, kotku. Wczoraj wieczorem byłaś tak wniebowzięta, że Harrison „wybawił Dianę”, że nie chciałem ci psuć nastroju, ale prawda jest taka, że Charles i Doug Hayward mają go w głębokiej pogardzie. Mówię ci to tylko dlatego, żebyście sobie z Dianą nie marzyły, że to małżeństwo może być czymś więcej.

- Pogardzają nim? - szepnęła. - Dlaczego? Co Cole mógł takiego zrobić?

- Powiedziałem ci wszystko, co wiem, a wiem tylko to, co powiedział mi Doug w Newport parę lat temu, kiedy odwiedzał Barbarę w szpitalu w Nowym Jorku. Martwił się, bo nic jej się nie po-

prawiąto, więc wziętem go na żagle, a później na kolację, żeby się rozerwał. - Spence podszedł do jednej z szafek, wyjął butelki z octem winnym i oliwą z oliwek i zaczął wlewać do pojemnika z miarką. - Wypiliśmy trochę wina i postanowiliśmy resztę wieczoru spędzić u mnie. Poszliśmy do biblioteki obejrzeć wiadomości w telewizji. Leżał tam na małym stoliku „Newsweek” ze zdjęciem Harrisona na okładce. Kiedy Doug to zobaczył, wygłosił przemówienie przeciwko niemu, przepełnione taką złością i goryczą, że aż mi się wierzyć nie chciało, że to Doug. - Spence przerwał na moment mieszanie oliwy z octem. - Mówił o zemście i o tym, że oni z ojcem długo już czekają na odpowiednią okazję. Jakoś się zgadało na temat Barbary i myślałem wtedy że się załamie i rozpłacze. Jednak za chwilę wziął się w garść i poszedł spać. Następnego ranka przeproszał, powiedział, że chyba za dużo wypił i że bym nie zwracał uwagi na te pijackie brednie.

- Może rzeczywiście tak było - powiedziała Corey, mieszając sałatę. - Doug nigdy nie miał mocnej głowy.

- Coś wiem na ten temat - powiedział Spence, wspominając z uśmiechem - Kiedy byłem na uniwersytecie, nocowałem u mnie w akademiku, jak przyjeżdżał do Dallas. Nie znam nikogo innego, prócz Douga, który po trzech rumach z coca-colą chciał być Supermanem i przeskakiwać przez wysoki budynek.

Corey skinęła głową, ale jej uwaga zwrócona była na parę w ogrodzie. Przypatrywała się, jak Cole z uwagą śledził każde słowo Diany. Spence obserwował tę samą scenę. Niechcący wypowiedziała głośno swoją myśl:

- Po prostu w to nie wierzę.

Mąż powstrzymał się od przypomnienia jej, że miesiąc temu nie uwierzyła w kradzież narzędzi przez pomocnika stolarza, nawet gdy zobaczyła wystający z jego tylnej kieszeni klucz francuski.

Corey powstrzymała się od przypomnienia mu, że bardzo lubił Dana Penwortha, który okazał się draniem światowej klasy. Zresztą nic by to nie pomogło, bo cała rodzina lubiła Dana.

- Czy mógłbyś zrobić chociaż tyle, żeby mieć wątpliwości? To by wiele ułatwiło.

Spence poddał się, ale rzucił w jej stronę pożądlive spojrzenie.

- W porządku, moja piękna, ale będzie cię to kosztowało - i odwrócił się, żeby wyjść z kuchni.

Żona złapała go za rękę.

- Seksowna przepaska - zażartowała, zdejmując mu z bioder ścierkę.

Spence odwrócił się i pieszczotliwie poklepał ją po pupie.

- Seksowny tyłeczek - odwzajemnił komplement, delikatnie przygryzając jej ucho.

Z ich lewej strony pojawiła się bezszelestnie Glenna w ortopedycznych butach na gumowych podeszwach.

- Wyjmę kaczkę z piekarnika, zanim się spali na węgiel - oświadczyła głosem cierpiętnicy.

Corey zeszytniała, Spence zamarł, po czym przyciągnął ją do siebie i śmiejąc się, jednak pocałował.

Rozdział 36

Kiedy Cole wszedł z Dianą do jadalni, uznał, że rodzina zdecydowała się udawać, iż nagle małżeństwo Diany jest okazją do uczczenia, a nie zabójstwa. Na środku stołu ustawiono dużą misę z żółtymi różami, a po obu jej stronach płonęły malowniczym światłem świece w świecznikach. Stół nakryty był elegancką porcelaną i błyszczącymi, srebrnymi sztucami. Na dużym półmisku ułożono soczyste plastry pieczonej kaczki, na mniejszym pulchne, maślane ciasteczka, a w salaterkach podano pieczone młode ziemniaki z oliwą i rozmarynem oraz dymiące, młode szparagi.

Panie uśmiechały się uprzejmie do niego i nawet dziadek grzecznie kiwnął głową, siadając u szczytu stołu, i wskazał mu miejsce po swojej prawej. Babka siadła po lewej ręce męża, naprzeciwko Cole'a, lecz kiedy Diana chciała usiąść obok niego, babcia powiedziała:

- Corey, kochanie, może siadłabyś koło pana Harrisona, a Spence obok mnie, żebyśmy wszyscy mieli szansę się poznać.

Pani Foster zajęła swoje miejsce przy drugim szczytce stołu, a Diana siadła między matką a Spence'em. Cole zauważył zdziwienie Mary Foster tym niecodziennym i dziwnym rozmieszczeniem, ale jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że babcia usadziła go w kluczowym punkcie. Miał dziadka po lewej, babcie i Addisona naprzeciw, Corey po prawej, a Diana, jego jedyna sojuszniczka, była odsunięta daleko.

Cole czułby się największym hipokrytą, gdyby dziękował Bogu, w którego nie wierzył, za to, czego On nie zrobił, a następnie popęłniał taki idiotyzm, żeby Go prosić o laski, których albo nie mógł, albo nie miał ochoty mu udzielić. Hipokryzja była jedną z niewielu wad, jakich Cole nie miał, więc schylił tylko odrobinę głowę, studiując ręcznie wyszywaną żółtą różę na obrusie i czekał na rozpoczęcie oficjalnej inkwizycji.

Henry Britton nie był człowiekiem, który odkładałby coś na później. Skończył modlitwę i powiedział:

- Amen. Cole, jakie masz plany?

Nim Cole zdołał sformułować odpowiedź, Diana popatrzyła na Corey i odezwała się:

- Corey umiera z ciekawości, żeby dowiedzieć się czegoś o ślubie, ale kazałam jej czekać, aż będę opowiadać wszystkim razem.

Corey zrozumiała i podjęła wątek bez wahania.

- Posłuchajmy najpierw o ślubie, dziadku. Jak będziemy na bieżąco, Cole i Diana mogą nam opowiedzieć o przyszłości. - Zwróciła się do Cole'a. - Czy tak będzie dobrze?

W ciągu tych kilku chwil Cole doszedł do ważnych wniosków: babcia była nie tylko, jak przedtem sądził, stara, szczerą do bólu i rozkosznie ekscentryczna, ale była stara, szczerą do bólu, być może ekscentryczna i przebiegła jak diabli.

Corey była niezawodną sojuszniczką Diany, a jeśli chodzi o niego, chyba neutralna, natomiast Diana, ze śliczną buzią i miłym głosem, specjalistka od dyplomacji, była skarbem przy każdym stole, czy to przy kolacji, czy na konferencji.

Obserwował, jak entuzjastycznie opisuje krótki, mało romantyczny ślub, którego prawie nie pamięta i przyprawia opis szczegółami, mogącymi zainteresować przedstawicieli obu płci.

- Wyjechaliśmy z hotelu limuzyną Cole'a i pojechaliśmy na lotnisko. Jego samolot jest typu Gólfstrom, dziadku, i jest znacznie większy od małego Learjeta. Mógłbyś dodać go do modeli samolotów, jakie wymyśliłeś do chłopięcych pokoiów. W każdym razie, kiedy weszliśmy na pokład, w lodówce było mnóstwo szampana, a jeden z pilotów był już w kokpicie i robił... to, co robią piloci przed startem - machnęła z wdziękiem dłonią. - Po chwili przyszedł drugi pilot, który się nazywa Jerry Wade. I słuchaj, babciu - dodała, zwracając się do pań - w ciemności wyglądał zupełnie jak twój ulubiony gwiazdor filmowy! Powiedziałam, żeby któregoś wieczoru wpadł cię odwiedzić.

Zafascynowany tym, jak udało się odwrócić uwagę Rose Britton od niego, Cole koniecznie chciał się dowiedzieć, kim jest ten gwiazdor.

- Naprawdę tak wygląda? - spytała babcia z powątpiewaniem i zachwytem jednocześnie. - Wygląda jak Clint Eastwood?

- Clint Eastwood jest prawie tysiąc - wtrącił zdenerwowany dziadek - i już szepcze, zamiast mówić.

Corey nachyliła się w stronę Cole'a i odpowiedziała na jego nie-
me pytanie, podając salaterkę ze szparagami.

- Babcia ma fioła na punkcie Eastwooda, a dziadek jest za-
zdrosny.

- A tobie, mamó, podobałoby się to, co Gole zrobił z wnętrzem
samolotu. Czujesz się, jakbyś wchodziła do pięknego salonu, urzą-
dzonego w skórze, z elementami mosiądzu i złota. Były tam dwie
ustawione naprzeciwko siebie sofy, między nimi antyczny stolik-
czek, bufet z mosiężnymi okuciami i kilka krzeseł.

Jej opowieść pochłonęła uwagę artystycznej rodziniki, a gdy Cole
słuchał barwnych opisów wszystkiego, począwszy od kryształowy-
ch lamp Waterforda i orientalnego dywanu w głównej kabinie,
uczynił dwie obserwacje na temat Diany. Po pierwsze, miała nie-
wątpliwy talent do tworzenia słowami sugestywnego obrazu, a po
drugie, nie opisała drugiej jakże ważnej kabiny, a mianowicie syp-
ialni.

Wciąż miał w pamięci jej uderzającą urodę, gdy leżała na srebr-
nej aksamitnej kołdrze, oparta na łokciu, w fioletowej sukni, dając
mu możliwość zerknięcia na pełne piersi nad obcisłą górą sukienki.
Odwróciła w jego stronę twarz, zapraszając go do pocałunku, ale
zawahał się, kiedy się nachylił. Rozum i logika walczyły z pożąda-
niem i wygrały, jak zawsze, w wypadku Cole'a. Zdecydowanie, choć
z żalem, cofnął się, mówiąc „nie”. Uniosła rękę i poczuł jej dłoń na
ramieniu, a potem pałce na włoskach wychodzących spod rozpiętej
koszuli. Spojrzał w zielone, jaspisowe oczy i zobaczył w nich smu-
tek urażonego dziecka. „Nie” - powtórzył, ale sam słyszał w swym
głosie wahanie i żal. Ona też je usłyszała.

Diana przeszła do opisu kokpitu, a on zastanawiał się, czy po-
minęła opis sypialni z zażenowania, czy luk w pamięci. Trudno mu
było uwierzyć w to, że pamiętała kolor tapicerki w saloniku, a nie
pamiętała, że jedną trzecią kabiny pasażerskiej zajmowała sypial-
nia. Z drugiej strony, sypialnię widziała dopiero po ślubie, po stre-
sie związanym z uroczystością w krzykliwej, oświetlonej neonami
„kaplicy”, po wizycie w kasynie i następnych porcjach szampana,
jakich jej dostarczał, żeby złagodzić stres. Zapomniała sporo z całej
ceremonii i kasyna, więc możliwe, iż nie pamiętała części podróży,
którą spędzili w sypialni samolotu.

Diana przerwała opowieść, żeby nałożyć sobie porcję kaczki,
która właśnie do niej dotarła, a babcia uznała to za dobrą okazję,
żeby podjąć temat, który jej mąż musiał przerwać.

- Proszę nam coś o sobie opowiedzieć, panie Harrison.

- Proszę do mnie mówić Cole, pani Britton - odezwał się
grzecznie.

- Więc opowiedz nam coś o sobie, Cole - poprawiła się, a on za-
uważył, że nie zaproponowała, żeby on się jakoś inaczej do niej
zwracał. Specjalnie opowiadał o swej obecnej sytuacji, a nie o prze-
szłości.

- Mieszkam w Dallas, ale dużo podróżuję służbowo. Właściwie
nie ma mnie w domu przez pół miesiąca.

Pominęła ten wątek i spojrzała badawczo znad okularów, pyta-
jąc bez ogródek.

- Czy chodzisz do kościoła w niedzielę?

- Nie, nie chodzę - poinformował bez wahania i nie tłumacząc
się.

Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie, ale indagowała dalej.

- Rozumiem. A co z twoją rodziną?

- Oni też nie chodzą do kościoła - odpowiedział.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Pytałam o twoją rodzinę, a nie o to, czy chodzą do kościoła. -
Odłamała kawałek pieczywa i posmarowała masłem. - Czy opo-
wiesz nam coś o swoim pochodzeniu? - poprosiła cicho. - Skąd po-
chodzisz i jaką masz rodzinę?

Ta propozycja wydała mu się tak nierzeczywista, że usiłował grać
na zwłokę i wziął do ust kęs sałaty. Popatrzył na tych miłych ludzi
wokół, dla których nie było nic niezwykłego w tym, że się razem je
niedzielny obiad, siedzi przy błyszczącym stole, na którym widelce
i noże pasują do siebie, a pod nogami mają dywan, a nie śmieci. Popa-
trzył na Dianę, która wyglądała świeżutko, jak piękna amerykańska
róża, na Addisona, który nie doświadczył niczego bardziej poniżające-
go niż przegranie meczu tenisowego w klubie, i na Mary Foster, pre-
zentującą subtelnie godność i dobroć. Po lewej dziadek Diany, pach-
nący świeżo mydłem i Old Spice'em, a nie potem. Naprzeciw niego
babcia, o bystrych, orzechowych oczach, z białymi, sztywnie ostrzy-
żonymi włosami i okularach w złożonych oprawkach, które bardzo
do niej pasowały. Wyglądała bardzo porządnie i nobliwie.

Byłoby mu łatwiej opisać jej najbardziej pikantne erotyczne
przygody, niż opowiedzieć prawdę o swej młodości i pochodzeniu.
Nie chcąc psuć jej złudzeń co do tymczasowego przyszywanego
wnuka, odpowiedział na jej pytanie tym samym unikiem, jaki sto-
sował zwykle:

- Pochodzę z małego miasteczka w Zachodnim Teksasie, zwa-
nego Kingdom City. Miałem dwóch starszych braci, którzy już nie
żyją, i kilku kuzynów, którzy się wyprowadzili i z którymi straci-
łem kontakt, poza jednym. Moim jedynym żyjącym krewnym jest

cioteczny dziadek, o którym już wspominałem. Ojciec chciał, żebym pracował na ranczo, Cal uważał, że jestem zdolny i powinienem studiować, i tak mi to długo wmawiał, aż uwierzyłem. Na pewno bardzo polubi Dianę. Chciałbym, żeby ją poznał w przyszłym tygodniu.

- Ja też się cieszę, że się spotkamy - wtrąciła Diana, ale odczuła pewien chłód i niechęć ze strony Cole'a, gdy padły pytania o jego pochodzenie i przypomniała sobie, że już przed laty stawał się milczący, gdy chciała się czegoś więcej o nim dowiedzieć.

- Mój wujek mieszka na zachód od Kingdom City, niecałe trzysta kilometrów od San Larosa. Nie jest tam może górzysto, ale okolica jest piękna i nie zanieczyszczona.

- San Larosa - Rose Britton zwróciła się do córki. - Czy to nie tam był jeden z waszych postojów, kiedy pojechaliście z Robertem i dziewczynkami na pierwszy wspólny biwak do Yellowstone?

- To bardzo popularne miejsce na biwaki - potwierdził Cole, chętnie zmieniając temat. - Chociaż, o ile wiem, znaczna część tych terenów nadaje się tylko dla wytrawnych turystów.

Z jakichś powodów ten komentarz wywołał śmiech całej rodziny.

- Nie byliśmy specjalnie doświadczeni - wyjaśniła pani Foster. - Corey i ja byliśmy kilka razy na biwaku, a Robert był kiedyś skautem. Poza tym był jeden raz na obozie tenisowym w Scottsdale. Ale my z dziewczynkami uznałyśmy, że to będzie bardzo zabawne, więc wybraliśmy się na trzytygodniową wyprawę, pewni, że wiemy wszystko, co należy, żeby przeżyć w ciężkich warunkach.

Cole z trudem potrafił wyobrazić sobie Dianę w roli turystki namiotowej, bo nawet jako czternastolatka bardzo uważała na swoje białe tenisówki i czyste, starannie opilowane paznokcie.

- Jakoś nie sądziłem, że lubiłabyś taką szkołę przeżycia, nawet w zupełnie młodym wieku.

- Wszystkim nam się bardzo podobało. Było wspaniale - skłamała Diana.

Coś mu tu nie pasowało, a wtedy naszło go wspomnienie.

- Czy nie rozmawialiśmy kiedyś w stajni Haywarda o tym, czego najbardziej nie lubimy?

Ponieważ Diana tak się w nim wtedy durzyła, każda ich rozmowa była najważniejszym wydarzeniem, więc doskonale wiedziała, do czego nawiązuje. Ale ponieważ zdziwiło ją, że on pamięta, uznała, że może się trochę poprzekomarzać.

- Naprawdę? - spytała niewinnie, nim ugryzła pieczonego kartofla.

Cole nie dał się nabrać.

- Wiesz doskonale, że tak było - odgryzł się z leniwym uśmiechem. - Na początku twojej listy znajdowały się brud i biwakowanie.

- Nie, węże i biwakowanie - poprawiła go, rozweselona. - Brud był trzeci na liście. - Popatrzyła na Corey i powiedziała żartem. - Zresztą byliśmy świetnie zorganizowane i przygotowane na każdą ewentualność, prawda?

Corey natychmiast się zorientowała, czego Diana od niej chce i szybko się włączyła, żeby pomóc siostrze rozluźnić atmosferę przy stole.

- Ojciec chciał, żeby ta wyprawa była wspólnym przedsięwzięciem rodzinnym, więc przed wyprawą rozdzielono zadania. On odpowiadał za transport i finanse, mama była odpowiedzialna za jedzenie i napoje, Diana za podręczniki o bezpieczeństwie i w ogóle bezpieczeństwo, ja za pierwszą pomoc i zdjęcia. I obie mogłyśmy zabrać to, co uznałyśmy za stosowne i konieczne. Ja uznałam, że parę plasterków i coś na oparzenia słoneczne załatwia sprawę, więc zaczęłam czytać o fotografowaniu dzikiej przyrody. Diana zupełnie inaczej podeszła do przygotowań. Wiele tygodni wcześniej studiowała „Przewodnik biwakowy, jak przeżyć w głuszy” oraz „Podręcznik obozowicza”.

- A poza tym - podkreśliła Diana ze śmiechem - katalogi L.L. Beana, z których wybrałam i zamówiłam wszystko to, co wydawało mi się konieczne dla Corey i dla mnie.

Corey zdążyła zauważyć jego ciepły uśmiech, gdy spojrzał na Dianę, i opowiadała dalej.

- Dzień przed wyjazdem tato pojechał po samochód kempingowy, który wypożyczył, a Diana i ja zaczęłyśmy znosić ze strychu nasze „wypożyczenie osobiste”, które składałyśmy w miarę, jak go przysyłało. Później przyszła kolej na „niezbędny sprzęt zabezpieczający”, który polecano w przewodnikach, a na końcu apteczkę.

Babcia włączyła się w opowieść ze śmiechem.

- Dziewczynki schodziły chyba z piętnaście razy - powiedziała do Cole'a.

- A później - dodał dziadek, chichocząc - Robert musiał jeszcze wypożyczyć przyczepę, żeby mogli się zabrać do Yellowstone. Zabawa polegała na tym - ciągnął, trzęsąc się ze śmiechu, że Robert jeszcze nigdy nie prowadził niczego dłuższego niż Cadillac jego ojca w latach pięćdziesiątych. Kiedy wyjeżdżał na ulicę, przewrócił słupkę ze skrzynką pocztową i pojechał, ciągnąc go za sobą.

- Henry i ja tak się śmialiśmy, że nie mogliśmy dogonić tej skrzynki.

Cole tak się zainteresował tą historią i dodatkową informacją z życia Diany, że zapomniał, iż znajduje się na wrogim terytorium.

- A co takiego Diana zabrała, że zajęło to tyle miejsca? - spytał, ale Corey się zawahała.

- Proszę bardzo, powiedz mu - zachęciła Diana. - Jest teraz częścią rodziny, więc właściwie ma prawo wiedzieć.

- Nie wszystko było Diany, część była też dla mnie - przypomniała lojalnie Corey, nim opowiadała dalej. - Gdyby ona nie planowała za nas obie, ja wyjechałabym na dwutygodniową wyprawę z podartym śpiworem, dwiema parami szortów, dwoma podkoszulkami, sprzętem fotograficznym, dwudziestoma rolkami filmu i kilkoma plastrami. Natomiast Diana - ciągnęła - miała zupełnie inne zdanie na temat tego, co powinniśmy mieć, żeby biwakować wygodnie i bezpiecznie. Zamówiła dla nas biały namiot, z czerwono-biało-niebieską markizą nad wejściem, a następnie dopasowała nasze ubrania, śpiwory, nawet latarki pod kolor markizy. Diany były niebieskie, moje czerwone. Miałyśmy nawet czerwono-biało-niebieskie buteleczki do różnych płynów, aspiryny i tak dalej. - Corey, trochę zawstydzona opisem tych przygotowań Diany nalała sobie mrożonej herbaty.

- Zapomniałaś o środkach przeciwko ukąszeniom - podpowiedziała jej ze śmiechem Diana. - Żeby sobie zapewnić bezpieczeństwo, zabrałam kilkanaście puszek z różnymi środkami: przeciwko komarom, osom, robakom pełzającym i owadom latającym, a nawet wielką puszkę płynu przeciwko węzom, który rozpryskiwałam starannie wokół namiotu za każdym razem, kiedy zmienialiśmy miejsce pobytu.

- Płyn przeciwko węzom? - Cole krztusił się ze śmiechu. - A jak wam się podobało w Yellowstone?

- To zależy, kogo zapytasz - odpowiedziała dwuznacznie Diana, a reszta rodziny wybuchnęła śmiechem.

Pani Foster otarła oczy i powiedziała:

- Pierwszego dnia w Yellowstone poszliśmy wszyscy na wycieczkę. Corey udało się zrobić zdjęcia górskich kozic, mnie udało się kilka szkiców, Dianie zaś udało się oparzyć trującym bluszczem, a Robertowi dostać ataku alergii.

- Ale wieczorami było fajnie - upierała się Corey. - Gotowaliśmy na dworze, opiekaliśmy kiełbaski i śpiewaliśmy.

-A gdy szliśmy spać, szopy pracze buszowały po naszych ko-

szach od śmieci, a niedźwiedzie czekały, żeby mieć z nas kolację - wtrąciła Diana, odkrawając sobie kęsek kaczki. - Chyba nie było w promieniu kilku kilometrów od naszego obozowiska szopa, który poszedłby spać głodny.

- Patrząc na to z perspektywy - Corey uśmiechnęła się zawstydzona - były to dość jednostronne wakacje. Ja sobie chodziłam po lesie, obojętna na wszystko, prócz robienia zdjęć, a moja siostra biegała za mną, taszcząc apteczkę i czytając w poradnikach, co zrobić, gdy napotka się łośia w okresie godowym i co zrobić, gdy wpadnie się na nieprzyjaźnie nastawionego niedźwiedzia.

- Miałaś szczęście, że tak było - Mary Foster nieco spoważniała.

- To prawda - potwierdziła Corey. - W dniu, w którym mieliśmy wracać do domu, wykradłam się z aparatem o świcie, wbrew poleceniu taty, który zapowiadał, że nikomu nie wolno opuszczać obozu w pojedynkę. Chciałam koniecznie startować w konkursie „Młodzież w plenerze”, ale nie miałam żadnego zdjęcia, które uznałabym za wybitne. Aż tu ostatniego dnia w Yellowstone, gdy poszliśmy na wycieczkę, zobaczyłam coś, co mogłoby zapewnić mi wygraną. Byliśmy ponad dwa kilometry od obozowiska, kiedy zobaczyłam nagle kilka łośi przechodzących przez strumień w pobliżu wodospadu wytryskującego ze stromego zbocza. Wiedziałam, że gdyby udało mi się zrobić to zdjęcie, ze wschodzącym słońcem w tle, miałabym szansę wygrać konkurs. Poprosiłam tatę, żeby ze mną poszedł, ale jego alergia była już na takim etapie, że jak słusznie powiedział, moje łośie wystraszyłyby się jego kichania i kaszlu i uciekłyby, nim udałoby nam się podejść wystarczająco blisko. Postanowiłam pójść sama.

- A nie poprosiłaś mamy, żeby z tobą poszła?

- Mama cały wieczór gotowała, a później pakowała i powiedziała, że jest wykończona.

- A Diana?

- Nie miałam serca jej prosić. Diana pokryta była wysypką od trującego bluszczu, poparzeniami słonecznymi i maścią cynkową. Poza tym dzień wcześniej skręciła kostkę. Słyszała, jak się wykradałam przed świtem i zaczęła wymieniać wszystkie nieszczęścia, jakie mogą się przydarzyć samotnej niedoświadczonej turystce, ale ja i tak wyruszyłam, zabierając jedynie latarkę i sprzęt fotograficzny. Kilka minut później usłyszałam za sobą w lesie jakiś chrzęst i poczułam zapach maści cynkowej, więc pomyślałam, że to Diana. Oczywiście, kuśtykała z nogą zawiniętą bandażem elastycznym i swoim zestawem pierwszej pomocy w jednej ręce i niebieską la-

tarką w drugiej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, które sobie upatrzyłam, okazało się, że kąt padania światła jest zupełnie nieodpowiedni po tej stronie strumienia, więc musiałyśmy znaleźć płytkie miejsce, przejść przez las nad wodospadem i wrócić nad strumień.

- Udało ci się zrobić zdjęcie łosia o wschodzie słońca?

- Nie, ale udało mi się zabłądzić. Było jeszcze dosyć ciemno i nie zorientowałam się, że doszliśmy nad brzeg innego strumienia pod innym wzgórzem, więc ustawiłam statyw i założyłam teleobiektyw. Niebo zaczynało różowieć, ale nie było widać żadnych łosia, więc zostawiłam Dianę przy aparacie, a sama poczołgałam się, żeby być poniżej linii wzroku łosia. Wyczołgałam się na brzeg i czekałam, aż przyzwyczaję oczy od cienia do różowych refleksów na wodzie. Nie widziałam w ogóle wodospadu, więc siadłam i wygrzebałam z kieszeni resztki słodyczy, które wzięłam na śniadanie. I wtedy zobaczyłam - wychodził z wody wprost na mnie.

- Łoś? - spytał Cole, podając dziadkowi półmisek.

- Nie, niedźwiedz. Był młody, trochę niższy ode mnie, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo był na czterech łapach. Myślałam, że mnie atakuje, więc skoczyłam na równe nogi i rzuciłam w niego słodyczami, po czym pobiegłam najszybciej, jak mogłam, w jedną stronę, a on uciekł w drugą. A żeby było gorzej - dodała, śmiejąc się - kiedy zaczęłyśmy wracać, zorientowałyśmy się, że się zgubiłyśmy i im dalej szłyśmy, tym bardziej traciłyśmy orientację. Diana mówiła, że w jej poradnikach pisali, żeby się w takim wypadku nie ruszać z miejsca, ale ja nie chciałam o tym słyszeć, póki nie powiedziała, że nie może już dalej iść z powodu swojej kostki. Kiedy zapadł wieczór, dzięki zapałkom w jej zestawie, rozpaliłyśmy małe ognisko, żeby ktoś nas mógł znaleźć. Zapomniałam wymienić baterię w mojej latarce, więc zgasła, nim usłyszałam to, co uznalam za wycie wilków. Diana nie pozwoliła mi używać swojej latarki, chociaż miała świeżą baterię, bo powiedziała, że musimy ją mieć na wypadek, gdyby poszukiwały nas samoloty, żeby im zasygnalizować. Oczywiście miała rację. Zrobiłam większe ognisko, ale za każdym razem, gdy słyszałam to wycie, byłam bliska hysterii - przyznała Corey, popijając znów mrożonej herbaty. - Trzęsłam się tak, że ledwo mówiłam i musiałam odwracać twarz, żeby Diana nie widziała moich łez. Czuję się jak idiotka, zwłaszcza że żartowałam sobie z niej, iż boi się węży, zerwała trujący bluszcz na bukiet i taskała wszędzie ten zestaw pierwszej pomocy, a teraz ja płakałam jak niemowlę, a ona spokojnie zajmowała się praktyczną stroną przetrwania. Ja zignorowałam wszelkie poradniki, a ona prze-

studiowała je od deski do deski i dzięki niej mogłam się śmiać z zagrożenia wilkami. W końcu zasnęłyśmy przy ognisku. Kiedy nas odnaleziono następnego ranka, nie śmiała się ze mnie i nie poruszałyśmy sprawy tych wymyślonych wilków, aż do teraz.

Corey nie wyjaśniła, co przez to rozumiała, więc zaciekawiony Cole zapytał:

- Wymyślonych wilków? Nie rozumiem.

- Najwidoczniej - poinformowała go nowa szwagierka - ty też nie czytałeś „Poradnika biwakowania w Yellowstone”. - Uśmiechnęła się zaraźliwie. - Widzisz, w tej części Yellowstone nie było wtedy wilków. Pracownicy parku zebrali je w dużej zagrodzie, z dala od kempingów, i to te słyszałyśmy.

Wydało mu się to niemożliwe i sprzeczne z filozofią parku narodowego.

- Chcesz powiedzieć, że kierownictwo parku spędziło wszystkie wilki z tego gigantycznego terenu i zamknęło je za płotem? - Popatrzył na Dianę, szukając wyjaśnienia, ale ona pochłonięta była rysowaniem palcem wzorku na obrusie.

- Nie, oczywiście, że nie! - wyjaśniła Corey. - Komisja Ochrony Przyrody stwierdziła, że populacja wilków wymknęła się spod kontroli w Yellowstone, gdyż ich naturalny pogromca, czarny ocelot z Gór Skalistych, był na wymarciu. Sprowadzili więc je z Kalifornii i oceloty, polując na wilki, zapędziły je wysoko w góry.

Diana czuła na sobie wzrok Cole'a i kiedy nie mogła go już dłużej unikać, podniosła oczy i zobaczył w nich znane już sobie rozbawienie.

- Bardzo dokładne wyjaśnienie - powiedział sucho.

- Tak mi się wydawało - z trudem stłumiła chichot.

Corey popatrzyła najpierw na jedno, potem na drugie, rozmyślając nad tym wyjaśnieniem, które wiele lat temu zaakceptowała bez wątpliwości. Teraz, gdy powtórzyła je głośno, wydało się bardzo dziwne.

- Diana - zaczęła podejrzliwie. - To wszystko było kłamstwo, prawda?

- Totalna bzdura! - huknął Henry Britton. - Jakim cudem ty w to uwierzyłaś, dziecko...

Cole uznał opowieść Diany za genialną, ale jako nowy i tymczasowy członek rodziny, nie czuł się upoważniony do wyrażania odmiennej opinii. Wobec tego podsumował:

- Więc spędziliście same straszną noc, a w rezultacie i tak nie wzięłaś udziału w konkursie fotograficznym?

- Wręcz przeciwnie, zajęłam drugie miejsce w kategorii „Ukryta kamera” - poinformowała go Corey z szelmowskim uśmiechem.

- Gratuluję - powiedział Cole.

- Nie gratuluj mi. Ja nie robiłam tych zdjęć, tylko na nich byłam.

- To kto je robił?

- Diana. Kiedy zobaczyłam niedźwiedzia i próbowałam wstać z czworaków, ona pomyślała, że widzę łosia, więc zwolniła przesłonę, tak jak jej powiedziałam, i usunęła się z kadru. Aparat zaczął automatycznie wykonywać całą sekwencję zdjęć. Gdy wróciłyśmy, wyrzuciłam tę rolkę filmu, ale Diana ją odnalazła i dla żartu zaniósła do wywołania. Wybrała trzy zdjęcia i wysłała na konkurs.

- Tak - potwierdziła Mary Poster, wspominając - magazyn „National Photografie” wykorzystał nawet podpisy Diany, kiedy zamieścił zdjęcia.

- A jakie to były podpisy? - spytał Cole?

- Pierwsze zdjęcie, kiedy spotykamy się z niedźwiedziem, nos w nos, oboje na czworakach, przerażeni, Diana zatyłowała „Na miejsca...”. Na następnym niedźwiedź i ja już jesteśmy na nogach, więc pod nim napisała „...gotowi”. Ostatnie było najśmieszniejsze, bo oboje uciekaliśmy, ratując życie, w przeciwnych kierunkach. Diana nazwała je „...start!”.

Rozdział 37

Tą biwakową opowieścią Diana i Corey nadały ton i nim skończył się deser, o każdej osobie przy stole opowiedziano jakąś anegdotkę, nawet o Spencerze Addisonie. I już w połowie posiłku Cole zaczął być traktowany jak sympatyczny słuchacz, a nie jak intruz, nie zasługujący na zaufanie.

Ostatnia opowiadka dotyczyła odpowiedzi, jaką Rosę Britton dała wielbicielce programu Ophry Winfrey, która zwierzała się, jak bardzo chciałyby być żoną Henry'ego. Kiedy już wszyscy się uśmiechali, Mary Foster popatrzyła na Cole'a z sympatią.

- Obawiam się, że zacząłeś odkrywać ponure sekrety naszej rodziny - powiedziała do niego.

- Są u mnie bezpieczne - zapewnił z uśmiechem, chociaż uznał w myślach, że trudno je nazwać ponurymi, w porównaniu z jego rodziną.

W każdym razie był mile zaskoczony, że posiłek przebiegł tak gładko, nie zadawano mu więcej dociekliwych pytań i wydawało się, że wszyscy go zaakceptowali jako nowego przyjaciela rodziny. Wszyscy, poza Addisonem. Instynkt ostrzegł Cole'a, że Addison jest zdecydowanie przeciwny małżeństwu Diany. Był oczywiście zbyt dobrze wychowany, żeby to jakoś okazać przy stole, ale doświadczenie mówiło Cole'owi, że tacy ludzie jak Addison odruchowo solidaryzują się ze swoją grupą społeczną. W interesach Cole zawsze starał się działać z takimi przedstawicielami „klasy uprzywilejowanej” na otwartym polu, żeby nie mogli chować się za układy towarzyskie, a wtedy dopiero następowała równorzędna walka umysłów.

W obecnej sytuacji Cole nie widział powodu, żeby zmuszać Addisona do przejścia z biernej opozycji do otwartej wrogości. Diana już za niego wyszła i z jakichś powodów był pewien, że się z tego nie wycofa. Ufał jej i świadomość tego była dość niepokojąca. Póź-

niej wyobraził ją sobie drepczącą za Corey przez las, z zabandażowaną nogą i zestawem pierwszej pomocy, i jego niepokój przeszedł w wesołość.

Mimo sympatycznego nastroju podczas obiadu, pożegnanie ze zrozumiałych względów wypadło trochę sżywno. Zwykle nowożeńcy opuszczają dom panny młodej obsypani ryżem, wśród głośnych życzeń rodziny i przyjaciół. Ponieważ taka forma była nie na miejscu, rodzina musiała coś improwizować i dla Cole'a ich wysiłki były równie sympatyczne, jak oni sami. Matka Diany wyciągnęła do nowego zięcia rękę, zawahała się, w końcu wyznała;

- Bardzo było miło spotkać cię znów, po tylu latach, Gole. Czy

zobaczymy cię tu wkrótce?

- Z pewnością.

Dziadek uściskał jego rękę.

- Witaj w... jesteś tu zawsze mile widziany.

- Dziękuję.

Spencer Addison nie udawał, że to jakaś uroczystość, ale był dość rozbawiony.

- Nie wiedziałem, że Diana nie znosi brudu i węży. Co robiłeś z tym wielkim, czarnym wężem, który żył w stajni Haywardów?

Żeby pokazać Spencerowi, jaki Cole już wtedy był dla niej miły, Diana pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Cole go nauczył, żeby się trzymał z daleka, kiedy przychodziłam, żebym się nie bała.

- Naprawdę? - Spence zwrócił się do Cole'a, zdumiony. - Jak to zrobiłeś?

- Sprowadziłem czarnego ocelota z Gór Skalistych, żeby go przepędzał za krokiew - zażartował.

- Kłamałeś? - rzuciła się na niego Diana ze śmiechem.

Corey uściskała go serdecznie. Babcia dała mu tuzin ciasteczek i bochenek świeżo upieczonego chleba.

Rozdział 38

Niejasna sytuacja, jaka zapanowała przy pożegnaniu, była jeszcze bardziej niejasna teraz, w samochodzie, bo Diana nie wiedziała, jak się mają z Cole'em rozstać. Wymeldował się już z hotelu, gdy wyjeżdżali i jego walizka leżała w jej bagażniku, a piloci czekali na powiadomienie o terminie startu.

Jeżeli lokalne stacje telewizyjne jeszcze nie pokazały sceny, w której Cole ofiarowuje jej naszyjnik, z pewnością w porannych poniedziałkowych gazetach pojawią się zajęcia z komentarzem. Zrazem potem będą informacje o ich ślubie. Diana była tak wykończona, że przytłaczała ją myśl o najbliższej przyszłości. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał 19:15 i perspektywa samotnego wieczoru w swym mieszkaniu, w oczekiwaniu na jutrzejsze obłożenie telefonów, komentarzy, spojrzeń ze strony zarówno przyjaciół, jak współpracowników i dziennikarzy, przyprawiała ją o depresję.

Skreśliła w kierunku San Felipe i postanowiła zaprosić Cole'a na drinka. Na pewno jest jeszcze wiele spraw, które muszą omówić. Obserwował ją i jej wyraz twarzy i domyślił się powodu.

- Może byś mnie zaprosiła na drinka? - zaproponował.

Roześmiała się.

- Właśnie miałam zamiar to zrobić.

* * *

Położone na najwyższym piętrze mieszkanie Diany miało przeszklone ściany zewnętrzne, za którymi rozpościerał się wspaniały widok, a przestronne wnętrze było z pewnością dziełem profesjonalnego dekoratora. Cieniutkie białe firanki, elegancko udrapowane, dopełniały wystrój, na który składał się gruby, biały dywan, białe sofy i fotele. Tu i ówdzie pojawiały się barwniejsze akcenty, w postaci jedwabnych bukiecików i poduszek w kolorach fiołkowo-różowym i jasnozielonym. Gdy byli tu przed południem, mieszka-

nie wydawało mu się luksusowe i świetnie urządzone, ale teraz zdziwił się, że brakowało tu takiego domowego wykończenia, jakie królowało w domu w River Oaks.

Na stoliku obok sofy piszczał pager, a na automatycznej sekretarce błyskało światelko. Podeszła wprost do pagera.

- Rozgość się - powiedziała, jedną ręką wykręcając numer, w drugiej trzymając pager. - Mam tu telefon od Cindy Bertrillo. która jest naszą specjalistką od wizerunku firmy - wyjaśniła.

- To może ja przygotuję coś do picia - zaproponował Cole. Posiała mu uśmiech wdzięczności, słuchając sygnału w telefonie. Wskazała głową na prawo, mówiąc.

- Barek jest na środku kuchni. Dla mnie samą coca-cola.

U Cindy nikt nie odpowiadał, więc odłożyła słuchawkę i wcisnęła przycisk na magnetofonie automatycznej sekretarki. Dziesięć z jedenastu wiadomości to były pytania znajomych o Cole'a Harrisona. Niektórzy widzieli już w wiadomościach, jak jej wręczał naszyjnik za czterdzieści tysięcy dolarów. Nie słuchała już dokładnie, gdy tylko zorientowała się, o co chodzi.

Ostatnie nagranie pochodziło od Cindy Bertrillo, sprzed dwudziestu minut.

- Diana, tu Cindy. Właśnie wróciłam z Austin od mojej siostry i zastałam na sekretarce jakieś przedziwne telefony z prasy i telewizji. Próbowalam cię złapać u twojej rodziny, ale powiedzieli, że pewnie jesteś w drodze do siebie. Muszę ci przekazać wydrukowane informacje o zestawie na święta, więc wpadnę i przy okazji opowiem ci osobiście, co mi nagrali. Nie powiedziałam nic twojej rodzinie - dodała, chichocząc - ale zaczekaj, aż usłyszysz, co opowiadają! Jeżeli cię nie będzie, zostawię te materiały u portiera. Pa.

Brzęczyk przy drzwiach zabzyczał, nim Diana sięgnęła do przycisku „przewijanie”. Cindy, która zawsze jeździła z nią na wszelkie występy telewizyjne i radiowe, stała się przez te kilka lat kimś więcej niż współpracownikiem, była przyjaciółką. Wiedziała doskonale, że Diana była zaręczona z Danem przez dwa lata i wiedziała, że wśród mężczyzn, z jakimi chodziła poprzednio, na pewno nie było Cole'a Harrisona.

Cindy wbiegła, jak świeży powiew, opalona, uśmiechnięta, pełna energii.

- Miasto trzęsie się od plotek - oświadczyła radośnie, przesuając okulary przeciwsłoneczne na czoło i idąc za Dianą w kierunku sofy Diana była zbyt spięta, żeby usiąść, Cindy była zbyt rozkojarzona, żeby usiąść, więc stały naprzeciwko siebie, przedzielone sto-

likiem-ława. gdy przyjaciółka wybuchnęła. - Nigdy w to nie uwierzysz! - zaczęła. - Co robiłaś wczoraj wieczorem? Tańczyłaś z Cole'em Harrisonem, czy tylko się do niego uśmiechnęłaś?

- Tak - odpowiedziała Diana słabo, nie mogąc się zebrać na odwagę, żeby jej powiedzieć choćby chwilkę wcześniej, niż będzie musiała. - Jedno i drugie.

- Poczekaj, aż ci powiem, co prasa z tego zrobiła! - powiedziała Cindy, krztusząc się ze śmiechu. - Redaktor od spraw gospodarczych z „Chronicie”, reporter z Associated Press i producent z Financial News Report nagrali mi prośby o potwierdzenie przypuszczeń, że Foster Enterprises chce się połączyć z Unified Industries! - wyrzuciła ręce w górę ze śmiechem. - Równie absurdalne, jak płotka, która chciałaby połączyć się z rekinem! - Zauważyła, że Diana spojrzała w stronę kuchni. - Ale nie słyszałaś jeszcze najlepszego - oznajmiła, a Diana znów słuchała z uwagą. - Jakaś kobieta, która przedstawiła się jako ty, zadzwoniła do CNN i do Maxine Messenger i powiedziała, że właśnie wyszła za mąż za Cole'a Harrisona! Czy możesz w to uwierzyć?

- Nie - przyznała Diana zgodnie z prawdą. - Jeszcze nie.

- Facet z CNN powiedział, że kobieta mówiła tak, jakby trochę wypięła. Nasze lokalne stacje też chcą wiedzieć prawdę. Co mam im powiedzieć, jak zadzwonią?

Cole stanął w drzwiach, podziwiając rumieniec Diany na porcelanowych policzkach, który jeszcze się pogłębił, gdy przyjaciółka spytała:

- Czy mam plotki, dotyczące twojego małżeństwa z Harrisonem, nazwać „niedorzecznymi” czy „po prostu niedorzecznymi”? A może jakoś delikatniej?

Na dźwięk głębokiego barytonu Cindy odwróciła głowę i zobaczyła ciemnowłosego mężczyznę, który, unosząc kieliszek do ust, zaproponował:

- Ja osobiście zrobiłbym to delikatniej.

Pod wpływem szoku zapomniała o manierach.

- Co pan by zrobił? Kim pan jest?

Odsunął kieliszek, ukazując twarz.

- Jestem rekinem, który wczoraj w nocy ożenił się z płotką.

Cindy przysiadła na oparciu sofy.

- Szubienica to dla mnie za mało - powiedziała słabym głosem. Doszła jednak do siebie, kiedy on stanął za Dianą i objął ją w pasie.

- Jestem Cindy Bertillo - powiedziała, wstając i wyciągając do niego rękę. - Była rzeczniczka prasowa Foster Enterprises.

Cole spodziewał się jakiejś reprimendy ze strony szefowej, bo on na pewno tak by zrobił, ale ujęło go również przerażenie i poczucie humoru dziewczyny. Przez kilka minut wprowadzali ją w sprawę swojego małżeństwa, po czym natychmiast zaczęła z wrodzonym talentem komponować publiczne oświadczenie. Wkrótce stało się jasne, że najlepszym rozwiązaniem będzie zorganizowanie krótkiej konferencji prasowej jutro przed południem. Wprawdzie dziennikarka tego nie powiedziała, ale Cole wyczuł, że z zawodowego punktu widzenia była zachwycona uwolnieniem się Diany od stygmatu porzuconej przez Penwortha, a twarz jej się rozpromieniła na wieść, że znali się od wielu lat. Kiedy zakończono spotkanie, Diana odprowadziła ją do drzwi, a potem weszła do kuchni, gdzie Cole nalewał sobie wody do szklanki.

- Gdzie chciałbyś dzisiaj spać? - zapytała.
- A jaki mam wybór?
- Tutaj - odpowiedziała niewinnie - albo w hotelu Balmoral.
- Tutaj.
- Skinęła głową.
- To może zadzwoń do swoich pilotów, powiedz o zmianie planów i wnieś na górę swoją walizkę, a ja przygotuję pokój gościnny.

Rozdział 39

Kiedy Diana ścieliła łóżko w pokoju gościnnym, przez głowę zaczęły jej przelatywać wspomnienia wczorajszego snu. Z jednej strony wydawał się tak realny, z drugiej... niemożliwy. To dziwne, unoszące się łoże, demoniczny kochanek, przy którym zachowywała się jak nigdy w rzeczywistości. Nieustępliwe usta, łagodne dłonie... delikatne... szorstkie. Potrząsnęła głową i sięgnęła po poszewkę na poduszkę, zawstydzona tymi myślami, ale gdy wsuwała poduszkę, znów wróciły. Niebieskie światła. Mały pokój, niski sufit, wszędzie petno pary, dymu czy czegoś innego, co sprawiało, że wszystko wydawało się szare. Szare.

Cole wszedł cicho do pokoju, niosąc torbę z frakiem w prawej ręce, a teczkę w lewej.

- Czy mógłbym...

Diana odwróciła się, powstrzymując krzyk, i złapała się ręką za bluzkę na wysokości serca.

- Och, to ty...

Zmierzył ją strapionym wzrokiem, kładąc teczkę u stóp łóżka.

- A kogo się spodziewałaś? Kuby Rozpruwacza?

- Czegoś w tym rodzaju - powiedziała sucho, wygładzając przykrycie.

- Czy to przy mnie jesteś taka nerwowa?

Odwróciła się i patrzyła, jak powoli zdejmuje marynarkę, zafascynowana intymnością takiej zwykłej czynności.

- Nie, oczywiście, że nie - zapewniła go niezgodnie z prawdą.

Wciąż na nią patrząc, rzucił marynarkę na krzesło i zdjął krawat. Przez moment Dianie wydawało się, że ma zamiar się rozebrać.

W kącikach jego ust pojawił się znaczący uśmiech, gdy rozpiął guzik przy kołnierzyku białej koszuli.

- Jednak to przeze mnie się denerwujesz.

Pomyślała szybko, jak usprawiedliwić tę reakcję i powiedziała, częściowo zgodnie z prawdą:

- To naprawdę nie ma związku z tobą. Kiedy poszedłeś po swój bagaż, zaczęłam rozmyślać nad moim wczorajszym snem. To był bardzo... hm... sugestywny pod pewnymi względami sen. Wydawał się taki prawdziwy.

Rozpiął drugi guzik u koszuli, z dziwnym błyskiem w oku.

- Jaki to był sen?

- Pamiętasz taki stary thriller „Dziecko Rosemary”?

Cole przypomniał sobie coś o opętaniu przez demona i skinął głową.

- Bohaterce zaaplikowano narkotyk, a następnie zmuszono do stosunku z diabłem.

Diana skinęła głową i odwróciła się, pstrykając nocną lampkę.

- No więc - wyjaśniła, kierując się do drzwi - zeszłej nocy ja byłam taką kobietą.

Palce Cole'a zamaryły na trzecim guziku u koszuli. Zupełnie nieświadoma wagi swoich słów, obróciła się w drzwiach, z ręką na wyłączniku,

- Twoja łazienka jest tu po prawej. Czy coś ci mogę przynieść, nim pójde spać?

- Przydałby się duży bandaż - powiedział gorzko.

Diana zrobiła wielkie oczy, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

- Na co?

- Na moje ego.

Jakaś klapka w mózgu zablokowała jej przejście od słyszenia do logicznego myślenia. Skinęła głową i wycofała się z pokoju.

- No, to dobranoc.

* * *

Będąc bezpieczna za drzwiami swego pokoju, machinalnie przygotowywała się do snu. Stojąc pod natryskiem, recytowała sobie w myślach tytuły artykułów z ostatnich trzech numerów „Piękniejsze życie Fosterów”. Susząc włosy, musiała sobie przypomnieć nazwiska wszystkich uczniów, kiedy była w siódmej klasie. Kiedy ubierała się w piżamę, układała listę prezentów gwiazdkowych. Gdy podeszła do toaletki, zmienić godzinę na budziku radiowym, wybuchnęła łzami.

Złapała garść chusteczek z pudełka przy łóżku i pomaszerowała do szeląga, na drugi koniec pokoju. Rzuciła się na niego i pozwoli-

ła sobie na łzy, które gromadziła już od kilku dni. Po raz pierwszy, odkąd przeczytała o małżeństwie Dana, zaczęła litować się nad sobą. Z rękoma na twarzy i chusteczką przy oczach, podciągnęła kołana pod brodę i kołysała się w przód i w tył, łkając.

Myślała o tym, jak Dan chwalił walory jej umysłu i urody, ale milcząco krytykował jej ciało i osiągnięcia łóżkowe.

- Drań - szepnęła i znów zaniosła się płaczem.

Pomyślała o tych zmarnowanych latach, w których starała się dopasować swoje plany do jego, po to tylko, żeby ożenił się z taką smarkulą.

- Potwór! - zatkała, znów kołysząc się w przód i w tył.

Pomyślała o swoim szaleńczym małżeństwie z Cole'em Harrisonem i zapłakała jeszcze bardziej.

- Wariatka.

Pomyślała o sobie, słaniającej się na nogach podczas swego ślubu i jęknęła.

- Idiotka!

Pomyślała o tym, jak zachowywał się dziś rano Cole, czule leżąc ją z kaca i dobrodusznie, z rezerwą opisując jej pijackie dokonania ubiegłej nocy. Pomyślała o śnie, który nie był snem, o sypialni w kolorach zamglonej szarości w prywatnym odrzutowcu, który pruł niebo, a potem podskoczył na pasie startowym, mijając błękitne światła. Pomyślała o mężczyźnie, który chciał się oprzeć jej kretyńskim próbom uwiedzenia go, ale w końcu ustąpił. Umówili się wyraźnie, że w tym małżeństwie nie ma mowy o uczuciach i seksie, ona się na to zgodziła, a przy pierwszej możliwej okazji rzuciła się na niego. Cole, z natury uprzejmy, przemógł swoją awersję do niej i uległ.

W zamian za jego dobroć i poświęcenie, ona go właśnie śmiertelnie obraziła, porównując jego sztukę miłosną do przerażającej sceny z wysłannikiem szatana. Był bardzo wrażliwy na temat różnicy w ich pochodzeniu i na pewno tym porównaniem sprawiła mu szczególną przykrość.

Oparła twarz na podciągniętych kolanach i znów zaniosła się płaczem, tym razem ze wstydu i poczucia winy. Płakała tak długo, aż rozbolała ją głowa, ale w końcu wypłakała wszystko, otarła oczy i wydmuchała nos. Patrzyła na obraz wiszący naprzeciwko niej, podsumowując przeszłość i robiąc plany na przyszłość. Zatrudni większe kierownictwo, rozdzieli odpowiedzialność, żeby mieć więcej czasu dla siebie. Zrobi sobie długie, dwumiesięczne wakacje. Pojedzie do Grecji, popływa luksusowym statkiem, zwiedzając wyspy,

odwiedzi przyjaciół w Paryżu, zwiedzi Rzym, może Egipt. Może nawet pozwoli sobie na drobny romansik. Może dwa. Jak na dzisiejsze standardy żyła jak zakonnica. Będzie uważała, żeby nie złamać umowy i nie przynieść wstydu Cole'owi.

Cole. Przemysłała sytuację jeszcze przez chwilę, po czym wstała i wyjęła z szafy szlafrok. Winna mu była jak najszersze przeprosiny.

* * *

Cole siedział oparty o ścianę, z naciśniętymi zębami i słuchał dochodzącego z sąsiedniego pokoju płaczu, raniącego mu serce. Jest pariasem, pomyślał, pogardzając sobą, diabłem, który niszczy każdego, kogo dotknie. Jest Harrisonem i nie powinien zadawać się z przyzwoitymi ludźmi. Nie miał prawa wspinać się wyżej niż inni Harriaonowie. Potrafił zrobić pieniądze, lepiej się ubrać, wyzbyć akcentu, ale nie potrafił się wyzbyć brudu Kingdom City, jaki przyłgnął do jego duszy, bo miał go w genach.

Mógł zawrzeć umowę z jakąkolwiek inną kobietą, aktorką, kelnerką, zdemoralizowaną damą z towarzystwa, ale nie z Dianą Foster. Ona była inna, wyjątkowa, ponętna, porywająca... Nie miał prawa podejść do niej wczorajszego wieczoru, a tym bardziej namówić jej na to małżeństwo. Był cholernym draniem, że poszedł z nią do Łóżka, chociaż obiecywał sobie, że to się nie wydarzy. Jego obietnica nie wytrwała nawet jednego dnia! Usłyszał pukanie do drzwi.

- Cole, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Weszła, ubrana w biały jedwabny szlafrok z granatowym monogramem na kieszonce, ściskając w rękach chusteczkę. Cole odczuł dawno zapomniane wyrzuty sumienia. Dwadzieścia cztery godziny temu wkroczyła do hotelu, jak dumna królowa, a po jednym dniu małżeństwa z Cole'em Harrisonem wyglądała jak rozbitek życiowy. Jeśli będzie jego żoną rok, może wyglądać tak nieszczęśliwie i beznadziejnie jak jego matka.

- Dianio - zaczął, starając się mówić obojętnie.

- Usiądź, proszę - przerwała mu drżącym głosem, podchodząc do wypchanych foteli, stojących naprzeciwko siebie. - Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy.

Zaraz odwoła ich umowę.

- Chyba wiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Przede wszystkim, chcę cię przeprosić za to dziecinne podejście do całej tej sprawy. Byłam tak okropnie przejęta tym, co ludzie

powiedzą, że aż wstyd. Jestem bardzo dumna, że wyszłam za ciebie za męża i poczawszy od jutra, nikt nie będzie mógł w to wątpić-

Cole patrzył na jej bladą twarz zupełnie zaskoczony. Spojrzała na swoje splecione dłonie, w końcu uniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Po drugie, chcę ci powiedzieć, jak bardzo żałuję tego, co wydarzyło się w samolocie zeszłej nocy.

- Nie chciałbym ryzykować zbyt daleko idących wniosków, ale czy nie dlatego ostatnia noc była możliwa, że się wzajemnie przyciągamy? Bardzo cię pragnąłem. I wiem, że ty pragnęłaś mnie. - Urok jego leniwego uśmiechu miał taką samą moc jak to, co mówił. - Poza tym - dodał czule - wiem z wiarygodnego źródła, że pragnęłaś mnie już wiele lat temu.

Wstała, a on za nią.

- Nie mam zamiaru przeproszać ani żałować tego, co się stało - powiedział. - Oboje tego chcieliśmy. Mamy spędzić razem tydzień. Jesteśmy małżeństwem. - Diana czuła, że poddaje się urokowi tego ciepłego barytonu. - Co więcej, lubimy się i jesteśmy przyjaciółmi. Czy możesz się z czymś tu nie zgodzić?

- Nie - odpowiedziała, wpatrując się w niego. - Co sugerujesz?

- Proponuję, żebyś rozważyła spędzenie ze mną prawdziwego miodowego tygodnia, kiedy pojedziemy na ranczo. Nie musisz teraz odpowiadać. Pomyśl o tym. Obiecujesz?

Diana zawahała się.

-Tak.

- W takim razie - wycisnęła na jej czole braterski pocałunek - proponuję również, żebyś natychmiast stąd wyszła, nim zmuszę cię do kolejnego decydującego kroku w twoim życiu.

Rozdział 40

Cole przyzwyczał się do tego, że gdy wchodzi do jakiegoś biura, wszyscy niezależnie od pici, poznają go, ale nikt nigdy nie przyglądał mu się tak dokładnie, jak dzisiaj, kiedy wszedł do Foster Enterprises. W ciągu kilku minut zorientował się, że stosunki Diany z podwładnymi są znacznie swobodniejsze, niż jego i niewątpliwie jest przez nich bardziej lubiana, niż on przez swoich.

Cole'a traktowano z podziwem, ze strzchem, a czasami nawet z ukrywaną wrogością, ale zawsze traktowano go z szacunkiem, Nigdy jednak nie traktowano go tak na luzie i serdecznie. Tutaj dawano mu rady, żeby dbał o Dianę, komentowano ze śmiechem ich różnicę wzrostu, zapewniając, że wobec tego on będzie głową rodziny oraz prawiono mu komplementy na temat jego wyglądu. Z początku był zdumiony, później zaczęło go to bawić. Jakaś szparka dwudziestolatka w dziale wydawniczym pochwaliła jego krawat, a plastik na wózku inwalidzkim spytał, ile musi dziennie ćwiczyć, żeby być w takiej formie. Kiedy wychodzili z działu sprzedaży, któraś z pań zrobiła uwagę, po której spojrzeli na Dianę z niedowierzaniem.

- Co ona powiedziała? - spytał szeptem.

Diana opuściła głowę, tłumiąc śmiech.

- Powiedziała, że masz zgrabny tyłek.

- To dobrze usłyszałem. - Popatrzył na nią. - Ta kobieta w ostatnim dziale, która miała atrament na palcach, powiedziała, że jej się podoba mój krawat. Dziękuję, że mi go pożyczyłaś.

Dzisiaj rano zorientował się, że jedyny krawat, jaki zabrał, był nie w granatowy wzorek, jak mu się zdawało, ale w czarny. Diana rozwiązała jego problem, przynosząc z szafy pudełko z krawatem.

- Spodobał mi się, jak go zobaczyłam, więc kupiłam dla... ko-

Uznał, że kupiła go dla Penwortha, więc chętnie go wziął, chociaż był żywszy niż te konserwatywne Jakie zawsze nosił.

- To nie pożyczka, to prezent - powiedziała teraz. -I nie był dla Dana. Jak widzę coś takiego, co mi się spodoba, kupuję, żeby mieć na wszelki wypadek.

Konferencja prasowa miała się odbyć w dużym gabinecie Diany, gdzie zebrało się już około trzydziestu dziennikarzy i fotoreporterów. Nim weszli, odwróciła się i poprawiła mu krawat typowo żoninym ciepłym gestem, co w ich sytuacji było czymś znacznie bardziej intymnym.

- Doskonale - stwierdziła.

Cole pomyślał, że to ona wygląda doskonale w jedwabnej cytrynowej sukience z białym kołnierzykiem i białymi mankietami. Powiedział jej o tym jego zachwycony wzrok. Puściła jego rękę i otworzyła drzwi do swego głośnego i zatłoczonego gabinetu. Najpierw zauważył siedzących w pobliżu biurka Diany jej dziadków, mamę i Corey. Był to pokaz rodzinnej solidarności, która go bardzo poruszyła. Przeszedł na front pokoju, słysząc bzykanie kamer i flesze aparatów. Następnie zauważył, że atmosfera tej konferencji prasowej różniła się zasadniczo od tych, jakie znał z dotychczasowych swych doświadczeń. Nie czuło się wrogości ani podejrzliwości. Dziennikarze, zamiast wykrzykiwać w jego stronę dwuznaczne pytania, żartowali na temat jego długiego stanu kawalerskiego i prawa kobiety do zmiany planów. Bardzo eleganckie potraktowanie zdrady Penwortha, pomyślał Cole. Diana znosiła wszystko z anielskim spokojem, a uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- Od jak dawna się znacie? - spytał ktoś.

- Poznaliśmy się, kiedy Cole był na studiach - odpowiedziała Diana, pilnując, żeby odpowiadali na zmianę, jak radziła Cindy.

- Kiedy miodowy miesiąc?

- Jeszcze w tym tygodniu, jak tylko uporządkujemy swoje sprawy zawodowe - odpowiedział Cole, mając na myśli odwiedziny u wuja.

- Dokąd państwo jadą?

Diana otworzyła już usta, żeby odpowiedzieć, ale Cole jej nie pozwolił.

- Jesteście ostatnimi ludźmi na świecie, którym byśmy i o powiedzieli - odparł żartobliwie, co było w absolutnej sprzeczności z opinią, jaką miała o nim prasa.

Wszystko odbywało się bez zakłóceń, aż do ostatniego pytania, jakie zadał chudy mężczyzna w okularach, siedzący w pierwszym rzędzie.

- Panie Harrison, czy zechciałby pan skomentować pogłoski, ja-

koby Komisja Specjalna przygotowywała się do śledztwa w sprawie ewentualnych nieprawidłowości w sprawie przejścia Cushmana?

Cole poczuł raczej, niż zobaczył, że Diana zastygła bez ruchu i miał ochotę złapać tę grudę za kark i wyrzucić przez okno. Ku zdumieniu wszystkich, to babcia rzuciła się z pięściami, chociaż tylko werbalnie.

- Młody człowieku - zwróciła się do czterdziestoletniego dziennikarza. - Widzę, że jada pan pożywienie hodowane na sztucznych nawozach i źle wpływa to na pańskie usposobienie!

Wszyscy w pokoju wybuchnęli śmiechem, który rozlegał się jeszcze, gdy dziennikarze opuszczali gabinet Diany Limuzyna Cole'a czekała przed budynkiem, aby odwieźć go na lotnisko, żeby mógł zdążyć na konferencję w Dallas za półtorej godziny. Był wściekły na dziennikarza i wdzięczny swej tymczasowej rodzinie, zwłaszcza babci Diany. Popatrzył na Fosterów i nie miał pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedząc, jak się zachować, uśmiechnął się ogólnie do wszystkich, po czym nachylił się i pocałował Dianę w policzek braterskim gestem.

- Do zobaczenia w czwartek.

Zamknął za sobą drzwi, pozostawiając rodzinę samą w gabinecie Diany. Henry Britton odezwał się pierwszy.

- Zastanawiam się - powiedział, spoglądając na otwarte drzwi - kiedy ostatnio ktoś się ujął za tym chłopakiem.

Corey została jeszcze z Dianą, żeby pomóc jej uporządkować gabinet. Uwagi Spence'a na temat rzekomo wątpliwych praktyk w interesach Cole'a oraz aluzja dziennikarza na temat śledztwa Komisji Specjalnej wciąż chodziły jej po głowie. Podniosła gumkę-recepturkę i skrawek papieru z jasnoniebieskiego dywanu. Diana odstawiła na miejsce cztery krzesła, podeszła do swego biurka i przysiadła na nim.

- Corey?

Corey popatrzyła na siostrę z płomiennym uśmiechem, podnosząc ostrożnie z półki kryształowego pawia z kolekcji Diany i ustawiając go pośrodku małego stolika.

- Hm?

- Co się stało?

Corey cofnęła się, żeby sprawdzić, czy paw stoi w odpowiedniej odległości od kryształowej miseczki i przesunęła ją pięć centymetrów w lewo.

- Nic się nie stało. Dlaczego?

- Bo to ja jestem pedantką. Ty jesteś bałaganiarą.

Corey cofnęła rękę od następnych figurek, które już miała przedstawiać, i odwróciła się.

- Dziennikarze zawsze wytrącają mnie z równowagi.

- Zwłaszcza - domyśliła się Diana - kiedy snują jakieś obraźliwe insynuacje w stosunku do twego nowego szwagra?

- Zwłaszcza wtedy - przyznała Corey, wdychając. Nie chciała martwić siostry uwagami Spence'a, ale musiała ją jakoś ostrzec.

- Spence mówił wczoraj, że Cole narobił sobie wielu wrogów.

- Oczywiście - odparła Diana, wcale się nie przejmując. - Jedyнным sposobem na to, żeby nie mieć wrogów, jest nie odnosić żadnych sukcesów.

Było to logiczne, ale najbardziej zaimponowało Corey, że siostra potrafiła w takim momencie być spokojna i opanowana. Oparta o biurko zgrabna kobieta, starannie uczesana, w jasnej, jedwabnej sukience, wyglądała raczej na modelkę, niż na dyrektora. Zdołała założyć świetnie prosperujące przedsiębiorstwo i prowadzić je, nie tracąc niczego ze swej kobiecości. Corey uśmiechnęła się i wypowiedziała swą myśl.

- Dzięki tobie, siostrzyczko, my, kobiety, możemy być dumne - powiedziała ciepło i znikła, salutując.

* * *

Diana popatrzyła przed siebie rozmarzonym wzrokiem, wspominając czułe, niezapomniane słowa, jakie wypowiedział Cole wczorajszego wieczoru i rozmyślając o miodowym tygodniu, który rozpoczyna w czwartek. Nim powróciła do rzeczywistości, było już za późno, żeby zadzwonić do Douga przed zebraniem produkcyjnym. Nie chciała, żeby dowiedział się o jej ślubie z wiadomości, wolała powiedzieć mu sama.

Doug chodził już po jej gabinecie tam i z powrotem, kiedy wróciła z zebrania. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Na wszelki wypadek Diana zamknęła drzwi, a on ledwo usłyszał trzask zamka, wybuchnął.

- Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego, idiotycznego, takiego... żeby wyjść za takiego łobuza! Na głowę chyba upadłaś!

Diana chciała mu wytłumaczyć, uspokoić, ale tak się zdenerwowała tym, co Doug powiedział, że stanęła za biurkiem. Stała w milczeniu, a on chodził wściekły po pokoju, niemal wyrwijąc sobie włosy z głowy.

- Musisz się go pozbyć! Natychmiast. Dzisiaj. Ogłoś, że cię oszłomił narkotykiem, cokolwiek, ale trzymaj się od niego z daleka. On nie jest godzien, żeby przebywać z tobą w jednym pokoju. Nadaje się tylko do wyrzucania gnoju!

- Och, ty snobie! - wybuchnęła Diana.

- Jeżeli pogarda dla mafiosa korporacyjnego oznacza snobizm, to rzeczywiście jestem.

- Jak śmiesz tak mówić! A kim ty właściwie jesteś?

Jej upór jeszcze bardziej go rozwścieczył. Uderzył obiema rękami o blat biurka i powiedział przez zaciśnięte zęby.

-Jestem twoim przyjacielem. Proszę, zrób to dla mnie i pozbadź się tego skurwysyna.

- Jesteś zupełnie irracjonalny.

Znów zaczął chodzić po pokoju.

- Co zrobić, żebyś zrozumiała? - Stał i znów odwrócił się do niej. - Skończyło się już jego kombinowanie na giełdzie. Teraz zajmie się nim Komisja Specjalna, a potem Urząd Federalny i wyładuje w więzieniu, gdzie jego miejsce. Stan Teksas też się nim zajmie. A kiedy już wszyscy skończą, będzie w dodatku zrujnowany.

Diana z trudem zachowywała spokój.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo przejęcie Cushmana było nieczyste. Jest oszustem i manipulatorem. To bestia.

- Wytłumacz mi, dlaczego tak mówisz. Daj mi jakikolwiek dowód, zamiast plotek.

- Nie mogę.

- A więc proszę - wyciągnęła do niego rękę - nie wierz w plotki. Zaufaj mojemu osądowi. Ciesz się moim szczęściem.

W końcu uspokoił się, ale jego nagły smutek był jeszcze gorszy od gniewu.

- Diano, przeszedłbym dla ciebie przed pędzącą ciężarówką, gdybyś mnie o to poprosiła, ale nie potrafię się z tego cieszyć i nie będę mógł ci pomóc, jeśli pozostaniesz jego żoną.

- Mam zamiar pozostać jego żoną - powiedziała z takim przekonaniem, że aż sama się zdziwiła.

Zbladł, jakby mu dała w twarz.

- Ten drań rzeczywiście doskonale sobie radzi z kobietami w każdym wieku, co? Nawet z tobą. Jesteś w stanie zrobić dla niego wszystko.

Diana uważała, że Doug wiedział o wszystkich podkochujących się w Cole'u panienkach, kiedy byli nastolatkami. Nie miała zamiaru mu odpowiadać. Czuła Izy w gardle, gdy jej przyjaciel od dzieciństwa podszedł do drzwi.

- Doug? - odezwała się zbolalym głosem.

Odwrócił się.

- Słucham?

- Do widzenia - szepnęła z żalem.

Rozdział 41

Cole nie mógł uwierzyć, że minęło zaledwie kilka dni, odkąd przechodził ostatnio przez drzwi biurowca Unified. Ożenił się z Dianą Foster. Naprawdę to zrobił. Aż się uśmiechnął na samą myśl, przechodząc obok zdumionej recepcjonistki.

Wszystko wydawało się inne, niż ostatnim razem, jakieś nierzeczywiste. Starannie wypielegnowana trawa zaczęła mu się kojarzyć nagle ze szmaragdowym atłasem, a jezioro z drżącymi, błękitnymi kryształkami. Powiedział coś do szofera na temat pięknego dnia i niezwykle czystego nieba, a chociaż szofer zgodził się od razu, był zdumiony, że milczący zwykle szef zajął się taką bezproduktywną rozmową.

Oni nie zauważyli żadnej różnicy w otoczeniu, pomyślał Cole, Bo oni nie ożenili się z Dianą Foster. Nie wiedzieli, jak jest słodka. ani zabawna, jaka odważna, ani jaka piękna. Ich żony na pewno nigdy nie zabierały na biwak środka przeciwko wężom, nie płakały podczas własnego ślubu, ani nie siadały im na kolanach i nie opowiadały dowcipów. Nigdy nie ubierały się w fioletowe jedwabne suknie wieczorowe, nie przechodziły w nich przez salę balową, jak królowa, nie upijały się szampanem i nie dzwoniły do CNN, żeby zawiadomić o własnym ślubie...

Właśnie kończyło się zebranie kierownictwa, gdy Cole przechodził do swego gabinetu między stanowiskami sekretarek. Kilkunastu kierowników opuszczało salę konferencyjną, a wśród nich Dick Rowse i Gloria Quigley z Działu Reklamy i Allan Underwood, zastępca dyrektora Działu Zasobów Ludzkich. Popatrzyli na niego z niepewnymi uśmiechami na ustach, aż Allan Underwood przełamał ciszę.

- Co za niespodzianka! - powiedział, mając oczywiście na myśli małżeństwo Cole'a z Dianą. Inni natychmiast dołączyli chórem.

- Gratulacje, Cole.
- Wspaniale!
- Jak miło!
- Cudownie!

Cole był w niezwykle beztróskim nastroju.

- A więc wszystkim wam podoba się mój nowy krawat?
- Co nowego? - spytała nieprzytomnie Gloria.
- Mój krawat - odpowiedział Cole, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu i błysku w oczach. - Jest bardziej jaskrawy, niż te, które zwykle noszę.

- Myślałem o twojej nowej...

- Tak?

- ...żonie.

- Ach, tak - Cole już nie próbował ukryć uśmiechu. - To ona dała mi krawat.

Odwrócił się i wszedł do swego gabinetu. Kierownicy popatrzyli na siebie.

- Czy on mówił poważnie na temat krawata? - spytał Underwood.

Gloria zrobiła śmieszna minę.

- Nie, to był żart!

- Cole nigdy nie żartuje - zaprotestował Dick Rowse.

- Ale teraz żartuje - oznajmiła Gloria i pomaszerowała do swego gabinetu.

* * *

- Moje gratulacje, panie Harrison - powiedziała ze służbowym uśmiechem sekretarka, wchodząc za nim do gabinetu z notesem w ręku. - Jestem wielbicieleką rodziny Fosterów - wyznała Shirley Forbes.

- Ja też - odpowiedział z uśmiechem Cole, otwierając teczkę i wyjmując z niej dokumenty. Musiał przestać myśleć o Dianie i zacząć się pilnymi sprawami. - Powiedz Johnowi Nederly, że chcę się z nim zobaczyć.

Shirley skinęła głową.

- Dzwonił już dzisiaj dwa razy.

* * *

- Gratuluję ci, Cole - powiedział Nederly, wchodząc. - Moja żona zadzwoniła do mnie przed godziną z wiadomością o twoim ślubie. Cieszy się bardzo, że może będzie miała okazję poznać pannę Foster któregoś dnia. Jest jej wielbicieleką.

Cole nie chciał tracić czasu na uprzejmości.

- Zamknij drzwi - powiedział krótko. - Co się, do diabła, dzieje? - spytał, opierając się w fotelu i spoglądając z niechęcią na jednego z najzdolniejszych absolwentów prawa z Uniwersytetu Harvarda. - Dzisiaj rano jakiś dziennikarz powiedział mi na konferencji prasowej, że Komisja Specjalna prowadzi przeciwko mnie śledztwo.

Nederly potrząsnął głową.

- Nieprawda. Komisja zleciła giełdzie nowojorskiej zbadanie przejęcia Cushmana, co jest dopiero pierwszym krokiem.

- A potem co?

- Komisja daje swoje sprawozdanie w Kongresie i niezależnie od tego, czego dopatry się giełda, wydaje własną decyzję. Jeśli uznają, że można ci udowodnić przestępstwo, dostaniesz wezwanie na przesłuchanie przed sędzią Komisji Specjalnej. Jeżeli on uzna twoją winę, przekaże sprawę dalej do sądu federacyjnego i wtedy prawdopodobnie staniesz przed ławą przysięgłych. Nie jestem w stanie przewidzieć, o co cię oskarżą. Na pewno o manipulacje giełdowe, zapewne o oszustwo. Nie zarzucą ci fałszywania fałszywych informacji, chyba że udowodnią, że sfałszowaliśmy wyniki testów.

- Powiedz mi coś - odezwał się Cole cichym, wściekłym głosem.

- Czy nie uważasz, że ostatnia część twego wystąpienia była nieco przedczesna?

Nederly spuścił wzrok i wpatrywał się w swój garnitur, po czym strzepnął pyłek z nogawki.

- Być może chciałem popisać się wiedzą - usiłował żartować.

- Albo co? - podchwycił Cole.

Nederly westchnął.

- Albo czuję, że sprawa jest niepewna, Cole. Śledztwo giełdy nowojorskiej przebiega w podejrzenie szybkim tempie i słyszałem już z dość wiarygodnego źródła, że jest ono tylko rutynową formalnością. Komisja Specjalna już uważa, że ma wystarczające powody, żeby cię wezwać przed własny sąd.

- Jakie „wystarczające powody”?

- W jednym tygodniu akcje Cushmana sprzedaje się po dwadzieścia osiem dolarów i rosną, bo prowadzone są prace nad nowym mikroprocesorem. W następnym tygodniu na Wall Street i w mediach słychać pogłoski, że nowy mikroprocesor nie jest udany. Akcje spadają do czterech dolarów, a ty kupujesz całą spółkę. Wygląda to cholernie podejrzanie!

- Nie zapominajmy, że płaciłem dziewiętnaście dolarów za akcje, nie czternaście.

- Musiałeś to zrobić, żeby kupić całą spółkę. Nie przeczę, że akcjonariusze Cushmana zrobili dobry interes, zamieniając ich akcje na nasze. Zrobili jeszcze lepszy, bo załatwiłeś im wymianę zwolnioną od podatku.

- Więc czemu, do diabła, narzekają?

- Jak powiedziałem, na oko wygląda to podejrzenie.

- Nic mnie to nie obchodzi, jak wygląda...

John pokręcił głową z poważną miną.

- Myślę, że powinno cię obchodzić.

- Czy to najlepsza rada prawnika, jaką masz do zaoferowania?

- Nic innego nie możesz teraz zrobić.

- Akurat - odpowiedział Cole i przycisnął Intercom. - Shirley, połącz mnie z Carrothers i Fineberg w Waszyngtonie. Chcę porozmawiać z którymś z nich.

John uśmiechnął się słabo, słysząc nazwę najdroższej i najbardziej wpływowej firmy prawniczej w Waszyngtonie.

- Już im kazałem nad tym popracować. Może oni przekonają Komisję Specjalną, że działa nierozważnie.

Cole kazał sekretarce odwołać rozmowę. Zadowolony z faktu, że połączenie talentu drogich prawników z brakiem dowodów zmuszą Komisję Specjalną do porzucenia całej sprawy, oparł się wygodnie w fotelu i przyglądał uważnie Nederly'emu.

- Czy jeszcze chcesz o czymś porozmawiać? - spytał prawnik.

- O twoim krawacie - odpowiedział Cole.

Nederly wydawał się równie przestraszony potencjalnym uchybieniem w swoim nienagannym stroju, jak groźbami w stosunku do Cole'a i Unified, o których właśnie mówili.

- Co jest złego w moim krawacie?

- Jest bardzo konserwatywny.

- Ty też zawsze nosisz konserwatywne krawaty.

- Już nie - odpowiedział Cole, zdumiony odkryciem, że dosko- nale elegancki prawnik najwyraźniej go naśladuje.

Rozdział 42

Chociaż było już prawie wpół do ósmej, wiele osób z kierownictwa Unified wciąż jeszcze pracowało. On też miał pracy na godzinę, a chciał zadzwonić do Diany z domu, gdzie mógłby spokojnie porozmawiać. Rozstał się z nią niecałe osiem godzin temu, a już nie mógł doczekać się tej rozmowy. Bawił go bardziej, niż irytował fakt, że zachowywał się jak zadurzony nastolatek.

Wczesnym popołudniem zadzwonił do niego Cal i kazał sekretarce wyciągnąć go z zebrania. Zamiast być zachwycony, wściekał się, że Cole „wziął i ożenił się z pierwszą lepszą”, żeby tylko zdobyć jego podpis na transferze akcji. Ku zdumieniu Cole'a oświadczył, że takie potraktowanie sprawy jest pogwałceniem ich umowy. Cole musiał uspokajać wuja przez kilka minut i tłumaczyć, kim jest Diana.

W najbliższą środę rano Cal miał wizytę u kardiologa w Austin i Cole chciał polecić tam z nim i osobiście usłyszeć, co powie lekarz. Chciał potem zabrać Dianę z Houston, ale miała tak wypełniony dzień, że mogła wyjechać dopiero w czwartek, co oznaczało, że zobaczy się z nią o dzień później. Dzień później będą razem. W łóżku. Na samą myśl o tym, że pójdzie z nią, trzeźwą i chętną, do łóżka, poczuł podniecenie i musiał siłą woli skoncentrować się na kontrakcie, który czytał.

Ledwo złożył swój podpis u dołu strony, kiedy do jego gabinetu wszedł Travis, ubrany w golf i sportowe spodnie.

- Jesteś - odetchnął z ulgą. - Dzięki Bogu!

Travis miał niewiele ponad czterdzieści lat, miłą twarz, kiedy się nie martwił - co zdarzało się rzadko - i wysportowane ciało człowieka, który koi nerwy biegając o świcie dziesięć kilometrów. Nie był wprawdzie demonem intelektu, ale ciężko pracował i był dobrym szefem działu badawczego. Miał zdrowy rozsądek, był niezwykle lo-

jainy i oszczędnie gospodarował pieniędzmi korporacji. Z tych względów Cole ufał mu bardziej, niż komukolwiek innemu w Unified.

- Jestem - odparł z krzywym uśmiechem Cole, patrząc, jak Travis niespokojnie podchodzi do barku. - Ale jeśli chciałbyś za to komuś podziękować, to autorowi tego kontraktu, bo przebrnięcie przez niego zajęło mi prawie godzinę.

Travis popatrzył na niego nieprzytomnie, wlewając sobie do szklanceczki burbona

- To miał być dowcip, tak?

- Widocznie słaby - odpowiedział Cole, odkładając długopis. - No więc, co się dzieje?

- Nie wiem. Dlatego tu jestem i dlatego piję.

Nawet jak na Travisa, było to dziwne zachowanie.

- Myślałem, że może chciałeś uczcić mój ślub.

Travis odwrócił się ze szklanką w rękę, jakby ktoś go popchnął.

- Jak to, ożeniłeś się i nawet nie powiedziałeś Elaine i mnie? Nie zaprosiłeś nas?

Cole nawet się wzruszył, że kuzyn poczuł się dotknięty. Pokręcił głową.

- To było absolutnie nie planowane. Zdecydowaliśmy się w sobotę wieczorem i poleciliśmy do Las Vegas, nim zdążyła się rozmyślić - dodał zgodnie z prawdą. - Co cię skłania do picia?

Travis upił dwa duże łyki.

- Jestem śledzony.

Mimo, że wydało mu się to prawie nieprawdopodobne, Cole nie mógł powstrzymać ukłucia niepokoju, słysząc to.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie uważam, wiem o tym. Zauważyłem tego faceta wczoraj, wychodząc z domu. Siedział w zaparkowanym czarnym chevroletcie i przyjechał za mną aż tutaj. Kiedy dziś wieczorem jechałem do domu, zauważyłem go tu przed głównym wejściem. Pojechał za mną. Więc przebrałem się i przybiegłem teraz na skróty, żeby nie pojechał za mną. Ale i tak próbował. Widziałem.

Cole przyjrzał mu się badawczo.

- Nie masz przypadkiem żadnego romansu?

- Nie mam na to czasu ani ochoty. Poza tym, Elaine by mnie zaabiła.

Ostatnia część jego wypowiedzi była niewątpliwie prawdziwa, więc Cole uwierzył i w pozostałe.

- Czy to możliwe, że jacyś złodzieje planują włamanie do waszego domu i chcą najpierw poznać twoje zwyczaje?

Travis skończył swego drinka w dwóch haustach.

- Chyba że chodzi im o zdobycie wprawy, a nie łupu. Mamy dwa psy, elektroniczne alarmy, kamery, elektronicznie zamykane bramy. Kompletnie zabezpieczenie.

- Więc dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

Travis zapadł się w fotelu.

- Czy to nie może mieć czegoś wspólnego ze śledztwem giełdy nowojorskiej?

Uczucie obawy, jakie ogarniało Cole'a, przerodziło się w złość.

- Jeśli tak, to tylko tracą czas.

* * *

Cole popatrzył we wsteczne lustro, gdy wyjeżdżał tego wieczoru z biura. Prawie do bramy jego posiadłości jechał za nim ciemnoniebieski ford, który następnie zniknął gdzieś za rogiem. Kiedy Cole wchodził do domu, zadzwonił telefon. Usłyszał drżący szept, w którym z trudem rozpoznał głos Travisa.

- Mamy kłopoty, Cole. Coś się dzieje.

- O czym ty mówisz? - spytał Cole, marszcząc brwi. - Gdzie jesteś? Dlaczego mówisz szeptem?

- W moim gabinecie, w biurze, ale nie jestem pewien, czy jestem sam.

Cole zrzucił marynarkę.

- Co to znaczy, że nie jesteś pewien?

Gabinet Travisa znajdował się w budynku działu badawczo-rozwojowego, tam gdzie laboratorium, i miał stamtąd widok na cały teren. Po drugiej stronie słuchawki usłyszał głośne westchnienie ulgi i głos Travisa zabrzmiał nieco normalniej, choć był jeszcze wystraszony.

- Kiedy wyszedłem od ciebie, byłem zbyt roztrzęsiony, żeby wracać do domu, więc przyszedłem tu załatwić trochę papierkowej roboty. Włączyłem normalne jarzeniówki, wchodząc do budynku, a kiedy się zapalały, wydawało mi się, że widziałem w kącie jakiś cień, który zaraz znikł. Pobiegłem do swego gabinetu, potem na korytarz, ale nikogo nie zobaczyłem. Musiał zejść schodami z południowego końca budynku.

Cole przestał rozwiązywać krawat od Diany.

- Jesteś pewien, że kogoś widziałeś?

-Nie.

Cole odetchnął i zaczął przeglądać karteczki z wiadomościami, jakie zostawiła mu przy telefonie gospodyni.

- Ale jestem absolutnie pewien, że zamknąłem na klucz szafki z dokumentami, a jedna z nich jest otwarta.

- Zajmę się tym - powiedział krótko Cole. Istniała możliwość szpiegostwa gospodarczego, ale Unified miało doskonałe zabezpieczenia i alarmy. - Czy było w szafce coś takiego, co byłoby szczególnie atrakcyjne dla konkurencji?

- Nie, nic specjalnego.

- Dobrze, więc idź do domu. Zajmę się tym.

Gdy Travis się wyłączył, Cole zadzwonił do szefa ochrony, Joe Murray a i czekał cierpliwie, aż jego żona przywołała go od telewizora. Murray, rysiejący był żołnierz piechoty morskiej, o posturze zapaśnika i grzmiącym głose, żując gumę, przechadzał się zwykle po terenie Unified, zaglądając wszystkim przez ramię i sprawiając wrażenie zwykłego ochroniarza, który przez pomyłkę wyładował w pracy biurowej, przekraczającej jego kompetencje. W rzeczywistości był byłym agentem FBI, dzięki któremu dokonano wielu ważnych aresztowań. Zarabiał 225 tysięcy dolarów rocznie plus różne premie.

Kiedy odbierał telefon od Cole'a, nie silił się na udawaną wesołość.

- Mamy jakiś problem?

- Nieco ponad pół godziny temu mieliśmy jakiegoś intruza na szóstym piętrze w budynku laboratorium - poinformował go Cole.

- Travis zakończył pracę, pojechał do domu, ale postanowił wrócić, żeby jeszcze coś zrobić. Został otwartą szafkę z dokumentami. Nawet jeśli coś z niej zabrano, nie było tam nic dla nas ważnego.

- A widział kogoś?

- Wydawało mu się, że mignął jakiś cień, nim zdążyły się zapalić wszystkie światła.

- Czy Travis mógł zapomnieć i zostawić szafkę otwartą?

- To byłoby zupełnie do niego niepodobne.

- Masz rację. Zaraz tam pojadę i sprawdzę. Jeżeli strażnik na środkowym piętrze coś widział, albo jeśli ja coś zobaczę, zaraz odzwonię.

- Dobrze - powiedział Cole. - A odjutra chcę mieć ochroniarza przy głównym wejściu przez całą dobę.

- Mówiłem ci, że powinniśmy tam mieć elektroniczną bramę, a nie budkę strażnika.

W ciągu dnia w budce urzędował starszy pan z insygniami firmy na kieszeni marynarki. Był tam głównie po to, by wskazywać drogę gościom. Prawdziwą ochronę zapewniali mężczyźni w takich

samych marynarkach, siedzący przy biurkach recepcji na parterze we wszystkich budynkach. Budynek dyrekcji stanowił wyjątek. Żeby było bardziej elegancko, w recepcji siedziała kobieta, a facet W marynarce kręcił się w pobliżu.

Cole znów przeciwstawił się Murrayowi.

- Wydałem majątek, żeby tereny i budynki Unified należały do najpiękniejszych kompleksów biurowych na świecie, i nie mam zamiaru otoczyć ich murami, bramami i kordonem uzbrojonych strażników, żeby wyglądały jak więzienie.

- Twoja sprawa, Cole - odpowiedział, z niecierpliwością oczekując już tropienia intruza, póki ślady były gorące. - Jeszcze coś?

- Tak, Travis i ja jesteśmy śledzeni. Za nim jeździ czarny chevrolet, za mną - ciemnoniebieski ford.

- Macie jakieś podejrzenia, kto i dlaczego?

- Nie - odpowiedział Cole, bo nie rozumiał, dlaczego Komisja Specjalna miałyby uciekać się do takich sposobów. Urowadzenie dla okupu wydawało się zbyt absurdalne, więc pozostawała jeszcze tylko jedna możliwość, o której nie chciał rozmawiać nawet z Murrayem. - Ktokolwiek to jest, traci czas. Jeżdżąc za mną, nie znajdzie nic ciekawego ani obciążającego mnie.

- Wiesz jak ich zgubić, gdybyś tego potrzebował?

- Oglądałem filmy - odpowiedział Cole. - Jakoś wykombinuję.

Kiedy odłożył słuchawkę, zrobił sobie drinka i zaniósł do salonu, skąd przez szklaną ścianę obserwował basen o fantazyjnym kształcie, nad którym wznosił się wygięty w łuk mostek. Na końcu basenu zbudowano wodospad, z którego na tle skał wytryskiwała woda w podświetlonych cieniutkich rurkach, sprawiając wrażenie kolorowych fajerwerków, spływających na ziemię.

Oparł nogi na małym stoliku i wykręcił numer Diany. Odpowiedziała prawie natychmiast; jej łagodny głos wpływał na niego kojąco.

- Jak ci minął dzień? - zapytał.

Diana nie chciała myśleć o wizycie Douga.

- Cudownie. A tobie?

Cole odsunął irytujące sprawy, jak śledztwo Komisji Specjalnej, groźba wezwania do sądu, intruz w budynku i ciemnoniebieski ford.

- Wspaniale. Wszystkim się podobał mój nowy krawat.

Rozdział 43

Kiedy następnego ranka limuzyna Cole'a wjechała w bramę Unified, niebieski ford był pięć samochodów za nią. Kiedy ich minął, Cole zapisał numer rejestracyjny. Ktokolwiek to był, nie chciał ryzykować, wjeżdżając na teren zakładów.

- Bądź tu o piątej, Bert - powiedział Cole do szofera, który pomagał też swojej żonie, Laurel, gospodyni Cole'a. - Jeżeli nie wyjdę do wpół do szóstej, jedź prosto do domu.

- Dobrze, proszę pana.

Murray czekał już przed jego gabinetem, zabawiając Shirley i Głorię wspomnieniami ze swojej kariery młodego baseballisty. Wszedł za nim i kiedy Cole zamknął drzwi, rzucił mimochodem.

- Gloria Quigley uważa, że potrafisz dokonać cudów, a Shirley to chętnie poświadczy.

- Naprawdę? - zdziwił się, bo nigdy przedtem nie wypowiadały się pozytywnie na jego temat. - Ciekaw jestem, dlaczego.

- Lojalność - odpowiedział obojętnym tonem Murray. - Wykają ją instynktownie w stosunku do osób, które szanują.

Nie odpowiadając, Cole nagryzmolił coś w notesie i wyrwał kartkę.

- To jest numer rejestracyjny niebieskiego forda.

- Zaraz go sprawdzę - odpowiedział szef ochrony, chowając kartkę do kieszeni grafitowej, nie rzucającej się w oczy marynarki. - Twój kuzyn jest dziś wyjątkowo drażliwy - zauważył, przyglądając się swoim paznokciom. - Wiesz może, dlaczego?

- Może być kilka powodów. Giełda nowojorska prześwieśla nas na polecenie Komisji Specjalnej, śledzą go, gdziekolwiek się ruszy, a wczoraj wieczorem ktoś próbował przeglądać jego papiery.

- Rozumiem. Nawiasem mówiąc, jak się zapewne domyśliłeś, strażnik nie zauważył niczego niezwykłego. Nikt nie wchodził do budynku po szóstej wieczorem, a ludzie, którzy wychodzili, to pra-

cownicy i zna ich z widzenia. O siódmej włączyliśmy zewnętrzne alarmy przy wejściach na klatki schodowe, co oznacza, że nikt nie może tamtędy wyjść bez użycia kart magnetycznych lub włączenia alarmu, a już zupełnie nikt nie może wejść.

- Więc jak się dostał?

- Mógł się wślizgnąć wraz z pracownikami wracającymi z przerwy obiadowej, tak żeby nie zauważył go portier w recepcji, a potem kręcił się gdzieś po budynku bez identyfikatora gościa, w co wątpię. Z drugiej strony, nie mógłby się dostać na piętro Trávisa, nie otwierając drzwi kartą, więc podejrzewam, że był już na piętrze.

Cole natychmiast wyciągnął wniosek.

- Pracownik?

- Możliwe. Może to być kobieta, bo Travis nie jest pewien, co widział. Mogło to też być złudzenie, gra światła albo sugestia, skoro najpierw zobaczył otwartą szafkę. Jak powiedziałem, jest podenerwowany. Pobrałem odciski palców z jego szafki i biurka i zaraz je będę sprawdzał. Jak tylko pójdę na górę, zajmę się tym numerem rejestracyjnym, ale to może potrwać dzień albo dwa.

Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się, kiedy Cole rzucił, poirytowany.

- Dlaczego dzień albo dwa? Dlaczego nie godzinę albo dwie?

Wahanie Murraya włączyło już w umyśle Cole'a sygnał ostrzegawczy, nim ten odpowiedział.

- I ty, i Travis zauważyliście forda i chevroleta bez trudu. W obu wypadkach samochody były zaparkowane niedaleko waszych domów, właściwie na widoku, prawda?

- Zgadza się.

- Niestety - ciągnął szef ochrony z westchnieniem - taka nieskomplikowana technika jest zwykle charakterystyczna dla przedstawicieli prawa, albo stanowych, albo miejscowych. Im się zawsze wydaje, że są niewidzialni.

Cole zmarszczył brwi.

- Czy chcesz mi powiedzieć - odezwał się cichym, pełnym napięcia głosem - że to policja nas śledzi?

- Tak przypuszczam. Sprawdzę to.

Kiedy wyszedł, Cole wykonał szybko trzy telefony. Pierwszy był do agencji wynajmu samochodów, gdzie obiecano mu przysłać do południa jakiś zwykły, czterodrzwiowy samochód. Następny był pod zastrzeżony numer w Fairfax, w Wirginii, do starszego już członka Senatu Stanów Zjednoczonych, który cieszył się zaufaniem prezydenta, zasiadał w Komitecie Budżetowym i miał spore wpływy poli-

tyczne. Poza tym otrzymał na swą kampanię trzysta tysięcy dolarów, dzięki zbiorce zorganizowanej przez Cole'a Harrisona, i miał nadzieję na powtórkę przed następnymi wyborami.

Jak poinformowała go żona, Edna, senator Samuel Byers był właśnie na posiedzeniu Komitetu, więc Cole poprosił o przekazanie wiadomości. Przedtem musiał jeszcze wysłuchać zachwyków Edny nad magazynem „Piękniejsze Życie Fosterów” i obiecać, że przywiezie Dianę do Fairfax na ich doroczne przyjęcie gwiazdkowe. Następnie za telefonował pod numer, który znał wyłącznie on. Pukał niecierpliwie palcami po biurku, a kiedy Willard Bretling się odezwał, powiedział:

- Będę dziś wieczorem o szóstej.
- A kto mówi? - spytał Bretling, trochę nieprzytomnym i ochrypłym, bo rzadko używanym głosem.
- A kto to, u diabła, może mówić? - warknął Cole.
- No tak, oczywiście, przepraszam - odpowiedział starszy pan radośnie. - Całą noc bawiłem się naszą zabaweczką.

Senator Byers oddzwonił na linię bezpośrednią po czwartej, jak tylko Cole skończył rozmowę z Dianą.

- Przykro mi, że masz taki kłopot, Cole - powiedział szczerze zmartwionym głosem. - Jestem pewien, że za tydzień czy dwa to wszystko się rozejdzie po kościach.

- Nie byłbym taki pewien - zaproponował Cole.
- Co mogę zrobić?
- Możesz się dowiedzieć, kto, do diabła, za tym stoi i jak to daleko zaszło.
- Spróbuję, czego mi się uda dowiedzieć - obiecał Sam, ale nim się wyłączył, dodał niepewnie. - Dopóki ta burza w szklance wody nie ucichnie, lepiej do mnie nie dzwoń, synu, ani do biura, ani do domu. Ja zadzwonię do ciebie. I uściskaj serdecznie ode mnie swoją żonę - dodał.

Cole zaklął, słysząc tę hipokryzję. Rozparł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Żeby uspokoić się po całodziennym zamieszaniu, wyobraził sobie Dianę i przypomniało mu się, jak wyszli razem do ogrodu po zawiadomieniu jej rodziny o ślubie.

- Jak na człowieka, który jest pod wrażeniem, masz bardzo ponurą minę.

- *To nie jest moja ponura mina.*
- *Nie jest? To jaka jest ponura?*
- *Lepiej, żebyś nie widziała.*
- *No dalej, pokaż...*

Na to wspomnienie zachichotał głośno.

Rozdział 44

Corey wskazała na błyszczące odbitki dwadzieścia na dwadzieścia pięć, które porozkładała na stole konferencyjnym w gabinecie siostry.

- Jak myślisz? Mam wziąć tę, czy tę?
- Słucham? - spytała Diana, spoglądając przez okno i obserwując duży odrzutowiec, który powoli zawracał i kierował się na zachód.

Siostra położyła rękę na jej ramieniu.

- Diano, zupełnie nie myślisz o tym, co się tu dzieje. Jeżeli nie jesteś w stanie się skoncentrować, może byś spotkała się z Cole'em u jego wuja już dzisiaj, zamiast czekać do jutra?

Diana potrząsnęła głową.

- Nie, powiedziałam mu, że nie mogę wyjechać dzisiaj. Wzięłam wolne w następnym tygodniu, ale mam za dużo do zrobienia przed wyjazdem, żeby wyjechać wcześniej. Przyleci po mnie jutro.

- A nie uważasz, że ucieszyłby się, gdybyś pojechała dzisiaj?
- Na pewno - odpowiedziała Diana z uśmiechem. Cole był rozczarowany, że może przyjechać dopiero jutro, ale rozumiał. - Poza tym w tej chwili jest ze swoim wujem w drodze do Austin. Nawet gdyby sekretarka go złapała i zawiadomiła, że mogę wyjechać dzisiaj, wątpię czy wuj byłby w stanie przylecieć tutaj i znów z powrotem.

Corey widziała, że Diana się waha i bardzo ją to cieszyło. Wszystko jej mówiło, że Cole Harrison był najodpowiedniejszym mężczyzną dla jej siostry

- Mogłabyś wziąć adres tego wuja od sekretarki Cole'a, polecieć tam sama i zadzwonić do niego, jak wylądujesz.
- Nie kuś mnie - ostrzegła Diana.

Wstała i podeszła do okna. Była tak pochłonięta myślą wyjazdu do Jeffersonville, że w pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na czar-

nego mercedesa, zatrzymującego się przed budynkiem. Kiedy już zauważyła, najpierw rzuciła jej się w oczy wysiadająca z samochodu dziewczyna. Mogła mieć kilkanaście, może dwadzieścia lat. Ubrana była w bardzo kusą, różową minispódniczkę, odsłaniającą, piękne, długie nogi, oraz różową górę z dzianiny, bez ramiączek, opinającą ciasno pełne piersi. Wszystko w niej było ponętne, począwszy od ubrania, poprzez pełne usta i powiewające włosy. Mężczyzna prowadzący samochód wysunął rękę i wciągnął ją z powrotem, jakby nie chciał, żeby poszła z nim, po czym sam wysiadł.

Diana szepnęła zdumiona.

- Dan tu przyjechał. I przywiózł swoją żonę.

- Co? - Corey rzuciła się do okna. Młoda żona Dana znów wysiadła z samochodu, wyraźnie sprzeciwiając się jego życzeniu i kiedy Dan, śmiejąc się, znów wpychał ją z powrotem, Corey przyjrzała jej się, - Coś podobnego! - wybuchła. - Ona wygląda, jak nadmierne dojrziała nastolatka.

Diana poczuła na moment ukłucie żalu i zazdrości, ale zaraz jej przeszło.

- Idealnie do niego pasuje - stwierdziła głośno. - Jest zazdrośna i niepewna, a jemu się to szalenie podobał. Widziałas, jak się śmiał.

- Co za świnia - Corey nie mogła się powstrzymać. - Musi mieć stałe potwierdzenie swojej męskości. O czym on może z nią rozmawiać?

Diana wróciła myślami do ich związku i uświadomiła sobie, że chociaż mówił, jaki jest dumny z kariery i osiągnięć Diany, zawsze dawał jej subtelnie odczuć, że za to brak jej czegoś w innych sferach. „Twoja praca tyle z ciebie zabiera, Diano”. Powtarzał to tysiące razy. Zresztą i bez swej pracy nigdy nie miałyby takich piersi i długich nóg, jak jego żona. A gdyby przypadkiem miała, w życiu nie ubrałyby się tak jak ona.

- Jak mogłam być taka ślepa - mruknęła.

Odeszła od okna i podeszła do biurka.

- Masz zamiar zobaczyć się z nim?

- Tylko na chwileczkę - odpowiedziała Diana, przyciskając bzycający na biurku intercom.

- Mam zostać? - zapytała Corey.

- Jak uważasz. On chce się oczyścić z winy, nawiązując ze mną coś w rodzaju przyjacielskich stosunków.

Diana poprosiła swą sekretarkę, Sally, żeby skontaktowała się z sekretarką Cole'a i wzięła od niej dokładny adres i telefon wuja,

poinformowała Cole'a, że przyjeżdża już dzisiaj oraz żeby zarezerwowała jej bilet. Kiedy skończyła, Sally szepnęła z przejęciem.

- Pan Penworth idzie tutaj!

- Diano! - wykrzyknął po chwili, kwitnący, opalony i uroczo zastydzony. - Wróciłem wczoraj i przyjechałem jak najszybciej do ciebie.

Diana oparła się o biurko i stała tak, z założonymi rękami.

- Widzę - odpowiedziała, czując jednocześnie ulgę i niesmak. Nie straciła kogoś cudownego. Był słaby, samolubny i był tchórzem. Cole miał rację, wznosząc swój pierwszy toast, gdy spotkali się na balkonie.

- Byłoby łatwiej, gdybyś coś powiedziała - odezwał się Dan, najwyraźniej zawiedziony jej brakiem współpracy. - Słuchaj, wiem, że strasznie cię zabolowało to, co wydarzyło się między nami.

- Oczywiście, że tak. - Wyglądał, jakby mu to jej przyznanie sprawiło przyjemność i pochlebiło. - W końcu - dodała z czarującym uśmiechem, cytując Cole'a - puścił mnie w trąbę największy drań na świecie.

W poczuciu głębokiej zniewagi Dan odwrócił się na pięcie i wybiegł z jej gabinetu. Po chwili Diana popatrzyła na Corey, która stała oparta o ścianę naprzeciwko jej biurka. Z rozpromienioną twarzą Corey oderwała się od ściany. Powoli, ale bardzo głośno, zaklaskała.

Rozdział 45

Diana musiała przesiąść się na inny samolot najpierw w Austin, a potem w San Larosa. Nie oczekiwała wprawdzie lotu z San Larosa do Ridgewood w pobliżu Kingdom City na pokładzie 747, ale nie przypuszczała, że będzie musiała maszerować prawie kilometr po asfalcie, w butach na wysokich obcasach, do miniaturowego samolociku, który może nazwałaby „rozkosznym”, gdyby pomalowany był na jednolity kolor świeżą farbą i miał odrzutowe silniki, zamiast starodawnych śmigieł.

Im bliżej podchodziła, tym mniejszy wydawał jej się samolot Teksaszkich Linii Lotniczych. Musiała prawie biec, żeby dotrzymać kroku tragarzowi, który również sprawdzał jej bilet i wpuścił ją na prytę. Najwidoczniej miody człowiek usłyszał szybki stukot jej obcasów, ponieważ zatrzymał się i obrócił.

- Tędy, panno Foster, a właściwie pani Harrison - powiedział z uśmiechem. - Widziałem panią i pani męża w Wiadomościach.

Uwaga Diany skoncentrowała się na małym, zniszczonym samolociku, do którego miała wsiąść.

- Czy to się nadaje do latania?

- Ja mu ufam - odpowiedział, błyskając zębami.

- Tak, ale czy pan by nim polecał?

- Robię to cały czas.

Wnętrze samolotu było brudne i zaniedbane. Kiedy usiadła, jej fotel zaczął się kiwać, więc prędko wymacała na podłodze pas, żeby Wraz z kolebiącym fotelem mocno przytwierdzić się do podłogi samolotu. Kontroler biletów, a jednocześnie tragarz, mrugnął do niej, skulił się i wsunął do kokpitu. Następnie nałożył okulary lotnicze i ukazał się w nowej roli - pilota.

Samolot toczył się po pasie startowym, podskakując i trzeszcząc, kołysząc się na prawo i lewo, tak że omal nie urwał się pas,

przytrzymujący Dianę i jej fotel. Wreszcie uniósł się w powietrze z jękiem i poszybował w stronę słońca.

Ciesząc się, że skoro starszemu udało się unieść w górę, to może i uda się szczęśliwie wylądować, Diana otworzyła kopertę z instrukcją, jak trafić na ranczo Cala. Niestety, popełniła błąd, gdyż spojrzała na pilota w chwili, kiedy unosił rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem i rozejrzeć się. Z prawej do lewej. Z lewej do prawej. Zamiast radaru. Nie mogła w to uwierzyć! Trzymając się z całych sił swego fotelika, obserwowała powolne ruchy głowy pilota i nieświadomie zaczęła je powtarzać. Pochyliła się do przodu i, patrząc przez małą przednią szybę, z zapartym tchem obserwowała horyzont... z lewej na prawą... z prawej na lewą... z lewej na prawą...

Po godzinie samolot osiadł na pasie w Ridgewood Shield i podjechał do terminalu. Pilot uśmiechał się do niej, gdy rozpinął jej pas, otwierał drzwiczki i wysuwał schodki. Odwrócił się, żeby jej podać rękę.

- Podobał się pani lot?

Diana stanęła na pewnym podłożu i po raz pierwszy od godziny spokojnie odetchnęła.

- Jeżeli pan zbiera na radar, to chętnie się dołożę - powiedziała z niewyraźną miną. Zaśmiał się i wskazał głową za siebie. Na końcu pasa startowego, wśród przeróżnych mniejszych samolocików, błyszczał w słońcu odrzutowiec Cole'a.

- Jak pani leciała tym, to wszystko inne wydaje się do niczego. Czy mąż po panią wyjedzie?

- Muszę najpierw do niego zadzwonić.

W małym metalowym pawilonie na lotnisku było duszno i gorąco. Naprzeciwko lady z napisem „Wypożyczanie samochodów” stał automat do napojów. Kobieta w stroju kelnerki, z wizytówką „Roberta” na piersi, rozmawiała z dwoma starszymi mężczyznami, pijącymi kawę z papierowych kubków. Po drugiej stronie, między wejściami do toalet, wisiał automat telefoniczny. Kiedy po dwudziestu minutach prób Diana wciąż nie mogła się dodzwonić i słyszała sygnał „zajęty”, zadzwoniła do biura napraw. Dowiedziała się, że nikt nie zajmuje linii, więc pewnie jest uszkodzona. W tej sytuacji postanowiła wynająć samochód.

- Przykro mi, panienko - powiedziała Roberta z zakłopotaną miną - ale mamy tylko dwa samochody do wynajęcia. Ten z zepsutym tłumikiem pożyczyl dziś rano facet z kompanii naftowej, który przyleciał tym czerwonym samolotem. Ten drugi, ze zdartymi oponami, zepsuł się w zeszłym tygodniu i jest w naprawie.

- A gdzie, wobec tego, mogę znaleźć taksówkę?

Jeden z pijących kawę mężczyzn ryknął śmiechem.

- Dziewczyno, to nie jest St. Louis w Missouri ani nawet San Angelo. U nas tam żadne taksóweczki nie czekają.

Diana była zmartwiona, ale nie dawała za wygraną.

- A o której jest następny autobus do Kingdom City?

- Jutro rano.

Postanowiła odwołać się *do* rycerskości prawdziwych Teksaszczyków.

- Przyjechałam tu spotkać się z mężem. Pobraliśmy się w sobotę i to jest nasz miodowy miesiąc.

Miodowy miesiąc poruszył czułą strunę w sercu Roberty.

- Erneście - poprosiła. - Mógłbyś zabrać tę panią do Kingdom City, co? To tylko parę minut od twojej trasy. Zrób to, a będziesz miał u mnie darmową kawę zawsze, jak przyjedziesz, przez najbliższe dwa tygodnie.

Człowiek nazwany Ernestem pozuł z namysłem wykałaczkę, po czym skinał głową.

- Trzy tygodnie, Bobbie, i umowa stoi.

- Dobra, trzy tygodnie.

- No, to jedźmy - odezwał się Ernest, zsuwając się ze stołka i zmierzając w stronę drzwi.

- Bardzo panu dziękuję - powiedziała z ulgą Diana. Wyciągnęła do niego rękę. - Nazywam się Diana Foster. - Ucisnęła szybko jej rękę i przedstawił się jako Ernest Taylor.

Jego rycerskość nie dotyczyła już walizek, ponieważ zerknął na nie przez ramię i rzucił:

- Pojadę tu pod krawężnik, żeby pani nie musiała targać tych rzeczy na parking.

- To bardzo miło z pana strony - odparła z ukrytą złośliwością i odwróciła się do pierwszej z toreb. Już kończyła trzecią i ostatnią wędrowną walizką, kiedy zatrzymała się, żeby odgarnąć włosy z oczu i w tym momencie zobaczyła pojazd, który miał ją zawieźć do miasteczka. Gdyby nie była tak zmęczona i przybita tą podróżą, siadłaby na jednej z wytwornych walizek Louis Vuitton i popłakałaby się ze śmiechu. Do krawężnika podjeżdżał ciemnoniebieski pick-up z naklejką z Ronaldem Reaganem na zderzaku i z furą brudnych od smaru gratów, skrzynek z narzędziami i kabli w skrzyni bagażowej.

- Zatrask przy kłapie jest zepsuty, więc niech pani wrzuci to na wierzch - zaproponował Ernest. Jego głos wydobywał się z kąta ust nie zajętego przez wykałaczkę.

Diana zdawała sobie sprawę, że w żaden sposób nie będzie w stanie podnieść i wrzucić na tył swojego bagażu, więc poprosiła:

- Czy może zechciałby pan mi pomóc?

Ernest otworzył drzwiczki, ale wysiadając, zatrzymał się w pół drogi.

- A odpali mi pani coś za ten kłopot? - spytał. - Jakież pięć dołców?

Miała zamiar dać mu za podwiezienie dwadzieścia dolarów, ale przeszła jej ochota na taką wspaniałomyślność.

- W porządku.

Ernest wytaszczył się z szoferki i zaczął wrzucać sakwojaże od Louis Vuittona, za pięć tysięcy dolarów, na skrzynki i brudne szmaty, ale kiedy zamierzał umieścić trzecią walizkę na wytłuszczonej becze, Diana krzyknęła z rozpaczą:

- Nie mógłby się pan z nimi obchodzić trochę delikatniej? Te walizki są bardzo drogie.

- Co, to? - zdumiał się, wyciągając walizkę przed siebie na odległość ręki, jakby nic nie ważyła. - Ciekawe, dlaczego? Przecież to tylko brezent pokryty jakimś plastikiem...

Wiedząc, że w tym momencie dalsza dyskusja z człowiekiem, który dobrowolnie jeździł takim wysmarowanym samochodem, jest bezcelowa, Diana nie skomentowała jego wypowiedzi. Niestey, Ernest uznał jej milczenie za przyznanie mu racji, więc dalej wałkował temat.

- Co za obrzydliwe połączenie kolorów: brązowy z jakimiś zielonkawymi literami „LV”. - To powiedziawszy, wrzucił trzecią walizkę na puszkę z olejem i popatrzył, jak Diana odsuwa ze swego fotela stos map, przynęty na ryby i jakąś puszkę.

- „LV” to nawet nie jest żaden wyraz - zauważył.

Widząc, że nie ma zamiaru ruszyć, póki ona się nie odezwie, Diana wyjaśniła.

- To są inicjały.

- A, z drugiej ręki, tak? - podsumował bystro, podczas gdy w skrzyni biegów coś zaskrzypiało i samochód ruszył krótką, żwirowaną drogą w stronę szosy. - Wie pani, po czym się zorientowałem?

Nastrój Diany zmieniał się od irytacji, do rozbawienia.

- Nie, po czym pan poznał?

- Bo pani inicjały nie są L.V Zgadza się?

- Zgadza.

- A do kogo to świństwo przedtem należało, zanim je pani wtrynił?

- Do Louisa Vuittona - odpowiedziała z poważną miną.

- Poważnie?

- Poważnie.

Przycisnął pedał hamulca jednocześnie z pedałem obok i zmienił biegi przy znaku „stop”.

- Jakiś pani chłopak?

Może to dobroczynny wpływ gór, albo bliskość Cole'a tak wpłynęła na Dianę, ale nabrała do sprawy pozytywnego dystansu.

- Nie, nic takiego.

- No, to całe szczęście.

Odwróciła głowę i wpatrywała się z ciekawością w profil Ernesta. Jego cera miała kolor i fakturę wysuszonej skóry na buty. Miał brązowe oczy, wklęsłe policzki, a z kącika ust wystawała mu wykałaczka.

- Dlaczego to szczęście?

- Bo każdy prawdziwy amerykański facet prędzej dałby się zabić, niżby się pokazał ludziom z walizkami wymalowanymi w swoje inicjały. Taka jest prawda.

Diana usiłowała sobie przypomnieć panów, którzy robili w sklepie Louisa Vuittona zakupy dla siebie. Po chwili powstrzymała uśmiech i kiwnęła głową.

- Ma pan rację.

Rozdział 46

Jesteśmy na miejscu. Kingdom City po lewej - oznajmił Ernest, wystawiając rękę przez okienko, żeby zasygnalizować skręt w lewo.

Dianę ogarnął dreszczyk emocji. To było miasteczko Cole'a i chciała wchłonąć jego atmosferę. Śródmieście ograniczało się do dziesięciu przecznic, z różnymi instytucjami, sklepami i teatrem Capitol w środku. Po jednej stronie teatru mieściła się drogeria, po drugiej sklep z artykułami żelaznymi. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowała się kawiarnia, agencja Ubezpieczeń Rolniczych, bank Kingdom City, piekarnia i trzy sklepy ze wszystkim, począwszy od magnetofonów, a skończywszy na siodłach.

Ernest wysadził ją przy kawiarni „Szukaj szczęścia”, żeby mogła zatelefonować, ale numer Cala w dalszym ciągu był zajęty. Upewniła się już, że w Kingdom City istniały taksówki, więc będzie musiała na tym poprzestać.

Kiedy jednak zatrzymali się przed sklepem rolniczym, Ernest przesunął wykałaczkę w drugi kącik ust i zapytał.

- Ma pani pomysł, jak się dostać tam, gdzie pani potrzebuje?

- Tak, wezmę taksówkę.

- Jest rozwalona.

Na dowód wskazał głową parking przed Warsztatem Samochodowym Gusa, który był zablokowany samochodami czekającymi na naprawę. W pierwszym szeregu zauważyła biały samochód z podniesioną maską i napisem TAXI na drzwiach. Ernest wyjaśnił już przedtem, że nie jest w stanie dowieźć jej do Jeffersonville, więc w tym momencie Diana miała do wyboru autostop lub ustawienie się na rogu ulicy z garścią pieniędzy, prosząc kolejnych kierowców o podwiezienie. Żaden sposób nie wydawał jej się bezpieczny.

- Erneście - powiedziała w końcu głosem bezradnej kobietki - jestem w sytuacji bez wyjścia, ale jestem pewna, że ty coś wymyślisz. Czy jest tu ktoś, kto mógłby wypożyczyć mi samochód?

- Nie-e.
- Mam zamiar dobrze zapłacić.

Aż do tego momentu Ernest zdawał się nie rozumieć powagi sytuacji, ani swojej roli w rozwiązaniu problemu, ale na dźwięk słów „dobrze zapłacić” jego postawa uległa radykalnej przemianie.

- Ile normalnie pani płaci za wynajęcie samochodu? - spytał, wpatrując się w nią przenikliwie.

Diana przypomniała sobie, że podpisywała w Dallas rachunek za wynajęcie samochodu na kilka dni.

- Chyba dwieście albo trzysta dolarów. Dlaczego pytasz? Czy masz na myśli jakiś samochód?

- Mam pomysły! - oświadczył entuzjastycznie, wciskając pedały sprzęgła i hamulca, i skręcił do warsztatu Gusa, zatrzymując się tuż za taksówką i tarasując przejazd skrzynią swojej półciężarówki.

- Pójdę zobaczyć, co mi się uda załatwić.

Diana była mu taka wdzięczna, że omal nie poklepała go po ramieniu, kiedy wysiadał, zostawiając otwarte drzwi. W zadziwiająco krótkim czasie z zakopconego budynku wynurzył się jakiś mężczyzna w jasnoniebieskiej koszuli i ciemnoniebieskich roboczych spodniach, z których kieszeni wystawała brudna szmata. Czerwona, owalna naszywka na koszuli głosiła, że jest to „Gus”. Podchodząc bliżej, wyjął szmatę z kieszeni i otarł ręce.

- Miło mi panią poznać - powiedział trochę niepewnie. - Ernest mówi, że pani jest zainteresowana fordem, więc zaraz go przyprowdzi.

Diana usłyszała dochodzący z tyłu budynku stuk, potem krztuszenie się silnika, następnie ciszę. Kolejna próba zakończyła się sukcesem i Diana wyjęła już portfel w nadziei, że Gus przyjmuje karty kredytowe.

- No proszę, przyjechał - powiedział Gus.

Kiedy zobaczyła zardzewiałą pomarańczową półciężarówkę, która, o ile to w ogóle możliwe, była w jeszcze gorszym stanie niż ta, którą tu przyjechała, nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Samochód pokryty był grubą warstwą brudu, miał przedni zderzak przywiązany sznurem, a przednią szybę sklejoną przylepcem. Patrzyła, jak Ernest wygrzebuje się z ciężarówki, bardzo zadowolony z siebie.

- Żartujesz chyba? Co ja mam z tym zrobić?

- Kupić! - wykrzyknął Ernest, jakby to było oczywiste. Wyciągnął ręce w geście absolutnego uszczęśliwienia. - Kupi to pani za pięćset dolarów, a później zatrzyma, albo sprzeda, wracając.

Diana wiedziała, że wpadła w sidła, ale nie mogła uwierzyć, że nie ma innego wyjścia, poza tym pomysł zapłacenia pięciuset ciężko zarobionych dolarów za kupę pomarańczowego złomu wydał jej się wstrętny.

- Nie wierzę, że to jest warte pięćset dolarów.
- Jest mocny, jak skała - zapewniał Ernest, przemilczając takie drobiazgi, jak odpadające zderzaki, reflektor zwisający na przewodzie czy szyba sklejoną taśmą.

Diana nie miała wyboru i wiedziała o tym.

- Wezmę go - powiedziała cichym, nieszczęśliwym głosem, sięgając po kartę kredytową.

Gus w milczeniu wziął kartę i wszedł do biura. Wrócił po paru minutach z rachunkiem i garścią banknotów. Podczas gdy Diana podpisywała rachunek, Ernest przerzucił jej walizki do skrzyni pomarańczowego trupa i podszedł sprawdzić, czy wszystko przebiega prawidłowo.

- No, w porządku - powiedział i ku zdumieniu Diany wyciągnął do Gusa rękę, do której ten włożył 490 dolarów.

- A gdzie jeszcze dziesięć dolców? - spytał Ernest z pretensją.
- Byłeś mi winien za oponę.

Diana zwróciła się do obu mężczyzn czując, niestety za późno, jakieś machlojki. Ponieważ Gus nie namawiał jej do kupna żadnego samochodu, obarczyła winą wyłącznie Ernesta i spojrzała z wściekłością w jego beczelną gębę.

- Czy mam rozumieć - zaczęła cichym, pełnym pogardy głosem - że wcisnąłeś mi swój własny samochód?
- Jasne - wyszczerzył zęby. - Po czym, żeby ją jeszcze pogięć, szturchnął ją w bok i wyznał. - Byłbym szczęśliwy, gdybym za niego dostał dwieście pięćdziesiąt dolców.

Chociaż tak pogiębiona, Diana spojrzała staremu draniowi w oczy i powiedziała kłamstwo, które, miała nadzieję, nie pozwoli mu spać z żalu przez wiele nocy:

- Tak, ale ja chętnie zapłaciłabym tysiąc.

Zrobił tak komicznie zdumioną minę, że Dianie poprawił się humor, zanim jeszcze usłyszała rechotanie Gusa. Ernest poszedł za nią do samochodu, otworzył jej drzwiczki i zaczął czekać, aż Diana wspięła się na brudny, podarty fotel kierowcy, a później zamknął. Kierownica wydała jej się olbrzymia, ale dało się ją dobrze objąć.

Następnie sięgnęła stopą do pedałów i wymacała trzy, a nie dwa pedały, jak we wszystkich automatycznych, jakimi jeździła, a kiedy spojrzała na drążek zmiany biegów, zobaczyła diagram, zamiast znanych literek, oznaczających jazdę, zatrzymanie, cofanie. Wpadła w panikę.

- Zakład, że nigdy pani nie prowadziła z normalną skrzynią biegów.

- Oczywiście, że prowadziłam - skłamała, a serce waliło jej z przejęcia.

Jedyną możliwością wyjazdu z zatłoczonego parkingu było wycofanie się wąskim przejazdem, schodzącym w dół do ulicy. Udając, że czeka tylko na to, żeby minęły ją dwie matki niosące dzieci, Diana przypatrywała się narysowanemu schematowi i jednocześnie usiłowała sobie przypomnieć, czego uczył ją o używaniu sprzęgła i hamulca Doug, kiedy miała szesnaście lat. Zadowolona, że nie ma za nią nikogo, wcisnęła sprzęgło i szarpnęła drążek zmiany biegów. Skrzywiła się, słysząc metaliczne skrzypienie, a następnie zwolniła sprzęgło tak nagle, że samochód się zatrząsł, po czym wcisnęła pedał gazu. Diana ruszyła do tyłu, nabierając prędkości, kurczowo trzymając kierownicę. Gus wykrzykiwał jakieś ostrzeżenia, Ernest wył ze śmiechu, ale szczęśliwie ciężarówka zjechała bezpiecznie na ulicę, skierowana w odwrotnym kierunku, niż powinna jechać. Duma i rozsądek kazały Dianie objechać kwadrat ulic, zamiast wykręcać przed warsztatem.

Rozdział 47

Kiedy samochód przejechał kilka kilometrów i jeszcze się nie rozleciał, Diana rozluźniła się na tyle, żeby zauważyć otoczenie. Była to część Teksasu, którą rzadko widywała, ale którą każdy, kto obejrzał kilka westernów, natychmiast kojarzył z tym stanem. Na rozciągających się kilometrami pastwiskach, oddzielonych płótkami od wijących się dróg, małe cielaki dokazywały u boku swych matek, a stadka źrebiąt podskakiwały na niepewnych nóżkach pod czujnym okiem kłaczy. Wyobrażała sobie, jak pięknie będzie tu wiosną, kiedy rozkwitną bławatki, jaskry i inne kwiaty i okryją niewysokie wzgórza i płytkie doliny kolorową narzutą.

Musiała raz się zatrzymać przy stacji benzynowej, żeby się upewnić, czy nie minęła skrętu na rancho Cala, ponieważ adresy pisane były zwykle na wiejskich skrzynkach na listy, częściowo ukrytych w wysokich trawach. Zobaczyła przed sobą właściwe, jak sądziła, skrzyżowanie, więc zwolniła, modląc się, żeby silnik nie zgasł, kiedy będzie skręcała. Prychnął, gdy zwolniła i okropnie zazgrzytał, bo usiłowała zmienić bieg, ale udało jej się skrócić. Kiedy tego dokonała, stanęła wobec nowego problemu w postaci górzystej żwirowej drożki, wijącej się wśród drzew, których jakoś nikt nie miał ochoty wyciąć.

* * *

- Powinna tu być lada chwila - powiedział Cole do wuja, patrząc na zegarek. - Jeżeli nie, pojedę jej szukać.

Kiedy dzwonił do swojego biura, dowiedział się, że Diana jest w drodze, uzbrojona tylko w adres Cala, i natychmiast zatelefonował na lotnisko. Dowiedział się, że Diana przyleciała i podwozi ją jakiś miejscowy, jak zapewniła Roberta, „całkiem przyzwoity”.

- Powinieneś być po nią pojechać - powiedział mu strapiiony

Cal. - Nie może tak być, żeby twoja żona sama wędrowała po okolicy, zagubiona. Tak się nie traktuje żony.

- Gdybym wiedział, którędy ten facet jedzie, pojechałbym jej naprzeciw - wyjaśnia! cierpliwie Cole, dziwiąc się niebywałemu zdenerwowaniu, jakie objawiał wuj, odkąd dowiedział się, że Diana jest w drodze.

Następne słowa Cala zagłuszył jakiś huk. podobny do grzmotu, dochodzący od strony podjazdu.

- Co to, do diabła, może być? - spytał, biegnąc za Cole'em w stronę ganku.

- Przypuszczam, że to „okazja” Diany - odpowiedział Cole, z niedowierzaniem patrząc na pomarańczową półciężarówkę, z odpadającym zderzakiem i dyndającym reflektorem, która powoli sunęła w ich kierunku, zgrzytając biegami i strzelając z gaźnika.

Cal przyglądał się przez chwilę, ale bardziej interesowało go, jakie pierwsze wrażenie wywrze na swej nowej krewniaczce. Przygładził obiema rękami włosy, wyprostował się i poprawił krawat.

- Cole - spytał z wahaniem - czy myślisz, że Diana mnie polubi?

Zdumiony, ale mile poruszony niepewnością wuja, odpowiedział zdecydowanie.

- Diana cię pokocha.

Cal, usatysfakcjonowany, zwrócił teraz uwagę na nadjeżdżający pojazd, który wydal z siebie jeszcze jeden rozdzierający skowyt i rzucił się do przodu.

- Wygląda na to, że nareszcie znalazł dwójkę - zauważył. - Widzisz, czy jest z nim Diana?

Cole był młodszy i miał lepsze oczy. Gdy ciężarówka dojechała do płaskiego odcinka, prowadzącego wprost do wejścia, Cole ze zdumieniem ujrzał twarz żony.

- To Diana - wykrztusił, zbiegając z ganku na podjazd, z Cal'em tuż za sobą.

Kiedy pojawili się przed nią, Diana była tak uszczęśliwiona, że pomyliła pedał sprzęgła z hamulcem i w efekcie nacisnęła na gaz.

- Uwaga! - krzyknął Cole, uskakując z jej drogi i pociągając za sobą Cala.

Pojazd ominął ich o kilkanaście centymetrów, zatrzymał się, kichnął i zgasł.

Trzęsąc się ze zdenerwowania, że omal nie przejechała obu mężczyzn, Diana oparła czoło o kierownicę, a Cole podbiegł do drzwi, żeby pomóc jej wysiąść.

- Kto jest właścicielem tego gó...grata? - zapytał, gdy klamka została mu w ręku i musiał wsunąć rękę przez okno i otworzyć od wewnątrz.

Podał rękę żonie, która uniosła się z godnością z podartego winylowego siedzenia, wyszła, otrzepała się, uśmiechnęła do Cala, stojącego u boku jej męża i powiedziała z niepewnym uśmiechem:

- My.

Cole wybuchnął śmiechem.

* * *

- To mój dom - pokazywał Cal, wprowadzając ją.

Następnie uparł się, żeby usiadła w jego fotelu, bo był najwygodniejszy, po czym popędził do kuchni, żeby przynieść jej szklanek świeżej lemoniady. Wszędzie w pokoju leżały stopy starannie ułożonych magazynów i książek, a na małym stoliku leżał na honorowym miejscu ostatni numer „Piękniejszego Życia Fosterów”. Nie mogła uwierzyć, że ten uroczy pan, który na jej widok promieniał, jakby była słońcem jego życia, to ten sam groźny człowiek, który szantażem zmusił swego ciotecznego wnuka do małżeństwa, choćby nawet dla jego własnego dobra.

- Będziemy tu tylko na chwilę - wyjaśniał, wręczając jej szklanek z lemoniadą i stojąc przed nią, jakby chciał jej pomóc wypić. Kiedy zobaczył, że dała sobie sama radę, siadł na kanapie obok Cole'a i przedstawiał dalszy plan dnia. - Potem pójdziemy do drugiego domu. Zjemy tam. kolację, a potem wy z Cole'em tam zostaniecie, a ja wrócę tu, do siebie.

Diana pokochała go natychmiast.

- Aleja myślałam, że będziemy tutaj, razem, żebyśmy mogli się lepiej poznać.

- Ten drugi dom jest tu, na terenie rancza - zapewnił ją Cal, pękając z dumy, że chciała się jak najdłużej z nim widzieć. Oprowadził ją jeszcze po domu i oznajmił, że czas już iść.

Dom Cala położony był na płaskim terenie, usytuowanym tak dla wygody, a nie dla widoku, ale drugi dom, oddalony o około półtora kilometra, za zakrętem drogi, miał jednocześnie dogodne położenie i wspaniałe widoki.

- Jak pięknie! - wykrzyknęła Diana, wysiadając z combi, którym przywiózł ich Cole.

Na skraju zalesionego wzgórza, naprzeciwko płytkiej doliny, przycupnął uroczy domek z kamienia i grubo ociosanego cedru, otoczony z trzech stron szerokim, opartym na wspornikach tara-

sem, zawieszonym nad zбочem. Wystrój wnętrza był rustykalny, z olbrzymim kominkiem i drzwiami wychodzącymi na taras. Z największego pokoju wchodziło się do dwóch dużych sypialni, a okna kuchni wyglądały na wzgórza w przeciwnym kierunku, niż dom Cala.

- To jest Letty - powiedział i czułością Cole, prowadząc Z kuchni pulchną kobietę, z włosami związanymi w kok. Letty wydawała się równie uszczęśliwiona z poznania Diany, jak Cal.

- Kolacja będzie o szóstej - powiedziała, wycofując się do kuchni. - To nie będzie nic wymyślnego, nie takie piękne, jak na zadęciach w pani magazynie.

- Ja też nie jestem zbyt dobrą kucharką - przyznała Diana.

- To dobrze - ucieszyła się Letty.

Diana obróciła się i przez drzwi zobaczyła, że Cole układa jej walizki u stóp olbrzymiego podwójnego łóżka. Odwrócił się, zauważył jej spojrzenie i poczuła elektryczność, przepływającą do niej od jego ciała. Przedstawiając ją Calowi, objął ją ramieniem, od niechcienia, ale nic ani w tym geście, ani w następnych jego zachowaniach nie sugerowało, jak właściwie rozumiał ten miesiąc miodowy. Nie była pewna, czy po prostu uznał, że się odbędzie, czy było mu wszystko jedno.

Wszystko to zaczęło się zmieniać po kolacji.

Rozdział 48

Nim skończyli kolację i Letty sprzątnęła ze stołu, zachodzące słońce wymalowało na niebie przedziwne lawendowe, fioletowe i czerwone paski.

Pierwotne zdenerwowanie Cala ustąpiło, a zastąpiło je przekonanie, że Diana jest i zawsze będzie członkiem rodziny. Z tego powodu Diana czuła się jak oszustka, a w dodatku zaczął jej zadawać pytania dotyczące macierzyństwa, mianowicie jak zamierza prowadzić swoją firmę i jednocześnie mieć dziecko. Była przekonana, że Cal wiedział, że nie brała tego w ogóle pod uwagę i astanawiał się, dlaczego. W dodatku Cole nie wykazywał żadnych skrupułów i nic go nie obchodziło jej poczucie winy. Wręcz przeciwnie, odnosiła wrażenie, że świadomie pogłębia jej zakłopotanie, przyglądając się jej przez półprzymknięte oczy takim wzrokiem, że odruchowo zgarnęła włosy z policzka za uszy.

A jakby tego nie było dosyć, obaj panowie co jakiś czas wplatali do rozmowy aluzje, od których robiło jej się jeszcze bardziej niewyrażnie. Kiedy powiedziała komplement na temat ręcznie kutego stołu, przy którym siedzieli, Cal natychmiast poinformował, że cztery dni temu Cole sprowadził olbrzymie, szerokie łóżko. Później dodał, że wśród nowych mebli, przywiezionych ciężarówką, znajdowała się duża sofa, w kształcie litery L, na której było więcej poduszek, niż na trzech łóżkach razem.

Kiedy powiedziała, że otoczenie za oknem jest bardzo ładne, dowiedziała się, że cała armia ludzi pracowała nad tym jeszcze godzinę temu.

- To się nie nadawało do pokazania młodej żonie - wyjaśnił. Wskazując głową na szezlong na tarasie, wyznał: - To sprowadził z Dallas na twój przyjazd. Nigdy takiego nie widziałem, a ty-

Odwróciła się i odpowiedziała z uśmiechem.

- Raz.

- Więc wiesz, o co mi chodzi. Wyglądało, jakby ustawił łóżko na balkonie. Widywałem już łóżka na ganku, ale wyfaziły im sprężyny, a obok leżała wysłużona mechaniczna pralka z wyżymaczką.

Dianie zabiło serce. Może rzeczywiście wyglądało to trochę jak łóżko.

- Gal - odezwał się jej mąż łagodnie.

Diana uznała, że zaoponował przeciwko tematowi łóżkowemu za późno i za delikatnie. Jeśli zgodziła się na „miesiąc miodowy”, to wyobrażała sobie, że zacznie się on później i będzie się toczył w wolniejszym tempie.

Dokładnie o wpół o dziewiątej Gołe popatrzył na wuja, ten na zegarek, wstał szybko i powiedział.

- No, czas wracać do pracy.

Ponieważ nie pracował i dopiero co zrobiło się ciemno, Diana wyciągnęła z tego oczywisty wniosek, że Cole miał zamiar wykorzystać jeden z nowych tapicerowanych mebli, a Cal chciał, żeby zajęli się robieniem ciotecznego prawnuczka.

Wstała prawie równie nagle, jak on.

- Chyba wezmę prysznic i przebiorę się w coś... czystsze!

Cole popatrzył na jej plecy, gdy zniknęła za drzwiami i zainteresowała go jej reakcja na możliwość pozostania z nim sam na sam. Był pewien, że miała zamiar iść z nim do łóżka. Był prawie pewien... Wcale nie był pewien.

Po kilku minutach poszedł do kuchni, żeby sobie nalać mrożonej herbaty i zauważył, że drzwi jego sypialni były otwarte. Brak było jednej z jej walizek. Korzystała z łazienki przy drugiej sypialni. Przechylił dzbanek, rozważając możliwe implikacje tego działania. Osobne sypialnie, w kręgach Diany, a obecnie i jego, były praktycznym i wygodnym obyczajem. Była modna i wyrafinowana. A może nieśmiała. A może nieuchwytna.

Zwykle Cole potrafił rozważyć najbardziej skomplikowaną sytuację w ciągu kilku minut. Dziś wieczorem nie mógł przewidzieć intencji własnej żony. Marszcząc czoło, wszedł do swojej sypialni. Miał zamiar wziąć prysznic, ale gdy zdjął koszulę, przypomniał sobie, że kąpał się godzinę przed jej przyjazdem. Zachowywał się, jak zdenerwowana panna młoda.

Wrócił do kuchni, wylał herbatę i postanowił zrobić sobie drinka. Zabrał go na werandę i wyciągnął się na szezłagu. Doskonale wiedział, że Diana go pragnie. Coś ich do siebie piekielnie przyciągało. Zaproponował jej podjęcie decyzji. Albo miała kłopot z jej pod-

jęciem, albo podjęła nie taką, jakiej by sobie życzył, i dlatego go unika. Niebo pociemniało i zaczęły się na nim pojawiać gwiazdy błyszczące, jak brylantowe ścieżki, przecinające niebo.

W gościnnej sypialni Diana kończyła szczotkować włosy i zastanawiała się, w co się ubrać. Było za wcześnie, żeby włożyć szlafroczek, poza tym byłoby to zbyt prowokujące. Zdecydowała się na białe szorty i zieloną, jedwabną bluzkę. Cole pewnie przypuszczał, że włoży coś przezroczyściego, jakieś cienkie koronki. Lekko pomalowała usta i pomyślała, że Cole zapewne oczekuje powtórzenia ich nocy poślubnej, tylko w większym zakresie i ręka tak jej zadrzęła, że upuściła szminkę. Wtedy była tak pijana, że nie wiedziała, gdzie i kim jest. Teraz było inaczej i żołądek skręcał jej się ze zdenerwowania. Co ona wyprawia, wdając się w to wszystko! Znów wzięła szczotkę do włosów i szczotkowała zawzięcie. Mąż czy nie mąż, Cole był właściwie nieznanym. Pojawił się nagle, nie wiadomo skąd, i nie wykazywał żadnej troski o konsekwencje. Ona martwiła się za nich oboje. Nie mogła zaprzeczyć, że odkąd wyjechał z Houston, myślała o nim tysiąc razy dziennie, a każda myśl była słodsza od poprzedniej. Nie mogła też zaprzeczyć, że na myśl o tygodniowym „miesiącu miodowym”, robiło jej się miękko w kolanach. Ale jednak coś tu było nie w porządku. Chociaż byli legalnie małżeństwem, umówili się, że jest to tymczasowe. Cole zaproponował więc, żeby skomplikowali tę farsę, pogrążając się na tydzień w orgii seksu. Była to tylko propozycja, a ona miała podjąć decyzję. Zdecydowała, że to zrobi. Jednak teraz, kiedy już tu była, uznała, że on wszystko ułożył już po swoim, więc wcale nie miała zamiaru się podporządkować. A w każdym razie jeszcze nie dzisiaj. Lubiła sama kontrolować swoje życie i robiła to dotychczas bardzo dobrze, tylko Cole wyrzucił wszystko do góry nogami. Musi to przerwać. Podbudowana tą decyzją, odłożyła szczotkę i wyszła z sypialni.

Cały dom pogrążony był w ciemności, świeciło się tylko w pokoju Cole'a, więc sądząc, że się kąpie, postanowiła poczekać na niego na tarasie. Wyszła, zamknęła za sobą drzwi i podeszła do barierki, przyglądając się wzgórzom skąpanym w świetle księżyca. Stała już prawie minutę, kiedy odezwał się cichym, uwodzicielskim głosem.

- Przyjdiesz tu do mnie?

Obróciła się. Leżał wyciągnięty na leżance, ubrany w spodnie i mokasy, ale z nagim torsem i Diana uznała ten fakt za świadomie prowokujący. Patrzyła na opaloną klatkę piersiową, muskularne ramiona, a później w jego oczy. Czekaj tu na nią, chciał, żeby

obok niego usiadła... Zdradzieckie serce zaczęło mocniej bić. Przypomniała sobie o swojej stanowczej decyzji.

- Chyba nie - powiedziała z uśmiechem, co wbrew jej woli zabrzmiało nonszalancko, ale nie mogła już tego odwrócić. - Ale przyniosę sobie lemoniady.

Gdy przechodziła obok Cole'a, schwycił ją za rękę, tak że musiała się zatrzymać i obrócić. Patrzył na nią w milczeniu i przyciągał do siebie. Mówił łagodnym tonem, który zbił ją z tropu.

- Nie igraj ze mną, kotku.

Schwycił ją za drugą rękę i pociągnął. Znalazła się na nim, dotykając czołem jego brody. Uwięził jej dłonie pod swymi plecami, a ona uniosła się nieco i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Prawą ręką gładził delikatnie jej nagie ramię, a z jego szarych oczu mogła wyraźnie wyczytać przesłanie: „Zdecyduj się”. Patrzyła na jego zmysłowe usta, tak blisko niej, na czuwy uśmiech. „Zdecyduj się”. Bezwiednie zbliżyła usta do jego ust. Serce waliło jej z wrażenia. „Zdecyduj”.

Przymknęła oczy, odetchnęła głęboko. Pocałowała go delikatnie i poczuła, jak jego usta odpowiadają. Kiedy przerwała pocałunek, pozwolił jej na to, ale zauważyła, że jego ciało pod nią twarde, a oczy się tlą. Pogładził ją dłonią po policzku, po szyi, przycisnął do siebie, aż ścisnął jej piersi i teraz on otworzył jej usta głębokim pocałunkiem. Poczuła jego palce we włosach, a zaraz potem na swoich biodrach i teraz on pochylał się nad nią i czuła jego twarde uda. Przyciągnęła go do siebie, a on oderwał się od jej ust, odpiął jej bluzkę, a to, co zobaczył, zmusiło go do następnego kroku. Małe sutki stwardniały i wyglądały, jak ciemne paki na dwóch jaśniejszych półkulach, tak wspaniale proporcjonalnych do reszty jej ciała.

Dotknął ich i stwardniały jeszcze bardziej. Pocałował jedną, a Diana jęknęła i wygięła się z rozkoszy. Zaskoczony jej intensywną reakcją, pocałował drugą i poczuł palce dziewczyny, wpijające się w jego włosy.

Z największym wysiłkiem zmusił się do zwolnienia tempa i obrócił ją znów na siebie. Ku jego zdumieniu, zaczęła zapinać bluzkę i wstawać.

- Nie rób tego! - usłyszała jego szept.

Zatrzymała się i spojrzała na niego, wciąż trzymając dłońmi brzegi bluzki. Cole rozchylił je powoli i zsuwając bluzkę z jej ramion, szepnął:

- Piękne.

Ujął w dłonie jej piersi, a serce Diany znów waliło z wrażenia, z zastydzenia, z rozkoszy.

Cole czuł się tak z nią zjednoczony, że i jemu serce zaczęło walić i zdał sobie sprawę z tego, że odczuwa w swoim ciele jej reakcje. Kiedy znów potarł jej sutki, poczuł, że i jego stwardniały.

- Dotknij mnie - szepnął, obawiając się trochę, co się wtedy wydarzy.

Nachyliła się, dotknęła jego sutka językiem, a kiedy westchnął głęboko, poczuła nagłe drgnięcie jego bioder pod sobą i teraz znów przyciskało ją jego ciało. Ich niespokojne dłonie zsuwały ubrania, usta szukały siebie. Przywarli do siebie, jej ciało przejęło jego powolne, kołyszące ruchy, które stawały się coraz gwałtowniejsze i wpijał się w nią, jeszcze i jeszcze. Kiedy to się stało, krzyknęła i przytrzymała go.

Leżała potem skulona, w jego ramionach, a gdy poczuł na piersi jej łyzy, gwiazdy, które przed chwilą widział jasno i wyraźnie, stały się zamglone. Przymknął oczy i wydało mu się, że z pochyloną głową kłęczy u wrót nieba. Składał dary i obietnice. Kiedy nie padła odpowiedź, szepnął gorąco:

- Proszę.

Dotknął dłonią jej wilgotnego policzka, ona obróciła twarz w jego dłoni.

- Kocham cię - szepnęła.

Był w niebie.

* * *

Leżąc w olbrzymim łożu, z głową na jego piersi, Diana uśmiechała się w ciemności czekając, aż Cole coś powie. Podejrzewała, że w tej chwili po cichu przestawia jej życie i robi to w takim tempie, jak poczynał sobie dotychczas. Była niezwykle ciekawa, jak ma zamiar pokonać niektóre rafały ich świeżego małżeństwa. Kochał ją, a ona kochała jego i to było oczywiście najważniejsze, ale jednak były pewne komplikacje. Zaczęła je sobie w myśli wyliczać:

Ona mieszka w Houston i prowadzi tam dużą firmę.

On mieszka w Dallas i prowadzi tam znacznie większe przedsiębiorstwo.

Ona chce mieć jego dzieci.

On nie chce dzieci.

Niewątpliwie, myślała rysując palcem po jego klatce, wymaga to czegoś więcej niż omijania raf. To wymaga cudu. Przymykając oczy, postanowiła raz jeszcze liczyć na cud. Kiedy obudziła się po kilku

minutach, świeciła się mała lampka przy łóżku. Mieli splecione dłonie.

- Tak sobie myślałem - powiedział czule - i doszedłem do pewnych wniosków.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy odwróciła do niego twarz, zastanawiając się, jakie decyzje podjął, nie konsultując ich z nią.

- Mamy problem logistyczny - zaczął Cole. Zobaczył jej roześmiane oczy i przytulił ją do siebie. - Myślę, że będziesz musiała przenieść się do Dallas, kochanie. Ja nie mogę przenieść Unified do Houston. Byłby to niedobry pomysł, z wielu względów, nie mówiąc o samobójstwie finansowym.

Udała, że wzdycha.

- Zgodnie z naszą umową, mamy utrzymać odrębne mieszkania w obu miastach. Taki był układ.

Cole pomyślał, że mówi serio.

- To niemożliwe.

- Taka była umowa. Zawarliśmy obowiązującą ustną umowę. Machnął ręką z typowo męską arogancją.

- Nie można mieć obowiązującej ustnej umowy, to jest sprzeczne z definicji.

- Więc wszystko jest nieważne?

- Diano - szepnął - jesteś piękna. I o coś ci chodzi. Co to takiego?

- Byłabym skłonna przenieść do Dallas część administracyjno-handlową Foster Enterprises, a pozostawić pracowników części artystyczno-produkcyjnej w Houston pod nadzorem Corey.

- Więc wszystko załatwione - powiedział z zadowoleniem, całując ją i myśląc o tym, żeby znów się z nią kochać. - O cokolwiek prosisz, patrząc tak na mnie - dodał łagodnie - odpowiedź brzmi tak.

- Proszę o dzieci. Twoje dzieci.

Opuścił głowę, marszcząc brew.

- Ile?

Jej uśmiech rozbłysnął, jak blask słońca, a oczy, jak ośmiokarutowy brylant, który wsunął na jej palec, kiedy się zdrzemnęła. Przywiózł go tutaj w nadziei, że to się wydarzy. Nie, właściwie nie miał nawet nadziei na to, że tak się stanie.

- Chciałabym troje dzieci.

- Jedno - odparował twardo.

Popatrzyła na niego.

- Dam ci pięć naklejek z Batmanem i cztery gumy balonowe, je-

żeli zgodzisz się na dwoje.

- Zgoda! - powiedział, chichocząc.

Rozdział 49

Drzwi do domu Cala były otwarte, więc Diana weszła śmiało. Cole jej nie budził, tylko zostawił karteczkę, żeby przyszła do wuja, kiedy wstanie. Usłyszała, jak Cal mówi w kuchni do jej męża:

- Czy nie miałem racji, że ci wcześniej o tym nie powiedziałem?

- Miałeś - odpowiedział Cole obojętnie. - A teraz, jak mi powiedziałeś, nic mnie to nie obchodzi.

Cal wydawał się uspokojony.

- Czy mógłbyś mi to załatwić? Mógłbyś przy okazji zatrzymać się przy starym domu i zobaczyć, czy czegoś stamtąd nie chcesz. Masz po drodze. Diana weszła do kuchni właśnie w chwili, gdy Cole dodał lodowatym tonem:

- Pamiętam, gdzie to jest.

Siedzieli przy stole. Cal uśmiechnął się do niej przelotnie na powitanie i powrócił do przerwanej rozmowy. Diana pomogła Letty przynieść talerze z jajecznicą.

- Pamiętasz, gdzie co jest? - spytała.

- Dom moich przodków.

Powiedział to zupełnie beznamytnym tonem, co Diana natychmiast zauważyła, podając mu talerz.

- Pojadę z tobą. Bardzo chciałabym go zobaczyć.

- Nie! - zaprotestował tak gwałtownie, że zatrzymała się.

Przeprosił zaraz, ściskając jej rękę.

Obaj poczekali, aż Diana usiądzie, i wuj kontynuował temat. Miała więc próbkę, skąd brała się zawziętość Cole'a.

- Gdybyś czytał czasami coś jeszcze, oprócz raportów finansowych i prospektów giełdowych, wiedziałbyś coś o żalu i podejmowaniu decyzji po stracie. Zmierz się z tym teraz, albo zmierz się później, ale zrób to, tak mówią psycholodzy. To wszystko jest tu, w tym pokoju, w książkach i magazynach, napisane przez specjalistów.

- W zeszłym roku - powiedział Cole, wykrzywiając twarz sztucznym uśmiechem - walczył ze mną, żebym „wszedł w kontakt z kobieca częścią swojej natury”. Diana zakrztusiła się kawą. Zorientowała się, że umarł ktoś, kto mieszkał gdzieś w okolicy, ale ponieważ Cole zdawał się tym nie przejmować, nie poruszała już tematu. W dodatku, kiedy Cal chciał do niego wrócić, Cole uciał zdecydowanie:

- Nie chce dyskusji na ten temat przy Dianie.

Cole wyjechał natychmiast po śniadaniu, żeby załatwić wujowi jakieś sprawy w miasteczku, co miało mu zająć najwyżej dwie godziny. Nalegał na to, żeby Diana została z wujem. Wstając od stołu, nachylił się, zmierzwił jej włosy, pocałował w policzek i wyszedł, nie puszczając jej ręki. Śmiejącą się Dianę wyciągnął na ganek, czule pocałował i dopiero wtedy odesłał do domu.

Cal obserwował tę scenę z miną, którą w najlepszym razie nazywałyby ponurą, w najgorszym - potępiającą. Czując się nieco urażona, podeszła do kominka, gdzie na gzymsie stały zdjęcia w ramach, niektóre bardzo stare. Z rękami splecionymi za plecami oglądała wszystkie po kolei.

- Czy to Cole? - spytała, zabierając jedno zajęcie, i usiadła obok Cala na kanapce.

Rzucił okiem na zdjęcie, po czym przeszył ją wzrokiem, który ją zdeprymował, ale takie chyba było założenie.

- Może tak porozmawialibyśmy o czym innym, a nie o zajęciach? - powiedział bardzo rzeczowo, co świadczyło o tym, że był znacznie bardziej przebiegły, niż się wydawało, i nie dawał się zmilyć.

- A o czym chce pan rozmawiać?

- O tobie i Cole'u. Można?

Skinęła głową, a on ciągnął dalej.

- To bardzo dobrze, bo i tak byśmy o tym rozmawiali.

Diana też się nie dawała wyprowadzić w pole.

- A może zaczekamy, aż Cole wróci?

Wcale nie poczuł się urażony.

- Masz coś więcej, niż tylko urodę. Masz też odwagę. A czy masz serce?

- Co?

- Jeżeli masz, to do kogo ono należy?

Diana spojrzała na niego niepewnie, poruszona jego tonem i tym tematem.

- Nie rozumiem.

- No tak, przypuszczam, bo dla mnie to też jest skomplikowane. Niecałe dwa tygodnie temu wziętem do ręki „Enquirer” i patrzę, twoje zdjęcie na pierwszej stronie z opowiadką, jak cię kochaś puścił w trąbę. A za tydzień jesteś żoną mojego Cole'a.

Pięć dni temu samo wspomnienie tego artykułu byłoby dla niej upokarzające. Teraz uśmiech wykwitł na jej ustach.

- No tak - przyznała - rozumiem, że to może wydawać się nieco dziwne.

- To jedyne, co ma sens - zaprzeczył gwałtownie. - Cole był wściekły, kiedy pokazałem mu to zdjęcie i jak myślę, wpadł na pomysł, żeby się z tobą ożenić i odzyskać swoją część akcji. Później jednak mi powiedział, że to ty jesteś tą dziewczynką, o której mi opowiadał, kiedy był na studiach, i przypomniało mi się, że nazywała się Diana Foster. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Na razie tak.

- Dobra. Więc zorientowałem się, że jesteście starymi przyjaciółmi, ty właśnie zostałaś porzucona, on potrzebuje żony, żeby dostać swoje akcje, więc dobiliście targu. Na razie dobrze kombinuj?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Bardzo dobrze - przyznała.

- Ałe Cole martwi się też o moje serce, więc jak się wściekł o umowę, jaką musiał ze mną zawrzeć, zdecydował, że dla mojego dobra będzie lepiej, jak będziecie udawać, że coś między wami jest. Zgadzasz się?

Skinęła głową.

- To dobrze, bo teraz przechodzimy do części, która mnie cholernie gnębi.

- A co takiego?

- Wczoraj doprowadzał wszystkich do pasji, szamotał się po domu i sprawdzał, czy wszystko wygląda na twój przyjazd jak najlepiej. Doskonale udawał człowieka, który uwielbia swoją żonę. Ja się nie mogłem doczekać, aż cię poznam. Wieczorem nie mógł oczu od ciebie oderwać. Ale muszę ci powiedzieć szczerze, Diana, nie odniosłem wrażenia, że odwzajemniasz jego uczucia. Dzisiaj rano widzę, że ma miłość w oczach, więc chyba miałas z tym coś wspólnego wczoraj wieczorem. - Przerwał, żeby wywrzeć większe wrażenie i przeszedł do sedna. - Nie igraj z jego miłością, dziewczyno. Weź ją całą albo zostaw w spokoju. Nie odłamuj sobie po kawałeczku jego serca zależnie od tego, czy i kiedy masz na to ochotę. Nie sądzę, żebyś była z natury podła albo okrutna, ale czasem kobieta, nie znając mężczyzny, może się tak zachowywać.

Diana oparła się o kanapę, śmiejąc się i przyciskając do piersi zdjęcie Cole'a. Odwróciła twarz w stronę starszego człowieka, który też kochał jej męża i powiedziała szczerze i bez wstydu:

- To nie swoją miłość ma w oczach, ale moją.

Wydal jej się nagle piętnaście lat młodszy i trochę zawstydzony. Chciał jakoś rozładować sytuację, więc wstał i podszedł do kominika.

- Na tym zajęciu, które trzymasz, Cole ma szesnaście lat. Tu są dwa inne.

Podał jej zdjęcia z największą ostrożnością i uśmiech spełzył z ust Diany. W swoim magazynie obejrzała już tyle zdjęć, że szybko obserwowała detale. Ciemnowłosa chłopczyk, trzymający dłonie w gęstej sierści niezupełnie rasowego collie, patrzył w aparat bardzo poważnie. Zbyt poważnie, jak na sześć-czy siedmioletnie dziecko. Wzięła do ręki drugie zdjęcie.

- Tu miał dziewięć lat - wyjaśnił Cal.

Collie stał po jego jednej stronie, a po lewej drugi mieszaniec. Diana nie zwróciła specjalnej uwagi na psy. Zauważyła, że chociaż chłopiec starał się uśmiechać, nie wyglądał na szczęśliwego. Na obu zdjęciach miał sporo przykrótkie spodnie. Na jednym stał obok zrobionej z opony huśtawki, na drugim obok jakiegoś szafasu.

Zdała sobie sprawę, że Cal mógłby dostarczyć jej jakichś informacji na temat Cole'a.

- Nawet wtedy, kiedy się poznaliśmy, był bardzo tajemniczy i nigdy nie wspominał o swojej przeszłości - wyznała. Poklepała siedzenie obok siebie. - Niech pan mi wszystko opowie. Jaki był, jak był mały. Jaka była jego matka, wszystko...

- A co ci powiedział? - spytał Cal.

- Nic! Wiem, że miał brata dwa lata starszego od siebie, drugiego trzy lata starszego i że obaj zginęli w wypadku, kiedy Cole poszedł na studia. Kiedy był na pierwszym roku, jego matka zmarła na raka. Nie mówił mi nigdy, kiedy zmarł jego ojciec. Przeżył tyle tragedii - dodała ciszej.

Czekała, aż coś powie, kiedy usiadł obok niej, ale był wyraźnie zakłopotany. Patrzył na stopy magazynów.

- Lubię psychologię - powiedział, pozornie bez związku. - Wierzysz w psychologię?

- Oczywiście.

- Uważasz, że to dobrze, jak się trzyma wszystko zamknięte w sobie i nie ujawnia nawet kochającej kobiecie? I robić to do końca życia?

Wiedziała, oczywiście, że chodziło mu o Cole'a. Chciała pomóc, ale nie chciała być wścibska.

- Nie chciałabym, żeby uznał, że jestem ciekawska.

- Ja bym to na z w przecinaniem wrzodu, a nie wścibstwem.

- A mogę pomóc go zagoić?

- Na pewno nie zaszkożysz.

Popatrzyła na trzymane w rękę zdjęcie i przypomniała sobie, jak zeszłej nocy leżała w jego ramionach. Miał do ofiarowania tyle miłości, a ona chciała ją całą.

- Jeżeli to, co mi powiesz, jest takie straszne, to jak Cole będzie się czuł wiedząc, że ja wiem?

- Nie będzie musiał się martwić, co się stanie, jak się dowiesz. Doktor Richenblau nazywa to „katartyczne”. Nie zajmie mi to wiele czasu, a co ty z tym zrobisz, to twoja sprawa.

Diana nabrała powietrza i skinęła głową.

- Opowiedz mi.

- Mówiłaś, że w jego życiu było wiele tragedii. Największą jednak było to, że urodził się z nazwiskiem Harrison.

Tego się nie spodziewała usłyszeć.

- Dlaczego?

- Bo w Kingdom City, gdzie wyrastał, to nazwisko jest przekleństwem. Jak tylko sięgnąć pamięcią, Harrisonowie byli awanturnikami, pijakami i oszustami, cała ich nic nie warta banda. Kiedy matka Cole'a uciekła z Tomem Harrisonem, mój brat płakał. Nie mógł uwierzyć, że jego córka coś takiego zrobiła. Okazało się, że była z nim w ciąży - W tamtych czasach, w jej wieku i w tych stronach, dziewczyna, która zaszła w ciążę, musiała wyjść za męża. Co do tego nie było wątpliwości. - Pochylił się, żeby wyrównać ułożone magazyny, po czym wyprostował się i mówił dalej. - Dwaj bracia Cole'a zabili się rok po tym, jak zaczął studia. Pojechali do Amarillo, byli pijani; chcieli jeszcze bardziej się upić, ale nie mieli pieniędzy. Więc pobili jakąś starszą panią prawie na śmierć, żeby zabrać jej torebkę. Potem wskoczyli do samochodu i odjechali, ale przejechali na czerwonym świetle i policja zaczęła ich gonić. Jechali ponad sto sześćdziesiąt na godzinę, kiedy trafili w latarnię. Krzyż na drodze, powiedziałem wtedy i to samo powtarzam teraz. Chociaż tatuś lubił tych swoich chłopaczków, bo byli tacy, jak on.

Kiedy przerwał, Diana powiedziała bezbarwnym głosem:

- Ale Cole był inny.

- Zupełnie inny. Był inteligentniejszy niż ich trzech razem, a oni o tym wiedzieli. Nienawidzili go za to. Właściwie jedynymi

przyjaciółmi, jakich miał w dzieciństwie, były jego psy. Psy, konie, koty - zwierzęta go kochały i on się im odwzajemniał, Rozumieli się. Może dlatego, że wiedzieli, jak to jest, jak się jest samemu i nie ma się do kogo zwrócić.

- Więc Gole był jedynym, który studiował?

Cał roześmiał się bezgłośnie.

- Jedynym, który ukończył więcej niż dziesiątą klasę. Wiesz, co stało się z tym collie na zdjęciu?

-Co?

- Tydzień przed wyjazdem Cole'a na studia bracia dali mu prezencik pożegnalny.

Wiedziała, że nie usłyszy nic przyjemnego, ale tego się nie spodziewała.

- Powiesili psa w stodole.

Diana jęknęła i zakrywając ręką usta, prawie wstała, a potem znów usiadła.

- Potem zniknęli i pojawili się dopiero po jego wyjeździe. Inaczej chyba by ich zabił.

- Nie mógł mieszkać gdzie indziej?

- Mógł mieszkać tutaj, ale ojciec chciał go mieć do roboty. Potwarzał tysiące razy, że jeżeli Cole się wyprowadzi, to jego matka za to zapłaci. A jego matka, biedna, staba istota, nie chciała zostawić tego drania. Nim Cole wyjechał, była już tak chora, że nie wiedziała, gdzie jest i Tomowi nawet nie chciało się nad nią znieć.

Dianie wciąż było trochę niedobrze na myśl o psie.

- A co z jego ojcem? Kiedy on umarł?

- W zeszłym tygodniu.

Tera?- Diana połączyła tę informację z rozmową przy śniadaniu.

- Mówiłem Cole'owi, żeby tam pojechał, bo może znajdzie tam coś po matce. W rzeczywistości jednak chciałem, aby zobaczył to miejsce jako dorosły mężczyzna. Czytałem gdzieś, że dorośli po konfrontacji z „widmami z dzieciństwa” czują się znacznie lepiej. Myślę, że niezależnie od tego, czy on tam jest, czy nie, dobrze byłoby, żebyś zobaczyła ten dom i żeby on -wiedział, że ci to nie przeszkadza. Chociaż myślę, że tam pojedzie.

- Narysuje mi pan mapę? - spytała, całując go w policzek, czym go zupełnie zaskoczyła. - Pobiegnę do nowego domu po kluczyki od ciężarówki.

Rozdział 50

Cole stał na podwórku miejsca swego urodzenia, przed czteroizbową chatą z przegniłą podłogą. Była to wstrętna konstrukcja na skrawku jałowej ziemi. Jego miejsce urodzenia. Jego dziedzictwo.

Nie był pewien, dlaczego tu przyjechał. Jego matka dawno umarła, więc nic tu nie znajdzie, co by mu ją przypominało. Może przyjechał tu zmierzyć się ze zmorami przeszłości, żeby potem spać tę budę... Nie wyniósł stąd żadnych miłych wspomnień. Jedyne znośne związane były z matką. Zmarła wkrótce po swych czterdziestych drugich urodzinach, kiedy był na pierwszym roku studiów. Odwiedził ją jeszcze na urodziny. Pojechał autostopem do miasteczka, żeby jej kupić prezent. Wracał późno. W domu panowała cisza i przez moment miał nadzieję, że ojciec, pijany, śpi w stodole lub, co byłoby nawet miłsze, jest jeszcze gdzieś dalej. Doszedł już prawie do pokoju matki, kiedy jak śmignięcie batem dobiegł go głos ojca:

- Gdzie, do diabła, byłeś?

Sięgnął do wyłącznika, żeby rozproszyć ponury nastrój i na podstawie głosu określił nastrój ojca jako wredny, ale nie agresywny fizycznie. Był specjalistą w ocenie nastroju ojca, bo jakakolwiek pomyłka sprowadzała opłakane skutki nie tylko na Cole'a, ale i na jego matkę.

- Musiałem pojechać do miasta.

- Pieprzony kłamczuch. Byłeś w Jeffersonville u tego swojego głupawego wuja, co ci kładzie do głowy zwariowane pomysły. Mówiłem już, co ci zrobię, jak cię jeszcze raz z nim dorwę. Sam się prosisz o nauczkę, chłopcze!

Cole zweryfikował ocenę i umieścił jego stan w kategorii „potencjalnie brutalny”. Jako dziecko, w takich chwilach wymiotował ze strachu. Później jego największym problemem była obawa, że zabije kiedys ojca i będzie musiał przez to spędzić całe życie w wię-

zieniu. Uwagę ojca zwrócił teraz pakunek w papierze we wzorek, który Cole trzymał w ręku.

- Co to jest, do diabła?

- Prezent dla mamy. Dziś są jej urodziny.

Zdumiony takimi sentymentami ojciec sięgnął do paczki.

- Co jej kupiłeś?

Cole cofnął zawiniątko, żeby ojciec nie mógł go dotknąć.

- Nic, co by ci się podobało. Ozdobna szczotka do włosów i lusterko.

- Kupiłeś jej ozdobną szczotkę i lusterko? - przedrzeźnia! syna.

- Ozdobna szczotka i lusterko dla tej wychudłej, starej krowy? To nawet śmieszniejsze, niż to, że jesteś pieprzonym studencikiem. - Nastrój mu się po tym poprawił, więc wziął butelkę whisky, stojącą na stole, a Cole poszedł do matki.

Drzemała, z głową opartą o poduszki. Obok niej, na stoliku, stał talerz ze zjedzoną do połowy kanapką. Cole zapalił światło i usiadł obok matki.

- Tylko to jadłaś na obiad?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego, mrugając, żeby przyzwyczaić się do światła. Uśmiechnęła się, ale nawet jej uśmiech był smutny.

- Nie byłam głodna. Czy to twój ojciec się wydzierał kilka minut temu, czy mi się śniło?

- Wydzierał się.

- Nie powinieneś denerwować ojca, Cole.

Jej nieustannego podporządkowania ohydnyim nastrojom i wrednym obyczajom ojca Cole nigdy nie potrafił zrozumieć. Zawsze starała się go uspokajać i usprawiedliwiać. Musiał się powstrzymać, żeby jej nie nauragać, że nigdy się nie broniła i nie przeciwstawiła mu. Nie opuści go, a Cole nie może opuścić jej.

- Przyniosłem ci prezent urodzinowy.

Rozjaśniła się i przez moment uwierzył, że kiedyś mogła być taka ładna, jak opisywał wuj. Uniosła pakunek, potrząsnęła nim, żeby przedłużyć oczekiwanie. Później otworzyła go powoli.

- Jakie piękne!

Zwróciła wzrok na niego.

- Jak za to zapłaciłeś?

- Po co mam płacić, jeżeli mogę ukraść?

- Och, nie, Cole!

- Żartuję, mamó! Czy gdybym ukradł, czekałbym, aż mi zapakują?

Z ulgą znów oparła się na poduszce i wzięła do ręki lusterko. Przejrzała się i wyznała z dziewczęcym zawstydzeniem:

- Byłam kiedyś dumna ze swojej urody, możesz to sobie wyobrazić?

- Wciąż jesteś ładna. Posłuchaj, mamó. Wszystko będzie lepiej, za parę lat, kiedy skończę studia. Mam wielkie plany, a Cal uważa, że wszystko się uda, jeżeli bardzo tego chcę i będę ciężko pracował. Za kilka lat zbuduję ci na ziemi Cala piękny dom, z kamienia i cedru, z mnóstwem okien i tarasami dookoła. Będiesz sobie mogła siedzieć i patrzeć cały dzień.

Wydawało mu się, że wcisnęła się w poduszkę, jakby chciała się ukryć, i wpiła palce w jego rękę.

- Nie żyj marzeniami! Jeśli się nie spełnią, skończysz tak jak twój tata. Dlatego taki jest. On też kiedyś miał marzenia.

- Ja nie jestem nim! - obruszył się Cole. - Zupełnie nie jestem taki jak on.

Ojciec mówił o „marzeniach” tylko wtedy, kiedy chciał wygłosić jakąś pijacką tyradę i nie znajdował innego tematu.

* * *

Pomarańczowa ciężarówka odmówiła posłuszeństwa, kiedy Diana zjechała z głównej drogi, więc ją zostawiła i poszła dalej pieszo, koleinami, wyznaczającymi drogę do obejścia. Po dziesięciu minutach, gdy pokonała ostry zakręt, zobaczyła wysoką, samotną sylwetkę przygarbionego mężczyzny. Cole stał nieruchomo, a lekki wiatr rozwiewał mu włosy. Jeszcze kilka kroków i zobaczyła miejsce urodzenia swojego męża. Na ten widok zrobiło jej się niedobrze. Spodziewała się czegoś mało ciekawego, ale nie była przygotowana na takie plugastwo. Rozpadająca się, drewniana chałupa u stóp wzgórza otoczona była połamanym płótem i nagromadzonymi przez dziesięciolecia śmieciami.

Postać Cole'a uderzająco kontrastowała z otoczeniem. Ubrany był w błyszczące jak lustro brązowe mokasyny, starannie odprasowane spodnie w kolorze khaki i śnieżnobiałą koszulę z podwiniętymi rękawami. Kiedy sięgnął ręką do karku, żeby rozmasować sobie mięśnie, koszula napięła się na jego szerokich ramionach. Miała ochotę objąć je teraz i przytulić do nich policzek.

Nie zauważył jej, póki nie stanęła tuż obok, a wtedy powiedział bezbarwnym głosem:

- Nie powinnaś tu przyjeżdżać.

Spojrzał na nią i dopiero wtedy zobaczyła jego zmienioną, kamienną twarz. Wiedziała już, skąd się wziął jego pozorny chłód i jego siła. To była siła, która pozwoliła mu się stąd wyrwać.

- Musiałam tu przyjechać - wyjaśniła po prostu, widząc, że twarz mu łagodnieje. - Chciałam, żebyś wiedział, że tu byłam i widziałam.

- Rozumiem. A teraz, skoro już widziałas - ciągnął, udając obojętność - co sądzisz?

Co sądzi? W odpowiedzi Diana zrobiła jedyną rzecz, jaka jej przyszła do głowy, żeby wyładować gniew i wyrazić swoją opinię. Rozejrzała się po ziemi, wybrała spory kamień i rzuciła z całej siły. Cole spojrzał dokładnie w momencie, kiedy kamień trafił w okno tej piekielnej nory. Przeniósł wzrok z rozbitej szyby na jej piękną, rozgniewaną twarz.

- Właśnie to sądzę - odparła, otrzepując ręce po rzucie, którego celności mógłby jej pozazdrościć najlepszy baseballista.

Śmiech Cole'a był znacznie głośniejszy niż dźwięk rozbijanej szyby. W nagłym poczuciu nieograniczonej wolności wziął ją w ramiona i przerzucił sobie przez ramię, jak worek kartofli.

- Puść mnie - śmiała się, szamocząc.

- Nie puszczę, dopóki mi czegoś nie obiecasz.

- Czego nie obiecuję? - chichotała.

- Ze nigdy, przenigdy nie zezłoscisz się tak, żeby rzucić czymś we mnie.

- Nie mogę składać obietnic, których nie dotrzymam.

Klepnął ją w pupę i szedł dalej. Pogwizdywał, a ona się śmiała.

Radosne dźwięki niosły się aż do nory, w której kiedyś żł.

Ostatni skrawek szyby w oknie wypadł i rozbił się o zaśmieconą podłogę.

* * *

Reszta ich pobytu u Cala była pasmem beztroskich dni i gorących nocy. Kiedy nadszedł czas wyjazdu, gospodarz odwiózł ich na lotnisko i machał długo, póki samolot nie odleciał. Chociaż było mu ciężko na sercu, czuł, że ma je znacznie mocniejsze.

Dianie też było ciężko na sercu, kiedy mąż zostawiał ją w Houston i poleciał dalej do Waszyngtonu.

- Już za tobą tęsknię - powiedziała. - Mieszkanie w dwóch różnych miastach jest nie do przejścia.

Cole uniósł jej brodę.

- Zajmiemy się tym za parę dni, jak tylko załatwię sprawy w Waszyngtonie. Czas szybko minie.

Zmarszczyła czoło.

- Jak tak możesz mówić?

- Usiłuję nas oboje przekonać.

- Nie udaje ci się.

Przycisnęła ją do siebie.

- Wiem.

- Nie zapomnij do mnie zadzwonić.

Uśmiechnął się i przytulił ją mocniej.

- Jak mógłbym zapomnieć zadzwonić do ciebie, kochanie?

Rozdział 51

Strumienie deszczu lały się na płytę lotniska Dulles International. Sam Byers siedział w samochodzie z włączonym silnikiem i wycieraczkami. Patrzył, jak samolot wytracał prędkość i zatrzymał się na skrzyżowaniu pasów startowych, czekając na instrukcję z wieży, a w końcu wykonał zakręt o dziewięćdziesiąt stopni i przejechał obok niego. Kiedy piloci wysiedli, podniósł kołnierz płaszcza przeciwdeszczowego i ruszył przez kałuże.

- Szkoda, że musimy w ten sposób się spotykać - powiedział zadyszany Byers, tęgi sześćdziesięcioletek, kiedy wspinał się po schodkach samolotu i opadł na sofę - ale chciałem ci to wręczyć osobiście, a niedobrze byłoby, żeby nas widziano razem.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął dużą, brązową kopertę. Cole wzięła ją i podał senatorowi jego ulubiony napój: wódkę z lodem i cytryną. Rozglądając się po eleganckim wnętrzu, senator zwrócił uwagę na markę wódki, jaką mu podał gospodarz i stwierdził:

- Masz dobry gust, Cole. Niestety - dodał, gdy Cole usiadł obok niego - masz również bardzo mocnego wroga.

- Kto to taki?

Uniósł szklanekę, imitując toast i oznajmił:

- Młody senator stanu Teksas, Douglas J. Hayward. Bardzo mu zależy na tym, żeby cię wykurzyć z interesów i wpakować do więzienia. Dodał bez złośliwości: - Ten chłopak ma poważne ambicje prezydenckie. Może mu się to udać. Ma urodę i charyzmę młodego Jacka Kennedy'ego. - Teraz dopiero zreflektował się, że jego słuchacz był zszokowany i wściekły. - Czy zrobiłeś coś, co go tak rozwścieczyło, czy chce cię załatwić tak, dla zasady?

Jedyne możliwe wyjaśnienie, jakie mu przychodziło do głowy. wiązało się z Jessicą Hayward i pamiętnym wieczorem, kiedy jej mąż Charles niespodziewanie wrócił do domu. Wydawało się jed-

nak niemożliwe, żeby młody Hayward zadawał sobie tyle trudu po dziesięciu z górą latach, aby bronić wątpliwego honoru matki.

- Jedyne powód, jaki mi przychodzi do głowy, jest bardzo wąty.

- To by się nim nie zajmował - powiedział krótko Sam. - Każdy kandydat potrzebuje jakiegoś smoka, którego może zgładzić dla powszechnego dobra. To im zdobywa popularność, a popularność zdobywa im wyborców. Reagan miał Ayatollaha, Kennedy miał Hoffa... Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem, ale nie podoba mi się ta analogia - odpowiedział Cole lodowatym tonem.

- Wysłuchaj mnie cło końca, nim mi obijesz mordę - zachichotał Sam. - Chciałem ci właśnie powiedzieć, że jeżeli ambitny polityk nie może znaleźć legalnie wroga publicznego na rzeź, to go sobie sam stwarza. Z jakichś powodów senator Hayward postanowił ciębie zaszczyścić tą funkcją. - Wypił łyk drinka i ciągnął dalej. - Dyrekcja Cushmana popiera Haywarda w jego poszukiwaniu „sprawiedliwości”, a poza tym mają swoich własnych sprzymierzeńców politycznych. Zdołali przekonać giełdę nowojorską, Komisję Specjalną i samych siebie, iż to ty rozpowszechniłeś plotkę, że ich mikroprocesor jest wadliwy, żeby spadła wartość ich akcji i żebyś mógł je kupić za połowę ceny. O tym już wiesz. Może jednak nie wiesz tego: ludzie od Cushmana chcą ci wytoczyć proces w imieniu wszystkich. Oprócz kilkuset milionów dolarów odszkodowania, chcą żeby sąd przyznał im prawa do całości zysków Unified na tym procesorze, kiedy wejdzie na rynek, oraz do wszelkich przyszłych zysków wynikających z jakichkolwiek ich projektów, urządzeń czy wynalazków, jeśli będziesz z nich korzystał. Moje źródła mi mówią, że szczególnie zależy im na tej ostatniej formule. - Popił, spojrzął na nieodgadnioną twarz Cole'a i wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że to trochę dziwne, ale cóż, jestem tylko chłopakiem z prowincji. Ale nawet taki chłopak z prowincji jak ja rozumie jedno: jeżeli sąd federalny uzna cię za winnego choćby jednego z tych zarzutów, to Cushman ma prawie wygrany proces w sądzie okręgowym.

- Co jest w tej kopercie? - spytał Cole, myśląc już o podjęciu odpowiednich kroków.

- Nic takiego, co pomogłoby ci go załatwić, jeśli o tym myślałeś, ale przynajmniej będziesz wiedział, na czym stoisz. William C. Gonnelli, sędzia z Komisji Specjalnej, który będzie się zajmował twoją sprawą, jest już tak pewny, że jesteś winny, iż pomaga prokuratorowi federalnemu zdecydować się, czy należy cię zaciągnąć przed sąd

przysięgłych i czekać na wyrok, czy iść na skróty i wystąpić o nakaz aresztowania. Jest tu kopia wezwania przed Komisję Specjalną, które twój adwokat dostanie pojutrze. Oczywiście, będą przecieki do prasy. Obawiam się, że od dzisiaj będą za tobą latali z mikrofonami, ledwie wystawisz nos za drzwi.

Cole nie spodziewał się aż takiej pomocy od Byersa i był wzruszony, że senator zadał sobie tyle trudu, tym bardziej że w świetle tych informacji było mało prawdopodobne, żeby mógł jeszcze kogośkolwiek kiedykolwiek sponsorować. Jakby zgadując, o czym myśli, polityk wstał i uściśnął rękę Cole'a.

- Spodobałeś mi się, kiedy cię poznałem, Cole, a potem polubiłem cię jeszcze bardziej. Nikt oprócz ciebie - uśmiechnął się - nie wręczył mi czeku na trzysta tysięcy dolarów i nie powiedział prosto w oczy, że dałby go nawet goryłowi, gdyby był kandydatem Republikanów.

- Przepraszam, panie senatorze - powiedział Cole bardzo poważnie i szczerze. - Jestem bardzo wdzięczny za pomoc.

- Twoja brutalna szczerłość była dla mnie nowością. Nie jestem do tego przyzwyczajony. - Odwrócił się i przecisnął między dwiema sofami, po czym zatrzymał w drzwiach samolotu i znów podniósł kołnierz. - Uważam, że jesteś niewinny. Niestety, nie będę mógł z tobą więcej rozmawiać. Rozumiesz, prawda?

- Doskonale.

Popatrzył na wezwanie na rozprawę ze swoim nazwiskiem i poczuł wściekłość, jakiej nie odczuwał chyba nigdy w życiu. Nie obawiał się wezwań, procesów, bezpodstawnych oskarżeń lub nadwężenia jego dobrego imienia. Problem polegał na tym, że za dwa dni jego nazwisko będzie kojarzone z oszustwem. Wobec tego również nazwisko Diany. Diana wyszła za niego, żeby ratować swą godność i opinię. Teraz on to wszystko zniszczy, wraz z jej reputacją, znacznie skuteczniej, niż mógłby to zrobić Penworth.

W zeszłym tygodniu Diana go kochała i wierzyła w niego. W przyszłym tygodniu będzie nim pogardzała.

Przechylił głowę, opierając ją na kanapie i zamknął oczy, myśląc, co zrobić, żeby była z nim bezpieczna... żeby w ogóle z nim była. Ponieważ nie mógł nic wymyślić, dziwny, nie znany mu ucisk gardła stał się bardzo bolesny.

Rozdział 52

Diana spojrzała na zegarek, a później na telefon. Cole na pewno już skończył rozmowy w Waszyngtonie i jest albo w domu, albo w drodze. Czuła, że nie ma dla niej dobrych wiadomości, skoro nie zadzwonił. Włączyła telewizor, żeby przerwać ciszę, ale nie mogła się skupić.

...A teraz wiadomości giełdowe. Dzisiejsze notowanie na rynku papierów wartościowych...

Chociaż była przekonana o niewinności Cole'a, przewrażliwiona wyobraźnia podsuwała jej obrazy męża podczas procesu, przesładowanego przez reporterów i oskarżonego o najgorsze przestępstwa. Mówił, że do tego nie dojdzie, ale obawiała się, że było to poza jego kontrolą. Tak ciężko pracował, żeby pozbyć się piętna swojej młodości, a teraz może powielić los swej rodziny, tyle że jego sprawa będzie światowym skandalem.

...Największym przegranym są dziś Unified Industries, którego akcje spadły do najniższego poziomu z okresu pięćdziesięciu dwóch tygodni. Analitycy tłumaczą ten spadek pogłóskami, że prezes i generalny dyrektor Unified, Cole Harrison, ma być wezwany przed Komisję Specjalną. Wiarygodne źródła podają, że przesłuchanie będzie tylko formalnością i Harrison stanie przed sądem...

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Douga i prosić go o radę. Nie, chciała go błagać o jakąś interwencję. Ale teraz on nie pomoże ani jej, ani Cole'owi. Zachowywał się zupełnie irracjonalnie. Przypomniała sobie jego pełne nienawiści słowa: „...Musisz się go pozbyć, natychmiast!... Ten drań ma swoje sposoby na kobiety w każdym wieku... nawet na ciebie”.

Po tej uwadze na temat „kobiet w każdym wieku” zastanawiała się, czy kiedyś, dawno, Cole nie poderwał jakiejś dziewczyny Douga. Niezależnie od przyczyny, jego nienawiść do Cole'a była tak

silna, że przeniosła się nawet na Dianę. Nie odniósłby się teraz do jej próśb z sympatią, zwłaszcza po tym, jak ją ostrzegł. Przewidział dokładnie, co się stanie. Z początku ta możliwość wydała jej się tak obrzydliwa, że ją odrzuciła. Doug ją ostrzegł... Powiedział jej, co się wydarzy... Jego nienawiść do Cole'a była oczywista. Złapała torebkę i kluczyki od samochodu i pojechała szukać jedynej osoby, która mogłaby jej coś na ten temat powiedzieć.

Corey otworzyła drzwi i z wyrazu jej twarzy Diana wyczytała, że też słuchała wiadomości.

- Corey, muszę cię o coś zapytać. To bardzo ważne. Czy Spence mówił ci kiedyś, że Doug nienawidzi Cole'a?

- Tak. Powiedział mi to wtedy, kiedy przyjechaliście z Cole'em powiadomić nas o waszym ślubie. Tobie Cole się podobał, mnie się podobał, więc opinia Douga nie była taka ważna.

- Muszę się zobaczyć ze Spence'em.

- Jest tam, koło basenu.

Spence przymocowywał drabinkę z głębszej strony basenu.

- Diano, co się stało?

- Tego właśnie chciałabym się od ciebie dowiedzieć. Kilka godzin po konferencji prasowej, na której zawiadamialiśmy z Cole'em o naszym ślubie, przyszedł do mnie Doug. Powiedział mi, co o nim myśli, ale nie wyjaśnił dlaczego. Zawsze byliście przyjaciółmi. Ty musisz wiedzieć, dlaczego.

- Kotku, masz tyle problemów, po co jeszcze martwić się Dougiem. - Przekręcił klucz po raz ostatni i wstał.

- Myślę, że to właśnie Doug jest problemem.

- Co ty opowiadasz?

Usadziła go przy sobie na plażowej leżance.

- Doug był wściekły, że wyszłam za mąż za Cole'a. Wygłosił przemówienie na temat nieuczciwych praktyk zawodowych Cole'a, ale nie chodziło mu o zasady, wyglądało to na coś bardzo osobistego!

- Do czego zmierzasz?

- Chodzi mi o coś innego, co wtedy powiedział. Mówił, że na giełdzie badają sprawę Cole'a. Ale dodał również, że Komisja Specjalna przekaze go do sądu federalnego.

Przez moment sądziła, że Spence nie zrozumiał, do czego zmierza, ale zaraz podchwycił.

- Wiedział o tym wszystkim, zanim jeszcze się wydarzyło?

- Właśnie! Był tego pewien i tak się dokładnie stało! Czy wiesz, dlaczego Doug tak nienawidzi Cole'a?

Na szczęście Spence nie usiłował jej wyśmiać.

- Prawdopodobnie jedyną osobą, poza Dougiem, która zna prawdziwą odpowiedź na to pytanie, jest Charles Hayward. Wtedy, kiedy Doug coś wspominał na ten temat, był pijany, ale odniosłem wrażenie, że ma to jakiś związek z Barbarą.

- Z Barbarą?

- Nie jestem pewien, bo mówił trochę bez sensu.

Diana wstała.

- Dobrze, dowiem się tego od Charlesa Haywarda, Spence podążył za nią.

- Pojadę z tobą.

Diana zagryzła wargi, zastanawiając się, czy Spence jej pomoże, czy zaszkodzi.

- Myślę, że więcej uzyskam od Charlesa, jeśli będę sama.

Rozdział 53

Charles Hayward siedział w skórzanym fotelu w swym gabinecie, z pilotem od magnetowidu w ręku. Cofał właśnie kasetę z wiadomościami CNN na temat Cole'a. Jessica wprowadziła Dianę do pokoju.

- Charlesie, Diana chciałaby się z tobą zobaczyć.

Charles obejrzał się i skinął głową, po czym znów wcisnął guzik w pilocie.

- Cześć - powitał ją, wskazując, żeby usiadła na kanapie naprzeciw niego. - Siadaj.

Ku jej zdumieniu, znów przy niej oglądał ten fragment wiadomości, śmiejąc się przy tym. Było w tej scenie coś upiornego. Sytuację pogarszała obecność stojącej w drzwiach Jessiki. Diana ostrożnie odetchnęła. Miała świadomość, że to jej jedyna szansa, żeby dowiedzieć się tego, czego potrzebowała, i podjąć jakieś kroki.

- Czy mogłabym porozmawiać z tobą w cztery oczy, Charlesie?

- Oczywiście - odparta Jessica i wycofała się.

- Ależ tak, moja droga - powiedział Charles i zatrzymał taśmę, po czym odłożył pilota na stolik. Popatrzył na nią wyczekująco, lecz na jego twarzy nie zauważyła tej okrutnej satysfakcji, z jaką oglądał wiadomości.

Diana zaczęła bardzo ostrożnie.

- Charlesie, po śmierci mojego ojca to do ciebie zawsze zwracałam się o radę. - Skinął głową z zadowoleniem. - Kiedy zdecydowałam się założyć spółkę, byłeś jedną z osób, które pożyczyły mi pieniądze.

- Zainwestowałem w dochodowy interes - powiedział taktownie. Zawsze tak mówił, ilekroć próbowała mu dziękować.

- Teraz znów potrzebuję pomocy. Tylko tym razem jest to znacznie ważniejsze. Chodzi o Cole'a.

Jego twarz stała się równie zimna, jak oczy.

- W tym wypadku dam ci najlepszą radę, jakiej kiedykolwiek udzieliłem. Zostaw go!

- Nie zrobię tego.

Zerwał się na równe nogi i stanął nad nią. Teraz i ona wstała.

- Na razie jeszcze traktuję cię jak niewinną ofiarę, Diano. Ale jeśli go nie zostawisz i nie wycofasz się z tego, będziesz obrzucona takim samym błotem, jak on. Kongres ma kontrolę nad Komisją Specjalną i mamy wystarczająco dużo na Cole'a Harrisona, żeby go powiesić.

- Mamy? - wybuchnęła Diana. - Mamy? Ty nie jesteś związany z Kongresem, tylko Doug.

- My go powiesimy, a potem pogrzebiemy - odparował Charles.

- Dlaczego to robisz? - zawołała Diana. - Co Cole ci takiego zrobił, że go tak nienawidzisz? - Zmusiła się, żeby okazać dobrą wolę i nie walczyć z nim. - Pomóż mi zrozumieć, a wtedy zdecyduję, czy mam zrobić tak, jak radzisz.

Jednak Charles nie był już w stanie się kontrolować.

- Chcesz wiedzieć, co mi zrobił? - wrzasnął strasznym głosem.

- Powiem ci, co mi zrobił. Zniszczył moją rodzinę! Ten cholerny skurwysyn był prawdziwym ogierem w mojej stajni. Bóg jeden wie, ile jeszcze młodzieńskich koleżanek Barbary molestował...

- Molestował? - powtórzyła Diana słabo.

Schwycił ją za ramiona.

- Chciałaś wiedzieć, to dowiesz się wszystkiego. Czy pamiętasz moją śliczną córeczkę? Pamiętasz? - potrząsnął nią.

Diana wyrwała się i cofnęła, ale nie mogła wyjść, nie usłyszawszy wszystkiego.

- Oczywiście, że pamiętam - odparła drżącym głosem.

- Była w ciąży z tym bydlakiem. Pewnego wieczora prawie ich nakryłem w stajni, więc go wyrzuciłem, ale nie mogłem uwierzyć, że naprawdę się przespał z takim dzieciakiem.

Diana pokręciła głową.

- Nie, Charlesie, nie masz racji...

- Mam rację! - krzyknął. - Zrobiono mu krzywdę, Kiedy Barbara zorientowała się, że jest w ciąży, w piątym miesiącu, powiedziała matce, i Jessica pomogła jej usunąć ciążę. Nigdy bym się o tym nie dowiedział, gdyby nie trzy sprawy. Chcesz wiedzieć, jakie? - krzyczał.

Diana potrząsnęła głową.

- Dowiedziałem się dlatego, że Barbara omal nie umarła, musiała mieć usuniętą macicę i dlatego moja mała córeczka spędza ca-

te życie pod opieką coraz to innego psychiatry. A wiesz, co mi o tym codziennie przypomina?

- Nie.

- Wnuki! Nie mam wnuków. Ten skurwysyn, za którego wyszłaś, pozbawił mnie córki, moją córkę dzieci, a mnie wnuków. - Wskazał na drzwi i rzucił drżącym z gniewu głosem: - A teraz wy- noś się, do diabła, z mojego domu i nigdy się tu nie pokazuj!

Rozdział 54

Diana pojechała do domu. O jedenastej wciąż siedziała w tym samym fotelu, z podwiniętymi nogami, otulona kocem, żeby ogrzać lodowate ręce i opanować dreszcze.

Corey dzwoniła co piętnaście minut, ale słyszała tylko automatyczną sekretarkę, bo Diana nie mogła się ruszyć.

Cole nie dzwonił.

Nie była w stanie uronić już ani jednej łzy, ani więcej zwymiotować. Była kompletnie pusta.

Cole nie dzwonił.

Piętnaście po jedenastej znów zadzwoniła Corey, tym razem nie była zmartwiona, tylko wściekła i szalała.

- Diano, jeżeli natychmiast nie odbierzesz telefonu, przyjeżdżam.

Diana spróbowała odebrać, ale Corey już się wyłączyła. Przyjechała razem ze Spence'em w rekordowym czasie i otworzyła jej mieszkanie własnym kluczem.

- Diano! - powiedziała łagodnie, podchodząc do niej ostrożnie.

Sądzili chyba, że oszalała. Spence przykucnął przy niej, bardzo zatroskany.

- Czego dowiedziałaś się od Charlesa Haywarda, kochanie?

Teraz i Corey przykucnęła przy nim, trzymając się jego ramienia, jakby to miało ją obronić przed usłyszeniem czegoś strasznego, co spowodowało, że Diana była w takiej apatii.

Popatrzyła na nich.

- Och - odparła z namysłem - Charles powiedział, że Cole molestował Barbarę i ona zaszła w ciążę i miała aborcję- Teraz nie może mieć dzieci i dlatego jest zawsze w takim kiepskim stanie psychicznym.

- Co?! - wrzasnęła Corey, zrywając się na równe nogi.

Diana automatycznie śledziła ją wzrokiem, więc uniosła głowę i szepnęła:

- Czy to nie zdumiewające?
- Zdumiewające? - powtórzyła Corey, patrząc pytająco na Spence'a, który stanął przy niej. - Tak uważasz?

Wtedy stało się to, czego Diana obawiała się przez cały czas - zaczęła się śmiać i nie mogła przestać.

- Cole nie tknąłby Barbary nawet palcem! Bał się bez przerwy, że go będziemy podrywały. Pamiętasz, jak się wysilałyśmy, żeby nas zauważył?

- Pamiętam - przyznała Corey, wciąż ze ściągniętymi brwiami.
- Jakie to śmieszne... niesamowicie śmieszne.
- Co? Śmieszne? - spytała Corey ostrożnie, chociaż powoli nabierała przekonania, że Diana myśli jednak normalnie.
- Jasne, że śmieszne! - powiedziała Diana, z przejęciem kiwając głową. - Niesamowicie zabawne, bo to ja przyjmowałam zakłady.
- Jakie zakłady?

- Zakłady! - zaśmiała się. - Wszystkie, łącznie z Barbarą, złożyły do pudełeczka pieniądze i wygrać miała ta, której uda się namówić Cole'a, żeby ją pocałował - Diana śmiała się jeszcze głośniej. - Ja byłam skarbniczką, I żadna nie wygrała! - Nagle odwróciła twarz i wtuliła ją w fotel, a śmiech zmienił się w łkanie. - Żadna nie wygrała!... Niszczą go... a przecież żadna nie wygrała.

Rozdział 55

Następnego ranka Diana próbowała zastać Cole'a telefonicznie w domu. Mężczyzna, który odebrał telefon, powiedział, że pan Harrison jest w pracy. W biurze sekretarka powiedziała, że go nie ma. Diana doszła do oczywistego wniosku, że jest dla mężczyzny towarem jednorazowego użytku. Cole po prostu rozerwał się jej kosztem, kiedy byli u Cala, i odgrywał prawdziwe małżeństwo. Kiedy co innego stało się dla niego ważne, albo nie chciał sobie nią zawracać głowy, albo w ogóle zapomniał o jej istnieniu. Jej rozum to zaakceptował, ale serce nie mogło i cierpiało.

Jakoś przetrwała cały dzień pracy. Podtrzymując postanowienie, żeby zrzucić z siebie trochę odpowiedzialności, spędziła prawie całe popołudnie z dwójgim swoich zastępców, żeby się upewnić, że wszyscy tak samo myślą. Gdziekolwiek poszła i kogokolwiek widziała w budynku, wszystkich witała pogodnym uśmiechem. Kilka razy napomknięto przy niej o Cole'u i jego aktualnych kłopotach. Wspominając teraz porzucenie przez Dana, nie mogła zrozumieć, że uważała to za tragedię. Tragedia była teraz.

Wyszła z biura o wpół do szóstej i za namową rodziny pojechała do nich na obiad. Było tam jeszcze trudniej, niż w biurze. Rodzina, w przeciwieństwie do współpracowników, nie wahała się wypowiadać na temat sytuacji Cole'a i domagała się, żeby Diana z nimi o tym rozmawiała, aczkolwiek Corey i Spenco milczeli. Nawet Glenna wyraziła swoją opinię, no ale ona była częścią rodziny. Poza tym była nałogową podsłuchiwaczką.

Kiedy wszyscy siedzieli przed obiadem wokół basenu, Glenna przyszła powiedzieć, że jest pilny telefon do Diany. Cała rodzina rozpromieniła się w przekonaniu, że to Cole.

- To reporter - poinformowała Glenna, trzymając w ręku telefon bezprzewodowy.

- Nie chcę rozmawiać z żadnymi reporterami - odpowiedziała Diana. - Nie wiem, skąd mają ten numer, ale będziemy musieli go zmienić,

- Chce z tobą porozmawiać o twoim rozwodzie.

Wszyscy umilkli i spojrzeli na gospodynię.

- O czym?

- Chce, żebyś powiedziała, na czym opierasz pozew rozwodowy.

Diana wzięła telefon, powiedziała dzień dobry i przez chwilę słuchała.

- Skąd pan to słyszał?... Nie, nie jest to powszechnie znane, pannie Godfrey - powiedziała, wstając powoli - bo ja nic nie wiem na ten temat. Do widzenia.

W jej sercu zaczynała się zapalać iskierka nadziei. Odwróciła się i pobiegła do telewizora, a rodzina za nią. Ekran zdążył rozbrzmieć akurat, kiedy w lokalnych wiadomościach z Houston potwierdzali to, co właśnie powiedział jej reporter.

- W sprawie Cole'a Harrisona z Unified Industries pojawił się uboczny wątek - opowiadała kobieta na ekranie współprowadzącemu. - Diana Foster, jego żona od niecałych dwóch tygodni, występuje o rozwód na podstawie nie znanych nam jeszcze zarzutów.

- Niedługo to trwało - dodał on.

Ona skinęła głową.

- Źródła zbliżone do Cole'a Harrisona potwierdziły tę pogłoskę niecałą godzinę temu. Prawdopodobnie Diana Foster chce odciąć siebie i swoją firmę od skandalu, jaki ma miejsce w Waszyngtonie z powodu przejścia przez Harrisona firmy Cushman Electronics.

Henry Britton spojrział na wnuczkę niemal oskarżycielsko.

- Czy tak masz zamiar zrobić?

Potrząsnęła głową, z oczyma błyszczącymi ze szczęścia.

- To Cole chce, żebym tak zrobiła. Charles i Doug Haywardowie ostrzegali mnie, że jeśli nie rzucę Cole'a, skandal dotknie i mnie. Teraz Cole stara się zadbać o to, żeby mnie nie wciągać.

Corey popatrzyła na męża.

- No i masz swoją teorię, że ożenił się z nią, żeby poprawić swój wizerunek. Poświęca się dla niej.

Diana już tego nie słuchała. Myślała i planowała.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała babcia, ale Mary Foster znała już odpowiedź na to pytanie.

Objęła córkę ramieniem i powiedziała, śmiejąc się cichutko:

- Diana jedzie do Dallas.

Oczywiście, że Diana miała zamiar jechać do Dallas. Jak na kobietę, która nie potrafiła działać bez dokładnego planu i nie wyruszyła w najkrótszą podróż, nie przełożywszy każdej sztuki garderoby bibułka, tym razem działała błyskawicznie. Na oczach babki i Corey wrzuciła po prostu wszystkie ubrania, jakie miała pod ręką, do dwóch walizek, a na wierzch upchnęła przybory toaletowe.

- To tyle - powiedziała, zamykając drugą walizkę.

Zadzwoiła do swych dwojga głównych zastępców i poinformowała, że przejmują kierownictwo, a gdyby były jakieś problemy, to niech dzwonią pod numer Cole'a.

Ze sprawami z wypełnionego kalendarza uporała się jeszcze szybciej, prosząc Corey:

- Powiedz Sally, żeby odwołała wszystkie moje spotkania.

- A co ma im wszystkim mówić?

- Powiedz wszystkim - oświadczyła Diana, ściągając z łóżka dwie ciężkie walizki - że jestem w Dallas. Z moim mężem.

O dziewiętnastej czterdzieści pięć Diana, przywieziona na lotnisko przez Corey, stała w kolejce do wejścia na lot o dwudziestej, kiedy zobaczyła, że mężczyzna, pędzący przez liczne bariery i bramki, to Spence.

- Daj to Cole'owi - powiedział, wyjmując z kieszeni kopertę. Powiedz, że to spóźniony prezent ślubny, który może wykorzystać, jeśli nie będzie mógł się inaczej obronić.

- Co to jest? - spytała Diana, posuwając się w kolejce.

- To koniec kariery politycznej Douga - odparł ponuro Spence.

Rozdział 56

Zdumiewająco łatwo udało się przekonać mężczyznę, który odebrał domofon i przyjrzał się jej przez małą kamerę, zamocowaną przy wejściu do rezydencji Cole'a, że należy wpuścić panią Harrison, nie uprzedzając jej męża. Prawdę mówiąc, promieniał z radości, prowadząc ją przez dom na patio, położone nad olbrzymim basenem o fantazyjnym kształcie.

Cole stał samotnie w ciemności, z rękami w kieszeniach i uniesioną głową, jakby patrzył w gwiazdy. Diana otworzyła drzwi, wyszła na patio i patrząc na niego, zastanawiała się, od czego zacząć. Miała ochotę po prostu rzucić mu się w ramiona. Lecąc tutaj, układała sobie różne przemówienia, których celem było jedno: przekonać go, żeby pozwolił jej zostać i dzielić z nią swoje kłopoty. Rozważała błaganie, tłumaczenie, domaganie się. Brała pod uwagę możliwość łez, dla złagodzenia jego serca. Ale kiedy nadszedł właściwy moment, nie mogła się zdecydować.

- Cole? - Nawet nie odwrócił głowy. - Co robisz?
- Modlę się.

Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy przypomniła sobie, że modlitwę uważał za rozwiązanie stosowane przez głupich marzycieli, którzy nie chcą zrozumieć, że mogą czegoś nie mieć.

- O co się modlisz?
- Modliłem się o ciebie - wyszeptał.

Diana wpadła w jego ramiona. Objęły ją, przycisnęły. Odnalazł jej usta, a kiedy przestali się całować, trzymał ją mocno przy sobie, jakby bojąc się, że zniknie. Otarła się policzkiem o jego pierś.

- Kocham cię.
- Pocałował ją w skroń.
- Wiem. Trzymam dowód w ramionach.
- A ja wiem, dlaczego masz takie kłopoty z Komisją Specjalną. Charles Hayward mi powiedział.

- Co ci powiedział?
- Pojechałam do niego wczoraj wieczorem. Powiedział mi, że Barbara była z tobą w ciąży i musiała ją usunąć. Z powodu komplikacji nie może mieć dzieci i dlatego od lat leczy się u psychoterapeutów.

- Opowiedział ci to wszystko - zastanawiał się Cole, patrząc na nią ze zdumieniem - a ty przyjechałaś tu, do mnie?

Uśmiechnęła się do niego w świetle księżyca, pokiwała głową i przytuliła się mocniej.

- Wiem, że to nieprawda.
- Bo we mnie wierzysz? - spekulował.
- Tak. A poza tym wtedy robiłyśmy zakłady, którą z nas pocałujesz.

Usłyszała rechot w piersi Cole'a.

- I żadna nie wygrała - stwierdził, rozumiejąc od razu, do czego zmierza. Po chwili szepnął wesoło:

- A ty o ile się założyłaś?

Rozpięła guzik od jego koszuli i złożyła na piersi męża pocałunek.

- Nie zakładałam się. Uprawiam hazard tylko w Las Vegas.

Byli w drodze do sypialni, kiedy Diana przypomniła sobie, co mu przywozła.

- Co to jest? - spytał Cole, układając jej walizki u stóp swego łóżka.

Wręczyła mu kopertę i ręcznie malowaną papierową torebkę. Otworzył najpierw kopertę, a później torebkę, Spencer Addison przesyłał mu krótki opis zatrzymań Douga Haywarda za stłuczki przyjeździe po pijanemu. Ostatnia miała miejsce, kiedy był studentem prawa; w jej wyniku pasażerka doznała poważnych uszkodzeń twarzy.

Rose Britton zaś przesłała mu torbę ciasteczek czekoladowych domowej roboty.

* * *

Skończyli się kochać, ale Diana wciąż nie mogła zasnąć. Leżała w zagłębieniu jego ramienia i patrzyła na kolorowy wodospad za szklaną ścianą.

- Niedawno byłem w stanie tak cię wymęczyć - zażartował Cole - że natychmiast zasypiałaś. To źle rokuje na najbliższe pięćdziesiąt lat.

- Co się będzie działo na przesłuchaniu Komisji Specjalnej?

- Czy to coś pomoże, jeśli powiem, żebyś się nie martwiła?
- Nic nie pomoże.

Nie chciał z nią rozmawiać o szczegółach tej pułapki, z której nie widział wyjścia, ale z drugiej strony miała prawo wszystko wiedzieć. Przypominając sobie jej opowieści wakacyjne i dotyczące prowadzenia interesów, doszedł do wniosku, że bardziej bała się nieznanego, niż widocznego zagrożenia.

- Wiem, że to brzmi głupio - powiedziała w ciemności - ale miałeś świetnie prosperującą firmę bez mikroprocesora Cushmana. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, chciałabym, żebyś mógł im go oddać z powrotem, razem z całą spółką.

- Nie kupiłem Cushmana dla ich procesora. Liderem na rynku procesorów jest Intel. Rynek półproduktów został podzielony na maleńkie kawałeczki przez różnych zagranicznych producentów. Moim zdaniem, świat nie potrzebuje już więcej producentów procesorów.

Diana przekreśliła się na bok i oparła głowę na rękę, patrząc na niego.

- Więc po co, na miłość boską, zadałeś sobie tyle trudu, żeby to kupić?

- Chodziło mi o pewien patent, który oni mają, ale nie wiedzą, jak go wykorzystać. Posiadają maleńką cząstkę układanki, której my potrzebujemy, żeby wyprodukować najbardziej poszukiwany na świecie towar. Wszystko inne mieliśmy gotowe.

- Co to jest?

- To jest bateria o maksymalnie dużej pojemności, która będzie zasilala laptopy i telefony komórkowe na wiele dni, a nie godzin. Wszyscy, łącznie z nami, nad tym pracują, ale ten, kto ją pierwszy wprowadzi na rynek, wygrywa grę. A stawka jest niewyobrazalna. Naukowiec, który kieruje tym projektem u mnie, pracował kiedyś u Cushmana i wiedział o tym patencie. Pracuje poza terenem, w odrębnym laboratorium, z kilkoma asystentami, którzy niezupełnie rozumieją, o co chodzi. Ja zresztą też nie. Asystenci myślą, że pracuje nad nowym, supercienkim telewizorem-monitorem. To też robi, w wolnych chwilach.

- A nie mógłbyś z powrotem odsprzedać Cushmanowi procesora, a zatrzymać patent? - spytała z nadzieją.

- Nie ma mowy - odpowiedział Cole cierpko. - Oni też nie chcą tego procesora. Z tego, co się dowiedziałem od przyjaciela, wynika, że chcą zysków, które zdobędziemy z baterii. Jedyne szansa, jaką mają, żeby położyć łapy na naszych dochodach, to przekonanie są-

du, że oszukałem, narzucając niższą cenę akcji, nim ich wykupiłem. Patenty były i są sprawą publicznie dostępną, więc nie mogą mi zarzucić, że miałem wewnątrz informatora, ani nic takiego.

Diana gładziła mięśnie jego brzucha i piersi.

- A czego potrzebujesz, żeby się z tego wydostać?

- Mam zespół prawników, który nad tym pracuje. Znajdziemy jakiś sposób - powiedział Cole z absolutnym przekonaniem.

Zadowolona z takiego obrotu sprawy, Diana przytuliła się do niego i natychmiast zasnęła.

Cole nie spał do świtu, ponieważ już wiedział, że nie ma żadnego „sposobu”. Jego prawnicy powiedzieli mu, że będzie oskarżony o oszustwo i stanie przed sądem. Tylko jakiś cud mógłby go przed tym uchronić, pomyślał ponuro. AJe z drugiej strony... Diana leżała w jego ramionach, w jego łóżku, a to był cud. Chciała być z nim, mimo że po tym wszystkim, co słyszała i widziała, powinna uciekać, gdzie pieprz rośnie. To był prawdziwy cud.

Rozdział 57

Następnego dnia w południe, dwa dni przed przesłuchaniem w Komisji Specjalnej, Cole, upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, pojechał wraz z Dianą obejrzeć laboratorium Willarda Bretlinga.

Umieszczone w starej części miasta, wyglądało jak zapuszczony magazyn, otoczony starym przeciwyklonowym płotem, strzeżony przez ujadające psy Zaparkowane przed nim nieliczne samochody wyglądały na jeszcze starsze, niż sam budynek.

Wewnątrz był czyściutki, wręcz aseptyczny, ze wszelkimi najnowocześniejszymi urządzeniami elektronicznymi.

- Zupełnie jak w filmie z Jamesem Bondem - wykrzyknęła Diana w podnieceniu.

Willard Bretling był chudy i wysoki, lekko przygarbiony, w okularach z drucianą oprawką i rozanieżoną miną. Stał przy stole w rogu laboratorium, spierając się ze swymi asystentami, jak uruchomić nowy toster.

- Och, Cole! - wykrzyknął. - Może wiesz, jak to cholerstwo działa? - Przeprosił Dianę, która starała się nie okazać swojej reakcji na jego problem. - Taką wiedzę posiadają tylko ci o słabszych umysłach od naszych - zażartował, uśmiechając się do Diany.

- Jeśli tak - powiedziała Diana - to powinno być coś dla mnie.

Jeden z największych wmysłów w świecie nauki stał z bulką do podgrzania w ręku i patrzył, jak Diana pokręciła pokrętłem i naciśnęła dźwigenkę. Nic.

- Bezużyteczna zabawka - stwierdził Bretling.

- No, działa - oświadczyła Diana. Przesunęła dźwigenkę do samego dołu i rozsedł się zapach włączonej grzałki.

- Jak pani to zrobiła? - zapytał nieco urażony.

Diana nachyliła się blisko, położyła rękę na jego rękawie i szepnęła mu coś do ucha. Zdawała sobie sprawę, że nie chciał wyjść na nieporadnego głupca.

Opuścił Cushman Electronics, gdyż tam wychodził na głupca, ponieważ nie pozwalano mu pracować nad jego patentami, a w końcu przydzielono go do pracy pod kierownictwem młodszego i mniej zdolnego naukowca. Pod wpływem prostego działania Diany, na oczach zdumionego Cole'a humorzasty Bretling zmieniał się w łagodnego baranka. Chodząc po laboratorium, zabawiał ją rozmową. Cole nie miał pojęcia, o czym też mogą rozmawiać. On nie potrafił spędzić z tym człowiekiem dłużej niż godzinę, bo głowa mu pękała od tej naukowej abrakadabry.

Na stoliku po lewej stał kolejny ukochany projekt Bretlinga, supercienki telewizor o doskonałym obrazie, który Cole chciał wkrótce przedstawić publicznie i zaćmić najnowsze osiągnięcie Mitsubishi. W tej chwili kandydat Unided Industries na telewizor wieku był migającym, białym ekranem.

Stoły na końcu olbrzymiego pokoju zavalone były przyszłymi bateriami-akumulatorkami o wielkiej pojemności. Willard Bretling obserwował kątem oka niespokojne ruchy Cole'a, po czym powiedział, spoglądając na Dianę:

- Pani mąż jest niespokojnym człowiekiem. Ale za to ma wizję.

Skinęła głową, patrząc, jak artretyczne palce Bretlinga radzą sobie z drucikiem cienkim jak ludzki włos.

- On też bardzo pana ceni.

Palce znieruchomiały, a wyblakłe niebieskie oczy spojrzały zza okularów.

- Dłaczego pani to mówi?

Diana opowiedziała mu wszystko, o czym mówił jej Cole po drodze tutaj, i wydawał się naprawdę zdumiony.

- Uważa, że już niedługo „uratuje pan świat” tymi bateriami.

- Najpierw cienki telewizor, potem bateria - oświadczył z uporem staruszek. - Japończycy już jeden wypuścili, ale obraz jest gorszy niż na zwykłym ekranie. U nas obraz będzie doskonały.

Diana odniosła wrażenie, że to on, a nie Cole, ustala kolejność badań.

- Jemu ta bateria jest bardzo potrzebna.

Bretling pochylił się nad mikroskopem, badając coś, czego Diana nie widziała, ani sobie nie wyobrażała.

- Każdy przedsiębiorca ma swoją ulubioną rzecz, której chce. Cushman chciał tego idiotycznego procesora i zabrał mi ludzi, których potrzebowałem do swojego projektu. Zrobili mnie odpowiedzialnym za testowanie. Jestem twórczym geniuszem, a oni mnie wsadzili do laboratorium testującego-

Diana miewała już do czynienia z ludźmi ze wskaźnikiem inteligencji geniusza. Zauważyła, że w większości, podobnie jak Willard Bretling, byli uczuleni na wszelkie przejawy opozycji wobec nich. Odpowiedziała tak, jakby chciała uspokoić urażone dziecko.

- To musiało być dla pana bardzo krępujące.

Zmienił szkiełka, nie patrząc w górę.

- Powiedziałem im, że procesor jest do niczego, więc mnie wylali. Założyciel to był porządny człowiek, ale jego synowie to prawdziwe świnię. Pracowałem dla nich czterdzieści lat, a oni mnie wylali. Wyprowadzili mnie z budynku, jakby się bali, że coś po drodze ukradnę.

Diana zsunęła się ze stołka i złapała go za rękaw.

- Testował pan ich procesor i stwierdził pan, że jest niedobry?

- Tak.

Powstrzymała się od głośnego wrzasku, pytając dalej.

- Czy wspomniał pan o tym mojemu mężowi?

- Tak, mówiłem, że jest niedobry.

- Ale powiedział pan, że go pan testował?

- A czemu miałbym się chwalić, że zrobili ze mnie... pachółka?

Powiedziałem po prostu, że nie jest dobry.

- Panie Bretling, czy pan nie czyta gazet, nie ogląda telewizji, ani nie słucha radia?

- Nie, wolę muzykę klasyczną na płytach. Jest kojąca dla twórczego umysłu. - Uniósł głowę i przyjrzał jej się raz, potem drugi, aż otworzył usta.

- Dlaczego pani płacze?

Rozdział 58

Przez następne dwa dni Cole siedział w domu, ale Diana niewiele go widziała, bo przeważnie wisi na telefonie albo spotykał się z różnymi ludźmi. Goście przychodzili i wychodzili pod czujnym okiem nowego ochroniarza, postawionego tam, żeby przepędzał reporterów i innych intruzów.

Cole miał teraz do wypełnienia misję, zmobilizował wszystkie swe siły i oglądanie go w akcji było prawdziwą przyjemnością. Obserwowała go, siedzącego przy biurku w bibliotece i słuchającego rad swych adwokatów z Dallas, których nie zastosował, występując z własnymi pomysłami. Opracował strategię z prawnikami z Waszyngtonu, poczynił pewne plany z Murrayem, szefem ochrony, a jednocześnie zarządzał z domu swym przedsiębiorstwem.

Kiedy się tego najmniej spodziewała, pojawiał się nagie u jej boku, obejmował ją, całował długo i wracał na kolejne spotkanie czy do kolejnego telefonu.

Obserwowanie go sprawiało jej wielką radość, ale sama też nie siedziała beczynn timer. Po wielu telefonach udało jej się zlokalizować Barbarę Hayward w Vermont i porozmawiać z nią. Resztę czasu spędzała na rozmowach ze swoim biurem oraz zapewnianiu Spencer, Corey, dziadków i mamy, że wszystko jest w porządku. Zadzwo niła nawet dwa razy do Willarda Bretlinga, podejrzewając, że jest bardzo samotny. Poza tym miała nadzieję, że jeśli go będzie delikatnie popędzać i prawić szczer e zresztą komplementy, może pospieszy się ze swymi projektami.

Nazajutrz rano Diana z Cole'em mieli pojechać do Waszyngtonu i spodziewali się, że nie zostaną tam dłużej niż dwa dni.

Rozdział 59

Willard Bretling, Joe Murray, Travis, Cole i Diana polecili na lotnisko Dulles prywatnym samolotem Cole'a. Swoich prawników Cole wysłał lotem kursowym- To była taka jego słabostka, jak zauważyła Diana. Nie lubił prawników. Nawet swoich własnych. Na pokładzie samolotu znajdowało się też czterech doskonale ubranych panów z bronią, na którą mieli zezwolenie.

Cole wyjaśnił żonie, że był to kaprys Joe'ego, ale ona wiedziała swoje. Joe podejrzewa Cushmana o wynajęcie ludzi poszukujących Bretlinga, a spodziewano się, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin Cole powie coś, za co bracia Cushmanowie najchętniej by Bretlinga zabili.

Przedstawiciele waszyngtońskiej firmy prawniczej spotkali się z Cole'em następnego ranka o ósmej w jego apartamencie hotelowym. Przesłuchanie przed Komisją Specjalną miało się odbyć o jedenastej. Kłócili się z Cole'em i między sobą na temat jego prośby o przesłuchanie otwarte dla członków Kongresu i Komisji Specjalnej.

* * *

O trzydzieści kilometrów dalej od tego hotelu i mniej więcej o tej samej porze Barbara Hayward wchodziła do waszyngtońskiego domu swego brata. Drzwi otworzył jej ojciec.

- Barbaro! - wykrzyknął. - Kochanie, co ty tu robisz?

Rozejrzała się w poszukiwaniu Douga i zauważyła, że właśnie wszedł do pokoju, zapinając po drodze mankiety u koszuli. Gdy ją zobaczył, stanął jak wryty. Jego miłe zaskoczenie tą wizytą trochę osłabiło jej zdecydowanie.

- Czy mama tu jest? - spytała, rozglądając się po obszernym salonie.

- Tu jestem, kochanie - odezwała się Jessica, spływając ze scho-

dów w jedwabnym, oblepiającym ją peniuarze. - Ale dlaczego ty tutaj jesteś?

Barbara odniosła wrażenie, że ze wszystkich obecnych tu osób, tylko Jessica domyślała się powodu jej wizyty. Utwierdziła się w tym przekonaniu, kiedy matka zaczęła do niej mówić specjalnie tak, żeby zrobić z niej chorą psychicznie i to nawet teraz, kiedy wreszcie poskładała ją-koś swoje życie, wyszła za mąż i miała dobrego, kochającego męża.

- Dlaczego nie jesteś w swoim pięknym, spokojnym domu w Vermont? - ciągnęła Jessica, pośpiesznie nalewając jej herbaty. - Wiesz, jak cię denerwują, duże miasta. Dlaczego przyjechałaś do Waszyngtonu?

Barbara usiadła na kanapie i uświadomiła sobie, że nareszcie nadszedł moment, którego się obawiała, odkąd miała piętnaście lat. Matka ją znienawidzi i zrobi z niej chorą albo kłamczuchę. Doug i ojciec stracą wiarę w nią, nikt jej nie będzie kochał i wszyscy ją porzucą. Potrząsnęła głową i uspokoiła ten panikujący wewnętrzny głos, który zawsze powtarzał taki sam refren, aż można było od niego oszaleć.

- Przyjechałam tu na herbatę - powiedziała ze spokojnym uśmiechem, biorąc filiżankę i spodeczek i wskazując miejsce na kanapie obok siebie. Usiadł tam Doug, a rodzice naprzeciwno, na fotelach. - I przyjechałam też po to, by naprawić zło, które pomogłam wyrządzić piętnaście lat temu.

Jessica zerwała się na równe nogi.

- Znowu masz atak. Mam w torebce środki uspokajające.

- To zażyj, jeśli potrzebujesz - odpowiedziała Barbara, udając, że nie rozumie. - Tatusiu - powiedziała stanowczo. - Cole Harrison nigdy w życiu nie tknął mnie palcem. To mama była tego wieczoru w stajni, a potem przybiegła do mojego pokoju i wybłagała, żebym się % nią zamieniła ubraniami.

- Jak możecie w to wierzyć! - wrzasnęła Jessica. - Zupełnie oszalałaś!

Charles w zdenerwowaniu tarł czoło.

- Barbaro, nie rób tego. Trudno, kochanie, zdarzyło się. Zaszłaś w ciążę z tym draniem.

Być może jej spokój, a może smutny uśmiech sprawiły, że ojciec i brat zaczęli jej wierzyć.

- Ojcem tego dziecka był chłopak, którego poznałam na koncercie rockowym, tato. Dotąd nie wiem, jak mu było na imię. Chciałam tylko zobaczyć, czy uda mi się go uwieść. Chciałam - spojrzała teraz na pobladałą matkę - być taka jak ty.

Rozdział 60

Jak poszło? - spytała Diana, kiedy wrócił sam późnym popołudniem.

Cole przyciągnął ją do siebie.

- Pohandlowaliśmy - powiedział z uśmiechem. - Trochę oddaliśmy, trochę dostaliśmy. A później uparliśmy się, żeby właściwe przesłuchanie odłożyć na jutro na jedenastą.

- Co wygraliście?

- Przekonaliśmy sędziego, że ponieważ Komisja Specjalna jest odpowiedzialna przed Kongresem, wolno mi prosić o to, żeby na przesłuchaniu obecni byli wszyscy członkowie Komisji i Kongresu, którzy sobie tego życzą. Wolno mi będzie również złożyć na wstępie krótkie oświadczenie.

Poprawiła mu przekrzywiony węzeł krawata.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego wstępne przesłuchanie, takie jak to, jest dla ciebie takie ważne.

- Jest ważne, bo moje nazwisko i moja firma zostały ubabrane w błocie w związku z przejęciem Cushmana. - W jego głosie pojawił się ostry ton. - I nie akceptuję przyczyn i użytych do tego metod. I nie akceptuję uczestników. - Starając się złagodzić ton, dodał: - Cushmanowie są starą i znaną rodziną amerykańską i wykorzystali wpływy polityczne i towarzyskie, żebym się na tym poślizgnął. Wciągają również Urząd Skarbowy do sprawy. Jestem osądzany przez polityków i media, i to mi się nie podoba. Przede wszystkim obrzydzenie mnie bierze z powodu hipokryzji, jaka za tym stoi.

Diana stwierdziła w ciągu ostatnich kilku dni, że jej mąż, jak na człowieka rzekomo bezwzględny i bez skrupułów, ma bardzo silnie zaszczerpane pewne wartości, z których nie zrezygnuje.

-I wydaje ci się - ciągnęła z lekką obawą - że jutro potrafisz coś z tym wszystkim zrobić?

- Może mi się uda zademonstrować to wszystko.

Diana nie miała pojęcia, jak, ale nie chciała wypytywać, więc powiedziała tylko:

- Powiedziałeś, co wygrałeś, a z czego musiałeś zrezygnować?

- Jeżeli koniecznie chcę wygłosić wstępne oświadczenie, muszę zrezygnować z prawa powoływania się na piątą poprawkę do konstytucji, która pozwala mi na przykład na odmowę zeznań, jeśli mnie obciążają.

- Wygląda, jakby traktowali cię jak członek mafii.

Uśmiechnął się.

- Tak mnie właśnie traktują. Tak to bywa, jeśli taki przybłęda dostaje się do pierwszej ligi i zaczyna grać z facetami w garniturach od Brooks Brothers.

- Ty nie nosisz garniturów od Brooks Brothers - zachichotała, bo łaskotała ją ustami w ucho.

- Wiem - uśmiechał się, nie speszony. - I dlatego się wkurzają. Nie wiedzą, jak z takimi postępować. Jesteśmy nieprzewidywalni.

Na jego miejscu Diana szalałaby ze strachu na myśl o możliwym procesie i o tym, że mogą go niesłusznie skazać na podstawie poszlak i posłać do więzienia. Cole jednak miał taką siłę charakteru, że powalała nią ludzi. Pogładziła go po mocnym podbródku.

- Czy rzeczywiście wiesz, co się zdarzy jutro?

- Nie. Wiem tylko, co może się zdarzyć i co chciałbym, żeby się zdarzyło.

- A co chcesz?

Odwrocił twarz, żeby ją pocałować i powiedział ze smutnym uśmiechem:

- Chcę widzieć twoją twarz na poduszce obok siebie, kiedy idę spać, i kiedy wstaję. A najbardziej na świecie chcę ci teraz dać wszystko, czego zechcesz.

- Ciebie - zaproponowała i zobaczyła, jak jego szare oczy pociemniały ze wzruszenia.

- To też - szepnął.

Zadzwoił telefon i Diana niechętnie oderwała się, sięgając po słuchawkę. Wciąż rozbawiona, powiedziała:

- Jesteś dziś ekspertem od ludzkiej duszy, więc zgadnij, kto to jest. Cole rzucił pierwsze nazwisko, jakie mu przyszło do głowy:

- Hayward.

Zgłupiał, kiedy okazało się, że ma rację. Diana zakryła mikrofon ręką.

- Chce przyjść.

W odpowiedzi wsadził ręce do kieszeni i kiwnął głową.

Rozdział 61

Diana wyobraziła sobie przez moment, że Doug przeprosi i odwoła całe przesłuchanie, ale przekraczało to nie tylko jego chęci, ale i wyobraźnię. Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie, jak zaprzy siężeni wrogowie. Cole trzymał ręce w kieszeniach i tylko uniośł pytająco brwi.

Doug był równie nieprzyjazny.

- Nie będę długo - powiedział. - Przyjechałem tylko was przeprosić za wszystko, co powiedziałem i zrobiłem w wyniku mojego przekonania, co przydarzyło się Barbarze.

- Czy to znaczy, że masz zamiar się ode mnie odczepić? - zażartował Cole.

Doug nie tylko nie brał tego pod uwagę, ale wpadł w złość, słysząc to pytanie.

- Nie ma mowy. Zbudowałeś imperium, połykając solidne, cieszące się dobrą reputacją firmy, jak przedsiębiorstwo Cushmana, które nie mogą z tobą walczyć, bo nie są w stanie wytrzymać twojej taktyki.

- Czy jesteś naprawdę taki święty, czy po prostu łatwowski? - spytał Cole zaczepnym tonem.

Diana zobaczyła, że Doug zacisnął pięści, Cole zresztą też, ale dalej go pognebiał:

- Ciekawe, że zapomniałeś o ludziach, którzy skorzystają na tym, kiedy ja przejmuję firmy. Mam na myśli akcjonariuszy tych „solidnych, cieszących się dobrą reputacją” firm, z beznadziejnym zarządzaniem, przestarzałymi urządzeniami, z których nie ma korzyści nikt, poza najwyższym kierownictwem. To ono spija zyski, nim cokolwiek skapnie na dół, do akcjonariuszy. Guzik cię obchodzi moja etyka czy moje motywacje. Potrzebujesz zwycięstwa nad kimś znanym, dla poprawienia swego wizerunku politycznego,

i popełniłeś ten błąd, że wybrałeś mnie. Nawet gdybym ci udowodnił, że jestem niewinny w wypadku wszystkich zarzucanych mi czynów, i tak byś mnie jutro dociskał w nadziei, że sąd federalny wyda wyrok skazujący.

- Czy mówi ci coś termin „oskarżenie o zniesławienie”?

- Tak. Możesz je sobie wsadzić w dupę.

- Przestańcie - krzyknęła Diana, zapominając, że Doug nie jest już jej pogodnym przyjacielem z dzieciństwa, uczącym ją prowadzić samochód z normalnym drażkiem zmiany biegów. - Cole nie popełnił żadnego z tych przestępstw, o które go oskarżasz. Do licha, widziałam dowody.

- On nie chce dowodów - Cole omiół go pogardliwym spojrzeniem. - Zależy mu tylko na swojej opinii.

Z jakiegoś powodu tym razem Doug się zaważał.

- Czy mógłbyś udowodnić, że to nie ty zainicjowałeś plotki, na skutek których akcje Cushmana spadły o połowę?

Cole skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na niego bardziej z pogardą niż ze złością.

- Jesteś adwokatem. Udowodnij mi, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie powiedziałeś komplementu żadnej dziewczynie. Jak byś to udowodnił? - Na zakończenie dodał jeszcze: - Jutro powinni stanąć przed sądem bracia Cushmanowie i ich kumple. - Chciał na tym zakończyć rozmowę, ale wydało mu się, że w postawie młodego senatora widzi jakąś szczerość. - A tak z ciekawości - spytał jeszcze, gdy już Hayward wychodził - co byś zrobił, gdybym udowodnił, że Cushmanowie są winni jak wszyscy diabli?

Doug uznał, że jest to mistrzowska manipulacja, ale był na tyle zaciekawiony, że zatrzymał się i odpowiedział:

- Jeszcze dziś wieczorem wyciągnąłbym z łóżka sędziego, żeby podpisał wezwanie do sądu - stwierdził Doug z całą powagą. - A potem dopilnowałbym osobiście, żeby powędrowali do więzienia, między innymi za wykorzystanie w złej sprawie rządu amerykańskiego.

Cole'a tak ubawiła ta przemowa grzecznego chłopczyka, że postanowił go wypróbować, choćby z zemsty za denerwowanie Diany przez ostatnie dwa tygodnie.

- Jesteś absolutnie pewien, że to byś zrobił?

- To byłby dopiero początek - warknął Doug.

- W takim razie chodź za mną.

Cole zaprowadził go do pokoju w dalszej części korytarza, gdzie stali dwaj eleganccy panowie. Ochroniarze odsunęli się, kiedy Cole skinął im głową.

- Przedstawię cię panu Bretlingowi - powiedział Cole. - A pan Bretling opowie ci o twoich sojusznikach, Cushmanach, i ich rzekomo cudownym procesorze. A potem pozwolę ci spojrzeć na jego towarzyszkę, która z nami podróżuje. Jest w tym dużym pudełku od pizzy.

* * *

O wpół do ósmej wieczorem, kiedy Diana przebierała się do kolacji, usłyszała, że jej mąż wrócił do apartamentu wraz z jej przyjacielem z dzieciństwa. Nie mogąc powstrzymać ciekawości, otworzyła drzwi do saloniku.

Doug był wściekły. Porwał słuchawkę z widełek, rozluźnił krawat i zaczął telefonować. Diana odetchnęła z ulgą. Dręczyła ją myśl, że musieliby wykorzystać przeciwko niemu sprawę wypadku samochodowego. Zdawała sobie sprawę, że przyczyną był wyjątkowo zły metabolizm organizmu Douga, a nie jego nadmierne picie.

Cole wszedł do sypialni, objął ją rękami w pasie, a jego zmęczoną twarz rozjaśnił uśmiech. W odpowiedzi na jej nie zadane pytanie, poinformował:

- Senator chciałby z nami pójść na kolację.
- I co powiedziałaś?
- Uznałem, że grzeczność nakazuje wyrazić zgodę - oznajmił z udawaną pokorą.
- Oczywiście - zgodziła się Diana w tym samym tonie.
- Ale dopiero wtedy, kiedy obiecał, że za nią zapłaci.

Rozdział 62

Następnego ranka o dziesiątej trzydzięci Kendall i Prentice Cushmanowie oraz trzej inni inicjatorzy procesu przeciwko Cole'owi Harrisonowi i Unified Industries przepychali się między tłumkiem ciekawskich do dużej sali, gdzie miało się odbyć przesłuchanie. Przyjaciele i sojusznicy, senatorowie Longtree i Kazinski ze stanu Nowy Jork, zarezerwowali dla nich miejsca w pierwszym rzędzie.

O dziesiątej czterdzięci asystent senatora Haywarda podszedł do pierwszego rzędu i uprzejmie wręczył dwóm senatorom i pięciu członkom otoczenia Cushmanów po kopercie. W każdej kopercie znajdowało się wezwanie, by byli obecni podczas dzisiejszego przesłuchania.

- Po co to jest, do diabła? - spytał senator Longtree Prentice'a Cushmana.

Prentice Cushman nie odpowiedział, gdyż przypatrywał się znanemu starszemu panu, nieco przygarbionemu, który przeszedł wśród ławek i usiadł przy stole Harrisona.

Diana, stojąc obok senatora Byersa z tyłu sali, obserwowała rozwijające się na jej oczach przedstawienie. Senator przekonał strażnika, że Diana należy do jego zespołu i należy ją wpuścić. Od czasu do czasu ścisnął ją lekko za rękę, żeby jej dodać odwagi.

Z początku wszystko rozwijało się irytująco powoli. Adwokaci Cole'a oznajmili, że jeśli sędzia zgodzi się na pewną elastyczność w przedstawianiu sprawy, wszystko się prędzej zakończy. Sędzia, spoglądając na dwuosobowy tłum na sali, zrobiłby wszystko, żeby przesłuchanie odbyło się jak najsprawniej. Diana wiedziała, że i tak był przekonany o winie Cole'a.

Następnie Cole wygłosił oświadczenie. Oznajmił, że nie rozpuscitał, ani nie namawiał do rozpuszczania plotek na temat zawodności mikroprocesorów Cushmana. Powiedział, że oferując

dziewiętnaście dolarów za jedną akcję spółki, byt pewien, zgodnie z zapewnieniami odpowiedzialnych członków rady Cushmana, że plotki na temat procesora są nieprawdziwe. Ich zdaniem, wyniki badań ukazywały znaczną przewagę nad obecnymi na rynku.

Sędzia dwukrotnie mu przerywał, co Dianę bardzo zdenerwowało, i senator znów poklepał ją pocieszająco. Na zakończenie oświadczenia Cole powiedział, że ludzie Cushmana sfałszowali wyniki badań mikroprocesora. Sędziemu wydało się to tak nieprawdopodobne, że omal nie wybuchnął śmiechem.

- Czy dobrze pana rozumiem, panie Harrison - spytał, pukając ołówkiem w notes - że pana zdaniem Cushmanowie wiedzieli, że procesor jest zawodny?

Cole potwierdził, że dokładnie to miał na myśli.

- Czy wobec tego zechciałby pan wyjaśnić, dlaczego byli właściciele i udziałowcy Cushman Electronics złożyli oficjalne zażalenie, chcąc odzyskać ten procesor, a pan nie chce im go oddać?

Cole odpowiedział, że ani on, ani Cushman nie są zainteresowani procesorem, co spowodowało nagłą ciszę na sali. Sędzia dodał niecierpliwie:

- Więc co chciał pan zyskać, kupując Cushman Electronics?

- Dwa patenty - odpowiedział Cole.

Następnie adwokaci Cole'a poprosili o zeznanie Willarda Bretlinga. Potwierdził wszystko, co powiedział Cole. Oskarżył Cushmanów o sfałszowanie wyników jego badań oraz z oburzeniem zrelacjonował swoje haniebne wyprowadzenie z terenów Cushmana. Wyjaśnił, że powiedział panu Harrisonowi, że procesory są niedobre, nim ten kupił spółkę. Diana czuła reakcję sali. Biedny Willard wyglądał w ich oczach na rozgoryczonego byłego pracownika, który teraz chce poprzeć nowego pracodawcę. Adwokaci Cole'a przerwali, aby przypomnieć sędziemu, że opisy patentów są podane do publicznej wiadomości i wobec tego nie stanowią poufnej informacji. Sędzia machnął ręką i spytał Willarda, dlaczego pan Harrison widział zastosowanie jego dwóch patentów, a Cushmanowie „w swej krótkowzroczności” ich nie zobaczyli.

Diana miała ochotę zaklaskać, kiedy znękany geniusz tłumaczył cierpliwie, jak dziecku.

- Tworzenie jest jak układanka. Pan Harrison miał już gotowe całe pudełko części, brakowało mu tylko tych z moich patentów.

- Aby zrobić co, jeśli mogę spytać?

- Zaraz panu pokażę.

Z niezwykłą dumą i ostrożnością Willard podszedł do stołu i jak magik, wyjmujący królika z kapelusza, zdjął tkaninę okrywającą płaski kwadratowy przedmiot. Publiczność nachyliła się do przodu, ale sędzia zobaczył pierwszy.

- Czy chce pan wmówić sądowi, że z patentów wartych sto pięćdziesiąt milionów dolarów zrobił pan pizzę?

Ryk śmiechu, jaki wstrząsnął salą, zagłuszył wszystko i nikt nie słyszał głosów dochodzących z pudełka, podczas gdy Willard powoli je otwierał. Wyjął znajdujący się w nim przedmiot i obrócił w stronę publiczności, a wtedy zapanowała cisza, jakby jakaś olbrzymia dłoń zbiorowo zakryta wszystkim usta.

Obraz na ważącym trzy i pół kilograma telewizorze miał doskonały kolor i nienaganną ostrość. Ekran miał na dwadzieścia sześć cali, był wysoki na pięćdziesiąt trzy centymetry. Miał zaledwie dwanaście centymetrów grubości.

Na ekranie Oprah Winfrey przeprowadzała wywiad z dwoma psychologami rodzinnymi, a dwadzieścia rzędów ludzi pochyliło się w krzesłach jednocześnie i cała milcząca widownia zamarła bez ruchu.

Sędzia wydawał się pokonany.

- Supercienki telewizor. To rzeczywiście osiągnięcie.

- Ten z Mitsubishi nie może się z nim równać - zgodził się Willard. - No i oczywiście ich musi być zasilany z sieci.

- A ten działa na baterię? - spytał sędzia. - Jak długo działa na baterii?

- Około pięciu dni.

Człowiek w rzędzie przed Dianą powoli wstał. Siedzący obok niego poszedł w jego ślady. Następny rząd wycofał się szybko. Wyglądało to, jak ludzie wychodzący szybko i zorganizowanie z koscioła. W ciągu kilku minut trzy czwarte sali wypadło z niej, jak tabun. Jedna czwarta została, żeby obejrzeć dokładniej program Oprah Winfrey.

Senator Byers oparł się plecami o ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i zaśmiał się cicho, patrząc z podziwem na Cole'a, który rozmawiał ze swymi adwokatami, pakującymi już papiery.

- Diano - powiedział Sam Byers - twój mąż jest piekielnie inteligentnym człowiekiem. I jest też zabójczy.

Dianę zainteresowała ciemna strona ludzkiej natury, która sprawiła, że ludzie w momencie, kiedy stracili szansę na krwawy spektakl, natychmiast wyszli. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z Samem,

- Kiedy się zorientowali, że nie będzie rozlewu krwi, popędzili z powrotem do pracy.

Chichot Sama Byersa przeszedł w śmiech z głębi brzucha.

- Oni nie wracają do pracy, Diano. Spieszą się do telefonów, żeby kazać swym maklerom skupować akcje Unified!

- Rozumiem.

- Chyba nie rozumiesz. Twój mąż właśnie stworzył poważny dylemat moralny, który wpłaczę co najmniej setkę polityków w serię oskarżeń i wyjaśnień przed Komisją Specjalną, która teoretycznie im podlega.

-Jak to?

- To przesłuchanie nie było publiczne, lecz tylko dla Kongresu i członków Komisji. Więc w tej chwili większość kongresmanów, która stąd wybiegła i kupuje tyle akcji Unified, ile może, działa na podstawie „poufnej informacji”. - Potrzęsnał głową. - Tym ich dobił.

Epilog

CZWARTY LIPCA

Niebo nad ich głowami iskrzyło się fontannami tańczących świateł i wirujących kształtów, nachodzących na siebie, a potem opadających połyskującymi kaskadami.

Diana oglądała to zadziwiające widowisko, leżąc na kocu, oparta o ramię męża. Mieli doskonale miejsce na osobności, nad stawem, na pięknie utrzymanych terenach Unified Industries.

- Myślisz, że Cal to widzi?

-Tak.

- Myślisz, że mu się podoba?

Zachichotał.

- Nie wiem. Chciał pójść z nami.

- Trzeba go było zabrać.

- Nie - powiedział, całując ją w skroń. - Nie trzeba było go zabierać. Pamiętasz, jak za wszelką cenę chciał mieć spadkobiercę?

- Pamiętam.

- Więc teraz ma i może oglądać fajerwerki razem z nianią Connera i pomagać jej go pilnować.

-Ale...

Cole uciszył jej protest pocałunkiem i odwrócił ją plecami na koc.

- Czy pamiętasz, jak ci powiedziałem, że przegapiłem swoją młodość?

Diana uniosła rękę, gładząc go delikatnie po brodzie.

- Pamiętam - szepnęła, wśród narastających wybuchów światła i dźwięku.

- A wiesz, co przede wszystkim przegapiłem?

- Nie, co takiego?

- Zawsze chciałem się kochać z kobietą, która będzie oglądać fajerwerki, oparta o moje ramię.

Uśmiechnęła się, ale przypomniało jej się coś innego. Przypomniało jej się, jak trzy miesiące temu trzymał po raz pierwszy swojego syna. Zaniósł go pod okno jej szpitalnego pokoju.

- Conner - powiedział do niemowlęcia, które trzymał w ramionach. - To miasto nazywa się Dallas. Tatuś ci je da.

Cole próbował przeniknąć wzrokiem jej uśmiech.

- O czym myślisz?

- Wspominam - szepnęła.

- Chciałabyś jeszcze coś wspominać?

Diana oderwała wzrok od fajerwerków,

- Bardzo.